

KARABINY Z TANITH

DAN ABNETT

Pod koniec szesnastego roku Wojny o Światy Sabbat uderzenie marszałka Macarotha wymierzone w strategicznie ważny system Cabal, zdecydowane w swej pierwszej fazie, znalazło się znieścacka w impasie. Trzy czwarte planet wyznaczonych jako cele, w tym dwa niesławne światy forteczne, zostało zajętych przez imperialne korpusy, okupujący je nieprzyjaciel wycofał swe niedobitki z utraconych systemów. Wówczas to potwierdziły się ostrzeżenia oficerów marynarki kosmicznej – imperialna ofensywa przemieściła się za bardzo w głąb terytorium wroga odsłaniając swe flanki.

Urlock Gaur, jeden z najbardziej utalentowanych przywódców Nieprzyjaciela, umiejętnie wykorzystał wsparcie w postaci najemnej rasy loxatli i przystąpił do kontrofensywy wzdłuż położonej bliżej serca galaktyki flanki lojalistów, zajmując w krótkim czasie Enothis, Khan V, Caius Innate oraz Belshiiir Binary. Strategicznie ważne linie zaopatrzeniowe Krucjaty, w szczególności te zapewniające dostawy paliwa dla kosmicznej marynarki, zostały przerwane. Rzykowny plan Macarotha, w razie sukcesu mogący zadecydować o zwycięstwie całej kampanii, wydał się nagle wyjątkowo głupim posunięciem. Z braku dostaw paliw i amunicji zdobyty drogim kosztem Cabal Salient skazany był na ponowną utratę – w najlepszym wypadku stacjonujące w systemie siły Imperium zostałyby zmuszone do odwrotu; w najgorszym groziło im otoczenie i eksterminacja.

Marszałek wojny Macaroth zdecydował się na przerwienie kilku elementów swej przeciwnej flanki do zagrożonej strefy, w desperackiej próbie otwarcia nowych linii zaopatrzeniowych. Wszyscy zaangażowani w tę operację lojaliści zdawali sobie sprawę z konsekwencji ewentualnej porażki, mogącej przesądzić o losie Cabal Salient czy też nawet całej wojny na Światach Sabbat.

Kluczowymi celami imperialistów były bogate w złoża promethium planety Gigar, Aondrift Nova, Anaximander i Mirridon, światy zbrojeniowe Urdesch, Tanzina IV i Ariadne oraz młyny oparowe na Rydolu i Phantine... – fragment Historii Późnych Krucjat Imperialnych.

PROLOG: TANITHIJSKIE SREBRO

Sterowiec bojowy *Nimbus*, Zachodnie Pustkowia Kontynentalne, Phantine, 211.771.M41

„*Nie sądzę, by ktokolwiek z nas zdawał sobie sprawę z tego, co nas czeka. Feth, teraz jestem szczęśliwy, że tego nie wiedziałem*” – sierżant Varl, Pierwszy Tanithijski.

Duszący ucisk gardła był ostatnią rzeczą, jakiej mężczyzna się spodziewał.

Szeregowiec Hlaine Larkin wylądował z głuchym stukotem w miejscu tak ciemnym, że nie potrafił dojrzeć nawet uniesionej tuż przed twarzą dłoni. Przypadł do ziemi stosując się do wydanego przez pułkownika zalecenia, wyciągnął się na brzuchu.

Gdzieś w ciemności po prawej stronie słyszał głos sierżanta Obela wzywającego resztę członków drużyny do zajęcia pozycji za najbliższą osłoną. Larkin omal nie roześmiał się sarkastycznie. Osłona ? W jaki sposób mieliby znaleźć jakąkolwiek osłonę, skoro nie potrafili dojrzeć nawet tyłka leżącego przed sobą towarzysza broni ?

Mężczyzna wyciągnął przed siebie dłoń badając przestrzeń palcami do chwili, w której natrafił na pionową powierzchnię. Odniósł wrażenie, że to jakiś wspornik, filar sufitowy. Przeczłogał się w stronę obiektu, a potem wyjął z futerału swój snajperski karabin. Do wykonania tej drugiej czynności nie potrzebował wzroku, wystarczał mu sam dotyk. Jego palce prześlizgnęły się po wykonanej z drzewa nał kolbie, mechanizmie spustowym, naoliwionym uchwycie celownika optycznego.

Ktoś zakrzyczał w ciemności opodal, najpewniej skręciwszy sobie kostkę podczas lądowania.

Larkin poczuł narastającą panikę. Wyjął z pokrowca celownik, założył go na broń, ściągnął chroniące szkła obiektywu pokrywki i właśnie miał zamiar przyłożyć karabin do ramienia, kiedy ktoś opasał jego szyję ramieniem.

- Jesteś martwy, Tanithijczyku - w uchu snajpera rozległ się czyjś szept.

Larkin szarpnął się, ale duszący uścisk nie zelżał nawet na jotę. Krew zaczęła tętnić w skroniach mężczyzny, płuca rozpaczliwie domagały się tlenu. Próbował wykrzyknąć "Zabity", ale nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Flara iluminacyjna zapłonęła z głuchym trzaskiem gdzieś nad głowami ludzi i cała sala została zniecka jaskrawo oświetlona. Jakiś ciemny kształt pojawił się w ułamku chwili przed Tanithijczykiem.

Snajper ujrzał nóż.

Tanithijskie posrebrzane ostrze, długie na trzydzieści centymetrów, tkwiące w powietrze tuż przed jego twarzą.

- Kurwa - wycharczał Larkin.

Powietrze przeszył przenikliwy, wdzierający się natrętnie w uszy dźwięk gwizdka.

- Wstawaj z ziemi, kretynie - warknął komisarz Viktor Hark przemierzając salę treningową z gwizdkiem w dłoni - Ty tam, żołnierzu ! Wstawaj ! Celujesz w niewłaściwą stronę !

Sufitowe lampy zapalały się po kolei rozświetlając pomieszczenie silną żółtawą poświatą. Ukryci za drewnianymi pudłami i stertami żelastwa żołnierze w czarnych uniformach mrugali oczami usiłując przystosować wzrok do nagłej zmiany oświetlenia.

- Sierzancie Obel !

- Komisarzu ?

- Do mnie, biegiem !

Obel podbiegł do oficera politycznego. Gdzieś za plecami Harka rozległ się trzask laserów treningowych.

- Przerwać ogień ! - krzyknął komisarz - Oni i tak już nie żyją ! Wstrzymać ogień i przygotować się do powtórki !

- Tak jest, sir ! - ze strony pozycji obrońców padła krótka odpowiedź.

- Proszę o raport - Hark spojrzał na stojącego z poczerwieniałą twarzą Obela.

- Dokonałiśmy zrzutu i rozproszenia, sir, według wzorca theta. Znaleźliśmy osłonę...

- Wręcz porażające osiągnięcie. Jak pan myśli, sierzancie, czy ma to jakiegokolwiek znaczenie, że osiemdziesiąt procent oddziału zwrócone było plecami do pozycji nieprzyjaciela ?

- Sir... byliśmy zdezorientowani...

- Wspaniale. Gdzie mamy północ, sierzancie ?

Obel wyciągnął z kieszeni kompas.

- Tam, sir.

- Nareszcie jakiś postęp. Ta strzałka nie fosforyzuje w ciemnościach wyłącznie dla zabawy, sierzancie.

- Hark ?

Komisarz Hark natychmiast stanął na baczność. Wysoka postać w długim płaszczu nadchodziła z głębi sali kierując się w jego stronę, przywołując na myśl poruszający się na własną rękę cień komisarza.

- Jak oceniasz swoją akcję ? - zapytał pułkownik-komisarz Ibram Gaunt.

- Jak oceniam ? Zostaliśmy zmasakrowani i to w pełni zasłużenie.

Gaunt uśmiechnął się nieznacznie.

- Bądź wobec nich uczciwy, Hark. Wszyscy ci ludzie znajdowali się pod osłoną. W warunkach bojowych natychmiast zorientowaliby się, skąd padają strzały nieprzyjaciela.

- To przesadny optymizm, sir. Sądzę, że obrońcy zdobyli dobre siedemdziesiąt pięć punktów.

Gaunt zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie więcej jak pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt punktów. Wciąż masz obsadę przyczółka zdolną dokonać wyłomu.

- Przykro mi, że muszę pana rozczarować - oświadczył wysoki szczupły Tanithijczyk w płaszczu kamuflującym, nadchodzący od strony pozycji Obela. Mężczyzna zakreślał właśnie laseczkę markera służącego do znakowania celu farbą.

- Mkvenner ? - Gaunt przywitał skinieniem jednego z elitarnych podkomendnych sierżanta Mkolla - No dalej, nie oszczędzaj mnie.

Mkvenner miał ten specyficzny układ pociągłej szczupłej twarzy, który sprawiał, że wszystkie wypowiedane przez zwiadowcę słowa nabierały mrocznego złowieszczonego wydźwięku. Skórę policzka pod jego prawym okiem zdobił tatuaż w postaci półksiężyca. Niektórzy twierdzili, że Duch przypominał w znaczącym stopniu samego Gaunta, chociaż włosy Mkvennera były smoliste czarne, a pułkownika-komisarza jasne. Gaunt był też od zwiadowcy większy: wyższy, szerszy w barach, masywniejszy.

- Słyszeliśmy jak spadają w ciemnościach. Wprowadziłem pomiędzy nich pięciu ludzi.
- Pięciu ?
- Bonina, Caobera, Doyle, Cuu i siebie samego. Użyliśmy wyłącznie noży - Duch potrząsnął swoim markerem - Zdjęliśmy ośmiu, zanim wystrzelono flarę.
- Jakim cudem mogliście nas widzieć ? - spytał zaczepnym tonem Obel.
- Mieliśmy na oczach opaski do chwili zgaszenia świateł. Nie było kłopotów z dostosowaniem wzroku do ciemności.
- Dobra robota, Mkenner - westchnął Gaunt unikając jednocześnie znaczącego spojrzenia Harka.
- Wykończyłeś nas - oświadczył komisarz.
- Zgadza się z twoją opinią - przyznał mu rację Gaunt.
- A zatem... nie są gotowi. Nie na to. Nie na nocny zrzut.
- Muszą być gotowi ! - w tonie pułkownika-komisarza pojawiła się nuta zdenerwowania - Obel ! Zabieraj swoje lalczki z powrotem na wieżę treningową ! Powtórka ćwiczenia !
- Tak jest, sir - odparł sierżant, po czym zawahał się na moment - Uhm... szeregowiec Loglas złamał sobie gołę przy poprzednim skoku. Potrzebuje pomocy lekarskiej.
- Psiakrew ! - syknął Gaunt - Dobra, ewakuować go. Reszta na wieżę.
Pułkownik-komisarz odczekał, aż sanitariusze Lesp i Chayker wyprowadzą jęczącego Loglasa z sali. Pozostali członkowie drużyny Obela wspinali się w międzyczasie po drabinach wiodących na szczyty szesnastometrowych wież skokowych lub zaczepiali haki swych uprzęży o linki zrzutowe.
- Zgasić światła ! - Będziemy te ćwiczenia powtarzać tak długo, aż wykonamy je poprawnie.

- Słyszałeś rozkaz - wychrypiął z trudem Larkin - Koniec podejścia. Będziemy powtarzać zrzut.

- Masz szczęście, Tanithijczyku.

Uścisk na gardle zelżał i Larkin odtoczył się w bok łapiąc łączywie powietrze. Szeregowiec Lijah Cuu stanął nad nim w rozkroku chowając swój nóż do pochwy.

- I tak cię dorwałem, Tanithijczyku. Pewnie, że pewnie.

Kaszlący wciąż snajper podniósł z podłogi karabin. Ostrzegawcze gwizdki rozbrzmiały ponownie.

- Popieprzony kretynie ! Omal mnie nie zabiłeś !

- Zabicie cię było celem tego ćwiczenia, Tanithijczyku - Cuu wyszczerzył zęby mierząc niskiego strzelca wyborowego pełnym satysfakcji wzrokiem.

- Miałeś mnie dotknąć tym czymś - Larkin wskazał palcem zakreconą laseczkę markera przyczepioną do pasa Ducha.

- Doprawdy ? - Cuu zrobił okrągłe oczy udając, że pierwszy raz w życiu widzi swój marker.

- Larkin ! Szeregowiec Larkin ! - przez salę przetoczył się okrzyk sierżanta Obela - Zamierza pan łaskawie do nas dołączyć ?

- Tak jest, sir ! - zawołał snajper chowając swą broń do pokrowca.

- Biegiem do mnie, Larkin ! Biegiem !

Żołnierz zerknął raz jeszcze w stronę swego pogromcy szykując pożegnalny docinek, ale Cuu już zdążył zniknąć.

Obel czekał na snajpera u podstawy jednej z wież. Ostatni gwardziści wspinali się po drabinie, objuczeni kilogramami ekwipunku. Sierżant wyciągnął puszkę pasty kamuflującej i pomógł Larkinowi rozsmarować czarną substancję w miejscach zabrudzonych wcześniej czerwoną farbą.

- Jakież problemy ?

- Nie, sir - odparł Larkin - Z wyjątkiem tego kretyna Cuu.

- Będącego przeciwieństwem naszego nieprzyjaciela, uprzejmego i wyrozumiałego aż do przesady. Przestań stękać, Larkin i wciągaj tyłek na wieżę.

Snajper zaczął piąć się po szczeblach drabiny obserwując jednocześnie kątem oka gasnące w górze lampy.

Szesnaście metrów wyżej znajdowała się płaska platforma z perforowanej blachy. Stojący na niej żołnierze uformowali trzy linie. Krawędź platformy tworzyła wykonana z kątowników bramka oddająca swymi rozmiarami kształt wjazdu w statku desantowym. Poza bramkę wystawała jedynie niewielka płytka nazwana przez gwardzistów trampoliną. Gutes, Garond i Unkin - trzech mężczyźni otwierający procedurę zrzutu - klęczeli na trampolinie trzymając w rękach zwinięte ciasno liny. Koniec każdej z lin przymocowany był do wysięgnika sterzącego ponad płytą.

- Zajmować pozycje - powiedział cicho sierżant Obel przepychając się do przodu platformy. Larkin wślizgnął się pośpiesznie na swoje miejsce w szyku.

- Załatwili cię ? - zapytał Bragg.

- Tak, cholera. Ciebie też ?

Olbrzym pokazał czerwoną plamę na uniformie, której nie zdołał dość dobrze zetrzeć.

- Nawet ich nie zauważyłem - przyznał niechętnie.

- Cicho tam z tyłu ! - warknął Obel - Tokar, ściągnij mocniej uprząż, bo się z niej wypniesz. Fenix... gdzie masz zasrane rękawice ?

Zgasły ostatnie lampy, gdzieś w dole komisarz Hark zagwizdał ponownie. Trzy krótkie sygnały - dwie minuty do skoku.

- Przygotować się ! - rzucił w stronę czekających w rzędach ludzi Unkin.

Larkin nie widział żołnierzy czekających na sąsiednich wieżach, po prawdzie nie dostrzegał nawet samych wież. Mrok był jeszcze gęściejszy niż podczas najbardziej bezkسیężycowych nocy na Tanith.

- Zróbcie przejście - wyszeptał ktoś w tyle. Błysnęła niewielka latareczka, ukryta w rękawie munduru, wyłoniła z ciemności kształt ludzkiej sylwetki wspinającej się na szczyt platformy.

Ibram Gaunt.

Pułkownik-komisarz wślizgnął się pomiędzy gwardzistów.

- Posłuchajcie - szepnął dostatecznie głośno, by usłyszeli go wszyscy członkowie oddziału - Wiem, że to dla was zupełnie nowy rodzaj ćwiczeń i że nikomu się one nie spodobały, ale zamierzamy zgnieść nieprzyjaciela przewagą liczebną. Nie będzie lądowania na powierzchni Cirenholmu, to mogę wam zagwarantować. Dostaliśmy pierwszorzędnych pilotów, którzy zrobią wszystko, żeby dostarczyć nas jak najbliżej celu, ale nawet wtedy może się zdarzyć, że wysokość zrzutu przekroczy szesnaście metrów.

Kilku żołnierzy jęknęło.

- Liny mają trzydzieści metrów długości - zauważył Garond - Co, jeśli to nie wystarczy ?

- Będziecie musieli szybko machać rękami - odparł Gaunt. Wokół rozległy się zduszone chichoty.

- Wpinać haki i szybko skakać. Kolana ugięte, nie sztywne. Po lądowaniu natychmiastowy ruch. Statki zrzutowe mają krytycznie krótki limit czasu na wykonanie procedury. Będziecie skakać po trzech jednocześnie, w dodatku w danym momencie na każdej linie może znajdować się więcej niż jeden człowiek. Po dotarciu na ziemię z miejsca odskakujcie na boki, by oczyścić przestrzeń innym. Czy to jest bagnet, żołnierzu ?

- Tak, sir.

- Schowaj go. Żadnych założonych bagnetów, dopóki nie znajdziecie się na dole, nawet w

prawdziwej akcji. Broń ma być zabezpieczona. Jeśli posiadacie karabiny ze składanymi kolbami, złożcie je. Uprząże i pasy mają być ciasno dopięte. I pamiętajcie, kiedy będziemy już skakać na serio, wszyscy będą mieli na sobie maski przeciwgazowe, a to tylko pogorszy całą sytuację. Jestem pewien, że sierżant Obel już wam o tym wszystkim wspominał.

- Częste powtarzanie ułatwia zapamiętywanie - mruknął Obel.

- Bez wątpienia - odrzekł Gaunt zdejmując swój płaszcz i czapkę. Zapiął się w uprząż skokową - Loglas wypadł z ćwiczeń, więc brakuje wam jednego człowieka. Zajmę jego miejsce - stanął jako czwarty w kolejce w prawym rzędzie oczekujących na skok. W dole rozległ się kolejny gwizdek. Gaunt zgasił swoją latarkę i na platformie zapanowała nieprzenikniona ciemność.

- Ruszamy - syknął - Rozpocznijcie procedurę, sierżancie.

- Mamy strefę zrzutu ! - Obel mówił teraz przez słuchawkowy moduł łączności - Prowadzący, wyrzucić liny !

- Liny poszły ! - odpowiedzieli żołnierze na desce. Wszyscy trzej byli już przypięci do nich hakami.

- Skacz !

Larkin usłyszał wizg napinanych lin, przyjmujących na siebie ciężar pierwszych opuszczających platformę ludzi.

- Skacz !

Z dołu dobiegł go dźwięk wystrzałów z treningowych laserów. Snajper przeszedł przez bramkę dotykając palcami jednej dłoni pleców gwardzisty będącego przed nim w kolejce. Mężczyzna zniknął zniemacka.

- Skacz !

Wymacał rękami linę, chwycił ją mocno i zatrzasnął uchwyt swojego haka.

- Skacz !

Larkin złapał rękami za uprząż i skoczył w ciemność. Zawirował szaleńczo w powietrzu, mechanizm haku piszczał i syczał napierając klockiem hamulcowym na linę. Snajper czuł wyraźnie zapach towarzyszącej tarcu spalenizny.

Lądowanie wydawało się jeszcze boleśniejsze niż poprzednim razem, uderzenie o podłogę pozbawiło mężczyzny tchu. Zdołał jakoś odczepić swój hak i odtoczyć się w bok robiąc miejsce kolejnemu spadającemu z góry żołnierzowi. Leżał teraz na brzuchu, podobnie jak w poprzedniej próbie. Człgając się do przodu natrafił ramieniem o jakąś przeszkodę, przycisnął się do niej plecami. Gdzie te flary ? Gdzie te przeklęte flary ?

Zdążył już wyjąć z pokrowca laser, założył na niego celownik. Wyczuł jak ktoś przebiega tuż obok, w komunikatorze krzyżowały się radiowe meldunki.

Larkin wciągnął powietrze. Noktowizjer skąpał otoczenie mężczyzny w zielonkawej poświacie punktowanej rozbłyskami nieprzyjacielskich laserów, pozostawiających chwilowe widmo optyczne na obiektywie teleskopu.

Ujrzał postać tkwiącą w bezruchu za stertą skrzynek po swej lewej. Mkenner, z markerem w ręku.

- Bum - powiedział Larkin strzelając z ustawionej w tryb ognia ćwiczebnego broni.

- Cholera - odpowiedział Mkenner siadając na podłodze - Zabity !

W górze wybuchły z trzaskiem flary. Białoniebieska poświata rozświetliła strefę zrzutu migotliwym, złudnym blaskiem.

- Podnieść się i naprzód - polecił przez komunikator sierżant Obel. Larkin rozejrzał się wokół: wszyscy członkowie drużyny celowali we właściwym kierunku. Słyszając polecenie dowódcy zaczęli zmieniać szyk, przemieszczać się do przodu. Larkin pozostał w miejscu, będąc bardziej przydatnym w trybie statycznym.

Dostrzegł Bonina zdejmującego uderzeniami markera dwóch żołnierzy, wyłączył go z gry celnym strzałem. Kolejne flary wybuchły gdzieś po prawej, przez salę przetoczyła się seria ludzkich krzyków. Część drużyny Obela wdała się w regularną walkę z obrońcami. Snajper usłyszał ponawiany pięć czy sześć razy okrzyk "Zabity".

A potem powietrze przeszły krzyk autentycznego ludzkiego bólu.

Gwizdek Harka rozbrzmiał niemal natychmiast.

- Przerwać ćwiczenia !

Lampy zaczęły się ponownie zapalać, powoli i opornie.

- Lepiej, dużo lepiej, Obel - oświadczył Hark.

Ludzie zaczęli zbierać się w grupy. Bonin minął Larkina.

- Niezły strzał - oświadczył zwiadowca mrugając znacząco.

Gaunt wszedł w pole światła rzucanego przez jedną z lamp.

- Mkvenner ! - zawołał - Jak szacujesz obecny wynik ?

- Sir - zwiadowca pojawił się niemal natychmiast, z bardzo nieszczęśliwą miną.

- Dałeś się wyłączyć z gry ? - zapytał z lekkim niedowierzaniem Gaunt.

- Myślę, że to robota Larkina, sir. Tym razem zdobyliśmy nie więcej jak trzydzieści punktów.

- To powinno cię ucieszyć - powiedział pułkownik-komisarz spoglądając na Harka.

- Medyk !

Wszyscy odwrócili głowy w stronę źródła okrzyku. Bragg wytoczył się z przemy pustych amunicyjnych skrzynek zaciskając palce na ramieniu. Jego uniform znaczyła czerwień, która nie była farbą.

- Co się stało ? - zapytał Gaunt.

- Cuu mnie dźgnął - zawarczał Bragg.

- Szeregowiec Cuu, do mnie ! - krzyknął Hark.

Verghastycki Duch wychynął ze swej kryjówki. Jego twarz, przecięta na całej długości starą blizną, pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

- Proszę o wyjaśnienie - zażądał Hark.

- Było ciemno. Zderzyłem się z tym gru... z Braggiem. Byłem pewien, że mam w ręce marker, sir. Pewnie, że pewnie.

- Dźgnął mnie swoim zasranym nożem - wycedził przez zęby olbrzym.

- Wystarczy, Bragg. Idź i poszukaj jakiegoś sanitariusza - powiedział Gaunt - Cuu, zgłosisz się do mnie o szesnastej po karę dyscyplinarną.

- Tak jest, sir.

- I salutuj, do jasnej cholery !

Cuu zasalutował naprędce.

- Wynoś się ! Nie chcę oglądać tego twojego noża, dopóki nie znajdziemy się w prawdziwej akcji.

Duch odszedł szybkim krokiem w stronę swojej drużyny. Mijając Larkina zerknął przez ramię i wlepił w snajpera swe zielone kocie oczy.

- Na co się gapisz, Tanithjczyku ? - syknął.

- Na nic - odchrząknął Larkin.

- Pozwól mi coś wyjaśnić - powiedział sierżant Ceglan Varl. Duch położył swój przydziałowy karabin na ladzie magazynu Munitorium i zaczął gładzić broń palcami niczym sztukmistrz przygotowujący się do demonstracji jakiegoś triku - Oto standardowy karabin laserowy Mk III zbudowany przez zbrojmistrzów z Magna Tanith i niechaj Imperator ma w pokoju ich dusze. Zwróć uwagę na drewnianą kolbę i obudowę lufy. Piękne, prawda ? Wykonano je z drewna nał,

prawdziwego rarytasu w branży tartacznej. I te oksydowane metalowe elementy, mające do minimum zredukować odbijanie światła. Widzisz ?

Pracownik Munitorium - pulchny niski człowieczek o czerwonych włosach i poplamionym ubraniu - stał po drugiej stronie lady gapiąc się na Varla z całkowitym brakiem zainteresowania na twarzy.

- A tu najważniejszy element - sierżant stuknął palcem w obudowę slotu amunicyjnego - Oto port zasilania klasy trzeciej. Wykorzystuje akumulatory klasy trzeciej. Mogą być długie, krótkie, wygięte, pudełkowe lub bębnekowe, ale wyłącznie klasy trzeciej, inaczej nie będą pasować. Klasa trzecia ma średnicę trzydziestu milimetrów u podstawy i zaczep w tylnej części magazynka. Nadażasz za mną ?

Magazynier wzruszył ramionami. Varl zdjął ze swojego pasa akumulator i położył go na ladzie.

- Dostarczyliście mojej jednostce magazynki piątej klasy. Piątej klasy, rozumiesz ? Mają średnicę trzydziestu czterech milimetrów i zupełnie inne wejście dla slotu. Żeby się zorientować w różnicy, wystarczy na nie popatrzeć, ale gdybyś miał przypadkiem jakieś wątpliwości, ta zajebicie wielka cyferka 5 wygrawerowana na obudowie akumulatora powinna z miejsca je rozwiać.

Magazynier podniósł baterię z lady i przyjrzał się jej uważnie.

- Kazano nam sprowadzić amunicję. Osiemset skrzyń. Standardowy typ.

- Standardowy typ trzeciej klasy - oświadczył cierpliwie Varl - To jest standardowy typ piątej klasy.

- Na zleceniu była wyłącznie adnotacja "standardowy typ". Mam na to potwierdzenie.

- Nie wątpię, że masz. Pierwszy Tanithijski ma zaś całe sterty pudeł z akumulatorami, które są dla nas całkowicie bezużyteczne.

- Miał być standardowy typ - magazynier wyróżniał się isticie oślim uporem. Varl westchnął ciężko.

- Wszystko jest standardowe ! Jesteśmy w choliernej Gwardii ! Mamy standardowe buty, standardowe kubki i łyżki, standardowe paski do spodni ! Ja jestem standardowym piechociarzem, a ty standardowym gryzipiórkiem i moje standardowe pięści zaraz wbiją ci nos w twój wyjątkowo niestandardowy mózg !

- Nie ma powodów do takiego zdenerwowania - odparł magazynier.

- Och, myślę, że jednak się znajdą - powiedział cicho sierżant Gol Kolea dołączając do pary rozmówców. Kolea był potężnym mężczyzną, byłym górnikiem z Verghastu górującym ponad swoim tanithijskim kolegą. Lecz to nie fizyczne rozmiary wzbudziły z miejsca obawę magazyniera, tylko cichy opanowany ton i zimne oczy przybysza. Varl był porywczy i agresywny w bezpośredni sposób, ale nowy gość roztaczał wokół siebie aurę gniewu ukrywanego głęboko pod powierzchnią spokoju i zrównoważenia.

- Powiedz mu coś, Gol - jęknął Varl.

- Lepiej pokażę - odpowiedział Kolea machając jednocześnie ręką. Gromada gwardzistów w mundurach Duchów zaczęła wchodzić do magazynu taszcząc ze sobą amunicyjne skrzynie. Wstawiali je na ladę, dopóki nie zabrakło miejsca, potem zaczęli układać pryzmy na podłodze pomieszczenia.

- Nie, nie ! - wrzasnął pracownik Munitorium - Musicie mieć wypisane wnioski o przyjęcie zwrotu, zanim przyniesiecie ekwipunek z powrotem !

- Coś ci powiem - odrzekł Kolea - Nie będzie żadnych wniosków. Po prostu wymień te skrzynie na takie z akumulatorami trzeciej klasy.

- My... my nie mamy trzeciej klasy - wyjąkał magazynier.

- Czego nie macie ?! - wrzasnął Varl.
- Nikt nam nie powiedział, że mamy takie sprowadzić. Na Phantine klasa piąta to...
- Tylko nie mów, że to typ standardowy ! Nawet nie próbuj ! - ostrzegł go Varl.
- Chcesz nam zakomunikować, że błogosławione i jaśnie oświecone Munitorium nie ma zapasu amunicji dla całego regimentu Gwardii ? - wycedził wolno Kolea.
- Feth ! - zmełł w ustach przekleństwo Varl - Mamy się przygotować do szturm na... jak się to miejsce zwało ?
- Cirenholm - podpowiedział spokojnie Kolea.
- O właśnie. Mamy się przygotować do szturm na to miejsce, a ty nam wyskakujesz z taką gadką ?! To niby czego mamy użyć, do kurwy nędzy ?! - Varl wyciągnął z pochwy swój nóż i podetknął magazynierowi pod nos długie posrebrzane ostrze - Mamy zdobyć całe zrasane miasto używając tylko tego ?!
- Jeśli będzie trzeba, zrobimy to.

Gwardziści stanęli na baczność. Major Elim Rawne wszedł bezszelestnie do magazynu.

- Robiliśmy już gorsze rzeczy. Jeśli tanithijskie srebro jest jedyną bronią jaką mam, wystarczy mi do wszystkiego.

Major spojrzął na magazyniera i pulchnego człowieka przeszył dreszcz głębokiego lęku. Rawne potrafił porażać ludzi samym spojrzeniem. Było w nim coś gadziego, coś przywodzącego na myśl węża, zarówno w oczach jak i sposobie zachowania. Major był szczupłym ciemnowłosym mężczyzną, podobnie jak niemal wszyscy inni Tanithijczycy noszącym tatuaż. W jego przypadku miał on formę małej niebieskiej gwiazdki pod prawym okiem.

- Varl, Kolea, zabierzcie swoich ludzi z powrotem do koszar. Zwołajcie dowódców pozostałych drużyn i zróbcie inwentaryzację. Chcę wiedzieć, ile amunicji nam zostało. Policzcie wszystkie magazynki. Nie pozwólcie, by ktokolwiek schował jakieś do plecaka, żadnego chomikowania. Zbierzemy je wszystkie, a potem podzielimy równo między ludzi.

Obaj sierżanci zasalutowali bez słowa.

- Feygor - Rawne odwrócił się w stronę swego adiutanta - Idź z nimi. Jak będziecie znali wielkość zapasu, wróć z informacją. Tylko żeby to nie zajęło całego dnia.

Feygor skinął głową i dołączył do opuszczających magazyn żołnierzy.

- A teraz - Rawne spojrzął ponownie na pracownika Munitorium - zobaczmy, co jeszcze uda się od ciebie wyciągnąć...

Szeregowiec Brin Milo, najmłodszy Duch w regimencie, siedział na swoim łóżku spoglądając w stronę najbliższego sąsiada.

- Bardzo ładnie wygląda - oświadczył - a przy okazji cię zabije.

Młody żołnierz podniósł wzrok, zmieszany, ale czujny. Był Verghastytą zwanym się Noa Vadim, jednym z wielu rekrutów przyjętych w szeregi regimentu po obronie Vervunhive i ciężkich stratach, jakie Tanithijczycy tam ponieśli. Pomiędzy gwardzistami obu narodowości rozgorzało od tamtego czasu wiele animozji i rywalizacji. Tanithijczycy traktowali nowych towarzyszy broni z protekcyjnym politowaniem, ci zaś szczerze tego nie znosili. Powoli, drobnymi krokami, jedni i drudzy zaczęli się przekonywać do siebie. Regiment przeszedł przez piekło walk na świątynnym świecie Hagia kilka miesięcy wcześniej i jak zwykle w takich przypadkach bywało, przyjaźń i lojalność stopniowo cementowały obydwie etniczne stronnictwa.

Lecz wiele różnic wciąż pozostawało - drobnych, ale zauważalnych. Chociażby akcent: gardłowa mowa Verghastytów silnie kontrastowała ze śpiewnym dialektem Tanithijczyków. Podobnie wygląd - rodowici Tanithijczycy byli bladokórzy i ciemnowłosi, natomiast mieszkańcy Verghastu przedstawiali sobą bardziej zróżnicowaną mieszankę kolorów skóry i

włosów, charakterystyczną dla miast industrialnych. Karabiny Verghastytów miały metalowe składane kolby i profilowane uchwyty, zupełnie odmienne od opartych na elementach drewnianych laserów Tanithijczyków.

Największą różnicę Vadim trzymał właśnie w dłoniach: odznakę regimentu. Żołnierze pochodzący z Verghastu nosili na czapkach srebrny emblemat w postaci górniczego oskardu, symbolizującego ich świat ojczysty. Symbolem Tanithijczyków była złota czaszka umieszczona na tle pojedynczego sztyletu z wygrawerowanym na ostrzu napisem "Dla Tanith, dla Imperatora".

- Co miałeś na myśli mówiąc, że mnie zabije ? - spytał Vadim. Gwardzista czyścił swoją odznakę kawałkiem szmatki chcąc wypolerować ją idealnie - O dwudziestej ma się odbyć inspekcja mundurowa.

- Wiem... a potem nocny atak, jutro lub pojutrze. Tak błyszczący przedmiot z miejsca odbije każde światło.

- Ale komisarz Gaunt oczekuje...

- Gaunt oczekuje od każdego przygotowania do akcji. Po to właśnie są inspekcje. Mamy być gotowi do wojny, a nie defilady.

Milo rzucił w stronę Vadima swoją czapkę, młody Verghastyta pochwycił ją w locie.

- Widzisz różnicę ?

Vadim spojrzał na odznakę przypiętą do materiału tuż nad daszkiem czapki. Była czysta, ale matowa i ciemna, przywodząca na myśl granit.

- Troszkę pasty kamuflującej i śliny. Albo pasty do butów. Zmatowi metal eliminując błyszczenie.

- Prawda - przyznał Vadim przyglądając się uważniej odznace - Co to za nierówne krawędzie ? Te po obu bokach ? Wyglądają tak jakby ktoś coś tu odłamał.

- Oryginalna czaszka umieszczona była na tle trzech skrzyżowanych ze sobą sztyletów. Każdy z nich symbolizował jeden z regimentów. Tanithijski Pierwszy, Drugi i Trzeci. Tylko Pierwszy zdołał opuścić powierzchnię planety.

Vadim słyszał tę historię kilka razy z drugiej ręki, ale nigdy nie zebrał w sobie dość odwagi, by zapytać o nią wprost któregoś z Tanithijczyków. W uznaniu bitewnych zasług poprzednik marszałka wojny Macarotha przekazał Gauntowi bezpośrednie dowództwo nad tanithijskimi regimentami. Była to promocja nad wyraz niezwykła - komisarze pełnili w armii zupełnie inną rolę, byli oficerami politycznymi. Stąd właśnie brała się nietypowa ranga Gaunta: pułkownik-komisarz.

Sześć lat wcześniej, dosłownie w dniu Fundacji gwardyjskich regimentów, na Tanith uderzyły legiony Nieprzyjaciela. Planeta została bezpowrotnie utracona, nikt nawet nie próbował tego faktu kwestionować. Gaunt stanął przed bolesnym wyborem: pozostać na miejscu i zginąć do ostatniego człowieka lub wycofać się tymi siłami, które zdołał ocalić, by powrócić do walki innego dnia. Wybrał drugą opcję i uciekł wraz z Tanithijskim Pierwszym. Pierwszym i Jedynym. Duchami Gaunta.

Wielu Duchów znienawidziło Gaunta za to, że pozbawił ich szansy walki w obronie macierzystego świata. Niektórzy z nich, jak chociażby major Rawne, wciąż się tej nienawiści nie wyzbyli. Lecz kilka ostatnich lat dowiodło mądrości decyzji pułkownika-komisarza. Duchy odniosły szereg spektakularnych zwycięstw, które wydatnie wsparły postępy imperialnej krucjaty. Gaunt uczynił z nich wartościową jednostkę dowodząc, iż postąpił słusznie ratując regiment z pożogi trawiącej umierające Tanith.

W Vervunhive, w miejscu największej jak dotąd wiktarii Gaunta, Duchy zostały zasilone świeżą krwią. Verghastyccy rekruci: bojownicy z kompanii ochotniczych, miejscy żołnierze, cywile, otrzymali szansę stanięcia u boku marszałka Macarotha w uznaniu ich heroizmu podczas

obrony wielkiej metropolii.

- Oderwaliśmy boczne sztylety - wyjaśnił Milo - Potrzebowaliśmy tylko jednego ostrza, by pamiętać kim jesteście i skąd pochodzimy.

Vadim odrzucił czapkę z powrotem w ręce Brina. Hala koszarowa pełna była ludzi drzemących na pryczach lub przeglądających swój ekwipunek. Domor i Brostin grali w szachy. Nehn fałszował okropnie stukając w klawiaturę małych elektronicznych organków.

- Co myślisz o ćwiczeniach ? - zapytał Milo.

- O skokach ? Są w porządku. Nic specjalnego.

- Tak myślisz ? Wykonywaliście już kilka razy wcześniej zrzuty linowe, ale nigdy w ciemnościach. A mówią, że ten skok ma się odbywać z wysoka. Mam lęk wysokości.

- Ja nie zwracam na wysokość uwagi - odparł Vadim wyciągając z plecaka puszkę pasty do butów. Nabrawszy nieco substancji na palec zaczął ją rozsmarowywać po odznace zgodnie z sugestią Milla.

- Naprawdę ?

Vadim wyszczerzył w odpowiedzi zęby. Nie był wiele starszy od Milla, dopiero co minął dwudziestkę. Miał pokaźny nos i szerokie usta, kontrastujące z małymi, ale błyszczącymi werwą oczami.

- Byłem dachowcem. Reperowałem maszty i zewnętrzne pokrycie miejskiego kopca. Robota na wysokościach, zazwyczaj bez uprząży asekuracyjnej. Myślę, że się do tego przyzwyczaiłem.

- Feth ! - sapnął z wrażenia Milo. Miał okazję obejrzeć główny kompleks mieszkalny Vervunhive na własne oczy i wiedział, że bywały mniejsze od niego góry - Jakież rady dla żółtodzioba ?

- Owszem - skinął głową Vadim - Nie patrz w dół.

- Operacja zrzutu rozpocznie się jutro o dwudziestej trzeciej - oświadczył lord generał Barthol Van Voytz. Mężczyzna trzymał ukryte w białych rękawiczkach dłonie razem jakby składał je do modlitwy - Niech Imperator strzeże nas wszystkich. Załadunek jednostek nastąpi o dwudziestej trzydzięci. W czasie tym, zgodnie z zapowiedziami meteorologów, sterowce znajdą się w strefie desantowej. Statki transportowe i maszyny eskorty powietrznej mają być gotowe do akcji o dwudziestej pierwszej trzydzięci, wtedy dokonamy ostatniej kontroli. Pierwsza fala wystartuje o dwudziestej drugiej, druga dziesięć minut później, trzecia o dwudziestej drugiej trzydzięci.

Lord generał spojrział ponad szerokim stołem operacyjnym na twarze swoich oficerów.

- Jakież pytania ?

Żadnych pytań nie było, przynajmniej na tym etapie odprawy. Siedzący dwa miejsca na lewo od Van Voytza Gaunt spojrział we własną kopię harmonogramu zrzutu. Na zewnątrz miniaturowej kopuły pola siłowego zakrywającej miejsce zebrania krążyła obsada mostka sterowca, kontrolująca pokładowe przyrządy.

- Przypomnijmy sobie raz jeszcze, co jest celem tej operacji - lord generał skinął głową w stronę swego adiutanta. Podobnie jak Van Voytz, jego pomocnik miał na sobie szmaragdowy uniform galowy i nieskazitelnie białe rękawiczki. Każdy zdobiony grawerunkiem orła złoty guzik munduru błyszczał niczym gwiazda w poświacie rzucanej przez oświetlenie mostka. Adiutant nacisnął jeden z przycisków na trzymanej w dłoni laseczce i ponad stołem operacyjnym pojawiła się bezszelestnie trójwymiarowa holograficzna projekcja Cirenholmu.

Gaunt oglądał wielokrotnie plany metropolii, ale skorzystał ponownie z możliwości przyjrzenia się mapie. Cirenholm, podobnie jak wszystkie inne kompleksy mieszkalne na Phantine, wzniesiony został na szczycie łańcucha górskiego wystrzeliwującego wysoko ponad ocean toksycznych wyziewów pokrywających powierzchnię świata. Miasto składało się z trzech

wielkich kopuł, dwóch przylegających do siebie i trzeciej, mniejszej, zbudowanej na sąsiednim szczycie. Wszystkie trzy kopuły niezmiennie przywodziły na myśl kapelusze gigantycznych grzybów, opasłe i gładkie, wystrzeliwujące ponad krawędzie praktycznie pionowych górskich ścian. Szczyt każdego kompleksu jeżył się mrowiem anten, masztów komunikacyjnych i sygnalizacyjnych, zaś zachodnią górną część powierzchni drugiej kopuły znaczyły dodatkowo gęste rury wymienników powietrza i kominów. Populacja Cirenholmu liczyła dwieście trzy tysiące ludzi.

- Cirenholm nie jest fortecą – powiedział Van Voytz – Żadne miasto na Phantine nią nie jest, nie zbudowano ich z myślą o toczeniu wojen. Gdyby chodziło nam o zwykłe unicestwienie przeciwnika, zrobilibyśmy to nie opuszczając orbity i nie marnotrawiąc zasobów Imperialnej Gwardii. Lecz... i myślę, że warto to kolejny raz z rzędu podkreślić... naszym zadaniem jest odzyskanie młynów oparowych. Musimy wyprzeć nieprzyjaciela i przejąć kontrolę nad przetwórniami. Wojska krucjaty rozpaczliwie potrzebują paliw i gazów przemysłowych destylowanych na tej planecie.

Van Voytz chrząknął cicho oczyszczając gardło.

- Te właśnie powody wymusiły na nas przeprowadzenie desantu piechoty, a z punktu widzenia żołnierza piechoty Cirenholm jest prawdziwą fortecą. Doki i hangary znajdują się pod krawędziami kopuł i wróg z pewnością doskonale ich strzeże, a to pozbawia nas standardowych stref lądowania. Pozostaje jedynie zrzut linowy.

Lord generał ujął w dłoń laserowy znacznik i wskazał nim wąskie platformy u podstaw kopuł.

- Tutaj, tutaj i tutaj. Oto jedyne dostępne nam strefy zrzutu. Wiem, że sprawiają wrażenie przerażająco małych, w rzeczywistości mierzą jednak trzydzieści metrów szerokości. Cóż, człowiekowi skaczącemu z promu w dół liny nadal będą się wydawały malutkie. Ostatnią rzeczą, jakiej życzylbym sobie jutrzejszej nocy, byłaby niedokładność pilotów.

- Czy mogę spytać, sir, dlaczego termin operacji wyznaczono właśnie na jutro? – pytanie padło z ust kapitana Bana Daura, verghastyckiego oficera zajmującego czwarte miejsce w hierarchii dowodzenia Tanithijczyków. Gaunt zabrał go ze sobą na odprawę jako adiutanta. Corbec i Rawne byli zajęci doglądaniem ostatnich przygotowań do akcji, a Daur miał trzeźwy analityczny umysł i wykazywał błyskotliwe zdolności taktyczne.

Van Voytz spojrzał na osobę zasiadającą po jego lewej stronie – niskiego mężczyznę noszącego czarny uniform z czerwonymi naszywkami imperialnej kadry strategów. Mężczyzna nazywał się Biota.

- Prognozy meteorologiczne pozwalają uznać za pewnik, iż jutrzejsza noc będzie optymalna pod względem warunków pogodowych, kapitanie – wyjaśnił Biota – Niska warstwa chmur i brak księżyca. Przewidujemy słaby wiatr z zachodu, lecz to pozwoli utrzymać chmury za nami i nie przeszkodzi w operacji zrzutu. Jeśli nie wykorzystamy tej okazji, na podobne warunki pogodowe przyjdzie nam czekać co najmniej tydzień.

Daur podziękował kiwnięciem głowy. Gaunt wiedział, o czym myślał teraz jego podwładny. Kilka dodatkowych dni na ćwiczenia bardzo by się Duchom przydało.

- Jest coś jeszcze – podjął wywód lord generał – Nie chcę trzymać sterowców na otwartej przestrzeni ani chwili dłużej niż to konieczne. Wręcz zapraszamy nieprzyjacielskie lotnictwo myśliwskie do ataku.

Tym razem głową kiwnął admirał Ornoff, dowódca sterowca.

- Każdy spędzony tutaj dzień pomnaża ryzyko wykrycia nas przez wroga.

- Zwiększyliśmy liczbę patroli, sir – zaoponowała komandor Jagdea, niewielka kobieta o krótko przyciętych czarnych włosach dowodząca Phantyńskim Korpusem Myśliwskim. Jej piloci zapewniali sterowcom eskortę od chwili wyruszenia do akcji i to oni mieli poprowadzić szpicę

ataku na Cirenholm.

- Wiemy o tym, pani komandor – odparł Van Voytz – Wiemy i jesteśmy ogromnie wdzięczni za wysiłki pani ludzi. Niemniej jednak nie zamierzam narażać na szwank naszego szczęścia.

- Jak silny garnizon nieprzyjaciela stacjonuje w Cirenholmie? – spytał cicho Gaunt.

- Jego liczebność szacujemy na cztery do siedmiu tysięcy, pułkowniku-komisarzu – odpowiedział Biota – W większości lekka piechota Paktu Krwi, z elementami jednostek wsparcia.

- Co z loxatlami? – podniósł głowę Daur.

- Nie spodziewamy się ich obecności – odparł strateg.

Gaunt odnotował usłyszane liczby na kartce papieru. Duża rozpiętość szacunków nieco go niepokoiła. Pakt Krwi był rdzeniem heretyckich wojsk w tym podsektorze, prywatną armią osławionego Urlocka Gaura.

Raporty wywiadu mówiły, że byli z nich dobrzy żołnierze. Duchy nie miały jak dotąd sposobności zmierzyć się z tą formacją, wcześniej walczyły przeważnie z zaślepienymi bezgranicznie fanatykami. Infardi, Zoicanie, Shriveni, Kithowie – wyznawcy Chaosu, którzy sięgnęli po broń podjudzeni nienawiścią i żądzą krwi. Lecz Pakt Krwi składał się z prawdziwych żołnierzy, członków militarnego bractwa zaprzysięganych osobiście przez samego Gaura w odrażającym rytuale, do którego należało nacinanie dłoni o ostre krawędzie pancerza siłowego Urlocka.

Byli dobrze wyszkoleni, zdyscyplinowani i posłuszni jak na standardy wyznawców Chaosu, bezgranicznie oddani zarówno wierze w demonicznych bogów jak i swemu wypaczonemu kodeksowi wojowników. Kontyngent Paktu Krwi stacjonujący na Phantine dowodzony był podobno przez Sagittara Slaitha, jednego z najbardziej zaufanych oficerów Urlocka Gaura.

Do tego dochodziły jeszcze loxatle. Najemna rasa obcych, zwerbowana przez nieprzyjaciela w charakterze sił szturmowych. Mordercza żądza zabijania charakterystyczna dla tych istot szybko stała się wręcz legendarna, przynajmniej w opowieściach snutych wieczorami w żołnierskich kantynach.

- Zgodnie z harmonogramem dołączonym do waszych materiałów, pierwsza fala desantu uderzy na pierwszą kopułę mieszkalną. To pan i pańscy ludzie, pułkowniku Zhyte.

Zhyte – posępny mężczyzna o wybuchowym charakterze siedzący po drugiej stronie stołu – kiwnął niemo głową. Był dowódcą Siódmego Szturmowego Urdeshi, regimentu w sile dziewięciu tysięcy żołnierzy. Nawet w sali odpraw miał na sobie białoczną panterkę swej jednostki. Urdeshi tworzyli rdzeń imperialnego korpusu na Phantine, przynajmniej w kategorii liczebności, Gaunt doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Liczące niewiele ponad trzy tysiące ludzi Duchy mogły w tej kampanii sprawować wyłącznie rolę lekkiego wsparcia.

Urdesh, sławny świat zbrojeniowy, wpadł w ręce Nieprzyjaciela kilka lat wcześniej. Gwardziści Gaunta mieli już sposobność natknąć się na Hagii na pojazdy wojskowe produkowane w przejętych przez heretyków zakładach. Regimenty Urdeshi, osiem w sumie, były jednostkami o świetnej reputacji i podobnie jak Duchy były bezdomne. Różnica polegała na tym, że Urdeshi wciąż posiadali ojczysty świat, który mogli odzyskać.

Równoległe do operacji na Phantine Szósty, Czwarty Lekki i Dziesiąty Urdeshi przystąpiły do wyzwania swego macierzystego świata. Szorstkie zachowanie pułkownika Zhyte było bez wątpienia powodowane frustracją na myśl o tym, że zamiast lądowania na własnej planecie jego żołnierze będą musieli walczyć o jakieś cuchnące młyny oparowe.

Gaunt żałował w głębi serca, że to nie jemu przydzielono główną strefę zrzutu. Czuł w kościach, że Duchy nadawały się lepiej do tego zadania.

- Druga fala uderzy tutaj. To druga kopuła. Twoi Tanithijczycy, Gaunt. Pod drugą kopułą

znajdują się młyny oparowe Cirenholmu, lecz ironia losu sprawiła, że nie będą one waszym głównym celem. To, co teraz powiem może przeczyć idei moich wcześniejszych wypowiedzi, ale prawda jest taka, iż musimy zabezpieczyć Cirenholm jako bazę operacyjną. To krytycznie ważne zadanie. Naszym prawdziwym celem jest Ouranburg, a nie możemy nawet marzyć o jego zdobyciu bez bazy operacyjnej w tej połowie hemisfery planety. Cirenholm jest kluczem do zwycięstwa na Phantine, moi przyjaciele, kolejnym stopniem w drodze ku zakończeniu tej wojny.

Van Voytz wskazał swoim markerem najmniejszą kopułę.

- Trzecia fala uderzy tutaj. Atak poprowadzi Phantyńska Powietrzna majora Fazalura, wspierana przez wydzielone jednostki Urdeshi.

Siedzący obok Gaunta Fazalur uśmiechnął się szczerze. Był mężczyzną o pokrytej zmarszczkami skórze i gładko ogolonej czaszce, nosił na sobie kremowy uniform lokalnej armii. Pułkownik-komisarz zdawał sobie sprawę z rozdartych ludzkich emocji stłoczonych w obrębie kokonu ochronnego pola. Zhyte pragnął dołączyć do innej wojny, toczonej w innym miejscu – wojny mającej ogromne znaczenie dla niego i jego ludzi. Daur – i sam Gaunt – byłiby szczęśliwi, gdyby Duchy nie musiały uczestniczyć w tej akcji przez wzgląd na niedostateczne przeszkolenie w operacji zrzutu. Fazalur zrobiłby wszystko, aby to Phantyńska Powietrzna poprowadziła uderzenie mające wyzwolić jedno z jego ojczystych miast. Lecz Phantyńska Powietrzna liczyła obecnie nie więcej niż sześćuset żołnierzy. Bez względu na swą waleczność i odwagę ludzie ci zmuszeni byli ustąpić miejsca innym wyzwolicielom.

- Jakież uwagi? – zapytał lord generał.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Gaunt wiedział, że przynajmniej trzech z uczestniczących w naradzie oficerów chcieliby podnieść dłonie i wyjawic swe troski.

Nikt nie odezwał się nawet słowem.

- W porządku – orzekł lord generał, po czym skinął głową w kierunku swego adiutanta – Proszę wyłączyć pole i przynieść drinki. Uważam, że to odpowiednia chwila do wzniesienia toastu za godzinę D.

Niewielki bankiet po odprawie miał na celu przełamanie lodów pomiędzy nie znającymi się prawie wcale oficerami różnych regimentów, niemniej jednak toast wzniesiono w atmosferze skrepowania i nieufności.

Upiwszy nieco amasecu pochodzącego z zapasów samego lorda generała Gaunt szybko opuścił towarzystwo i udał się poprzez rozległy mostek sterowca w kierunku klatki schodowej wiodącej na przedni pokład obserwacyjny.

Stanął na perforowanej metalowej podłodze, utrzymywanej za pomocą grubych dźwigarów w górnej części przeszklonej kopuły pokładu. Po drugiej stronie pancernych szyb rozciągały się bezkresne przestworza Phantine. Pułkownik-komisarz spojrzął w dół, ale nie dostrzegł śladu ziemi – jedynie miliony kilometrów kwadratowych gęstych wielobarwnych chmur.

Szybko przesuujące się obłoki perłowej barwy znaczyły gdzieś pasy żółci i wstęgi niemal srebrnych gazów. Dolne warstwy chmur przenikał mroczny cień zdradzający obecność oparów smogu i przemysłowych zanieczyszczeń. Daleko w dole pojawiały się okazjonalnie rozbłyski ulegającego samozapłonowi gazu.

Phantine było światem przemysłowym od piętnastu wieków, w chwili obecnej generalnie niezdatnym do zasiedlenia. Niekontrolowane wydobycie surowców mineralnych i emisja ogromnych ilości odpadów petrochemicznych zniszczyła powierzchnię planety przysłaniając ją warstwą skażonych oparów pięciokilometrowej wysokości.

Tylko najwyższej położone miejsca pozostały nietknięte – szczyty górskich masywów oraz wierzchołki dawno wymarłych miast-kopców. Wystające ponad morze korodujących gazów

szczyty tworzyły swoistego rodzaju wyspy, z których ludzie kontynuowali eksploatację świata zamordowanego ich własną chciwością. W ten sposób powstały miejsca takie jak Cirenholm i Ouranberg.

Jedynym celem istnienia tych metropolii było dalsze rabunkowe wydobywanie chemicznych zasobów Phantine.

Siadając przy poręczy Gaunt opuścił swe nogi tak by jego nogi wisiały pod pomostem. Wychylając się do przodu mógł dojrzeć wyraźnie opasły brzuch sterowca. Gigantyczne worki wypełnione gazem. Opancerzone ściany konsoli połyskujące złotawym blaskiem w świetle zachodzącego słońca. Dostrzegając jedną z wielkich sekcji napędowych o obracających się wolno śmigłach przewyższających swymi rozmiarami Tytana.

- Powiedziano mi, że tutaj cię znajdzie, Ibramie.

Gaunt spojrział w górę. Pułkownik Colm Corbec odpowiedział mu spojrzeniem.

- Co słyszeć Colm ? – zapytał Gaunt – skinąwszy swemu zastępcy głową.

Wielki brodaty mężczyzna oparł się o barierkę pomostu. Jego odsłonięte bicepsy przypominały szynki udekorowane niebieskimi tatuażami w kształcie spiral i gwiazd.

- Co zatem miał do powiedzenia lord generał Van Voytz ? – spytał Corbec – I jaki on właściwie jest? – dodał siadając obok Gaunta i opuszczając swe nogi poza krawędź pomostu.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem. Czasami trudno określić z jakim rodzajem oficera ma się do czynienia. Dravere i Sturm, cóż, oni się nie liczą. Obaj okazali się skurwysynami. Ale Bulledin i Slaydo... ci byli wspaniałymi ludźmi. Nigdy nie odżałowałem faktu, że Lugo zastąpił Bulledina na Hagii.

- Lugo – warknął Corbec – Nawet nie wymawiaj tego nazwiska.

Gaunt uśmiechnął się kącikami ust.

- Zapłacił za wszystko. Popadł w niełaskę u Macarotha.

- Imperator strzeże – błysnął zębami Corbec. Tanithijczyk wyjął z kieszeni niewielką butelkę, pociągnął z niej łyk alkoholu, po czym wyciągnął naczynie w stronę Gaunta.

Pułkownik komisarz pokręcił przecząco głową. Unikał alkoholu z niemal purytańską obsesją od czasu mrocznych dni na Hagii, sprzed kilku miesięcy. Tam on i jego duchy niemal zapłaciły za błędy generała Lugo. Sfrustrowany, zdesperowany i prześladowany poczuciem ogromnej odpowiedzialności wpojonym mu przez Slaydo i Oktara, Gaunt znalazł się na krawędzi swej największej życiowej porażki. Pił na umór wstydzając się tego zarazem i pozwolił by jego ludzie cierpieli. Ocaliła go tylko łaska Imperatora i być może świętej Sabbath. Podjął walkę z heretykami i swymi własnymi demonami pokonując nieprzyjaciela zaledwie kilka godzin przed upadkiem Hagii.

Hagia została ocalona, Lugo okrył się niesławą a Duchy przetrwały zarówno jako aktywna jednostka jak i braterstwo broni. Gaunt poprzysiągł iż nigdy już nie powtórzy popełnionych błędów.

Corbec westchnął, przyłożył flaszkę do ust i pociągnął kolejny łyk. Tęsknił czasami za starym Gauntem – dowódcą, który potrafił pić ze swymi ludźmi całą noc równie twardo jak walczyć z nimi ramię w ramię następnego dnia. Corbec rozumiał dobrze obawy Gaunta i wierzył, że ten nigdy więcej nie przeistoczy się ponownie w sfrustrowanego, wiecznie pijanego malkontenta. Lecz brakowało mu też trochę łączącej ich dawniej więzi. Teraz pomiędzy nim i Gauntem pojawił się pewien dyskretny dystans.

- Zatem... jaki jest ten Van Voytz ?

- Van Voytz to dobry człowiek, tak myślę. Słyszałem na jego temat same pochwały, podoba mi się jego styl dowodzenia...

- Wyczuwam tu jakieś ale, Ibramie.

Gaunt pokiwał głową.

- Wysła w pierwszej fali Urdeshi. Nie sądzę aby byli na to gotowi. Powinien był zaufać mi i tobie. Duchom.

- A może w ten właśnie sposób okazał nam swoją przychylność ?

- Być może.

- Sam przed chwilą powiedziałeś, że często trudno w pierwszej chwili ocenić swego dowódcę.

Gaunt odwrócił głowę spoglądając w oczy Corbeca.

- Co masz na myśli ?

- Spójrz choćby na nas.

- Spoglądam na nas i co ?

Corbec wzruszył ramionami.

- Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem byłem święcie przekonany, że trafiłem pod rozkazy najbardziej nadętego palanta w całym Imperium.

Obaj parsknęli krótkim śmiechem.

- Rzecz jasna mój świat wtedy umierał – powiedział Corbec, kiedy już przestali się śmiać – Dopiero potem okazało się jaki jesteś ?

- W porządku.

Gaunt podniósł rękę w stronę Corbeca unosząc w geście toastu wymyślony kieliszek.

- Serdeczne dzięki za ten porażający dowód zaufania.

Corbec spojrział na Gaunta pozbawionym jakiegokolwiek śladu wesołości wzrokiem.

- Jesteś najlepszym dowódcą, jakiego kiedykolwiek poznałem – oświadczył.

- Dzięki, Colm – odrzekł Gaunt.

- Hej... – mruknął cicho Corbec – Popatrz tylko.

Wiatr rozwiął część chmur odsłaniając tarczę słońca. Spoglądając w dół mężczyźni dostrzegli opasły kształt eskortującego ich sterowca, kilometrowej długości pojazd o srebrnym brzuchu i pomalowanym na biało poszyciu kadłuba. Na jego dziobie lśnił w promieniach słońca zaostzony taran rozmiarów dojrzałego drzewa nal. Widzieli wyraźnie osiem potężnych sekcji napędowych mlóących powietrze ogromnymi łopatomy swych śmigieł. Za sterowcem widać było zarys kolejnego lecącego w formacji powietrznego statku.

Latające wyspy, ciężko uzbrojone i opancerzone, mogły przewozić na swoich pokładach do czterech tysięcy osób.

- Feth – zaklął Corbec – Uszczypnij mnie. Jesteśmy na pokładzie czegoś takiego?

- Jesteśmy.

- Wiem, ale dopiero kiedy to zobaczysz, pojmujesz, co to takiego naprawdę. Rozumiesz?

- Tak.

Gaunt spojrział na Corbeca.

- Czy my jesteśmy na to gotowi, Colm ?

- Nie do końca.

- Nie chcę ci nawet mówić o problemie z amunicją. Ale... cóż, można powiedzieć, że jesteśmy gotowi.

- Takie oświadczenie w zupełności mi wystarcza.

a

STREFA ZRZUTU LUB ŚMIERĆ

Cirenholm, Zachodnie Pustkowia Kontynentalne, Phantine, 212-213.771.M41

„Najpierw było sporo pokrzykiwania, przepychania się i całej tej nerwowej aktywności, a potem wszyscy się wyciszyli. Wiedzieliśmy już, co przyjdzie teraz zrobić. I wtedy jazda naprzód, w dół liny ! Psiakrew, cóż to była za jazda !” – Jessi Banda, snajper, Pierwszy Tanithijski.

Noc zapadła trzy godziny wcześniej. Okazała się bezksiężycowa, zgodnie z zapewnieniami stratega Bioty. Rozciągające się wokół sterowców przestworza były smoliście czarne, podświetlane jedynie daleko w dole lekkim poblaskiem rzucanym przez górne warstwy toksycznych wyziewów.

Opasłe sterowce, lecące z zaciągniętymi pokrywami okien i wyłączonymi światłami pozycyjnymi, kierowały się w stronę liczącej sześćset kilometrów kwadratowych warstwy chmur określonej mianem strefy desantowej. Nosy olbrzymich pojazdów mierzyły w kierunku północy. W kierunku Cirenholmu. Była dwudziesta pierwsza dziesiąta.

Komandor Jagdea – stojąca na posadzce hangaru w swym niezgrabnym lotniczym skafandrze, ze złożonym u stóp karmazynowym hełmem – dokończyła słowa modlitwy i wymieniła uściski dłoni z członkami eskadry Halo. Zebrali się wokół niej na krańcu drugiego pokładu startowego *Nimbusa*, żegnając się w krótki żołnierski sposób i ściskając sobie wzajemnie ręce.

Pokład startowy był jaskrawo oświetlony, jego wnętrze tętniło życiem. Ludzie z obsługi technicznej biegali we wszystkich kierunkach sprawdzając stan lin kotwicznych, odciągając dystrybutory paliwa i zbierając walające się na podłodze puste skrzynie amunicyjne. Hydrauliczne podnośniki i wiertarki wyły i zgrzytały wieszcząc mocowanie ostatnich płyt i paneli. Technicy uzbrojenia przesuwali się wzdłuż rzędu przygotowanych do lotu maszyn sprawdzając po raz ostatni pokładowe magazynki i szepcząc nad bronią słowa błogosławieństw. Grupka serwitorów prowadzona przez jakiegoś techkapłana zbierała pieczołowicie niewielkie plomby zerwane z zasobników amunicyjnych, oznaczone okrągłymi żółtymi plakietkami.

Sześć bombowców typu *Marauder* należących do eskadry Halo wisiało na sufitowych zaczepach, ustawionych na przemian nosami w lewo i prawo ku przeciwległym ścianom hangaru,

pochylonych pod kątem czterdziestu pięciu stopni przodem ku podłodze.

Członkowie załóg, po sześciu na każdą ważącą czterdzieści ton maszynę, biegli środkiem hali skręcając ku swoim samolotom i znikając w ich wnętrzach.

Przez hangar przebiegł dźwięk dzwonu, który utonął niemal natychmiast w jazgocie alarmowych klaksonów. Rząd bursztynowych lamp biegnących środkiem sufitu zaczął pulsować jaskrawym światłem. Jagdea podniosła z podłogi swój hełm i wycofała się pośpiesznie za ustawiony w tylnej części hangaru ochronny ekran.

Główne oświetlenie hangaru zgasło, zastąpił je blask słabych lamp wbudowanych w podłogę pomieszczenia. Ich blask sączył się poprzez otwory w perforowanych płytach tworzących posadzkę. Uzbrojeni w fosforyzujące laski technicy przeszli wzdłuż hali rozsyłając za pomocą swych przyrządów odpowiednie sygnały. Włazy i owiewki bombowców zaczęły się zamykać, technicy odtaczali pośpiesznie lekkie drabinki. Łopaty olbrzymich turbin ukrytych wewnątrz skrzydeł Marauderów zaczęły się obracać opornie, po cztery w każdej maszynie. W hangarze rósł przenikliwy wizg nabierających mocy silników, posadzka wibrowała nieznacznie w jego rytmie.

Jagdea przyłożyła do ucha przenośny komunikator.

- Halo Dwa, jest zasilanie.
- Halo Cztery, sprawny.
- Halo Pięć, mamy moc.
- Halo Trzy, moc.
- Halo Sześć, moc.
- Halo Jeden, potwierdzam, mam moc. Dwadzieścia sekund. Pełna gotowość.

Ryk silników trząśł teraz całym hangarem. Jagdea czuła jak wibrują wszystkie organy w jej ciele. Uwielbiała to uczucie.

- Kontrola do Halo Jeden. Evangeline. Otwieramy wrota hangaru.
- Halo Jeden do kontroli. Słyszałem Evangeline. Chwała Imperatorowi.
- Halo Dwa, Evangeline.
- Halo Pięć, słyszałem.
- Halo Sześć, potwierdzam, Evangeline.
- Halo Trzy, Evangeline.
- Halo Cztery, słyszałem Evangeline.
- Halo Jeden. Pan z wami.

Wrota hangaru zaczęły się otwierać. Boczne płyty odsunęły się wyrównując poziom ciśnienia wewnętrznego, hydrauliczne siłowniki zajęczały rozsuwając bramy zrzutowe znajdujące się dokładnie pod bombowcami. Ryk wdzierającego się do środka hangaru wiatru i łoskot łopat napędzających sterowce zagłuszył wycie silników Marauderów.

- Kontrola do Halo Jeden. Wykonać zrzut.
- Halo Jeden. Wykonujemy zrzut. Zwolnić haki zaczepów. Odliczanie do trzech. Trzy, dwa...

Pokład hangaru zadygotał, zatrzęsł się jeszcze silniej. Wielkie samoloty runęły w dół w tej samej sekundzie, kiedy sufitowe zaczepy rozwarły się szeroko, wypadając z hali niczym kamienie. Trzy opadały nosami w stronę zachodu, trzy pozostałe w kierunku wschodu. Potężny sterowiec zadrżał nieznacznie, ledwie odczuwając ubytek swej wagi.

Bombowce spadały przez kolejną sekundę, potem równocześnie uruchomiły dopalacze. Jęcząc pod wpływem siły przeciążenia maszyny zaczęły piąć się z powrotem w górę, oddalając się od sterowca.

Wrota hangaru zasyczały przesuwając się ponownie na swe miejsca. Jagdea zerknęła raz jeszcze przez malejące szczeliny śledząc wzrokiem ogniki dopalaczy mrugające w ciemności niczym miniaturowe gwiazdy.

Musiała odczekać jeszcze trzydzieści minut do swego własnego startu.

Cirenholm dzieliło od strefy desantowej jakieś czterdzieści minut spokojnego lotu, ale eskadra Halo wyciskała ze swych maszyn całą dostępną moc. Bombowce mknęły na północ w luźnej formacji, ustawicznie nabierając wysokości.

Niewielka turbulencja wstrząsnęła ruchomymi elementami wyposażenia. Znajdujący się na pokładzie Halo Jeden kapitan Viltry skontrolował odczyty wskaźników i odnotował coś woskowym rysikiem w przymocowanym do uda mapniku. Na tej wysokości pojawiały się czasami atmosferyczne zawirowania; efekt zderzenia się ze sobą mas zimnego powietrza.

Szyby kokpitu pokrywała cienka warstewka lodu, zabarwionego na żółto wszechobecnymi w powietrzu skażeniami. Kapitan czuł jak wolno i opornie pracują jego zeszywniałe z zimna mięśnie.

Zacisnął zęby na gumowej obudowie maski tlenowej.

U jego boku, tuż poniżej, nawigator Gamill siedział zgarbiony na swym stanowisku roboczym studiując mapy w świetle niewielkiej przenośnej lampki.

- Zwrot, dwa dwa zero siedem – powiedział do komunikatora.

- Halo Jeden do eskadry. Wykonać zmianę kursu. Dwa dwa zero siedem. Wysokość czterdzieści cztery pięć.

Sensory na konsolcie kapitana zaczęły wyświetlać pierwsze zarysy Cirenholmu. Miasto wciąż pozostawało poza zasięgiem ludzkiego wzroku.

- Halo Jeden do eskadry. Zbliżamy się do celu.

Viltry z zadowoleniem spojrzął na dziesięć szmaragdowych ikon pulsujących rytmicznie na ekranie uzbrojenia. Bombardier Serrikin po raz kolejny dowiódł swego profesjonalizmu.

- Dwie minuty – oświadczył kapitan.

Kolejna turbulencja, tym razem silniejsza. Kabina zadrżała silnie, pękła z trzaskiem szklana osłona jakiegoś zegara.

- Gotowość. Minuta dwadzieścia.

Viltry nie spuszczał oka z pokładowego lokalizatora. Zdawał sobie sprawę, że obecność w tej chwili chociażby jednego nieprzyjacielskiego myśliwca mogła pociągnąć za sobą katastrofalne skutki.

- Czterdzieści sekund.

Jakiś kształt pojawił się na ekranie lokalizatora. Myśliwiec przechwytyjący ? Boże-Imperatorze, oby to była tylko opadająca lodowa chmura, zniekształcająca odczyty urządzenia.

- Halo Dwa do Halo Jeden. Zachodni kwadrat. Dziewięć na dziewięć na sześć.

- Halo Dwa, widzę. To tylko lodowa chmura. Dwadzieścia sekund.

Marauder zatrzęsł się ponownie, tym razem bardzo silnie. Lampka przy konsolcie Gammila rozbiła się, w kabinie zapanowała ciemność.

Kapitan wlepił wzrok w wirujące na zewnątrz kokpitu płatki popiołu i brudu, mieniające się barwą fioleto. Nakreślił na piersi znak Orła. Cofnął plastikowe osłonki na dziesięciu przełącznikach.

- Dziesięć sekund ! Osiem, siedem...

Maszyny eskadry Halo utrzymywały równy szyk.

- ...trzy, dwa, jeden ! Zrzut ! Zrzut !

Viltry przeciągnął dłonią po przełącznikach. Jego Marauder skoczył w górę uwolniony od ciężaru ładunku i kapitan szarpnął za stery wprowadzając maszynę z powrotem na właściwy kurs.

Eskadra skręciła na zachód, zawracając szerokim łukiem i odtwarzając pierwotną formację w drodze ku sterowcom.

Za ogonami bombowców rosła gigantyczna chmura niklowanych pasków wyrzuconych z kasetowych zasobników, ogłupiająca do reszty na wpół już ślepe z powodu złej pogody radary Cirenholmu.

Rozświetlony zimnym światłem pokład apelowy *Nimbusa* pełen był Duchów. Gwardziści stali drużynami w miejscach zbiórki ogrodzonych niewielkimi metalowymi ławkami. Minęła właśnie dwudziesta pierwsza dwadzieścia pięć.

Ibram Gaunt wszedł do rozległej hali wymieniając pozdrowienia i żarty z mijanymi Duchami. Ubrany był w swój zwyczajowy uniform oraz kurtkę z futrzanym kołnierzem. Na głowie nosił wciąż jeszcze służbową czapkę. Boltowy pistolet tkwił w kaburze zawieszanej pod lewą pachą mężczyzny, a energetyczny miecz – rodowa broń Domu Sondar – spoczywał w pokrowcu przewieszonym przez plecy. Pułkownik-komisarz zdążył już założyć uprząż skokową, ciężki hak obijał się rytmicznie o jego udo.

Tanithijscy gwardziści sprawiali wrażenie gotowych do akcji, wyglądali świetnie. W niczym spojrzeniu Gaunt nie zdołał doszukać się zdenerwowania i lęku.

Każdy Duch kontrolował uważnie swój ekwipunek, po czym odwracał się w kierunku sąsiada w szyku sprawdzając dla pewności jego uprząż i hak. Wszyscy mieli już zapięte guziki, toteż na czołach wielu żołnierzy pojawiły się pierwsze kropelki potu. Lasery wisiały na piersiach gwardzistów, dłonie Duchów okrywały grube rękawice. Każdy żołnierz otrzymał głęboki hełm i gumową maskę tlenową, czarne berety Tanithijczyków spoczywały w ich plecakach, obok zrolowanych ciasno kamuflujących płaszczy.

Gaunt dostrzegł sierżanta Obela spoglądającego na uprząż Bragga.

- Jak twoja ręka, żołnierzu ? – zapytał pułkownik-komisarz.
- Wystarczająco sprawna, by nią walczyć, sir.
- Poradzisz sobie ? – Gaunt wskazał dłonią ciężki karabin maszynowy na trójnogu, który Bragg miał zabrać ze sobą w podróż w dół liny. Operatorów broni ciężkiej i radiowców czekało tej nocy wyjątkowo trudne wyzwanie.
- Bez problemu, sir.
- Doskonale.

Caill był ładowniczym Bragga, na jego plecach i ramionach wisiały pasy z bębnowymi magazynkami do cekaemu.

- Dbaj o niego, Caill.
- Nie ma sprawy, sir.

Gaunt dostrzegł na drugim krańcu hali sierżanta Mkolla, kończącego osobną odprawę dla grupy tanithijskich zwiadowców – prawdziwej śmietanki regimentu. Pułkownik-komisarz ruszył w ich stronę zbliżając się po drodze do Dordena i Any Curth. Lekarze wstrzykiwali każdemu żołnierzowi środek zapobiegający efektom ubocznym przebywania na dużych wysokościach – acetazolamid znany im już z czasów misji w górach Hagii – oraz mieszanek antytoksyn.

Dorden wrzucał zużyte ampułki do płytkiej metalowej miski.

- Zastrzyk dla pana, pułkowniku ? – zapytał wsuwając nowy pojemniczek do lufy pneumatycznej strzykawki.

Gaunt skinął głową. Oficer medyczny odwiedził go godzinę wcześniej w prywatnej kabynie dowódcy proponując wykonanie dyskretnego zabiegu, jednakże pułkownik-komisarz odmówił uznając, że przyjęcie szczepionki na oczach własnych żołnierzy poprawi ich samopoczucie i podniesie morale.

Zadając pytanie Dorden odgrywał przygotowaną wcześniej rolę.

Gaunt zdjął z dłoni rękawiczkę, podwinął rękaw kurtki.

Dorden wbił igłę strzykawki w mięśnie przedramienia, wtłoczył płyn w krwioobieg mężczyzny, potem zaś przetarł ranę wacikiem nasączonym środkiem odkażającym.

- Są jacyś cykorzy? – zapytał cicho Gaunt zakładając ponownie rękawiczkę.

- Kilku. Gotowi roznieść wroga na nożach, a na widok igły...

Gaunt roześmiał się krótko.

- Róbcie dalej swoje, mamy mało czasu – dodał na odchodnym i kiwnął głową mijanej Curth. Podobnie jak Dorden, ona również nie miała wziąć udziału w zrzucie: skazana była na nerwowe oczekiwanie w pustej, sterylnie czystej sali zabiegowej *Nimbusa*, gotowa do zajęcia się z miejsca pierwszymi rannymi.

- Niech cię Imperator strzeże, pułkowniku-komisarzu – powiedziała.

- Dziękuję, Ano. Niechaj prowadzi pewnie twą rękę, kiedy nadejdzie ku temu czas.

Gaunt lubił Curth i źródłem tej sympatii nie był bynajmniej fakt, że pani chirurg należała do grona najatrakcyjniejszych kobiet w regimencie. Curth była dobra w swym fachu – cholernie dobra, zwykł mawiać Corbec.

I porzuciła pełne wygod życie w Vervunhive oddając się na służbę Tanithijskiemu Pierwszemu.

Opóźniony nieco przyjacielską wymianą słów z żołnierzami takimi jak Domor, Derin, Tarnash i Brostin, Gaunt dotarł w końcu do grupy zwiadowców.

Mężczyźni tworzyli ciasny krąg wokół stojącego pośrodku sierżanta Mkolla – Bonin, Mkenner, Doyle, Caober, Baen, Hwlan, Mkeller, Vahgnar, Leyr i pozostali. Niekoniecznie najlepsi strzelcy i rębacze w regimencie, byli w zamian źródłem tanithijskiej reputacji. Zwiad i infiltracja. Operacje specjalne. Jak do tej pory, wyłącznie rodowici Tanithijczycy. Żaden verghastycki rekrut nie wykazał jeszcze dostatecznego talentu, by zwrócić na siebie uwagę sierżanta Mkolla, chociaż kilku – również Cuu – zdradzało pewien talent w tym kierunku.

Gaunt przepchnął się przez krąg ludzkich ciał i wszyscy mężczyźni natychmiast podnieśli dłonie do salutu. Pułkownik-komisarz machnął pobłaźliwie ręką.

- Spocznijcie. Wiem, że pewnie zaraz powtórzę słowa Mkolla, ale mam przecucie, że dzisiejszej nocy to wam przypadnie najważniejsza część tej misji. Lord generał oraz dowódcy innych regimentów przekonani są, że to miasto należy zgnieść siłą niczym skorupę orzecha. Błędne założenie. Moim zdaniem trzeba to będzie zrobić sprytniej. Czekają nas walki uliczne. Cirenholm może tkwić na szczycie góry, ale wciąż pozostaje miastem w klasycznym tego słowa znaczeniu. Musicie zabijać roztropnie, poprowadzić nas do środka, pomóc przejąć to miejsce. Lord generał nawet nie chciał słyszeć o pomysłe rozdania żołnierzom poniżej stopnia oficerskiego planów Cirenholmu, ale ja złamałem ten zakaz.

Gaunt rozdał zwiadowcom cienkie arkusiki papieru.

- Feth jeden wie, dlaczego nie chciał, abyście to widzieli. Być może obawia się, że żołnierze zaczną wtedy działać wedle własnej inicjatywy, nie ufając ślepo rozkazom płynącym z góry. Znow błędne założenie. To nie będzie bitwa, w której dowództwo może siedzieć na tyłkach i wykrzykiwać rozkazy do radia. To nie klasyczne pole bitwy. Przyjdzie nam walczyć w skomplikowanej zabudowie miejskiej obsadzonej przez silny garnizon nieprzyjaciela. Chcę zdobyć to miasto i zabezpieczyć je w imieniu Boga-Imperatora tak szybko jak to tylko będzie możliwe, a to oznacza wykorzystanie umiejętnego naprowadzania. Zwiad i rozpoznanie. Decyzje podejmowane na miejscu, w ogniu walki. Kiedy już wygramy, spalcie te mapki. Zjedzcie je. Wytrzyjcie sobie nimi tyłki, a potem spuśćcie razem z wodą. Jeśli lord generał o cokolwiek zapyta, powiedzcie mu, że sprzyjało wam szczęście.

Gaunt urwał na chwilę przesuwając wzrokiem po twarzach zwiadowców. Wszyscy odwzajemnili jego spojrzenie.

- Nie wierzę w szczęście. To znaczy... cóż, wierzę, ale na nie nigdy nie liczę. Ufność pokładam w dobrym wyszkoleniu i inteligentnych metodach prowadzenia wojen. Sami musimy pomóc szczęściu w tym przeklętym wszechświecie, a to wymaga wykorzystania talentów wszystkich nas. Jeśli któryś z was... powtórzę, którykolwiek z was... nada radiem rozkaz lub zalecenie, zostaną one przyjęte do wiadomości. Dowódcy plutonów o tym wiedzą. Corbec, Rawne i Daur o tym wiedzą. Zdobędziemy to miasto metodą Duchów. Metodą Tanithijczyków. A wy będziecie tej nocy naszym mózgiem.

Pułkownik-komisarz umilkł ponownie.

- Jakies pytania ? – odezwał się po chwili.

Zwiadowcy potrząsnęli przecząco swoimi głowami.

- Dajcie im popalić – dodał Gaunt.

Tanithijczycy zaszalutowali i odeszli do swoich plutonów. Gaunt i Mkolł wymienili krótki uścisk dłoni.

- Wejdiesz do akcji jako jeden z pierwszych – powiedział Gaunt.

- Na to wygląda.

- Zrób to dla Tanith.

- Na to zawsze można liczyć, sir.

Lampy ostrzegawcze zapaliły się równocześnie, powietrzem wstrząsnął dźwięk alarmowych klaksonów. Duchy ruszyły ze swoich miejsc, drużyna za drużyną udając się w stronę pokładu startowego. Ludzie wymieniali między sobą ostatnie uściski dłoni i życzenia.

Gaunt ujrzał szeregowca Caffrana wyłamującego się na moment ze swojej grupy, by pocałować Verghastytkę Tonę Criid. Dziewczyna pierwsza przerwała pocałunek, uderzyła Ducha delikatnie palcami w policzek odpędzając od siebie ze śmiechem. Oboje mieli lecieć na Cirenholm w innych promach.

Ujrzał Brostina pomagającego umocować poprawnie zbiorniki paliwa do miotacza ognia na plecach Neskona.

Ujrzał szeregowców Lillo i Indrimmo śpiewających swym towarzyszom broni vervuński psalm bitewny.

Ujrzał majora Rawne i Feygora stojących przy wejściu do hangaru, kierujących przepływem żołnierzy przez otwarte wrota pokładu startowego.

Ujrzał Koleę i Varla, prowadzących swoje plutony, wymieniających żartobliwe docinki i przytyki.

Ujrzał Seenę i Arillę, młodziutkie operatorce broni ciężkiej niosące wspólnymi siłami ręczny karabin maszynowy.

Ujrzał snajperów: Larkina, Nessę, Bandę, Rilke, Merrta... Obecność strzelców wyborowych zdradzały wystające ponad głowy innych gwardzistów długie lufy karabinów snajperskich.

Ujrzał Colma Corbeca stojącego pod drugiej stronie pokładu apelowego, wznoszącego ręce ku sufitowi i śpiewającego słowa modlitwy.

Ujrzał kapitana Daura dołączającego do śpiewu, zapinającego pod brodą pasek hełmu, odkładającego swój beret na jedną z ławek.

Ujrzał kolejno wiele innych znajomych twarzy: Lillo, Garonda, Vulliego, Mkfeyda, Cocoera, sierżanta Theissa, Mkteega, Dremmonda, roześmianego sierżanta Hallera, sierżanta Braya, sierżanta Ewlera, Unkina, Whelna, Guheena, Raess... wszystkich po kolei.

Ujrzał Brina Milo, idącego pośrodku morza ludzkich ciał. Skinęli sobie niemo głowami, ten gest w zupełności wystarczał im obu.

Gaunt spostrzegł sierżanta Burone biegnące z powrotem po rękawice, które zapomniał zabrać

z ławki.

Dostrzegł szeregowca. Zimne kocie oczy.

Ibram Gaunt zawsze uważał, że jednym z obowiązków każdego dowódcy była modlitwa o to, by wszyscy jego ludzie powrócili cało z akcji.

Lecz Cuu to nie dotyczyło. Jeśli Cuu zginie w Cirenholmie, pomyślał Gaunt, wybac mi, Imperatorze, ale nie uronię po nim ani jednej łzy.

Pułkownik-komisarz zdjął swoją czapkę i wcisnął ją pod kurtkę, po czym ruszył w kierunku pokładu startowego. Mijając wejście do okrętowej kaplicy omal nie zderzył się z masywną sylwetą Aguna Sorica, powszechnie szanowanego bohatera vervuńskich oddziałów ochotniczych.

- Sir !

- Witam, sierżancie. Wracaj do swoich ludzi.

- Przepraszam, sir. Chciałem prosić o ostatnie błogosławieństwo.

Gaunt uśmiechnął się spoglądając na niższego od siebie krępego sierżanta. Soric nosił na jednym oku przepaskę, demonstracyjnie odrzucając możliwość wszczęcia cybernetycznego oka. Piastował niegdyś kierowniczą funkcję w jednej z hut Vervunhive, później dowodził ochotniczą kompanią miejską. W jego sercu drzemała odwaga, którą można by obdzielić całą kompanię gwardzistów.

- Odwróć się – polecił Gaunt. Soric wykonał polecenie bez słowa.

Pułkownik-komisarz przesunął palcami po jego uprząży, poprawił ułożenie kilku pasków.

- Gotowy do drogi – oświadczył ukończywszy inspekcję.

- Tak jest, sir – odparł Soric, po czym odbiegł truchtem w ślad za swoimi ludźmi.

- Zaczekaj jedną chwilę – z głębi kaplicy dobiegł Gaunta czyjś suchy starczy głos.

Oficer obejrzał się przez ramię.

Ayatani Zweil – pomarszczony kapłan o srebrzystych włosach i brodzie – wyszedł z sanktuarium ujmując twarz Gaunta w swe dłoń.

- Ojczy, nie teraz...

- Cicho ! Pozwól mi spojrzeć ci w oczy, życzyć szczęścia i pobłogosławić znakiem orła.

Gaunt nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Tanithijczycy napotkali na Zweila w lasach Hagii i od tamtego czasu wiekowy kleryk został ich kapłanem. Zweil należał do grupy imhava ayatanich, wędrownych kapłanów oddających cześć świętej Sabbath. Gaunt nie znał do końca motywów postępowania brodatego starca, ale niezmiernie cenił sobie jego towarzystwo i duchowe wsparcie.

- Niech Imperator cię strzeże i święta też – powiedział Zweil – Nie rób niczego, czego ja sam bym nie pochwalał.

- Oprócz odbierania innym życia, narażania własnego oraz innych niedogodności żołnierskiego rzemiosła ?

- Oprócz tego, rzecz jasna – uśmiechnął się Zweil – Idź i czyn swoją powinność. Ja zaczekam na rezultaty. Zdajesz sobie sprawę z tego jak bardzo wachlarz moich obowiązków uzależniony jest od twojego sukcesu lub porażki ?

- Nigdy nie myślałem o tym w takich kategoriach, ojczy, lecz dziękuję za wyjaśnienie, teraz będę spoglądał na twą pracę z innej perspektywy.

- Gaunt ? – zachrypnięty głos starca przycichnął zniemacka.

- Tak ?

- Zaufaj Boninowi.

- Słucham ?

- Żadne słucham. Święta mi to powiedziała... musisz zaufać Boninowi.

- Cóż, dobrze. Dziękuję.

Ostatnia syrena ryknęła donośnie. Pułkownik-komisarz poklepał ramię Zweila i ruszył szybkim krokiem w kierunku pokładu startowego.

Hangar wyznaczony do załadunku gwardyjskiego desantu był zarazem głównym pokładem startowym *Nimbusa*. W jego rozległej przestrzeni stały w rzędach statki transportowe. Sześćdziesiąt promów – ciężkich stratosferycznych maszyn o wielkich odsuwanych włączach po obu stronach kadłubów. Ludzie z obsługi technicznej wciąż jeszcze się wokół nich uwijali, uruchamiając w ramach ostatnich testów silniki. Dzień wcześniej wszystkie promy pokrywały barwy Phantyńskiej Powietrznej, teraz każdy transportowiec miał kolor matowej czerni.

Duchy wchodziły na pokłady maszyn. Do każdego promu przydzielono pięćdziesięciu żołnierzy, dwa zespoły po dwudziestu pięciu gwardzistów. Tanithijczycy wsiadali do przedziałów desantowych w odwróconym w stosunku do kolejności skoku porządku. Oficerowie porządkowi stali przed każdym statkiem unosząc w górze tabliczki z wykaligrafowanymi numerami zespołów, ułatwiając żołnierzom szybkie odnalezienie wyznaczonej dla nich maszyny oraz właściwego włązu.

Niektóre oddziały wciąż jeszcze miały przed sobą kilka minut oczekiwania, ich członkowie siedzieli na ławkach rozmazując po twarzach pastę kamuflującą, sprawdzając po raz ostatni ekwipunek lub po prostu rozmyślając. Prowadzący kontrolowali stan lin i kołowrotek zamontowanych nad górnymi futrynami włączów. Obsługa techniczna zrobiła to już wcześniej, ale wyznaczeni do roli prowadzących gwardziści podchodzili do swego zadania z ogromną odpowiedzialnością. Jeśli mieli powierzyć życie swoje i swych kolegów jednej zwykłej linie zrzutowej, chcieli mieć całkowitą pewność, że ta ich nie zawiedzie.

Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza czterdzieści. Na dwóch bliźniaczych sterowcach *Nimbusa* gwardziści Urdeshi dopinali właśnie pasy w swoich statkach transportowych.

Gaunt sprawdził wskazania chronometru w drodze do swego promu. Admirał Ornoff nadał moment wcześniej komunikat mówiący o zgodnej z planem realizacji operacji oraz zawierający ostrzeżenie o przybierającym na sile od trzydziestu minut czołowym prądzie powietrznym. Oznaczało to utrudnienia zarówno w przelocie promów jak i samym zrzucie, a co gorsza – silny wiatr rozwiewał szybko chmurę niklowanych pasków rozrzuconych przez eskadrę Halo w przestrzeni powietrznej ponad Cirenholmem.

Gaunt wezwał do siebie Corbeca, Rawne i Harka, by zamienić z nimi kilka ostatnich słów.

Wszyscy sprawiali wrażenie gotowych do akcji, Rawne przestępował z nogi na nogi chcąc jak najszybciej powrócić do swego promu. Hark nie ukrywał swego niezadowolenia z powodu ogromnych braków w stanie amunicji. Po konfiskacie wszystkich baterii trzeciej klasy będących w posiadaniu Duchów oraz przetrząśnięciu magazynów na pozostałych sterowcach Tanithijczycy otrzymali po trzy akumulatory na głowę. Z powodu biurokratycznego niedopatrzienia Munitorium zapchało składy amunicją piątej klasy, używaną zarówno przez Urdeshi jak i Phantyńską Powietrzną. Zabrakło już czasu, by ściągnąć z Hessenville akumulatory dla Duchów, nie istniała też możliwość przebrojenia całego regimentu w zastępcze lasery.

- To zabija morale – burknął Hark – Ile się do tej pory nasłuchałem biadolenia...

- Efekt może być wręcz odwrotny – odezwał się Corbec – Teraz wszyscy wiedzą już, że muszą liczyć się z każdym oddanym strzałem.

Komisarz Hark nie sprawiał wrażenia specjalnie przekonanego sugestią pułkownika, ale też nie służył z tanithijskim regimentem dostatecznie długo, by zaufać do końca intuicyjnej roztropności Colma Corbeca. Hark dołączył do Tanithijczyków na Hagii w charakterze instrumentu wyższych kręgów sztabu chcących pogrzyżać karierę Gaunta. Komisarz dowiódł swej wartości walcząc ramię w ramię z Duchami o Bhavnager oraz Świątynię i Gaunt zatrzymał go

przy sobie na stałe. Zmuszony dotąd do dzielenia swej uwagi pomiędzy obowiązki liniowego dowódcy regimentu i oficera politycznego, dowódca Duchów szybko docenił użyteczność oddanego swej pracy komisarza.

Hangarem wstrząsnął urywany sygnał alarmowy, z głębi niektórych promów dobiegły okrzyki aplauzu.

- Ruszamy, panowie – powiedział pułkownik-komisarz.

Godzina dwudziesta druga. Pierwsza fala promów, wylądowanych po brzegi gwardzistami Urdeshi, opuszczała hangary sterowców rozpraszając się po czarnych przestworzach.

Pułkownik Zhyte, lecący na pokładzie promu 1A, przysunął twarz do grubej szyby okienka. Nie widział praktycznie nic prócz czerni nieba i okazjonalnych płomieni buchających z silników innych transportowców. Na sterowcach wygaszono wszystkie światła, toteż masywne pojazdy pozostawały całkowicie niewidoczne. Chwila dzieląca moment wyłączenia oświetlenia od startu okazała się wyjątkowo nerwowa. Boczne włązy hangaru odsunięto kilka sekund później, by blask gaszonych lamp nie zdradził przypadkiem pozycji sterowców. Uczucie zawieszenia w mrocznej pustce znikło wraz z traskiem uwalnianych zaczepów. Promy zaczęły spadać w przestrzeń pod brzuchami sterowców.

Zhyte ruszył w stronę kokpitu maszyny, przeciskając się pomiędzy rzędami siedzących w bezruchu żołnierzy. W słabym zielonym świetle iluminatorów ich twarze przybierały barwę niezdrowej bledności.

Widoczność na zewnątrz kokpitu okazała się niewiele lepsza. Bezksiężycową lodowatą pustkę przed statkiem punktowały pojawiające się i znikające błyskawicznie pasemka chmur. Zhyte dostrzegał trzydzieści do czterdziestu ciemnoczerwonych ogników unoszących się w ciemności przed jego maszyną: wyloty turbin innych promów.

Transportowiec podskakiwał i dygotał nieznacznie co chwila, pilot i wspomagający go serwitor wymieniali pomiędzy sobą przyciszone komentarze i uwagi. Boczny wiatr przybierał na sile i co gorsza, pojawił się też prąd powietrzny nadciągający z przeciwnego kierunku.

- Strefa zrzutu za czterdzieści jeden minut – poinformował pułkownika pilot. Zhyte wiedział, że szacunki te mogły ulec zmianie w przypadku, gdyby siła wiatru wzrosła: mocno obciążone promy walczyły z turbulencjami powietrza.

Zhyte studiował wzrokiem ekran pokładowego lokalizatora śledząc formację własnych maszyn i próbując dojrzeć jakikolwiek ślad intruzów. Jeśli jakiś nieprzyjacielski myśliwiec dostałby się teraz pomiędzy lecące w ciasnym szyku transportowce, gwardzistów czekała prawdziwa masakra.

Godzina dwudziesta druga dziesięć. Włązy statków desantowych zostały zaryglowane trzy minut wcześniej, ich wnętrza wibrowały w rytm narastającego z każdą sekundą ryku rozgrzewanych silników.

Znajdujący się promie 2A Gaunt zajął swoje miejsce – niewygodne metalowe krzeselko na końcu jednego z rzędów siedzeń. Ktoś w głębi przedziału mamrotał pod nosem słowa imperialnej modlitwy, kilku żołnierzy kreśliło drżącymi rękami znaki Orła w powietrzu.

Z głośnika padła jakaś wypowiedziana szorstkim tonem komenda. Pułkownik-komisarz nie zrozumiał tonących w ryku silników słów, ale domyślił się znaczenia wypowiedzi. Żołądek podszedł mu do gardła w chwili, gdy prom runął w dół, ale kilka sekund później maszyna ustabilizowała tor lotu.

Lecieli.

Byli w drodze do celu.

Zaczął się.

Komandor Jagdea skręciła ostro w lewo, jej skrzydłowi poszli natychmiast w ślady dowódcy. Trzy należące do Sił Powietrznych Phantine Lightningi przemknęły obok sterowca *Boreas*.

Jagdea miała w powietrzu osiem kluczy po trzy myśliwce w każdym, eskortujących powolne i ociężałe statki transportowe. Widoczność była tak fatalna, że kobieta prowadziła swoją maszynę wyłącznie według wskazań instrumentów pokładowych, ale wciąż dostrzegała przed sobą setki świetlnych punkcików znaczących dysze silnikowe promów.

- Centrum kontroli, mówi Umbra Lider – powiedziała do mikrofonu – Widzę lekkie rozproszenie szyku w formacji transportowców. Każcie im wziąć poprawkę na boczny wiatr.

- Potwierdzam odbiór, Umbra Lider.

Niektóre z promów zbaczały z wyznaczonej trasy przelotu, znoszone na wschód siłą powietrznych prądów. Trzymajcie się w szyku albo was stracimy, zbeształa pilotów w myślach Jagdea.

Co kilka sekund przeczesywała wzrokiem mroczną przestrzeń ponad sobą w poszukiwaniu śladu nieprzyjacielskich maszyn. Lojaliści zakładali, że obrońcy Cirenholmu nie mają najmniejszego pojęcia o tym, co zbliża się w ich kierunku, ale nawet samotny samolot wroga mógł tę kruchą przewagę całkowicie zniwelować.

Dopóki znajdują się w powietrzu, nigdy do tego nie dojdzie, postanowiła.

Eskadra Halo nadłożyła drogi na wschód w locie powrotnym, chcąc w ten sposób uniknąć kolizji z formacją statków transportowych.

Kapitan Viltry skorygował prędkość swojego Maraudera. Samoloty znalazły się w warstwie skażonych toksycznie chmur i bryłki zamrażających zanieczyszczeń uderzały z trzaskiem w poszycie ich kadłubów.

Krótki trzask radiowych szumów.

- Halo Lider, powtórz.

Viltry czekał czując narastające napięcie.

- Halo Lider, do eskadry, proszę powtórzyć.

W eterze rozbrzmiało kilka odpowiedzi, zdezorientowanych i zmieszanych.

- Halo Lider do eskadry, podwoić zasięg wizualnej kontroli.

- Halo Trzy do Lidera, widzicie Halo Pięć ?

Viltry zamilkł i spojrzał w dół na Gammila. Nawigator sprawdził uważnie ekran lokalizatora i pokręcił przecząco głową. Kurwa mać.

- Halo Lider do Halo Pięć. Halo Pięć, zgłóście się. Suken, gdzie ty do diabła jesteś ?

W eterze rozbrzmiewał szum radiowych zakłóceń.

- Halo Lider do Halo Cztery. Widzicie Sukena z własnej pozycji ?

- Jedna chwila, halo Lider – cisza w eterze – Ani śladu, nic na radarze.

Gdzie do diabła...

- Kontakt ! Kontakt ! Osiem osiem jeden i maleje !

Ostrzeżenie nadał Halo Dwa.

Viltry wychylił się z fotela przeszukując wzrokiem czarne przestworza.

Po prawej stronie dostrzegł rozbłysk światła. Obejrzał się w tamtą stronę dostatecznie szybko, by zauważyć Łańcuszek pocisków smugowych nikiących w warstwie gęstych chmur. Komunikator zatrzeszczał ponownie i ułamek sekundy później dwieście metrów na prawo od maszyny kapitana zapłonęła oślepiająca kula ognia.

Coś bardzo jaskrawego przemknęło przed nosem jego bombowca.

- Halo Trzy spadł ! Halo Trzy spadł ! – w słuchawkach usłyszał okrzyk jednego ze strzelców.
- Złamać szyk ! – wykrzyczał w eter. Świat zawirował mu przed oczami w niekontrolowanym korkociągu, kątem oka zauważył dogasającą kulę ognia będącą pozostałościami Halo Trzy, spadającą w dół poprzez chmury.

Na konsolocie pilota zapaliły się ostrzegawcze lampki, kabinę wypełnił dźwięk klaksonów. Viltry zorientował się, że został namierzony przez wrogi komputer. Mnąc w ustach przekleństwo rzucił Maraudera w lot nurkowy. Gammil wypadł z fotela nawigatora głową w dół, krzyknął krótko z bólu.

Maszyna spadała szybko, wskazówka wysokościomierza obracała się na podobieństwo włączonego stopera. Bombowiec znalazł się praktycznie nad dolną granicą dopuszczalnego pułapu. Viltry przeciągnął ręką po konsolocie uruchamiając dopalacze i wyrwijąc Maraudera w górę. Zerwał z twarzy maskę tlenową i zwymiotował pod wpływem ogromnej siły ciężenia.

W jego dzwoniących przeraźliwie uszach rozległ się ludzki krzyk. Halo Cztery.

- Jest za mną ! Ma mnie ! Boże-Imperatorze, nie mogę go zgubić ! Nie...

Kula białego ognia wykwitła w ciemności za bombowcem kapitana.

- Halo Lider do centrum kontroli ! Halo Lider do centrum kontroli ! Nieprzyjacielskie myśliwce w strefie zrzutu ! Powtarzam, nieprzyjacielskie myśliwce w strefie zrzutu !

W kabinie rozbrzmiał ponownie klakson ostrzegający przed namierzeniem maszyny.

Bombowiec zadygotał tak silnie, że Viltry przegryzł sobie wargi. Dostrzegł kropelki własnej krwi rozpryskującej się na szybie kokpitu. Marauder znów wpadł w korkociąg.

Kapitan czuł zapach spalenizny i dotyk lodowatego powietrza na odsłoniętych częściach ciała. Ścisnął mocniej stery wyrównując lot maszyny.

Jeden z silników stał w ogniu. W słuchawkach kapitana rozbrzmiewały jęki tylnego strzelca. Pilot spojrzął w dół na Gammila. Nawigator wdrapywał się właśnie na swój fotel.

- Szybciej ! Szybciej ! – warknął Viltry.

- Staram się.

Ukryte w grubych rękawicach dłonie kapitana ociekały potem. Podniósł wzrok omiatając nim przestrzeń wokół maszyny i z miejsca dostrzegł nadlatujący ciemny kształt.

- Na litość boską... – zaczął Gammil dostrzegając to samo.

Pociski przestębnowały wewnątrz kabiny zmieniając nawigatora i jego konsolę w chmurę metalowych odłamków, gorącej krwi i dymu. Cała dolna część kadłuba Maraudera odpadła znikając w ciemności nocy. Viltry dostrzegł Serrikina spadającego bezradnie pośród chmury szczątków w żrące opary kłębiące się daleko w dole.

W potrzaskanej kabinie wył przeraźliwie lodowaty wiatr.

Kapitan sięgnął w kierunku dźwigni katapulty.

Maszyna eksplodowała.

Ana Curth umyła swe dłonie po raz trzeci w przeciągu ostatniego kwadransa, posypała je antyseptycznym talkiem. Była zdenerwowana i spięta.

Lazaret był przestronny, cichy i dobrze oświetlony, pełen rzędów świeżo zasłanych łóżek. Curth sprawdziła etykiety na kilku fiolkach ze środkami znieczulającymi, westchnęła ciężko, zaczęła krążyć wzdłuż pomieszczenia. Dźwięk jej kroków odbijał się echem od ścian sali, czerwony lekarski płaszcz szeleścił cichutko ocierając się o posadzkę.

- Sama wpędzasz się w szaleństwo – oświadczył Dorden.

Główny oficer medyczny regimentu leżał na jednym z łóżek wpatrując się w sufit sali. Ubrany w zielony strój, ułożył swe ciało tak, by w jak najmniejszym stopniu pognieść pościel.

- Szaleństwo ?

- Dostajesz kota. Oczekiwanie czyni z ciebie kłębek nerwów.

Curth przystanęła przy zajmowanym przez Dordena łóżku.

- A ty jakoś sobie z tym radzisz ?

Lekarz przekręcił głowę i zmierzył ją wzrokiem.

- Owszem. Medytuję, rozważam, filozofuję. Służę Bogu-Imperatorowi, ale nie mam najmniejszego zamiaru marnotrawić czasu w przerwach między kolejnymi etapami swej misji.

- Rekomendujesz tę metodę ?

- Zdecydowanie.

Curth położyła się z ociąganiem na sąsiednim łóżku, wlepiała spojrzenie w sufit wyciągając ręce wzdłuż ciała.

- To wcale mnie nie uspokaja – oświadczyła po chwili.

- Cierpliwości, a może dowiesz się czegoś ciekawego.

- Czego na przykład ?

- Chociażby tego, że na suficie tej sali znajduje się pięćset dwadzieścia szesnastokątnych płytek.

Curth usiadła na łóżku.

- Słucham ?

- Pięćset...

- W porządku, usłyszałam za pierwszym razem. Jeżeli liczenie płytek sufitowych cię uspokaja, bardzo mnie to cieszy. Ja muszę sobie pochodzić.

- No to spaceruj, Ana.

Przeszła przez lazaret kierując się ku drzwiom wejściowym. Sanitariusze Lesp, Chayker i Foskin stali za progiem paląc skręty lho.

- Załapię się na jednego ? – zapytała lekarka dołączając do trójki mężczyzn.

Lesp uniósł w pozornym zdumieniu brwi, ale zaraz podał kobiecie papierosa.

Zapaliła skręta, zaciągnęła się dymem.

- Powinni już być na miejscu – odezwał się Chayker – Nad strefą zrzutu.

Lesp spojrział na noszony na przegubie ręki chronometr.

- Ano, dokładnie nad strefą.

- Niech ich Imperator wspiera – mruknęła Curth zaciągając się ponownie. Znow naszła ją obsesyjna ochota na umycie rąk.

Godzina dwudziesta trzecia sześć. Nienajgorsze opóźnienie. Pilot promu 1A wymienił kilka słów ze swym serwitorem, po czym skinął głową w stronę Zhyte.

- Trzy minuty.

Dowódca Urdeshi wciąż nie dostrzegał na zewnątrz niczego prócz rzadkich oparów i światełek będących dyszami silników innych promów. Wiatr przybierał na sile, ale Zhyte darzył zaufaniem swoją załogę.

Wrócił z powrotem do przedziału pasażerskiego i włączył bursztynowe lampki nad włazami. Gotowość do skoku.

Ludzie podnieśli się z siedzeń sięgając po zatrzaski lin i naciągając na twarze maski tlenowe. Zhyte zdjął z pasa własną maskę, potrząsnął nią, a potem założył na głowę tak, by przezroczyste plastikowe wizjery znalazły się na wysokości oczu, a gumowa wytłoczka nie uciskała słuchawek komunikatora. Docisnął rzepy maski do łątek materiału na ramionach swojego kombinezonu.

Czuł się teraz jeszcze bardziej oślepiiony niż wcześniej, uwięziony w gumowej pułapce uciskającej mięśnie twarzy i zwielokrotniającej dźwięk własnego oddechu.

- Odliczanie – rzucił w mikrofon.

Gwardziści odliczyli kolejno swą obecność potwierdzając pełny skład i założenie masek.

Zhyte odczekał, aż ostatni z jego podkomendnych dopną rzepty respiratorów.

- Otworzyć włazy.
- Włazy otwarte – potwierdzili przez radio prowadzący.

Transportowiec zatrzęsł się nieznacznie, kiedy boczne drzwi stanęły otworem, temperatura w ładowni spadła gwałtownie, panujący w niej półmrok przybrał odcień żółci.

- Przygotować liny ! Dziewięćdziesiąt sekund !

Sylwetki prowadzących majaczyły na tle żółtawej poświaty wpadającej do środka promu przez otwarte włazy, ich kombinezonami szarpały silne podmuchy wiatru. Zhyte wyciągnął swój boltowy pistolet, przysunął go na wysokość przysłoniętej maską twarzy kontrolując stan broni, potem wsunął pistolet z powrotem do kabury.

Byli już prawie na miejscu.

Silne szarpnięcie balonu przywróciło kapitanowi Viltry przytomność. Mężczyźnie kręciło się w głowie, jego ciało sprawiało wrażenie pozbawionego wagi. Pilot nie miał pojęcia, gdzie właściwie się znajduje.

Próbował skupić myśli i odgadnąć, co się właściwie stało. Otaczała go lodowata smolista czerń. Kręcąc zdrewniałym karkiem spojrzał w górę i dostrzegł ledwie widoczny kształt ratunkowego balonu unoszącego się ponad jego głową.

Wyskoczył z samolotu, teraz to sobie przypomniał. Boże-Imperatorze, ktoś dorwał jego maszynę... i resztę eskadry. Rozejrzał się wokół z desperacką nadzieją, że dojrzy ślad obecności jakiegoś samolotu. Lecz wokół rozciągała się jedynie bezkresna pustka przetykana pasami ciemnych chmur.

Skontrolował wskazania miniaturowego wysokościomierza wszytego w rękaw kombinezonu. Znajdował się dobre dwa tysiące metrów poniżej pułapu operacyjnego, niemalże nad krawędzią warstwy toksycznej atmosfery. Balon ratunkowy musiał uruchomić się automatycznie, uwolniony czujnikiem czującym na zmiany ciśnienia.

Paski uprząży wbiły się w jego ciało pod pachami i na torsie. Spróbował je poluzować i wtedy uświadomił sobie, że jest ranny. Ramię mężczyzny znaczyło głębokie rozcięcie, część uprząży została przerwana. Miał szczęście, że całkowicie z niej nie wypadł.

Klasyczne spadochrony były na Phantine całkowicie bezużyteczne. Na powierzchni planety nie było miejsc, gdzie człowiek mógłby wylądować unikając przy tym śmierci w toksycznych wyziewach i korodujących wszystko oparach zwanych potocznie Otchłanią. Lotnicy posługiwali się ratunkowymi balonami, które umożliwiały rozbitkom dryfowanie w górnych warstwach atmosfery do chwili odnalezienia przez grupy poszukiwawcze.

Viltry był doświadczonym lotnikiem, ale nawet żółtodziób zdawałby sobie sprawę z faktu, że wyjątkowo silne na tym pułapie prądy powietrzne zniosły go daleko poza uczęszczane szlaki patrolowe. Mężczyzna próbował odczytać wskazania ciśnieniomierza balonu, lecz w ciemności nocy nie potrafił dostrzec tarczy zegara.

Powietrzny śmieć, pomyślał z dreszczem grozy. Tym właśnie był. Los powietrznego śmiecia należał do najgorszych rodzajów śmierci pośród phantyńskich lotników. Bezwładny dryf na bezkresnych pustkowiach niebios. Powiadano, że czasami piloci używali swej służbowej broni krótkiej, by przebić kulami balon i opaść w Otchłań ku szybkiej i relatywnie bezbolesnej śmierci.

Lecz on wciąż miał pewne szanse na ocalenie skóry, musiał jedynie uruchomić nadajnik modułu ratunkowego.

Wystarczyło pociągnąć za jedną dźwignię.

Viltry rozdarty był wątpliwościami. Pociągnięcie dźwigni ocaliłoby mu życie, ale sygnał nadajnika mógł zostać przechwycony przez systemy nasłuchowe Cirenholmu. Heretycy

wiedzieliby wówczas, że gdzieś w ciemności nocy imperialny lotnik wzywa pomocy. A to oznaczało, że tej nocy gdzieś w pobliżu znajdowała się przynajmniej jedna lojalistyczna maszyna.

Kapitan nie potrafił się zmusić do uruchomienia nadajnika. Ornoff zadbał o to, by wszyscy phantyńscy piloci wiedzieli jak ważnym elementem ataku na Cirenholm był czynnik zaskoczenia. Komunikacja krótkiego zasięgu pomiędzy lecącymi w szyku maszynami to jedno, natomiast potężny nadajnik sygnału wiodącego to zupełnie coś odmiennego. Jego uruchomienie mogło skazać na śmierć tysiące imperialnych gwardzistów.

Viltry dryfował przez lodowatą czarną pustkę, na zewnętrznej stronie jego gogli zaczynały formować się kryształki lodu.

Postanowił zachować ciszę radiową, nawet jeśli w rezultacie miałby to przypłacić własnym życiem.

- Umbra Lider do klucza, odrzucić zewnętrzne zbiorniki paliwa – powiedziała Jagdea.

Klucz Umbra znajdował się w tyle formacji statków transportowych. Imperialny desant docierał już do granicy strefy zrzutu, solidna bryła Cirenholmu pulsowała niewyraźnym blaskiem na ekranie lokalizatora myśliwca.

Trzy Lightningi odrzuciły puste zewnętrzne zbiorniki i zwiększyły wysokość wychodząc ponad lecące w ciasnym szyku transportowce. Myśliwce pobierały teraz paliwo z wewnętrznych baków, co oznaczało ca najwyżej szesnaście minut lotu... lub jeszcze mniej w przypadku wejścia do walki.

Jagdea była nerwowa. Eskadra Halo powinna już była wrócić do domu, ale po Marauderach zaginął wszelki ślad.

Komandor Bree Jagdea miała za sobą piętnaście tysięcy godzin w powietrzu. Należała do grona najlepszych pilotów wykształconych w akademii lotniczej w Hessenville, a przy tym posiadała instynkt powietrznego łowcy. Ten właśnie instynkt wziął teraz górę nad regulaminem.

- Umbra Lider do klucza. Zrobimy jeszcze jeden przelot, za formacją Urdeshi. Mam przecucie, że dzisiejszej nocy pojawią się kłopoty.

- Zrozumiano, Umbra Lider.

Trzy imperialne myśliwce pomknęły na zachód. Setki ludzkich istnień miały ulec zagładzie, ale wiedzona instynktem Jagdea zyskała dzięki tej decyzji sposobność, by ocalić tysiące.

- Ostatnia kontrola sprzętu – powiedział sierżant Kolea idąc pomiędzy siedzeniami pasażerów promu 2F – Trzy minuty do strefy zrzutu. Za trzydzieści sekund macie mieć założone maski i przygotowane haki. Odblokować rygle włazów. Prowadzący, pełna gotowość.

Bursztynowa lampka nad wejściem wciąż pozostawała zgaszona. Kolea założył na głowę własną maskę tlenową, po czym zaczął przemieszczać się wzdłuż linii stojących pod prowadnicami Duchów po raz ostatni sprawdzając ich uprząże.

Włazy w promie 2D zostały już otwarte. Szeregowiec Garond drżał omiatany strumieniem lodowatego powietrza, w dłoniach ścisnął linę przygotowaną do wyrzucenia na rozkaz sierżanta Obela. Wyglądając na zewnątrz maszyny dostrzegł przetykany białymi kłębkami oparów mrok i ciemniejsze od niego kształty lecących obok promów. Ludzkie sylwetki klęczały w ich odsuniętych włazach, gotowe do rozpoczęcia procedury skoku.

Lecący na pokładzie transportowca 2B Corbec założył maskę i polecił otworzyć włazy. Gwardziści stali w rzędach gotowi do skoku, Mkoll zajął pozycję na czele drugiego zespołu: miał

poprowadzić sekcję zwiadowczą wyznaczoną do infiltracji Cirenholmu. Corbec kiwnął w stronę sierżanta głową, po czym zaczął mamrotać pod nosem słowa ostatniej modlitwy.

W promie 2X sierżant Ewler spojrział na sierżanta Adare. Obaj mężczyźni uścisnęli sobie mocno ręce.

- Do zobaczenia po wszystkim – powiedział Adare.

Viltry ocknął się ponownie. Jego twarz i ramię zdrętwiały pod wpływem przenikliwego zimna. Kapitan nie chciał umierać w taki sposób – samotny, niepotrzebny, niczym niesiony wiatrem śmieć. Jego sztywne palce zacisnęły się na dźwigni nadajnika.

Cofnął dłoń przeklinając w myślach własny egoizm.

Chyba, że...

Jeśli imperialna sekcja nasłuchu odbierze jego radiowe wezwanie o pomoc, w sztabie zorientują się, że coś złego spotkało eskadrę Halo. Pojmą, że w ciemności nocy czyhają nieprzyjacielskie myśliwce.

Mógł ich w ten sposób ostrzec.

Uwolniony od ciężaru rozterek Viltry pociągnął za dźwignię. Kawałek metalu został w jego dłoni.

Włącznik nadajnika okazał się ucięty trafieniem jakiegoś szrapnela.

W dole pojawiła się zniecka kremowa poświata – to słaby blask gwiazd odbijał się od gładkiej powierzchni kopuła Cirenholmu. Silniki korekcyjne promu wyły tak przeraźliwie, że Zhyte słyszał je pomimo założonej maski. Maszyna zawisła nad strefą zrzutu na tyle nieruchomo, na ile pozwalały jej uderzenia wiatru. Zhyte modlił się w myślach by prom znajdował się na odpowiedniej wysokości.

Ostrzegawcza lampka zmieniła swój kolor na zielony.

- Skakać! – warknął Zhyte.

Na zewnątrz pojawił się oślepiający rozbłysk, zaraz potem drugi.

Shener prowadzący przy prawym włazie wyjrzał za futrynę i dostrzegł rozsypujący się wśród płomieni prom, syjący na wszystkie strony ognistymi szczątkami.

- Myśliwce! – wrzasnął do mikrofonu.

Inny prom Urdeshi pojawił się zniecka w jego polu widzenia, płonący i spadający w dół niczym kometa. Ułamek chwili później stanowiska obronne Cirenholmu ożyły rozpalając przez pożar szaleńczą płataninę smugowych pocisków.

W kadłubie promu 1A pojawiły się dziury, tuż przy ciele Shenera. Mężczyzna wypuścił z rąk linę. Przerazający chłód sparaliżował jego nogi i dolną część torsu. Spojrzął w dół i ujrzał dużą dziurę pośrodku swojego brzucha.

Shener wypadł bez słowa z włazu i runął w mroczną otchłań.

Zhyte doskoczył do włazu, zgiął się wpół smagnięty wiatrem. Shener zniknął, a dwaj pierwsi gwardziści stojący w kolejce zostali rozsmarowani pociskami po ładowni. W kadłubie promu widniał szereg przestrzelin.

Na zewnątrz piekło nieprzyjacielskiego ostrzału rozpalało ciemność nocy.

Zhyte zatrzasnął swój hak na linie. Powinien był skakać jako ostatni w kolejce, ale jego prowadzący przepadł, a pozostałych żołnierzy ogarniała rosnąca dezorientacja.

- Skakać! – wrzasnął Zhyte – Skakać! Skakać! Skakać!

Wyskoczył na zewnątrz maszyny.

Prom 1C zadygotał, kiedy lecąca obok maszyna wyleciała w powietrze, kawałki blachy podziurawiły kadłub transportowca. Sierżant Gwill i trzech inni żołnierze zginęli na miejscu. Kapral Gader, na wpół oślepiiony swoją maską tlenową, uświadomił sobie zniechęcająco, że przejął siłą rzecz dowodzenie.

Nad włazami przedziału zapaliła się zielona lampka.

Krzyknął do ludzi, by rozpoczęli procedurę skoku.

Dwie trzecie żołnierzy zdążyło opuścić przedział do chwili, w której seria pocisków ciężkiego kalibru rozdarła kadłub promu. Gader wypadł z włazu wyrzucony impetem niszczycielskiego trafienia.

Spadając machał rozpaczliwie swoim hakiem hamulcowym, ale liny już nie było.

Gader runął niczym kamień na obłą kopułę Cirenholmu, odbijając się po drodze o jeden z masztów radiowych kompleksu.

Pilot promu 1K źle oszacował siłę przedniego prądu powietrznego i podszedł do strefy zrzutu zbyt nisko, uderzając w krawędź kopuły i zmieniając się w ułamku sekundy w kulę oślepiającego ognia. Lecący za nim prom 1N zaczął się cofać rzygając płomieniami silników korekcyjnych. Serie wystrzeliwane z działek przeciwlotniczych oderwały spodnią część jego kadłuba, znajdujący się w przedziale desantowym gwardziści wypadli na zewnątrz maszyny.

Prom 1M zwolnił, a następnie zaczął zwiększać wysokość. Jego pasażerowie rozpoczęli w tym samym czasie procedurę skoku. Opadając w dół lin uświadomili sobie z grozą, że strefa lądowania znajduje się nie tylko wiele niżej niż oczekiwali, ale też pięćdziesiąt metrów dalej. Jeden po drugim żołnierze wypinali się samoczynnie na końcu liny spadając prosto w czarną otchłań.

Pilot prowadzący prom 1D ujrzał nadlatujący myśliwiec wroga z przerażająco szczegółową dokładnością. Nie miał żadnego pola manewru, jego desant opuszczał już pokład maszyny. Transportowiec eksplodował przestębnowany pociskami, a siła wybuchu rozrzuciła na wszystkie strony wiszących wciąż na linach gwardzistów.

- Cele ! Cele ! Cele ! – krzyknęła Jagdea wpadając pomiędzy manewrujące desperacko pojazdy Urdeshi. Promy wybuchły wszędzie wokół, strącane przez nieprzyjacielskie Phantomy lub obronę przeciwlotniczą Cirenholmu.

Noc przemieniła się w ogniste piekło pulsujące nieziemską poświatą ponad kopułami Cirenholmu.

Jagdea rzuciła swą maszynę w szeroki skręt omijając łukiem eksplodujący transportowiec. Namierzyła uciekający identycznym łukiem myśliwiec wroga i wdusiła spust drążka sterowego.

Nieprzyjacielska maszyna umykała tak zwrotnie, że cała seria chybiła, punktując gładką powierzchnię miejskiej kopuły.

Jagdea obróciła samolot kabiną w dół i przyśpieszając zniechęcająco do dwóch machów pomknęła w ślad za oddalającym się Phantomem. Heretycki myśliwiec zmierzał w stronę kolejnego bezbronnego promu w formacji Urdeshi.

Zrównując trajektorię lotu z przeciwnikiem uruchomiła dopalacze tak, by serie wystrzeliwanych przez nią pocisków przedziurawiły wrogi samolot na całej długości jego kadłuba.

Phantom przeistoczył się w uskrzydloną kulę ognia, opadającą stromym łukiem w stronę Otchłani.

Jagdea rzuciła maszynę w kolejny skręt. W jej słuchawkach rozbrzmiewały podniesione głosy skrzydłowych.

Umbrą dwa strącił moment wcześniej nieprzyjacielski samolot, tocząc z nim walkę kołową i odstrzeliwując w dogodnym momencie ogon przeciwnika. Uszkodzony heretycki myśliwiec runął w dół próbując staranować jeden z lecących promów, chybił jednak i zniknął w warstwie gęstych chmur.

Jagdea zmniejszyła pułap szukając celów zarówno wizualnie jak za pomocą instrumentów pokładowych. Przemknęła pomiędzy statkami transportowymi, a jej system namierzający piszczał coraz głośniejsze. Weszła na ogon wrogiego myśliwca przymierzającego się do ataku na pobliski prom.

Jagdea zestrzeliła go jedną długą serią.

Skręciła ostro w lewo omijając ostatnie transportowce wlatujące do strefy zrzutu i zaczęła zawracać w przeciwnym kierunku. Jej Lightning zatrzęsł się silnie, a dźwięk klaksonu utonął w trzasku przebijających kadłub pocisków.

Pulpit zapłonął poświatą czerwonych kontrolki. W ułamku chwili została wyłączona z akcji.

Pociągnęła drążek sterowy ku sobie wprowadzając umierający samolot w lot ślizgowy. Lightning mknął w stronę bryły Cirenholmu ledwie utrzymując się na granicy przeciągnięcia.

Jagdea wcisnęła spust działek i wystrzeliła resztę amunicji w kopułę miasta.

Jej silniki wybuchły, płomienie ogarnęły natychmiast jedno ze skrzydeł.

Uruchomiła katapultę.

Niebo sięgało ku nim tysiącami palców utkanych z ognia. Nocne przestworza przeistoczyły się w stroboskopowy spektakl. Wiatr wył przeraźliwie. Co kilka sekund kolejna eksplozja ukazywała oczom opadających na linach Urdeshi wielką bryłę kopuły, sylwetki stłoczonych w powietrzu promów, łańcuchy ludzkich ciał wiszące pod ich kadłubami.

Zhyte wypiął się z uprzęży na końcu liny, uderzył bokiem w balustradę. Barijerka biegła wzdłuż krawędzi najniższe promenady kopuły i pułkownik uświadomił sobie z dreszczem grozy, że spadając kilka metrów dalej na lewo znalazł by się poza strefą zrzutu.

Podczas lądowania złamał zebro. Krzywiąc się z bólu zrobił kilka kroków do przodu, za jego plecami na promenadę spadali kolejni żołnierze. W radiu panował dziki chaos krzyżujących się komunikatów.

Próbował odzyskać kontrolę nad swoimi ludźmi i rzucić ich do przodu ale nigdy dotąd nie miał okazji działać w tak ekstremalnych warunkach. Grad pocisków sypał się w jego stronę z pomostu spacerowego położonego dwadzieścia metrów dalej na zachód. Kilkunastu gwardzistów Urdeshi leżało już w nienaturalnych pozach na schodach wiodących ku przeznaczonej dla wyższych klas części promenady.

- Singis ! – krzyknął w eter Zhyte – Pchnij ludzi do przodu ! Pchnij do przodu !

Singis – młody, świeżo upieczony absolwent szkoły oficerskiej – przemknął biegiem obok dowódcy. Zhyte dostrzegł dwóch gwardzistów próbujących rozstawić swój karabin maszynowy, potrącanych i przewracanych co chwila przez kolegów przepychających się po bokach lub wręcz spadających parze strzelców na głowy. Po linach zjeżdżało tylu ludzi, że strefa lądowania nie mogła ich już pomieścić. Stłoczeni pomiędzy ścianą kopuły i krawędzią promenady, Urdeshi zajmowali każdy metr kwadratowy balkonu, tratując się nawzajem. Jakiś żołnierz został przez przypadek wypchnięty za balustradę i ocalił swą skórę wyłącznie dzięki desperacji łapiących go natychmiast towarzyszy.

Zhyte czuł falę gorąca buchającą od kolejnych nadlatujących nad strefę zrzutu promów.

Dowódca Urdeshi mógł ogarnąć wzrokiem kilometrowej długości odcinek promenady. Na całej linii balkonu wisiały statki transportowe, wyrzucające ze swych wnętrzb ubranych w panterki gwardzistów. Pułkownik ujrzał ostrą wymianę ognia przy jednym z włazów pięćdziesiąt metrów

od swojej pozycji – piąty pluton próbował tam sforsować wejście do środka kopuły. Ujrzał detonacje czterech granatów. Ujrzał prom trafiony rakieta przeciwlotniczą, stający w płomieniach i skręcający w bok, przerywający w trakcie tego manewru liny wiszące pod brzuchami dwóch innych transportowców. Ludzie spadali w otchłań całymi grupami, prosto ku śmierci. Prom eksplodował na oczach pułkownika, runął w dół uderzając w krawędź promenady z siłą dostateczną, by cały balkon zadygotał wyraźnie. Pośród zgrzytu dartego metalu transportowiec zsunął się za barierkę deptaka i znikł gdzieś w dole.

Żołnierz klęczący na lewo od pułkownika zgubił w trakcie zjazdu po linie swą maskę tlenową. Dusił się i parskał z bólu, wokół jego oczu i ust rosły żółtawe pęcherze.

Zhyte rzucił się biegiem do przodu nie zwracając uwagi na śmigające w powietrzu krechy laserowej energii, wylądował na klęczkach za niewielkim murkiem stanowiącym mizerną kryjówkę dla czterech innych gwardzistów.

- Musimy uciszyć tamte stanowiska ogniowe ! – krzyknął wskazując dłonią położoną wyżej część promenady. Szeregowiec znajdujący się tuż obok pułkownika targnął się konwulsyjnie, przewrócił na plecy ugodzony dwoma pociskami. Kolejne stanowisko obronne otworzyło ogień, ciężki karabin maszynowy zaczął przeszywać kulami bezbronnych gwardzistów stłoczonych w strefie zrzutu.

Urdeshi zaczęli umierać. Umierali tak szybko, że Zhyte wręcz nie wierzył swym własnym oczom. Jego ludzie byli upchani na ciasnej przestrzeni niczym przeznaczone na rzeź bydło, pozbawieni osłony i możliwości jakiegokolwiek manewru.

Z ust pułkownika wydarło się ochryple przekleństwo. Mężczyzna ruszył biegiem przez odkrytą przestrzeń, pomiędzy świszczącymi kulami, cisnął przed siebie granatem. Siła eksplozji odrzuciła go do tyłu, upadł na plecy.

Dwaj gwardziści chwycili swego dowódcę pod pachy, odciągnęli z powrotem za murek. Górna część promenady stała w płomieniach, zasnuta kłębamii czarnego dymu. Urdeshi opuszczali biegiem strefę zrzutu, przedzierali się w stronę ściany kopuły.

- Jesteś totalnie popieprzony – wydyszał jeden z gwardzistów. Zhyte nie zdążył zorientować się, kto to powiedział.

- Jesteśmy w środku ! – nadał przez radio Singis.

- Do przodu, drużynami – krzyknął Zhyte – Szybko !

Ibram Gaunt był pierwszym tanithijskim żołnierzem zjeżdżającym w dół liny. Pod swymi nogami dostrzegał gładki obły kształt drugiej kopuły Cirenholmu. Pulsująca silnie łuna unosiła się nad linią większej kopuły, przysłonięta jej masywną bryłą. Atak Urdeshi musiał napotkać na silny opór nieprzyjaciela.

Gaunt wylądował na promenadzie, odskoczył w bok ustępując miejsca następnym gwardzistom. Wiązki laserów zaczęły ciąć nocny mrok, wystrzeliwane ze stanowisk obronnych w wyższych częściach kopuły. Kolejni Tanithijczycy spadali na szeroki pasaż spacerowy obiegający wokół całej kopuły tej części miasta. W eterze rozbrzmiały meldunki Corbeca i Mkolla, potwierdzających lądowanie około stu metrów od pozycji Gaunta.

Szeregowcy Caober i Wersun ubezpieczali plecy pułkownika-komisarza. Gaunt pomachał im dłonią nakazując odskoczyć w prawo, zabezpieczyć flankę strefy zrzutu. Nad głową tanithijskiego dowódcy zawisł prom wiozący zespół sierżanta Burone, Duchy stały w otwartych włazach maszyny. Gaunt czuł wibracje powietrza generowane przez pracujące na najwyższych obrotach silniki transportowca.

- Kontakt ! – w eterze rozległ się ostrzegawczy okrzyk sierżanta Varla. Ciemność nocy rozjaśniła siatka laserowych wiązek pulsujących światłem jakieś dwieście metrów na wschód od

miejsca skoku Gaunta. Pułkownik-komisarz dostrzegł ciemne ludzkie sylwetki wbiegające na górną krawędź promenady. Chociaż mrok skrywał tożsamość postaci, Gaunt wiedział, że to nie jego ludzie.

Boltowy pistolet huknął donośnie.

- Naprzód ! Atakować !

Pluton Varla zeskokczył prosto w sam środek strzelaniny. Żołnierze Kolei lądowali na prawej flance, zespół Obela z tyłu.

Varl poczołgał się do przodu strzelając na oślep z karabinu. Obrońcy obsadzali jeden z włączów łączących wewnątrz kopuły ze spacerowym pomostem, ukryci za workami z piaskiem i kompozytowymi płytami.

Tanithijczycy posuwali się do przodu wykorzystując w charakterze osłony ornamentowane filary i postumenty zdobiące promenadę. Varl spostrzegł Ifvana i Jajjo, wdrapujących się na pobliskie podwyższenie z zamiarem zajęcia lepszych stanowisk strzeleckich.

Przykucnąwszy za zżartą kwaśnymi deszczami statuą sierżant zaczął ostrzeliwać ogniem ciągłym podłużną kompozytową płytę zasłaniającą jedno ze stanowisk obronnych. Dołączyło do niego pięciu innych gwardzistów, również ukrywających się za dekoracjami deptaka. Grad laserowych wiązek przepalił płytę, na posadzkę promenady osunęły się martwe ciała obrońców.

- Miotacz ognia ! Potrzebuję miotacz ognia ! – krzyknął w eter Varl – Gdzie jest Brostin, do kurwy nędzy !

Pół kilometra na lewo od pozycji Gaunta oddziały pod rozkazami majora Rawne skakały prosto w środek najsilniej bronionej sekcji strefy zrzutu. Kilkunastu gwardzistów zginęło na miejscu, zastrzelonych jeszcze na linach, przed lądowaniem na balkonie. Prom 2P został trafiony w spodnią część kadłuba, odleciał znad promenady pociągając za sobą opadających w dół żołnierzy.

Heretycy znajdowali się bezpośrednio na deptaku, strzelając z laserów w zatrzymujące się ponad ich głowami transportowce, wspierały ich co najmniej cztery wielolufowe działka automatyczne ustawione we wnękach strzeleckich na górnej połowie kopuły.

Rawne zatrzymał się w futrynie wjazdu.

- Sir ? – odezwał się stojący tuż za majorem Feygor.

- Nie ma mowy, żebyśmy w coś takiego skakali ! – warknął ostro Rawne. Krecha energii przecięła powietrze tuż przy wychylonej na zewnątrz głowie majora.

- Pakiety wybuchowe ! Dajcie mi wasze pakiety ! – krzyknął Rawne odwracając twarz w stronę wnętrza przedziału. Feygor ruszył wzdłuż rzędów żołnierzy trzymając w rękach otwarty worek, każdy mijany Duch wrzucał do niego jeden ze swoich ładunków. Kiedy worek został napełniony, adiutant powrócił biegiem do swego przełożonego.

- Pilot do dowódcy desantu ! Czemu nie skaczecie ?! Nie mogę tu wisieć w nieskończoność !

- Możesz, kurwa mać ! Zrób to ! – wrzasnął do mikrofonu Rawne.

- Mam promy w kolejce za sobą, a przy tym wystawiamy się tutaj na celowniki jak kaczka !

- Moje serce krwawi na myśl o tym ! – krzyknął major zrywając detoklejkę z ostatniego pakietu i wyrzucając worek na zewnątrz maszyny – Nie zmuszaj mnie do tego, by przyszedł tam do przodu i wyrwał twoje, cykorze !

Ładunki spadły na balkon pośrodku licznej grupy obrońców, eksplodowały na oczach majora unicestwiając wszystkie żywe istoty w promieniu pięćdziesięciu metrów.

Rawne zatrzasnęła na linie zaczep haka hamulcowego.

- Teraz możemy skakać ! – oświadczył.

Prom 2K nadleciał zbyt szybko za statkami wiozącymi ludzi majora Rawne. Pilot w ostatniej chwili pojął, że poprzedzające go transportowce weszły w stan zawisu i wykonał desperacki skręt wyłamując się z formacji. Czekaający na rozkaz skoku gwardziści stracili równowagę, przewracali się na podłogę przedziału desantowego. Szeregowiec Nehn, klęczący w otwartym włazie jako jeden z prowadzących, wypadł na zewnątrz, ale zdołał utrzymać się na linie. Grzmotnął ciałem w bok kadłuba tracąc dech, ale nie rozluźniał uścisku.

Pilot maszyny 2K nie chciał wprowadzać kolegów w błąd swym manewrem, toteż rzucił prom w drugi skręt wracając na starą pozycję. Wściekli i zdeorientowani pasażerowie ledwie zdołali pozbierać się na nogi, kiedy kolejny wstrząs przewrócił ich ponownie na podłogę. Transportowiec znalazł się w polu rażenia obrony przeciwlotniczej kopuły, dwa raketowe pociski trafiły w dolną część kadłuba maszyny.

Statek stanął w płomieniach. Domor, dowódca zespołu, krzychał do Duchów, by wszyscy zachowali spokój, Milo i Bonin próbowali wciągnąć do środka wiszącego wciąż na linie Nehna.

- Musimy skakać ! – wrzasnął ktoś w głębi kabiny.

- Nie ma gdzie ! – odkrzyknął Domor.

- Przestrzeliliśmy strefę zrzutu ! – dodał sierżant Haller, dowódca drugiej grupy.

Domor złapał za skórzaną pętlę wiszącą pod sufitem przedziału, zawisł na niej balansując ciałem, ciężki plecak, karabin i hak zrzutowy uderzały go boleśnie w rytm wibracji maszyny. Szeregowiec Guthrie leżał na podłodze kabiny, krew zalewała od wewnątrz wizjery jego maski tryskając z głębokiego rozcięcia na głowie.

- Medyk ! Tutaj ! – krzyknął Domor, po czym przeskoczył nad kilkoma leżącymi wciąż gwardzistami i stanął w progu włazu. Milo i Bonin właśnie wciągali na pokład dyszącego ciężko Nehna.

Domor wyrzwał na zewnątrz. Ogarnięty płomieniami prom opadał coraz niżej, przesuwając się ponad płytami dachowymi drugiej kopuły. Transportowiec znajdował się już dobre trzysta metrów za granicami strefy zrzutu. Spoglądając wzdłuż burty sierżant dostrzegał mrowie tanithijskich statków zatrzymujących się w tyle, sznury wyskakujących z nich ludzi, opadających wprost w jaskrawą poświatę wystrzałów. W słuchawkach Domora rozbrzmiewały głosy żołnierzy, Duch rozpoznawał kody wywoławcze i komunikaty o statusie zespołów – lecz wszystkie te dźwięki stawały się coraz cichsze, odleglejsze, jakby należały do grona ludzi, których towarzystwo sierżant szybko opuszczał. Bryła miejskiej kopuły zakłócała odbiór radiowych transmisji.

Przestrzelili strefę zrzutu. Mieli swoją szansę i nie zdołali jej wykorzystać. Możliwość zawrócenia nie istniała, znaleźli się ponad kopułą miasta oddalając się coraz bardziej od lądowiska. Rozkazy były w takim przypadku jednoznaczne: zawrócić ustawiając się na kursie 1:03:04, po czym odnaleźć macierzysty sterowiec. To wszystko, chłopaki. Próbowaliście, ale się nie udało. Wracajcie do domu i powodzenia następnym razem.

Tyle, że powrót na sterowiec nie wchodził w grę. Domor wyrzwał ponownie na zewnątrz maszyny. Przewody paliwowe transportowca zostały uszkodzone, część z nich już stała w ogniu, a wnioskując z trajektorii lotu wysłużonego ciężkiego promu, pilot z każdą chwilą tracił kontrolę nad swoją maszyną.

Nigdy nie zdołaliby dolecieć do sterowca, nie mieli żadnych szans.

A nawet jeśli taka szansa by istniała, wbrew przekonaniu samego Domora, zwrot w przeciwnym kierunku wprowadziłby statek wprost na lufy nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej, czyniąc z niego wielki, oświetlony językami ognia kąsek.

Pasażerowie transportowca tak naprawdę już nie żyli.

Varl przypadł na kolana, na jego głowę posypały się kawałki rozkruszonego kamienia i kompozytowej okładziny. W głębi szerokiego holu ktoś okazał się właśnie posiadaczem ciężkiego karabinu maszynowego.

Gwardziści zlikwidowali punkt obrony na zewnętrznym parapecie kopuły i wdarli się do jej środka poprzez jeden z głównych włazów spacerowych. Pluton Varla jako pierwszy znalazł się w Cirenholmie, chociaż wnioskując po ożywionych komunikatach radiowych, major Rawne również kończył zabezpieczać własny wyłom.

Właz, przez który Duchy wdarły się do środka kopuły przechodził w szeroki hol wyłożony płytami polerowanego ashlaru i ozdobiony okrągłymi marmurowymi kolumnami. Gładką posadzkę pokrywały kawałki gruzu i ciała zabitych obrońców.

Varl wiedział, że przyszło mu zmierzyć się z niesławnym Paktem Krwi, poświęcił wiele uwagi prowadzonym przed akcją odprawom. Pakt Krwi nie był zbieraniną bezrozumnych heretyków, tylko organizacją wojskową skupiającą żołnierzy służących potęgom Chaosu. Już sama dyscyplina i profesjonalizm obrońców przy władze mówił sierżantowi, że przyszło mu walczyć z dobrze wyszkolonymi przeciwnikami.

Heretycy bronili holu z podręcznikową wręcz efektywnością: broń maszynowa pokrywała polem rażenia odkrytą przestrzeń, punktowała krótkimi seriami pocisków okolice włazu.

Varl skoczył za kolejną kolumnę i skrzywił usta czując jak ciężkie pociski wyrrywają po jej przeciwnej stronie wielkie bryły marmuru. Kamienne szczątki śmigwały we wszystkich kierunkach.

- Brostin ! – krzyknął do mikrofonu sierżant. Miotacz płomieni uTORował gwardzistom drogę na drugą stronę włazu. Jeśli Brostin zdołałby się wedrzeć w głąb holu, mógł zmusić broniących go heretyków do odwrotu.

Wiązki laserów i pociski z broni kulowej cięły z wizgiem powietrze wokół kolumny. Spoglądając w tył Varl widział Brostina ukrywającego się trzy kolumny dalej. Sierżant wyjrzał w drugą stronę i z miejsca został trafiony w ramię. Chowając się za filar przesunął palcami po dymiącej dziurze w swym kombinezonie. Cybernetyczna ręka, ciężka, połyskująca metalicznie, pozostała nienaruszona.

- Dziewiątka do szóstki !

- Szóstka do dziewiątki ! – w słuchawkach zgłosił się Kolea.

- Gdzie jesteście, dziewiątka ? – Varl przeklinał w myślach maski przeciwgazowe. Założone na twarz urządzenie praktycznie go oślepiało.

- Za tobą, po drugiej stronie holu ! – odpowiedział Kolea. Spoglądając we wskazanym kierunku Varl dostrzegł sylwetę wielkiego Verghastyty tkwiącą za kolumną po prawej stronie pomieszczenia. Sierżantowi towarzyszyło dwóch członków jego plutonu.

Kanonada wciąż trwała, w powietrzu pryskały kawałki marmuru. Pomimo zasłaniającej uszy maski Varl słyszał wyraźnie stukot spadających na posadzkę metalowych łusek cekaemu. Sierżant osunął się na kolana i zaczął manipulować przy zerwanym z pasa pakiecie wybuchowym.

Nieprzyjacielski ostrzał przybrał znienacka na sile, posadzka między dwoma rzędami filarów pokryła się mrowiem miniaturowych kraterów. Varl podniósł wzrok i ku swemu bezbrzeżnemu zdumieniu ujrzał Koleę przesadzającego wielkimi susami przejście i lądującego na ugiętych nogach dwa filary przed tanithijskim sierżantem. Verghastyta przywarł plecami do uszkodzonej pociskami kolumny, cisnął z ukosa granatem.

Wybuch przesłonił korytarz płomieniami i kłębamii dymu. Varl rzucił się przed siebie, minął Koleę, przypadł do kolumny znajdującej się przed filarem Verghastyty. Widząc jego pozycję

Kolea pobiegł do przodu, zrównał się z Varlem, minął go błyskawicznie chowając się za kolejną marmurową osłoną.

To była idiotyczna, śmiertelnie niebezpieczna gra, przywodząca Varlowi na myśl grożące kalectwem popisy nastolatków w latach jego dzieciństwa. Tutaj nie były potrzebne żadne umiejętności, żadne doświadczenie – zero taktyki, czysty łut szczęścia. Biegali poprzez ogień nieprzyjaciela drwiąc z jego pocisków, rzucając śmierci wyzwanie i jak dotąd żyli tylko i wyłącznie dzięki niebywałemu szczęściu.

Kolea spojrzął przez ramię na Varla.

Przeklęta gra ze śmiercią. Pociski gwizdały w powietrzu.

Varl wychylił się zza filaru, posłał przed siebie serię z lasera, po czym nadwerężył i tak już szczątkowy kredyt szczęścia ważąc się na skok w stronę następnej w rzędzie kolumny. Przyciskając się do niej plecami czuł jak marmur wibruje pod impetem uderzających w filar z drugiej strony pocisków.

Gra grą, ale zawsze przychodził czas na opamiętanie. Imperator czuwał nad nimi aż do tej chwili, lecz jego łaska mogła ustać w każdym momencie. Kolejny krok był praktycznie równoznaczny z samobójstwem. Varl wiedział, że szczęście było przyjacielem żołnierza, ale posiadało kapryśną naturę i nienawidziło proszenia o przysługę.

- Dziewiątka, tu szóstka, pozostań pod osłoną. Sądzę, że...

Pociski cekaemu zaczęły rozłupywać ścianę korytarza. Kolea wykonał właśnie szaleńczy sprint wzdłuż najbliższej ściany i wylądował za kolumną dobre dziesięć metrów w głębi pomieszczenia.

- Dziewiątka !

- Szóstka ?!

- Całkiem ci odwaliło ?!

- To działa, nie sądzisz ?!

- Ale nie powinno i na pewno się nie uda, jeśli spróbujemy raz jeszcze !

- Strach cię obleciał, Tanithjczyku ?!

- Pieprz się, Kolea !

Spśród wszystkich gwardzistów Pierwszego to właśnie Kolea i Varl stanowili idealne ucieleśnienie rywalizacji pomiędzy Duchami różnych narodowości. Po obu stronach można było znaleźć ludzi trapionych ksenofobicznymi uprzedzeniami, pretensjami i czystą niechęcią wobec rzekomych rywali. Sierżant Varl i sierżant Kolea zostali przyjaciółmi w pierwszych miesiącach wspólnej służby, ale przyjaźń tę scementowała właśnie ustawiczna rywalizacja. Obaj byli doświadczonymi żołnierzami, szanowanymi przez swoich podwładnych; obaj mogli się pochwalić doskonałymi kontaktami z Gauntem. Każdy z nich otrzymał też komendę nad jednostką, która uchodziła w oczach wszystkich za solidną, zahartowaną w bojach i wyjątkowo zdyscyplinowaną.

Klasyfikacja ta nie miała żadnego odniesienia w wojskowych regulaminach. Wcześniej opinię taką wypracowało sobie kilka plutonów skupiających w swych szeregach elitę regimentu: zwiadowcy Mkolla, bezlitośni zabójcy Rawne, wierni ludzie Corbeca, profesjonalści Braya i fanatycznie lojalna gromadka Sorica. W skład tych plutonów wchodziłi najlepsi żołnierze regimentu, jego śmietanka, zwana potocznie „pierwszą piątką”. Kolea i Varl zdołali wprowadzić do tej grupy własne oddziały. Poczucie przynależności do elity przyniosło im sporą satysfakcję, ale obaj pragnęli czegoś więcej.

W walce rywalizacja przybierała bardziej drastyczną formę. Nie było ich winą, że zostali wyłączeni ze epickiej obrony Świątyni na Hagii. Obaj wchodziłi wtedy w skład tylnej straży regimentu i chociaż wykonali dobrą robotę, ominęła ich okazja do wzięcia udziału w prawdziwie

heroicznej akcji. Ominęła ich okazja do udowodnienia swej wartości.

To zapoczątkowało tę upiorną grę ze śmiercią. Głupią niebezpieczną zabawę kuszącą zły los i prowokującą nieszczęście, którego jednego z rywali okryłoby aurą herosa, a drugiego uczyniło martwym przegranym.

Varl dosłużył się stopnia dowódcy plutonu startując z pozycji szeregowego żołnierza. Ciężko walczył, by zdobyć swe belki, nie zawdzięczał ich sławie otaczającej przywódców vervuńskich kompanii ochotniczych.

Lecz teraz miał już dosyć.

- Ani kroku więcej, dziesiątka ! Słyszysz mnie ?! Ani kroku !
- Łamiesz mi serce, szóstka ! – odpowiedział Kolea.
- Musimy podciągnąć tutaj miotacz ognia...
- Rób, co uważasz za słuszne... Ja idę do przodu...
- Dziewiątka !

Varl wyjrzał zza filaru, zobaczył morze laserowych wiązek i pocisków smugowych omiatających przestrzeń zamkniętą w ścianach korytarza. Zobaczył Koleę biegnącego poprzez to piekło, jakimś cudem nawet nie drażnionego, wciąż całego i zdrowego. Zobaczył setki miejsc, w których pociski i energetyczne wiązki wyrwały dziury w ścianach, posadzce i suficie.

Kolea biegł przed siebie. Jego żona zginęła w Vervunhive, przez długi czas pewien był, że podobny los spotkał dwójkę jego dzieci. Okrutne przeznaczenie sprawiło, że synowie Kolei jednak przeżyli, trafiając w opiekuńcze ramiona Tony Criid i jej tanithijskiego partnera Caffrana.

Okrucieństwo nie było tu dość odpowiednim słowem. To było niezwykle okrutne, to wykraczało wręcz ponad takie określenie. Kolea odkrył prawdę dopiero na Hagii i zachował ją wyłącznie dla siebie. Dzieciaki – Dalin i Yoncy – przeszły przez piekło wierząc w śmierć prawdziwych rodziców i akceptując parę swych nowych opiekunów, Criid i Caffrana. Kolea postanowił, że nie będzie burzył po raz kolejny porządku dziecięcego świata.

Unikał ich, trzymał się z daleka. Nikt inny nie odkrył przerażającej prawdy, nikt z wyjątkiem Any Curth, której Kolea kiedyś się zwierzył. Sierżant wierzył, że podjął słuszną decyzję. Czuł się uwolniony od ciężkiego brzemienia.

Mógł walczyć i umrzeć służąc Imperatorowi.

Pobiegł poprzez morze ognia. Kolea był potężnie zbudowanym mężczyzną, który wiele lat życia spędził w kopalniach Verghastu. Posępny, rzadko okazujący poczucie humoru, silny fizycznie. Samą swą posturą powinien tworzyć łatwy cel, a tymczasem żaden nieprzyjacielski strzelec nawet go nie drasnął. Pociski świstały wokół jego ciała, krzeszały iskry na kamiennych filarach, punktowały zniszczoną posadzkę.

Wciąż żył.

Przez ułamek sekundy zastanawiał się, czy aby nie uskoczyć w bok w poszukiwaniu jakiejś osłony, ale był już tak blisko celu, że uznał taki manewr za bezsensowną stratę czasu.

Przesadził z boku pryzmę worków z piaskiem, wylądował w gnieździe broni maszynowej i zastrzelił dwóch heretyckich żołnierzy. Trzeci runął na niego z lewej, ale Kolea płynnym ruchem przebił mu bagnetem hełm i kość skroniową.

Obrońcy należeli do Paktu Krwi. Mieli na sobie znoszone, ale dobrze utrzymane mundury i pancerze osobiste w kolorze ciemnej czerwieni, bandoliery z magazynkami i granatami wiszące na czarnych nylonowych linkach oraz karmazynowe hełmy ze stali z podwieszonymi żelaznymi maskami chroniącymi twarze heretyków. Na ich rękawach i piersiach lśniły insygnia Chaosu.

Inna grupa żołnierzy Paktu rzuciła się w stronę Kolei przekonana, że gniazdo padło ofiarą ataku całej drużyny lojalistów. Ich czerwone sylwetki przewracały się i nieruchomiały na posadzce trafiane wiązkami laserów – Varl biegł w stronę Kolei strzelając w ustawionej w trybie

automatycznym broni, wykrzykując na całe gardło imiona swych rodziców i sióstr.

Raflon, Nour i Brostin byli tuż za nim. Raflon oddał wysmienity strzał przepalając na wylot czaszkę Pakciarza, który wychynął z kryjówki za futryną pobliskich drzwi.

Brostin zalał wnętrze bocznego pomieszczenia strumieniami płynnego ognia. Coś eksplodowało tam z donośnym hukiem. Dwaj żołnierze Paktu Krwi wytoczyli się na korytarz, elementy ich pancerza odpadały od trawionego płomieniami materiału mundurów.

Porozumiewając się bez słów Varl i Kolea złapali ciężki karabin maszynowy ustawiony w gnieździe, obrócili broń w drugą stronę i zaczęli strzelać w głąb korytarza. Varl obsługiwał mechanizm spustowy cekaemu, Kolea zajął się podajnikiem amunicyjnym.

Przestarzały cekaem wciąż dysponował potężną siłą ognia. Varl wiedział o tym, niecałą minutę wcześniej miał sposobność szarżować wprost na jego lufę.

Przestrzeń korytarza rozpałyły nowe strugi ognia i stali. Bragg zrównał się z gniazdem, strzelał z własnego karabinu maszynowego opartego o biodro, jego ładowniczy Caill ustawicznie wymieniał w ciężkiej broni bębny z amunicją.

- Naprzód ! Naprzód ! – krzyknął Kolea. Nour i Bragg, Caill, Raflon, Hwlan, Brostin i Brehenden, Vrill i Mkvan, tuzin innych Duchów, ruszyli w głąb przejścia ubezpieczając się wzajemnie ogniem.

Varl puścił kolbę rozgrzanego cekaemu i spojrzał w stronę Kolei.

- Jesteś szalony, Gol.
- Szalony ? To wojna jest szalona. Złamaliśmy ich czy nie ?
- Ty ich zламаłeś. Jesteś szalony, totalnie popieprzony. Czubek.
- Jak zwał, tak zwał.

Podnieśli z posadzki swe lasery i ruszyli w ślad za resztą Duchów.

- Kiedy powiem Gauntowi, co takiego zrobiłeś... – zaczął Varl.
- Nie mów mu. Proszę cię, nie mów.

Kolea spojrzał w bok i Varl ujrzał za zaporowanymi wizjerami maski jego poważne ciemne oczy.

- Po prostu nic mu nie mów.

- Musimy skakać. Teraz – oświadczył Domor. Prom 2K zatrząsł się ponownie trafiony serią z broni maszynowej.

- Skakać ? – powtórzył z grozą w głosie sierżant Haller.
- Zamknij się i zrób to albo zginiemy !
- Na kopułę ?
- Tak, na kopułę !
- Ale przestreliliśmy strefę zrzutu ! Musimy...
- Co musimy ?! – warknął Domor spoglądając w stronę Hallera – Zawrócić ? Próbuj na własną rękę, Verghastyto, nie sądzę, żeby...
- Prędkość spada ! – krzyknął Milo.
- Silniki padają ! Nie mogę utrzymać wysokości ! – wrzasnął tkwiący w kokpicie pilot.
- Skakać – powtórzył Domor. Haller stał przy jednym włazie, Bonin i Nehn przy drugim. Płonący transportowiec leciał w ciemności ponad kopułą, jej obły kształt przysłaśniał już łunę wystrzałów na atakowanej przez lojalistów krawędzi. Gwardziści niczego na zewnątrz nie widzieli, równie dobrze mogli się już znajdować poza granicami dachu. Noc była smolistą czernią pozbawioną jakichkolwiek wyraźnych szczegółów.
- Musimy... – zaczął Domor.

Komandor Bree Jagdea odniosła wrażenie, że wojna toczy się zupełnie gdzieś indziej, na innej planecie. Flary i błyski wystrzałów rozświetlały czerń nocy na prawo od niej, ale sprawiały wrażenie niebywale odległych.

Leżała na metalowym poszyciu dachowym jednej z kopuł Cirenholmu, drugiej w jej osobistej opinii. Noc była lodowata, silny wiatr kasał bezlitośnie swym dotykiem. Podczas lądowania kobieta złamała sobie rękę i kilka żeber, jej gruby lotniczy kombinezon został podarty w wielu miejscach.

Balon ratunkowy nie zdążył się do końca napęcznieć po wystrzeleniu fotela z kabiny myśliwca. Kobieta uderzyła z dużą szybkością w powierzchnię kopuły.

I tutaj pewnie pisane jej było pozostać aż do chwili, w której mróz przedświt obróci jej ciało w jedną z martwych dekoracji dachu.

Kiedy Jagdea ujrzała transportowiec po raz pierwszy, maszyna stała już w płomieniach. Prom leciał tuż nad kopułą zmierzając w stronę Phantyjki, syjąc za sobą kawałkami palących się części. Ujrzała otwarte włazy, stojących w nich ludzi gotowych do zjazdu w dół lin.

Zamierzali skakać w niewłaściwym miejscu, na stromej części kopuły, gdzie nie było żadnego oparcia, a lądowanie groziło nieuniknionym ześlizgnięciem się aż do krawędzi dachu, a potem upadkiem w Otchłań.

Zareagowała bez namysłu, wiedziona impulsem. Zerwała z ratunkowej uprząży niewielki kanister i rozlała wokół siebie fosforyzującą silnie farbę.

- Tutaj ! – krzyczała wymachując desperacko zdrową ręką, niczym człowiek wzywający pomocy
– Tutaj !

Prawda była taka, że to ona ratowała innych.

- Feth ! Mamy strefę zrzutu ! – wykrztusił zaskoczony Bonin.
- Co ?! – Haller poprawił swą maskę, by zyskać lepszą widoczność.
- Tam, sierżancie – wskazał dłonią Bonin.
- Skręć na prawo ! Na prawo ! – wrzasnął w stronę pilota Domor.

Prom 2K skręcił w lewo, zaczął piąć się wzdłuż obłego kształtu kopuły, metalowe poszycie dachu przesuwano się tuż pod jego brzuchem. Na powierzchni kopuły pulsowała fosforyzująca poświata, zaczynająca już powoli przygasać.

Gwardziści ruszyli w dół lin. Milo poprowadził drużynę z prawej strony, hamulec jego haka zrzutowego piszczał przeraźliwie do chwili zetknięcia chłopca z twardą powierzchnią dachu. Domor skoczył w ślad za nim, później Bonin i Ezlan.

Po drugiej stronie kabiny skakali kolejno Haller, Vadim, Reggo i Nirriam.

Ludzie lądowali z hałasem na kopule, rozpościerając szeroko ręce i szukając z desperacją uchwytów, panicznie bojąc się ześlizgnięcia w śmiertelnie pustką za krawędzią stromego dachu. Wyskoczyło dwudziestu, dwudziestu pięciu, trzydziestu, trzydziestu pięciu.

Silniki promu umilkły zniemacka. Domor usłyszał w eterze krzyk pilota, poderwał w górę głowę. Transportowiec runął z nieba niczym kamień i wyrznął z hukiem w dach, miażdżąc pod swoim ciężkim kadłubem pół tuzina wiszących jeszcze na linach Duchów.

A potem zaczął się zsuwać w dół.

Powietrze przeszył rozdzierający uszy zgrzyt metalu. Co najmniej dwudziestu gwardzistów wciąż pozostawało przypiętych do lin, ponieważ z powodu zbyt niskiej wysokości ich haki nie zdołały się samoczynnie wypiąć; ciężar maszyny pociągnął ich za sobą. Domor, Nehn i Milo nie potrafili oderwać wzroku od płonącego promu, zsuwającego się powoli w stronę krawędzi kopuły i wlokącego za sobą żołnierzy.

W eterze wciąż nie milkł przeraźliwy krzyk pilota.

- Przetnijcie liny ! Przetnijcie te zasrane liny ! – wrzeszczał z całych sił Domor.

Bonin użył swego tanithijskiego noża, odpadł od liny, złapał się w ostatniej chwili jakiegoś pokrytego warstwą szronu masztu. Ośmiu ludzi Hallera zdołało powtórzyć ten wyczyn uwalniając się od haków. Ezlan zgubił wcześniej swój nóż, ale nadludzkim wysiłkiem zdołał zedrzeć z siebie uprząż skokową.

W chwili, gdy Dremmond odciął się od liny, ta wystrzeliła pod wpływem ogromnego naprężenia w powietrze i cisnęła mężczyzną poprzez dach znacząc mu ciało głęboką szramą na wysokości barku. Jeszcze sześciu podwładnych Hallera i dziewięciu Domora zdążyło uwolnić się z pułapki i przywrzeć do metalowego poszycia dachu.

Prom zsunął się poza kraniec kopuły pociągając za sobą rzędy krzyczących przeraźliwie ludzi. Zapadła głęboka cisza.

Milo podniósł się chwiejnie na kolana. Wokół zrobiło się nagle ciemno i bardzo zimno, gładki dach pokryty był warstwą zdradliwego szronu. Jedyne oświetlenie pochodziło od palących się szczątków promu porozrzucanych na trasie jego ostatniej podróży oraz odległej luno nad strefą zrzutu. Pomimo dobiegających go odgłosów walki czuł się niewiarygodnie samotny, niczym rozbitek pośrodku nocy na szczycie wielkiej góry.

- Odliczyć stan – rzucił w eter polecenie Domor. Jeden po drugim, bez jakiegokolwiek porządku, gwardziści zgłaszali swą obecność. Krakę przeżyło piętnastu ludzi Domora i czternastu Hallera. Wszyscy zaczęli zbierać się powoli wokół płaskiej podstawy masztu komunikacyjnego sterczącego ponad poszyciem dachu. Ktoś ślizgał się co chwila, z ust ludzi padały zduszone lękliwe przekleństwa.

Ezlan i Bonin dołączyli do reszty grupy prowadząc ze sobą raną kobietę w lotniczym kombinezonie. Nazywała się Jagdea, jej Lightning został zestrzelony, a ona sama wyskoczyła z maszyny lądując na drugiej kopule miasta. Ona też użyła fosforyzującej farby, by ściągnąć na siebie uwagę gwardzistów i wyznaczyć im bezpieczną strefę zrzutu.

Miała złamaną rękę i przemarzła na wskroś, a postępujący szybko szok sprawiał, że ledwie docierały do niej nieskładne podziękowania żołnierzy.

Milo odwrócił głowę słysząc głuchy dźwięk upadku. Dremmond, ranny i obciążony swym masywnym miotaczem ognia, stracił równowagę na pochyłym fragmencie dachu, zaczął ześlizgiwać się powoli, ale ustawicznie w stronę krawędzi kopuły.

- Feth ! Och, feth ! – wykrztusił próbując desperacko znaleźć jakieś oparcie, jego ukryte w rękawicach palce nie potrafiły się nigdzie zaczepić – Pomóżcie mi !

Milo ruszył ze swego miejsca. Dremmond zdążył już minąć dwóch żołnierzy, którzy okazali się zbyt zaskoczeni albo sami mieli zbyt niepewne oparcie, by próbować go pochwycić. Hak hamulcowy Dremmonda i zbiorniki jego miotacza tarły z głośnym piskiem o poszycie dachu.

Milo słyszał za sobą zduszone okrzyki towarzyszy. Sam stracił chwilę potem równowagę, upadł ciężko na bok, zaczął osuwać się coraz szybciej w dół. Nie znajdując żadnego oparcia uderzył z rozpędu w Dremmonda, szczepił się z nim rękami. Obaj mężczyźni zjeżdżali w dół coraz szybciej.

Krawędź kopuły sprawiała wrażenie przerażająco bliskiej, Milo dostrzegał palące się jeszcze miejsca, w których kadłub zestrzelonego promu wygiął w dół kant poszycia spadając w Otchłań.

Silne szarpnięcie zatrzymało ich w miejscu. Dyszący ciężko Milo uświadomił sobie, że ocalenie zawdzięcza wystającemu z dachu zardzewiałemu nitowi, o który zahaczył pasek jego karabinu. Dremmond przywarł ciałem do Brina i zatrząsk paska broni zaczął trzeszczeć coraz głośniej.

Coś ciężkiego uderzyło w pokryty lodem dach tuż obok ich głów. Była to lina używana do

zrzutu, ciśnięta przez kogoś z wyższej części kopuły.

- Łapcie ją ! – Milo usłyszał czyjś ponaglący okrzyk. Chwycił linę i podniósł głowę spoglądając w górę. Jakiś żołnierz pełził w ich stronę powoli, ostrożnie zmieniając uchwyt dłoni na śliskim kablu. Verghastyta, Vadim. Ciemne sylwetki majaczące powyżej zdradzały miejsce, w którym Bonin, Haller, Domor i reszta ocalałych z kraksy żołnierzy przywiązywała drugi koniec liny do podstawy masztu.

Vadim znalazł się na wysokości obu Duchów.

- W taki sposób, w taki – wydyszał pokazując Tanithijczykom jak owinać linę wokół rąk, by im się przez przypadek nie wyslizgnęła z dłoni – Wszystko z wami w porządku ?

- Tak – odpowiedział Milo.

- Dobrze, nie ruszajcie się z miejsca.

Ku bezbrzeżnemu zdumieniu Mila Vadim popęzł dalej w dół liny, ku krawędzi kopuły. Z wymiennika powietrza w tylnej części jego maski buchały niewielkie obłoczki pary. Verghastyta znalazł się na samym krańcu dachu, owinał się końcówką liny w pasie, a potem położył się na brzuchu i wychylił za krawędź zwisając głową w dół.

- Feth, co on robi ? – wykrztusił zaskoczony Dremmond.

Milo pokręcił tylko głową nie potrafiąc znaleźć odpowiedzi. Pozostawało mu tkwić w miejscu i śledzić wzrokiem poczynania Verghastyty. Vadim wycofał się z powrotem nad krawędź kopuły, poprawił linę w pasie, a zdjął ze swej uprząży cienką metalową linkę do wspinaczki stanowiącą element podstawowego wyposażenia każdego gwardzisty. Manipulował przy niej przez chwilę, potem zaś jeden koniec przywiązał do grubej liny zrzutowej, drugi natomiast przerzucił za krawędź dachu.

- Musi pan wziąć na siebie cały ciężar, sierżancie, słyszy pan ? – odezwał się nagle w radiu.

- Zrozumiałem – odpowiedział Haller.

- Niech pan się dobrze przywiąże – dodał Vadim.

- Jesteśmy tu przywiązani do cholernie grubego masztu.

- Dobrze. To ciągnijcie krótkimi, silnymi ruchami. Liczcie do trzech między kolejnymi pociągnięciami i nie wahajcie się, bo inaczej skończymy tutaj marnie.

- Dobra, rozumiem.

- To zaczynajcie.

Lina drgnęła silnie. Milo poczuł, że przesuwa się z powrotem w górę dachu, po kilka centymetrów na raz. Dłonie Dremmonda zacisnęły się mocniej na ciele młodego gwardzisty.

- Dalej ! Dalej ! – ponaglał z dołu Vadim.

Czas zwolnił niebywale, Milo drętwiał coraz bardziej z zimna. Po długiej chwili poczuł chwytające go ręce, został razem z Dremmondem wciągnięty na podstawę otoczonego przez gwardzistów masztu komunikacyjnego. Zerkając w dół w stronę Vadima Milo zauważył ze zdumieniem, że verghastycki Duch nie był sam – ciągnął ze sobą dwie inne osoby. Milo dołączył natychmiast do grona ciągnących linę żołnierzy.

Vadim znalazł Seenę i Arillę, dwie verghastyckie dziewczyny obsługujące karabin maszynowy. Wrak promu przeciągnął je obie za krawędź kopuły, ale urwany fragment liny zawisł na jakiejś wystającej spod dachu rurze ratując im życie. Vadim usłyszał desperackie krzyki dziewcząt w drodze do Mila i Dremmonda.

Duchy wciągnęły całą trójkę na podstawę masztu. Vadim leżał przez chwilę płasko na brzuchu, dysząc ciężko. Fayner, jedyny sanitariusz, który wyszedł z życiem z kraksy, sprawdził stan dziewczyn, a potem opatrzył brzydką ranę Dremmonda, pokrywaną się już powoli pęcherzami.

Gwardziści zaczęli zapalać ręczne latarki, kontrolować swą broń i ekwipunek. Haller i Domor

sięgnęli po wojskowe kompasy i mapniki, próbując określić dokładniej swoją pozycję na dachu Cirenholmu. Domor przywołał do siebie Bonina, jednego z najlepszych zwiadowców regimentów; jednego z ulubieńców Mkolla.

- I co teraz zrobimy ? – zapytał Mila Nehn.

- Znajdziemy przejście do środka ? – zasugerował Brin.

- A niby jak ? – burknął Lillo, jeden z vervuńskich weteranów służących w plutonie Hallera.

Bonin usłyszał jego pytanie, obejrzał się przez ramię, pokazał trzymany w dłoni kawałek papieru.

- Imperator nas pobłogosławił. A raczej sam Gaunt. Mam mapę.

Nieprzyjaciel zniknął gdzieś bez śladu.

Zhyte wyrzwał ostrożnie ze swej kryjówki, ale rozciągający się przed nim szeroki korytarz był całkowicie pusty. Singis zgłosił się przez radio, potwierdził wrażenie pułkownika.

Dowódca Urdeshi postąpił kilka kroków do przodu. Jego żołnierze znajdowali się w obrębie pierwszej kopuły od dobrej godziny, a jak dotąd zdołali posunąć się zaledwie trzysta metrów w głąb miasta. Wdarli się co prawda do Cirenholmu, ale drogo im przyszło zapłacić za to, krwią i zmarnowanym czasem. Wielu gwardzistów zginęło w zestrzelonych nad strefą zrzutu promach, jeszcze więcej podczas zaciekłych walk o zewnętrzne włązy.

A teraz nie sposób było pozbyć się wrażenia, że nieprzyjaciel po prostu podał tyły.

Zhyte przemieścił się na czworakach w stronę Singisa, wprowadzającego bieżące pozycje oddziałów do elektronicznego mapnika w oparciu o koordynaty, które podawał mu klęczący obok oficer radiowy Gerrishon.

- Pokaż mi to – burknął pułkownik zabierając młodemu oficerowi notes. Jego zastępca Shenko wciąż pozostawał uwikłany w ostrą wymianę ognia na promenadzie, Zhyte słyszał wyraźnie trzask dobiegających z zewnątrz wystrzałów i detonacji. Trzy grupy bojowe, w tym jedna pod komendą samego pułkownika, zdołały przebić się do wnętrza kopuły, napotykając na zażarty opór noszących ciemnoczerwone mundury i żelazne maski żołnierzy Paktu Krwi. W eterze można było usłyszeć raporty składane przez bandę Gaunta w drugiej strefie zrzutu i Fazalura w trzeciej, ale Zhyte nie przykładał do nich większej wagi. Głównym celem ataku była pierwsza kopuła, a zaszczyt jej zajęcia powierzono Urdeshi. To była sprawa honorowa i Zhyte nie dopuszczał w myślach możliwości porażki.

Ale nagle wokół zrobiło się przeraźliwie cicho. Dziesięć minut temu okoliczne korytarze i sale były świadkami bezlitosnej konfrontacji, niemalże walki wręcz, o jej intensywności świadczyły leżące wokół trupy i zdemolowane pomieszczenia.

Pakt Krwi zniknął zniemacka, jakby zapadając się pod ziemię.

- Może wycofali się na lepiej przygotowane pozycje obronne w głębi kopuły – zasugerował Singis.

Zhyte skinął nieznacznie głową, ale nie potraktował tej sugestii poważnie. Jeśli Pakt Krwi zdecydowany był na eksterminację lojalistów, mógł przystąpić do realizacji tego założenia już na obrzeżach miasta. Urdeshi zdołali wykorzystać kilka trików taktycznych, ale jak dotąd nie zyskali w ten sposób zbyt wiele. Nieprzyjaciel posiadał wyśmienicie przygotowane pozycje obronne, ich opuszczenie w taki sposób nie miało najmniejszego logicznego uzasadnienia. Singis plótł nieprzemysłane brednie.

Zhyte cisnął notes z powrotem w ręce adiutanta. Chociaż sama myśl o tym raniła boleśnie dumę własną pułkownika, cała ta akcja od początku sprawiała wrażenie militarnej katastrofy. Gdyby nie nagła interwencja phantyńskich Lightningów, wszystkie promy Urdeshi korodowały by już pewnie w dolnych warstwach Otchłani – chociaż Zhyte nigdy nawet przez myśl by nie

przeszło, by podziękować za to tej aroganckiej suce Jagdei. Dzięki wsparciu phantyńskich pilotów pułkownik stracił kilkuset żołnierzy, a nie kilka tysięcy.

A teraz coś takiego... jakby jego wyborowi szturmowcy padli ofiarą wymyślnej gry w kotka i myszkę.

Wyszarpnął z rąk Gerrishona mikrofon.

- Belthini ? Rhintlemann ? Słyszycie mnie ?

Oficerowie dowodzący pozostałymi dwiema grupami bojowymi w obrębie kopuły zgłosili się natychmiast.

- Nie wiem, co się tutaj dzieje, ale nie zamierzam tkwić w miejscu przez całą noc. Odliczamy trzy minuty, od tego momentu. Idziemy do przodu, przynajmniej spróbujemy nastąpić im na pięty.

Obaj oficerowie potwierdzili odbiór rozkazów. Dość tego pełzania kroczeń za kroczkiem, pomyślał Zhyte. Pułkownik wymienił magazynek w pistolecie na pełny, miał w kieszeniach spory zapas amunicji.

- Idź lewą stroną – powiedział do Singisa – Weź ze sobą trzeci i czwarty zespół. Szósty i drugi ze mną. Pierwszy cel to tamten wielki właz, chcę mieć to przejście zabezpieczone i chcę mieć wzdłuż kolumnady odpowiednio ustawione stanowiska broni wsparcia.

- Tak jest, sir !

- Skoro już o tym mówimy... Kadakedenz ?!

Kucający u lewego boku Singisa zwiadowca podniósł pytający wzrok.

- Sir ?

- Wybierz sześciu ludzi i posuwaj się równoległym korytarzem, za tamtym włazem. Nieprzyjaciel może chować się na flankach w nadziei na to, że nas ekranuje.

- Ekranuje, sir ?

- Przestrzeli nam od boku dupy, Kadakedenz !

- Nie sądzę, by oddawało to sens terminu ekranowanie, sir. Nie w technicznym tego słowa...

- Nie sądzę, by twoje pieprzenie w czymkolwiek nam pomogło, nie w technicznym tego słowa znaczeniu ! Ale ujmę to innymi słowami. Zechcesz z łaski swojej zabrać paru ludzi i ubezpieczyć tamten korytarz czy jesteś zbyt zajęty sranieniem we własne portki, by wykonać mój rozkaz ?

- Przyjąłem polecenie, sir.

Zhyte spojrzał na opinający nadgarstek chronometr. Wskazówka stopera zbliżała się nieubłaganie w kierunku statycznej strzałki wyznaczającej moment z grupami Belthiniego i Rhintlemanna.

- Weźmy się do konkretnej roboty.

W bocznym holu przylegającym do głównego korytarza biegnącego przez drugą kopułę miasta powietrze przesyciły kłęby dymu. Szeregowiec Wersun wkładał do swego karabinu ostatnią baterię.

- Resztkę amunicji ? – zapytał Gaunt przystając tuż obok żołnierza. Duch wyprężył się zaskoczony pytaniem.

- Tak, sir. Ostatni akumulator, sir.

- Oszczędzaj go – Gaunt przykucnął obok Wersuna, wymienił w swym boltowym pistolecie magazynek, schował energetyczny miecz do przewieszzonego przez plecy pokrowca.

Pułkownik-komisarz zdawał sobie sprawę z faktu, że inni żołnierze podobnie jak Wersun zakładali do laserów ostatnie baterie. Jeśli regiment miał ująć z tej operacji z życiem, Gaunt zamierzał zaprezentować Duchom pokaz wiwisekcji z użyciem miecza Heironymo Sondara, w roli głównego bohatera miał zaś wystąpić drący się na całe gardło szef Munitorium w

Hessenville.

Krew gotowała się w żyłach Gaunta. To miała być prosta akcja. Pakt Krwi okazał się wymagającym przeciwnikiem, walka o zewnętrzne władzy należała do jednych z najcięższych zmagañ w wojskowej karierze Ducha.

- Caober ?

- Sir – odezwał się natychmiast tanithijski zwiadowca, kucający z plecami opartymi o stertę pogiętych metalowych wsporników.

- Kontakt ?

- Nie, sir. Feth, ani śladu. Gdzie oni poleźli ?

Gaunt usiadł na posadzce, oparł się plecami o naznaczony szramami po pociskami blok marmuru. Sam też zastanawiał się nad tym, gdzie przepadł nieprzyjaciel. Mężczyzna czuł irytujące gorąco wewnątrz maski, po plecach ściekały mu strużki lepkiego potu.

Beltayn, radiooperator, czekał opodal. Gaunt przywołał go do siebie ruchem dłoni.

- Mikrofon, sir ?

- Nie, podłącz mnie do nadajnika.

Beltayn rozwinął długi przewód wiszący przy jego plecakowym radiokomunikatorze, wsadził wtyczkę w otwór z boku maski przeciwigazowej pułkownika-komisarza. Ręczny moduł łączności Gaunta zyskał natychmiast na mocy i zasięgu.

- Jedyńka do dwójki.

- Dwójka do jedynki.

- Colm, powiedz mi, że widzisz złych chłopców.

- Najmniejszego śladu, szefie – odparł Corbec. Jego oddział posuwał się ostrożnie korytarzem równoległym przejścia kontrolowanego przez Gaunta.

- Dajcie znać, kiedy tylko na kogoś traficie. Jedyńka do trójki.

- Tu trójka – odezwał się Rawne.

- Jakies dobre wieści ?

- Na razie żadnych. Jesteśmy u wylotu tunelu tranzytowego. Numer pięć zero pięć, jeśli macie tam gdzieś pod ręką mapę. Gdzie oni się zmyli ?

- Jestem otwarty na sugestie.

- Czwórka do jedynki.

- Słucham, Mkoll.

- Promenada jest zabezpieczona. Bray, Tarnash i Burone pilnują zachodniego krańca, Soric i Maroy wschodniego. Myślę, że Kolea, Varl i Obel zdołali wdrzeć się do środka kopuły na zachód od was.

- Sprawdzimy to. Jakiś ruch nieprzyjaciela w waszym rejonie ?

- Wszyscy znikli jakies dziesięć minut temu, sir.

- Pozostańcie czujni, Mkoll.

- Zrozumiałem.

- Dziewiątka ! Szóstka ! Dwunastka !

Kolea, Varl i Obel zgłosili się równocześnie.

- Ciągły kontakt z wrogiem, sir ! – zgłosił Varl – Mamy... Feth !

- Szóstka ? Szóstka, tu jedynka !

- Szóstka do jedynki. Przepraszam, mamy tu ostrą wymianę ognia. Jesteśmy w jakimś holu, ciężki ostrzał nieprzyjaciela, mają dobrą osłonę.

- Jedyńka do szóstki, podajcie swoją pozycję ! Szóstka !

- Dwunastka do jedynki – w rozmowę włączył się Obel – Varl jest pod silnym ostrzałem. Chłopcy Kolei go wspierają. Dotarliśmy w okolice wjazdu 588.

Grunt machnął ponaglająco ręką, Beltayn podał mu czym prędzej mapnik.

Pięć osiem osiem. Błogosławieni niech będą Varl, Obel i Kolea. Wbili się bardzo głęboko, głębiej niż jakakolwiek inna imperialna jednostka. Szpica Duchów znalazła się niemal dokładnie pod dzielnicą mieszkalną drugiej kopuły. Nie uwzględniając ewentualnych strat Gaunt miał w głębi metropolii blisko siedemdziesięciu pięciu podwładnych.

- W porządku – chrząknął pułkownik-komisarz – Zdamy się na nich.

Minęła północ i na powierzchni metalowego dachu utworzyła się gruba warstwa lodu. Noc otulała wszystko w swej smolistej czerni, z nieba spadały bezgłośnie lodowe kryształki.

Ocaleni z katastrofy promu 2K rozbitkowie przemierzali powoli wierzch gigantycznej kopuły, zmuszeni do żółwiego tempa zarówno zdradliwymi warunkami pogodowymi jak i kiepską kondycją rannych: wlezionej na ramionach mężczyzn komandor Jagdei; krwawiącego wciąż z rozcięcia na barku Dremmonda; Guthriego z rozbitą głową; Arille, która wybiła sobie ze stawu łokieć podczas przymusowego lądowania.

Bonin szedł przodem, jako szperacz. Metalowe poszycie dachu skrzypiało i trzaskało przez cały czas poddawane działaniu niskiej temperatury, grube podeszwy żołnierskich butów przymarzały do kopuły w chwilach, gdy gwardziści przystawali na chwilę dłużej w miejscu.

Pulsująca luna unosząca się ponad strefą zrzutu zaczęła przygasać, słabnąć z każdą chwilą. Czy desant zakończył się klęską czy zwycięstwem? Rozdarty wątpliwościami Bonin dostrzegał z tamtej strony jedynie kłęby jaśniejszego od czerni nocy dymu i blask migoczących powyżej gwiazd.

Jego matka, oby Bóg-Imperator czuwał nad jej duszą, zawsze powtarzała, że Bonin urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. W opinii Tanithijczyka twierdziła tak, by zatrzeć wrażenie pecha prześladowającego od narodzin jej syna.

Bonin przyszedł na świat w wyjątkowo trudnym porodzie, zimną wiosną, podczas której w prowincji Cuhulic doświadczonego wielu dziwnych omenów i znaków na niebie. Owoce leśne nie obrodziły, za to kwiaty wielu roślin rozkwitły przedcześnie, larisele natomiast tkwiły w zimowym śnie aż do Mroźnej Nocy. Pozostając niemowlęciem Bonin ciężko zachorował. Kilka lat później pożary lasów – latem roku 745 – zabrały jego rodzinie dach nad głową. Cała prowincja bardzo wówczas ucierpiała, ale rodzina Bonina, trudniąca się produkcją i sprzedażą płodów rolnych, poniosła wyjątkowo duże straty. Dwa kolejne lata Duch spędził w namiotach, podczas gdy jego ojciec i wujowie odbudowywali krok po kroku pogorzelnisko.

Do ósmego roku życia Bonin znany był wśród bliskich i kolegów pod mianem Mach. Jego matka od zawsze darzyła ogromną estymą lorda Solara Machariususa, zresztą jego biografia była jedyną rzeczą osobistą, jaką kobieta zdołała ocalić z pożaru. Głęboko religijna i bardzo przesądna, matka potraktowała ów fakt jako kolejny dowód boskiej opatrności.

W wieku ośmiu lat, zwyczajem panującym w większości tanithijskich rodzin, Bonin został ochrzczony i otrzymał swe właściwe imię. Tradycja zabraniała nadawania imion dzieciom tuż po narodzinach, uważano bowiem, że z biegiem czasu swym zachowaniem i osobowością same wskażą miana najbardziej do nich pasujące. Zwyczaju tego obecnie nikt już nie praktykował.

Pogrążony w głębokiej zadumie Bonin podniósł głowę, spojrzął w zimne przestworza nad sobą. Zwyczaju tego nie było już komu praktykować, poprawił się w myślach. Tyle migotliwych punkcików skrzyło się ponad gęstym dywanem chmur, ale żaden z nich nie był Tanith.

Duch dobrze zapamiętał dzień swego chrztu. Zejście do strumienia w lodowate wiosenne popołudnie, blask białej tarczy słońca na niebie. Dygotał z zimna w swej ceremonialnej koszulini, więc starsze siostry tuliły go do siebie grzejąc i tłumiąc dziecięce łzy.

Naczelnik wioski stojący na brzegu strumienia.

Matka, w swym najlepszym odświętnym stroju, z wyrazem dumy na twarzy.

Zanurzony w lodowatej, rwącej wartko wodzie i wyciągnięty z niej pośród głośniego krzyku, ośmioletni chłopiec otrzymał imiona Simen Urvin Macharius Bonin. Simen po ojcu. Urvin od imienia charyzmatycznego wuja, który przewodził odbudowie rodzinnej posiadłości.

Bonin pamiętał jak jego matka, ciepła, roześmiana i pełna ekscytacji, wycierała go do sucha ręcznikami w prywatnej kapliczce dobudowanej do rozległego domostwa.

- Tak wiele już wycierpiałeś, synku, ale ci się udało. Urodziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą. Jesteś prawdziwym szczęściarzem.

Która to była właściwie gwiazda, zastanawiał się Bonin stąpając po pokrytym warstwą lodu dachu.

Na pewno nie Tanith.

Lecz szczęście ani razu go dotąd nie opuściło. Chwilami był wręcz przekonany, że matka wtarła w niego tamtym szorstkim ręcznikiem całe pokłady szczęścia.

Przeżył zagładę Tanith. Na Menazoidzie Epsilon bez draśnięcia opuścił krater, w którym pocisk zapalający obrócił w popiół trzech innych gwardzistów. Na Monthaxie miał okazję ujrzeć tak blisko swej twarzy laserową wiązkę, że w nozdrza wciągnął cierpki zapach ozonu. Na Verghaście należał do grupy Gaunta i Kolei mającej przeprowadzić rajd na flagowy pojazd Wyzwolicielea. Podczas akcji abordażowej stracił równowagę i spadł z burty monstrialnej maszyny. Powinien był zginąć na miejscu, nawet Gaunt przekonany był o śmierci Ducha i nie potrafił wyjść ze zdumienia na wieść o tym, że Bonin nadal żyje.

Jego kręgosłup spinało szesnaście wykonanych ze stali klamer, nosił też metalowe implanty w biodrze, ale przeżył. Był urodzonym szczęściarzem, matka zawsze mu to powtarzała.

Urodzony pod szczęśliwą gwiazdą.

Lecz chwilami zastanawiał się jak długo jeszcze jej blask będzie go chronił.

Dach pod jego podszwami pokryty był warstewką brudnej cieczy, nie lodu.

Bonin przyklęknął i przyłożył dłoń do poszycia kopuły. Nawet przez swoją rękawicę wyczuwał wyraźnie bijące spod metalowej płyty ciepło.

Ćwierć kilometra dalej widział wznoszące się ku nocnemu niebu maszty i kominy młyna oparowego Cirenholmu. Wyższa od zera temperatura utrzymywała dach w stanie permanentnego rozmarznięcia.

Bonin przyjrzał się uważnie otrzymanej od Gaunta mapie. Budynki młyna były jedynymi konstrukcjami wystającymi ponad zamkniętą szczelnie kopułę miasta. Gdzieś tam musiały się znajdować włazy serwisowe, szyby wywietrzników.

Droga wiodąca do wnętrza miasta.

Szczęśliwa gwiazda wciąż czuwała nad Boninem.

Tunel tranzytowy oznakowany na mapie kodem 505 wychodził na plac, który jeszcze niedawno musiał być zadbanym, dobrze utrzymanym parkiem. W klatkach powieszonych pod sufitowymi belkami znajdowały się silne lampy i urządzenia nawilżające powietrze, ale zostały jakiś czas temu wyłączone i piękna ozdobna roślinność zwiędła pozostawiona na łaskę losu. Gruba warstwa wyschłych brązowych liści pokrywała mozaikę płytek tworzących chodniki. Martwe pnie drzew sterczały posępnie niczym ekstrawaganckie nagrobki.

Ludzie majora Rawne dostali się do parku wykorzystując drzewa w charakterze osłony. Feygor odskoczył w lewo z jedną sekcją, gotów w każdej chwili wesprzeć ogniem główną część plutonu. Leyr, zwiadowca oddziału, podreptał do przodu. Powietrze w parku było zimne i suche.

Znajdująca się na prawej flance plutonu Tona Criid zeszywniała zniecka, podniosła wyżej lufę broni.

- Ruch na czwartej – wyszeptała do swego mikrokomunikatora.

Rawne uniósł swą prawą dłoń płasko w powietrzu, widzący ten gest żołnierze przypadli do ziemi. Major wskazał Criid, Caffrana i Whelna, zatoczył dłonią okrąg, a potem machnął do przodu trzema palcami. Trójka gwardzistów poderwała się z klęczek zwiększając odstęp między sobą i biegnąc do przodu z pochylonymi nisko głowami. Criid wślizgnęła się za zardzewiałą ławkę, Caffran znalazł kryjówkę za cokołem przedstawiającym kamiennego centaury, któremu ktoś odstrzelił uniesione w górę przednie kończyny. Wheln zniknął w kępie suchych drzewek.

Rawne zerknął w lewo i ujrzał czołgającego się do przodu Neskona, trzymającego w rękach gotowy do użycia miotacz płomieni. Ubezpieczał go Leclan. Po prawej stronie majora Banda mierzyła z ustawionego na oparciu ławki karabinu snajperskiego. Jak Tona Criid, Jessi Banda była jedną z verghastyckich ochotniczek, które wstąpiły do Duchów w ramach Aktu Konsolidacji. Verghastycki służyły ze swej ręki do broni wyborowej i stworzyły z tej formacji grupę, w której służyło równie wielu rodowitych Tanithijczyków jak Verghastytów. I równie wiele kobiet co mężczyzn.

Opinia majora Rawne na temat obecności kobiet w regimencie była tak doskonale znana, że wszyscy mieli już po uszy wysłuchiwanie dalszych komentarzy na ten temat. Rawne nigdy nie kwestionował talentu i odwagi żołnerek, nie aprobował natomiast napięcia seksualnego, które pojawiło się wśród męskiej części jednostki.

Dobrym tego przykładem mogła być Jessi Banda. Wesoła dziewczyna o ciętym języku i prześmiewczym usposobieniu, miała krótkie brązowe włosy i kusząco zaokrągloną sylwetkę, której matowoczarny mundur w żaden sposób nie maskował. Pracowała w jednej z fabryk Vervunhive, potem służyła w kompanii ochotniczej Kolei. W Gwardii dosłużyła się specjalizacji snajperskiej i była w tym fachu wyjątkowo dobra. Śmierć jednego z tanithijskich strzelców wyborowych otworzyła jej drogę do plutonu Rawne.

Rawne zauważył, że jej obecność ustawicznie go rozpraszała. Criid, była gangsterka z Vervunhive, też go rozpraszała. Obie dziewczyny przyciągały męskie spojrzenia jak magnesy. Major starał się nawet nie myśleć o Nessie, snajperce w plutonie Kolei. Ta kobieta uchodziła powszechnie za prawdziwą piękność...

- Sir ? – wyszeptała Banda przechylając głowę. Za okularami maski major dostrzegł jej roziskrzone uśmiechem oczy. Feth, znowu to samo ! Rawne przeklął się w myślach. Może wina nie leżała wcale po stronie kobiet, może to właśnie on był winien...

- Widzisz cokolwiek ? – zapytał szeptem.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Ruch – w eterze rozległo się syknięcie Whelna.

Rawne zauważył ich w końcu – czterech, może pięciu ludzi w ciemnoczerwonych mundurach biegnących po ścieżce przecinającej prawą część parku. Laser Whelna trzasnął donośnie, dołączył do niego dźwięk wystrzałów z broni Criid i Caffrana.

Jedna z postaci zawirowała w miejscu, runęła z nóg, wiązki energii zaczęły punktować ścianę parku ponad ciałem heretyka. Dwaj inni Pakciarze odpowiedzieli ogniem, Rawne widział wyraźnie ich wyszczerzone żelazne maski i rozbłyśki laserowych wystrzałów.

Z prawej strony dobiegł go szczególnie głośny trzask – Banda użyła ciężkiej jednorazowej baterii stosowanej czasami przez snajperów i jeden z heretyków uderzył ciałem w ścianę z taką siłą jakby zdzielił go gigantyczny młot.

Przestrzeń parku cięły śmigające w obu kierunkach krechy światła. Przeciwników musiało być więcej niż pięciu, uznał Rawne, chociaż nie potrafił zlokalizować pozycji reszty obrońców. Pobiegnął do przodu zgięty wpół, skacząc od pnia do pnia. Jedno z drzewek przełamało się z nienacka na wysokości głowy majora, zakołysało sprężyste niczym wahadło zegara.

- Siedem jeden, tu trójka !
- Siedem jeden, sir ! – zgłosił się natychmiast Caffran. Rawne słyszał w eterze zniekształconą kopię kanonady szalejącej wszędzie wokół.
- Syt-rap !
- Naliczyłem ośmiu ! Pięciu w krzakach na mojej dziesiątej, trzech przy wyjściu z parku ! Czterech innych już zdjeliśmy !
- Nic stąd nie widzę ! Przejmujesz komendę !

Kłęczący za cokołem Caffran wystawił na zewnątrz głowę szacując swe położenie. Cokolwiek chciało się zarzucić majorowi Rawne – a były wśród tych wad chociażby bezwzględność, brak humoru, złośliwość i egoizm – nie sposób było zarazem zaprzeczyć, że stanowił on przykład wymienitego oficera liniowego. Teraz, znajdując się na pozycji uniemożliwiającej skuteczne dowodzenie, Rawne bez chwili namysłu przekazał Caffranowi komendę nad plutonem. Major ufał młodemu gwardziście. Ufał wszystkim żołnierzom, których miał pod swoimi bezpośrednimi rozkazami. To właśnie zaufanie czyniło z niego bardziej efektywnego dowódcę od wielu „dobrych starych”, których Caffran miał okazję wcześniej w Gwardii widzieć.

- Wheln ! Criid ! Parą w prawo, na drzwi ! Leclan, Osket, Melwid ! Koncentracja ognia na tych krzakach ! Neskon, do przodu !

W eterze rozległy się ledwie słyszalne potwierdzenia. Serie laserowych wiązek sypiących się w kierunku okalających ścieżkę zarośli przybrały zmienność na intensywności. Caffran oddał kilka strzałów z własnej broni, ale jego kryjówkę zasypały nagle pociski wystrzelone z ciężkiego karabinu maszynowego. W powietrze prysły odłupane kawałki cokołu i martwe żdźbła trawy. Caffran przytulił się mocniej do osłony czując jak jeden z rykoszetujących pocisków przebija mu podeszwę buta, a drugi uderza w krawędź noża pozostawiając na lśniącem ostrzu brzydka szramę.

- Banda ! Widzisz te panele na przeciwnej ścianie ?!
- Widzę, Caff.
- Piąty od lewej strony, środkowy nit. Wymierz, a potem odłóż poprawkę na pięć metrów w dół.
- Spokojna głowa...

Powietrzem wstrząsnął kolejny trzask wystrzału z ciężkiej baterii i część wysokich krzewów rozsypała się w proch przepalona na wylot silnie skondensowaną wiązką światła. Terkot cekaemu ustał natychmiast. Nawet jeśli Banda nie zabiła nieprzyjacielskiego strzelca, z pewnością skutecznie zniechęciła go do dalszego udziału w walce.

- Mam jednego ! – w eterze rozległ się tryumfalny okrzyk Melwida.

Criid strzelała zza ławki do chwili, w której trzy celnie wymierzone wiązki nie rozwały metalowego oparcia. Dziewczyna padła na brzuch dostatecznie szybko, by spostrzec pod ławką sylwetki dwóch heretyków biegnących od strony drzwi do pobliskiej kępy zarośli. Przetawiła kciukiem regulator trybu ognia i zasypała Pakciarzy gradem wiązek. Jeden z przeciwników upuścił odbezpieczony sekundę wcześniej granat, wybuch cisnął w górę fontannę suchej ziemi i listowia.

Rawne znalazł się w miejscu, z którego widział wyraźnie toczącą się w parku walkę; towarzyszył mu Leyr. Neskon też dotarł na odpowiednią pozycję, z lufy jego miotacza ognia wystrzeliła struga płomieni. Rawne usłyszał przeraźliwe krzyki agonii i trzask wybuchającej pod wpływem wysokiej temperatury amunicji.

- Flankują ! – krzyknął Leyr.

Rawne obejrzał się w bok i spostrzegł dwie postacie w czerwonych uniformach śmigające między drzewami, oddalające się od ścieżki w głąb parku. Major zerwał się na równe nogi i popędził w ślad za nimi, rozrzucając butami sterty liści i łamiąc suche gałązki krzewów.

- W lewo ! W lewo ! – wrzasnął do biegnącego obok Leyra.

Rawne nie zwalniał kroku, chociaż oddychanie w założonym na twarz respiratorze było istną męczarnią. Podskakująca maska ograniczała też bardzo widoczność. Dostrzegłszy błysk czerwieni Duch wypalił z lasera, ale jego wiązka okopciła tylko pień jakiegoś drzewa. Gdzieś z boku wystrzelił Leyr.

Major skoczył w bok chcąc obiec wyjątkowo masywne drzewo i zderzył się w biegu z żołnierzem Paktu Krwi, który nadbiegał z przeciwnej strony. Runęli na ziemię. Klnący wściekle Rawne zważył się z przeciwnikiem, ale heretyk okazał się silny i zwinny. Jego ciało sprawiało wrażenie nienaturalnie twardego, jakby skrywało pod skórą liczne cybernetyczne implanty. Wielkie brudne dłonie Pakciarza były odsłonięte, pokrywała je siatka starych blizn i szram będąca pozostałością po odrażającym ślubie lojalności wobec Urlocka Gaura. Walczył jak szalony, kopiąc i wrzeszcząc coś w języku, którego Rawne nie rozumiał i którego nie miał najmniejszego zamiaru w przyszłości zgłębiać.

Potoczyli się po ziemi. Uwięziona między ciałami przeciwników broń majora wystrzeliła kilkakrotnie cudem chybiając. Rawne widział przed sobą jedynie przednią część uniformu swego wroga: starą, znoszoną, o barwie zakrzepłej krwi. Major nie mógł się oprzeć wrażeniu, że materiał stroju zafarbowano właśnie w ludzkiej krwi.

Uwolnwszy jedno ramię Rawne wymierzył przeciwnikowi silny cios w szczękę, strącił go z siebie. Na ułamek chwili spostrzegł oblicze heretyka – poobijaną metalową maskę w postaci szczerzącej zęby paszczy o sęsim nosie, podwieszanej do miskowatego hełmu w karmazynowym kolorze, ozdobionego ręcznie naniesionymi obscenicznymi runami.

Sekundę później heretyk wyrzucił głowę z całej siły w twarz majora.

Rawne usłyszał głośny trzask i jego lewe oko eksplodowało falą bólu. Duch odtoczył się w bok. Sterczący metalowy nos maski roztrzaskał wizjer respiratora i rozharatał twarz gwardzisty. Majorowi kręciło się w głowie, nic nie widział na lewe oko, czuł za to wypełniającą wnętrze respiratora krew.

Zamachnął się z całej siły pięścią, zdzielił heretyka w bok szyi. Pakciarz upadł na bok dysząc spazmatycznie.

Rawne wyszarpnął z pochwy swój nóż, złapał przeciwnika za łokieć odciągając w bok jego rękę, po czym wbił ostrze z całej siły pod pachę heretyka. Żołnierz Chaosu wpadł w spazmatyczne konwulsje. Major odepchnął z wstrętem jego drgające ciało.

Leyr wyskoczył z pobliskich krzaków.

- Drugi nie żyje. Pobiegnij prosto na Feygora... Feth ! Sanitariusz !

Sanitariuszem plutonu był szeregowiec Leclan, jeden z grupy żołnierzy przeszkolonych przez Dordena i Curth pod kątem udzielania pierwszej pomocy na polu walki. Widząc obrażenia majora Duch sprawdził pośpiesznie wskazania naszytego na rękaw metalowego testera powietrza.

- Powietrze jest czyste. Zatęchłe, ale czyste. Możecie zdjąć maski.

Leyr ściągnął ostrożnie maskę majora, Leclan zaczęła oglądać ranę.

- Feth – powtórzył Leyr.

- Zamknij się. Spadaj stąd i zajmij się czymś pożytecznym – warknął Rawne – Jak to wygląda ?

- Na pierwszy rzut oka kiepsko, ale to chyba tylko powierzchowne obrażenia – Leclan sięgnął po niewielkie szczypczyki i zaczął wyjmować z ciała majora kawałki plastyku – Oko zakleiła panu krew ciekąca z rozcięć, powieka też się rozdarła. Uwaga, to zapiece.

Leclan spryskał ranę środkiem dezynfekującym, po czym przycisnął do twarzy oficera spory kawałek gazy.

- Więc nie straciłem oka ?

- Nie, sir, ale doktor Dorden musi się tym później zająć.

Rawne podniósł się z ziemi i przyczepił do pasa niepotrzebną już dłuższą maskę przeciwwgazową. Klękając nad ciałem heretyka pochwycił za nóż i wyszarpnął go z rany kręcąc ostrzem na przemian w obie strony.

Feygor zebrał wokół siebie resztę plutonu. Walka na spacerowej ścieżce dobiegła końca.

- Dopadliśmy ich wszystkich – zameldował Caffran.

- Straty własne ?

- Tylko pan, majorze – odparł Feygor.

- Możecie zdjąć maski, jeśli chcecie – dodał Rawne, po czym ruszył w dół ścieżki. Criid, Wheln, Neskon i Melwid przyglądali się ciałom heretyków.

- Trochę tu narozrabiałem – powiedział Neskon wskazując dłonią strawione ogniem ozdobne krzewy i trzy poczerńnięte trupy leżące po ich drugiej stronie – Wydaje mi się, że oni coś przynosili.

Rawne przyklęknął i przyjrzał się uważniej wskazanemu przedmiotowi, ignorując odór paliwa i smród zwęglonego ludzkiego mięsa. Była to jakaś skrzynka ze skomplikowaną aparaturą, wypalona i pokryta grubą warstwą sadzy. Rawne zauważył popękane tarcze zegarów i częściowo stopione kable.

- Sir – Feygor odezwał się cichym ostrzegawczym tonem. Członkowie plutonu zeszywnieli dostrzegając jakieś poruszenie na południowym krańcu parku, ale zaraz okazało się, że to inna grupa Duchów: drużyna kapitana Daura wsparta przez ludzi kaprała Meryna i towarzyszącego im komisarza Harka.

- Park został zabezpieczony – oświadczył Rawne. Hark skinął mu w odpowiedzi głową.

- Czy to bardzo bolało ? – zapytał Daur.

- Czasami zadajesz wyjątkowo głupie pytania, Verghastyto – warknął Rawne, chociaż wiedział, że młody vervuński kapitan testuje tylko jego odporność na złośliwe docinki.

- Pańscy ludzie zdjęli maski – zauważył Hark chowając do kabury swój plazmowy pistolet.

- Pozwoliłem im na to. Powietrze jest czyste.

Hark omal nie zdarł swej maski z twarzy, wyraźnie zadowolony.

- Cieszę się, że nie muszę tego dłużej nosić – oświadczył przeczesując palcami swe krótkie ciemne włosy i zakładając ponownie służbową czapkę. Uśmiechnął się do Rawne – Byliśmy tak zaaferowani walką, że zapomniałem sprawdzić wskazania testera powietrza.

- Ja również – odparł major – Chodźcie tutaj i popatrzcie na to. Może wyteżająć...

- Zdrowe oczy ? – wtrącił szybko Daur. Rawne usłyszał stłumione parsknięcia Criid i Bandy.

- Zechciałby pan poinformować swych ludzi, że mogą zdjąć maski, kapitanie ? – zapytał uprzejmym tonem Hark. Kapitan skinął głową i oddalił się ze złośliwym uśmiechem na twarzy.

- Zastrany dupek – syknął Rawne idąc ramię w ramię z komisarzem wzdłuż ścieżki.

- W błogosławionym gronie gwardyjskich towarzyszy broni wszyscy jesteśmy braćmi, majorze – oświadczył pobłażliwie komisarz.

- Inspirujący fragment jakiegoś wojskowego podręcznika ?

- Sam nie wiem. Chyba stałem się w tym tak dobry, że sam mogę zacząć pisać innym przemówienia.

Obaj mężczyźni roześmiali się głośno. Rawne lubił Harka, niemal tak bardzo jak nie cierpiał Daura. Daur, obiecujący i popularny młody oficer, pojawił się w najwyższej hierarchii regimentu niczym wirus, zyskując dzięki staraniom próbującego zintegrować regiment Gaunta pozycję równą tej posiadanej przez samego majora. Hark dla odmiany trafił do jednostki wbrew woli pułkownika-komisarza, z zadaniem pozbawienia Gaunta jego stanowiska. Z początku wszyscy szczerze go nienawidzili, ale Hark szybko dowiódł swej wartości w walce oraz lojalności wobec

Pierwszego Tanithijskiego. Rawne nie ukrywał swego zadowolenia, kiedy Gaunt poprosił Harka, by ten pozostał w regimencie na stałe obejmując rolę oficera politycznego.

Aprobata majora miała swe źródło w świadomości, że Hark był żołnierzem na równi twardym i wymagającym, co uczciwym. Obaj zyskali w swych oczach ogromny respekt i szacunek walcząc ramię w ramię podczas finałowej bitwy na Hagii, w Świątyni.

I lubił go jeszcze przez wzgląd na to, że przynajmniej w kwestii technicznej stawał się czasami cierniem w boku Ibrama Gaunta.

- Ty naprawdę nie lubisz Verghastytów, prawda, Rawne ? – zauważył Hark.

- Nie mnie ich lubić lub nie lubić, sir, ale to jest Tanithijski Pierwszy – major położył szczególny nacisk na słowo „Tanithijski” – Do tej pory zauważyłem tylko garstkę Verghastytów potrafiących walczyć równie dzielnie i waleczni jak Tanithijczycy.

Hark przeciągnął znaczącym spojrzeniem po Bandzie i Criid.

- Jak widzę, najbardziej atrakcyjne rekrutki trzymasz w swoim plutonie – zauważył.

Hark pozwolił sobie na znaczącą uszczypliwość pod adresem Rawne, ale major nie poczuł się dotknięty, chociaż kapitana Daura za podobne słowa pewnie przeczłogałby po placu musztrowym.

Komisarz przykucnął obok nadpalonego pudła.

- Skąd takie zainteresowanie tym czymś ? – zapytał.

- Nieśli to przez park, w tamtym kierunku – wyjaśnił Rawne wskazując palcem wejście po przeciwnej stronie hali – To musiało być coś ważnego, ponieważ zrezygnowali z osłony terenu, by móc się z tym sprawniej przemieszczać.

Hark wyjął z pochwy swe ostrze. Był to standardowy gwardyjski puginał o szerokiej kłindze i połączanej rękojeści zwieńczonej miniaturowym Imperialnym Orłem. Komisarz był jedynym członkiem regimentu, który nie posiadał własnego tanithijskiego noża. Uniósł wieko skrzynki czubkiem ostrza.

- Radiokomunikator ? – zaproponował.

- Nie wydaje mi się, sir – odparł szeregowiec Rerval, operator radia w plutonie majora.

- To jest generator zasilający tarczę pola siłowego.

Mężczyźni obejrzeni się do tyłu dostrzegając powracającego Daura.

- Jest pan tego pewien, kapitanie – zapytał z powątpiewaniem Hark. Daur przytaknął głową.

- Byłem oficerem garnizonu w Forcie Hass Zachód, sir. Do moich codziennych obowiązków należało testowe uruchomienie generatorów tarcz siłowych chroniących stanowiska artyleryjskie.

Zasrany wszystkowiedzący pyszałek, pomyślał sobie Rawne.

- A co takiego zamierzali z tym...

- Sir ! – w głębi ścieżki rozległ się okrzyk Caffrana. Duch stał wraz z drużyną Feygora przy wyjściu z parku. Oficerowie ruszyli w jego stronę, ludzie Meryna i Daura rozproszyli się w międzyczasie po hali zabezpieczając wszelkie pozostałe włązy wejściowe.

Właz był otwarty, ale kiepsko oświetlony. Wyglądając za próg Rawne ujrzał wyłożony perforowaną blachą korytarz biegnący gdzieś w głąb kopuły.

- Kable, tam, wewnątrz futryny – oświadczył Feygor wskazując na coś, co wszyscy przeoczyli. Feygor słynął z wybornego wzroku, w Wielkiej Puszczy Zachodniej na Tanith potrafił wypatrzeć larisela z odległości stu metrów. Wypatrzył i zabić celnym strzałem. Feygor stanowił wyśmienitą kandydaturę do sekcji zwiadowczej regimentu, ale Rawne poczynił wszystko, by jego morderczy lojalny sojusznik pozostał w plutonie majora. Zresztą można było odnieść wrażenie, że sam Mkoll też nie był specjalnie zachwycony perspektywą przyjęcia Feygora pod swe skrzydła.

- Pułapka – Caffran wypowiedział na głos to, o czym wszyscy akurat pomyśleli. Szybka wymiana radiowych komunikatów pozwoliła stwierdzić, że wszystkie inne północne włązy w

parku posiadały identyczne przeróbki.

Daur przywołał do siebie Criid.

- Proszę o pozwolenie na lekkomyślne narażenie zdrowia i życia – powiedział beztrąsko do Harka.

- Udzielam bez wahania – sarknął natychmiast Rawne.

- Ma pan jakiś pomysł, kapitanie ? – zapytał Hark.

- Niech wszyscy wycofają się od włazów – polecił Daur, po czym odebrał Criid jej karabin i niewielkie metalowe lusterko, które nosiła w kieszonce munduru. Był to mały, powszechnie wszystkim znany fetysz dziewczyny. Kapitan pożyczył broń i lusterko, po czym odesłał żołnierkę w bezpieczne miejsce. Przyczepił lusterko do uchwyty na bagnet w sposób, który podpatrzył wcześniej u Criid, a potem ostrożnie wyciągnął karabin na całą długość rąk.

- Prośmy Złoty Tron – mruknął klęczący za osłoną komisarz.

- O tak, tak – syknął w odpowiedzi Rawne.

Wykonane z metalu lusterko zostało idealnie wypolerowane i stanowiło doskonałe narzędzie do zaglądania za rogi ścian bez ryzykownego wystawiania głowy. Rawne wiedział, że niektóre Duchy już zapożyczyły sobie pomysł Criid używając go z powodzeniem w walkach miejskich. Zwiadowca Caober posługiwał się na co dzień lusterkiem do golenia.

Daur zerkał przez kilka sekund na powierzchnię lusterka, po czym zawrócił w kierunku reszty grupy.

- Dzięki, Tona – powiedział oddając żołnierce lusterko i karabin, spojrzął na parę oficerów – Drzwi są chronione polem siłowym. Tarcza nie jest aktywna, ale naładowana.

- Skąd ta pewność ?

- Czuję zapach ozonu.

- Zatem nieprzyjaciel planuje wstrzymać nasze natarcie w tym rejonie za pomocą tarcz pól siłowych. Trzeba przejść na drugą stronę i spróbować je rozbroić – zaproponował Feygor.

- Całkiem możliwe, że tego właśnie od nas oczekują – zasugerował Daur.

- To by tłumaczyło, dlaczego tak nieoczekiwanie oddali nam pole i wycofali się w głąb kopuły – powiedział Hark – Chcą pociągnąć nas za sobą, zwabić w pułapkę i odciąć polami drogę ucieczki.

- Odciąć lub przeciąć wpół – dodał Daur.

- Słucham ? – zapytał Rawne.

- Stał pan kiedyś w polu siłowym w momencie jego aktywacji, majorze ?

- Nie.

- To było pytanie retoryczne. Tarcza pola rozciąłaby pana na dwie części.

Rawne spojrzął w stronę Harka.

- Proponuję przejście na drugą stronę. Przerzucimy tam jak najwięcej ludzi.

- Żeby znaleźli się w pułapce bez wyjścia, jeśli nieprzyjaciel włączy tarcze ? – zapytał z przekąsem Daur.

- Masz lepszy pomysł, Verghastyto ?

Daur uśmiechnął się bez cienia sympatii i poklepał palcami belki na swoich rękawach.

- Proszę się zwracać do mnie per kapitanie, majorze. To niewielka uprzejmość i myślę, że nawet pan byłby do niej zdolny.

- Dość tego – Hark uniósł w górę rękę – Dajcie tutaj radiooperatora.

Uwolniony w końcu od maski Gaunt założył na głowę swą służbową czapkę. Zerkał na zegarek, upił łyk wody z manierki, po czym spojrzął w głąb szerokiego spacerowego korytarza.

Ściany wysokiej na dwa piętra promenady zdobiły freski zdominowane przez motywy roślinne, posadzkę tworzyła szachownica ułożona z czerwonych i czarnych płytek. Co dziesięć metrów spod sufitu zwisały wielkie kryształowe żyrandole pulsujące ciepłą żółtą poświatą odbijającą się w ściennych zwierciadłach korytarza.

Gaunt spojrzął przez ramię. Jego pluton tkwił w przedniej części korytarza ukryty za ozdobnymi filarami i w bocznych wnękach. Wersun i Arcuda pilnowali bocznych drzwi prowadzących do sekcji mieszkalnej, którą przeszukano chwilę wcześniej. W powietrzu unosił się słaby zapach perfum.

Cirenholm był zamożnym miastem przed inwazją Paktu Krwi. W arystokratycznych ścianach drugiej kopuły królowały elegancja, melancholia i dystygowany chłód.

W głębi korytarza pojawił się Caober, przeskakujący z cienia w cień, zbliżający się szybko. Zwiadowca przykleknął tuż obok pułkownika-komisarza.

- Pole siłowe ?

Caober przytaknął ruchem głowy.

- Wygląda tak jak zgłaszał komisarz Hark. Generatory są wbudowane w futrynę głównego przejścia oraz parę bocznych. Jest tam też klatka schodowa, ale nie chciałem się na nią zapuszczać bez wsparcia.

- Dobra robota – odrzekł Gaunt ujmując jednocześnie podane mu przez Beltayna słuchawki.

- Jedyńka do czwórki ?

- Czwórka do jedynki – zgłosił się Mkoll – Wszystkie przejścia na północ od wjazdu 651 są zabezpieczone nieaktywnymi polami siłowymi.

- Potwierdzam odbiór. Pozostańcie na swoich pozycjach – Gaunt spojrzął na mapę przesuwając palcem po miejscach, w których jego ludzie odkryli obecność generatorów pól. Na tarcze natrafili wszyscy: Corbec, Burone, Bray, Soric. Pluton sierżanta Theissa zdążył już minąć jeden z generatorów, ale wycofał się pośpiesznie po radiowym ostrzeżeniu Gaunta. Tylko szpica stworzona przez Obela, Varla i Koleę znalazła się zbyt daleko, by można ją było bezpiecznie zawrócić.

- Oni coś knują, nie sądzi pan, sir ? – mruknął Beltayn – Coś jest nie tak.

- Owszem, Beltayn – Gaunt uśmiechnął się mimowolnie na dźwięk ulubionego zwrotu swego radiooperatora. Spojrzął ponownie na mapę. Jego kompania – za wyjątkiem szpicy – zdołała wdrzeć się na jakieś siedemset kilometrów w głąb drugiej kopuły miasta i wszędzie natrafiła na przygotowane wcześniej tarcze pól siłowych, na każdym piętrze i poziomie metropolii. Pluton Sorica znalazł się po wykorzystaniu odkrytej przypadkiem windy towarowej sześć pięter poniżej pozycji Gaunta i ten obszar też okazał się naszpikowany generatorami. Wyglądało to tak jakby nieprzyjaciel odstąpił od obrony zewnętrznej części metropolii próbując zwabić imperialnych w pułapkę.

Tylko na czym ta pułapka miała polegać ? Zatrzymanie lojalistów w miejscu ? Przecięcie ich sił w pół ? Uwięzienie wszystkich bez możliwości odwrotu ?

Gaunt ujął ponownie słuchawkę.

- Wzmocnij sygnał. Chcę złapać Zhyte i Fazalura – polecił radiooperatorowi.

- Jeden A, Trzy A... mówi Dwa A. Zgłóście się. Powtarzam, Jeden A, Trzy A, z tej strony Dwa A.

Trzask radiowych zakłóceń, potem znienacka charakterystyczne chrobotanie.

- ...A... powtarzam, tu Trzy A. Gaunt ?

- Potwierdzam, Fazalur. Podaj wasz status.

- Przebijamy się poprzez trzecią kopułę. Nieznaczny opór nieprzyjaciela.

- Znaleźliśmy u nas generatory tarcz siłowych, Fazalur, pola siłowe ustawione na naszej drodze.

Zauważyliście coś takiego u was ?

- Włączone pola ?
- Nie, wyłączone.
- Nie zauważyliśmy niczego.
- Wypatrujcie ich i pozostawajcie w stałym kontakcie radiowym.
- Potwierdzam, Dwa A, dzięki za ostrzeżenie. Bez odbioru.
- Jeden A, tu Dwa A, odbiór. Jeden A, odpowiedzcie na tym kanale. Dwa A do Jeden A, zgłóście się...

- Mam komisarza Gaunta na głównym kanale, sir – zawołał Gerrishon.

- Powiedz mu, że jestem zajęty – parsknął gniewnie Zhyte wydając za pomocą ręki rozkaz ruchu pobliskiej drużynie gwardzistów. Oddział pułkownika znajdował się dobry kilometr w głębi kopuły, przeczesując marmurowe hole i podejrzenie opustoszałe korytarze dystryktu komercyjnego. Dziesięć minut wcześniej Zhyte połączył swe siły z grupą Belthiniego, razem zaczęli infiltrować położone głębiej części kopuły. Jak dotąd nie natrafili na żaden ślad nieprzyjaciela... żaden ślad obecności żywych istot prócz ubranych w białe-czarne panterki Urdeshi. Pułkownikowi zaczynała cierpnąć skóra.

- Nie ustępuje, sir. Mówi coś o polach siłowych.

- Powiedz mu, że jestem zajęty – powtórzył Zhyte. Jego ludzie zabezpieczali w podręcznikowy sposób szeroki hol ozdobiony holograficznymi portretami wielkich i możnych Phantine.

- Zajęty czym, sir ?

Zhyte zatrzymał się wzdychając ciężko, po czym spojrzał na pobladłego nagle oficera radiowego.

- Powiedz temu kretynowi, że wykonuję właśnie mistrzowski chwyt za jaja Sagittara Slaitha i że odezwę się do niego, kiedy już skończę pisać sprawozdanie z przebiegu operacji.

- Sir, ja...

- Ech, dawaj mi to, idioto ! – warknął Zhyte wyszarpując Gerrishonowi z rąk słuchawki i wymierzając mu przy okazji silny kuksaniec.

- Lepiej, żeby było coś ważnego, Gaunt – wycodził do mikrofonu.

- Zhyte ?

- Tak !

- Znaleźliśmy tarcze pól siłowych, Zhyte, wmontowane w przejścia położone wzdłuż markera 48:00, pokrywającego się z markerem 32:00 na waszym segmencie mapy...

- Ma pan coś konkretnego na myśli czy prosi o poradę ?

- Słucham ?

- Czy zna pan nazwę mojej jednostki ?

- Oczywiście. Siódmy Szturmowy Urdeshi. Nie widzę związku...

- Siódmy Szturmowy Urdeshi. Tak, mój przyjacielu. Tę nazwę wyszyto srebrnymi nićmi na sztandarze, który wisi wśród tysięcy innych pocztów honorowych w Pałacu Imperatora. Jesteśmy aktywną jednostką wojskową o chlubnej historii sięgającej tysiąca siedemdziesięciu trzech lat. Czy Tanithijski Pierwszy również wymieniono na takim sztandarze ?

- Nie sądzę, by miało to...

- A ja wiem, że to ma znaczenie ! Dopiero co was sformowano, jesteście niczym ! Niczym ! Ilu was zresztą już pozostało ?! Nie waż się udzielać mi porad, gnojku ! Ostrzegasz mnie ?! Ty mnie ostrzegasz ?! Rozbierzemy to miasto na kawałki, cegła po cegle, naszą własną krwią i potem i ostatnią rzeczą jaką chcę teraz słyszeć jest twoje jęczenie o żołnierskiej robocie, na myśl o której robisz w spodnie ! Słyszysz mnie, Gaunt ?! Słyszysz ?!

Gaunt oddał Beltaynowi słuchawki z beznamiętnym wyrazem twarzy.

- Złapał go pan, sir ?

- Nie. Rozmawiałem z jakimś skończonym idiotą, który bardzo chce umrzeć – odparł chłodno pułkownik-komisarz.

Zhyte zaklął i cisnął słuchawkami w swego oficera radiowego. Uderzony urządzeniem w twarz Gerrishon stracił równowagę i przewrócił się zniechęca.

- Wstawaj, ty idioto ! Gerrishon ! Wstawaj !

Zhyte umilkł raptownie. Na posadzce pod głową radiooperatora rozlewała się coraz szerzej kałuża krwi. Twarz Gerrishona była pogrążona w wyrazie bezkresnego spokoju, sprawiała wrażenie trwania w głębokim śnie, lecz pośrodku jego czoła widniała poczerwiała dziura.

- Boże-Imperatorze ! – krzyknął Zhyte odwracając się na piętach. Wiązka laserowego światła ugodziła go w ramię przewracając pułkownika na posadzkę.

Świat wokół dowódcy Urdeshi eksplodował nieoczekiwanie, do jego uszu docierały ludzkie krzyki i trzask wystrzałów. Laserowe wiązki śmigły w powietrzu strącając zabytkowe holograficzne portrety możnowładców.

Zhyte poczołgał się do przodu. Ujrzał trzech żołnierzy ze swojej drużyny przybocznej ściętych w biegu energetycznymi wiązkami, znikających w mgielce parującej krwi. Jeden z nich został trafiony z takim impetem, że jego oderwana noga poleciała wysoko w powietrze.

Gwardziści strzelali. Niektórzy wyli niezrozumiale, wszyscy krzyczeli. Gdzieś wybuchł granat.

Zhyte pozbierał się na nogi, pobiegł w głąb holu strzelając na oślep za siebie. Uskakując za jeden z filarów obejrzał się do tyłu i ujrzał żołnierzy Paktu Krwi wpadających ze wszystkich stron do sali. Dźgali bagnietami próbujących kryć się w bocznych wnękach Urdeshi, strzelali z bieder w plecy tych gwardzistów, którzy się wycofywali.

- Przegrupowanie ! Przegrupowanie ! – wrzeszczał do komunikatora Zhyte – Właz 342 ! Natychmiast !

Właz 342. Tam znajdowało się gniazdo broni maszynowej, sekcja wsparcia.

Odwrócił się chcąc biec dalej i zahaczył nogą o ludzkie ciało. Był to Kadekadenz, szperacz grupy. Jego korpus został przepalony na wylot wiązkami laserów i zwoje parujących wnętrzości wylały się z rozprutego brzucha niczym macki wyrzuconej na plażę ośmiornicy.

- Singis ! Belthini ! Przegrupujcie ludzi, na litość...

Silny cios w bark ponownie zbił pułkownika z nóg. Zhyte przetoczył się na plecy i ujrzał tuż nad sobą żelazną maskę żołnierza Paktu Krwi, uderzającego z całej siły bagnietem.

Zardzewiałe ostrze przeszło mięśnie na udzie dowódcy Urdeshi, z ust mężczyzny wydarł się ochrypły okrzyk bólu. Zhyte pociągnął dwukrotnie za spust odrzucając pociskami napastnika, sięgnął dłonią po bagniet wyrwijąc ostrze z rany. Krew tryskała wartko z przebitej arterii.

Zhyte pozbierał się chwiejnie na nogi i zaraz upadł ponownie poślizgnąwszy się w kałużę własnej krwi. Złapał za karabin zastrzelonego Pakciarza, z ubrudzonym krwią bagnietem wciąż podwieszonym pod lufą broni, przewrócił się na bok i zaczął strzelać.

Trafił jednego heretyka, drugiego, trzeciego, każdego z nich zabijając na miejscu starannie wymierzonym strzałem. Singis złapał pułkownika pod ramię, zaczął go na poły prowadzić, na poły wlec w stronę wjazdu. Wszędzie wokół posadzkę zaścielały ludzkie zwłoki. Spoglądając w głąb holu Zhyte nie dostrzegał niczego prócz mrowia szarżujących żołnierzy Paktu Krwi, wyjących niczym zwierzęta, wykrzykujących bluźniercze psalmy, strzelających w biegu z bieder.

Pułkownik ujrzał swych ludzi, ich ciała pokrywały marmurową posadzkę sali. Zofer, leżący

na plecach, z urwaną szczęką. Vocane, zgięty w pół, zaciskający dłonie na ranie brzucha, która przyniosła mu śmierć. Reyuri, bez nóg. Gofforallo, o torsie i udach połączonych ze sobą jedynie okrwawionym fragmentem kręgosłupa. Hedrien, przyszpilony do ściany ułamanym bagnetem wciąż tkwiącym w jego piersi. Jeorjul, pozbawiony twarzy i lewej stopy, wciąż spazmatycznie strzelający z lasera. Zhyte ujrzał człowieka, którego nie potrafił zidentyfikować z braku głowy, inny żołnierz był zaledwie przymą poszatkowanego mięsa i kości przemieszanych z dymiącymi resztkami białoczarnej panterki.

Pułkownik wrzasnął i strzelił ponownie. Zaczął śmiać się histerycznie na dźwięk terkotu ciężkiej broni maszynowej. Serie smugowych pocisków szatkowały pierwsze szeregi nacierających żołnierzy Paktu Krwi.

- Zamknij się ! Zamknij ! – krzyczał Singis – Pozbieraj się na nogi i pomóż mi !

Zhyte czuł odrętwienie całego ciała, szok obejmował we władanie jego organizm. Spodnie pułkownika przesiąknięte były jego własną krwią, nabierając koloru identycznego z mundurami heretyków.

Oficerowie znaleźli się w drzwiach. Właz 342. Belthini ciągnął dowódcę na drugą stronę przejścia. Zhyte nie dostrzegł nigdzie Singisa. Potknąwszy się upadł na posadzkę tuż obok Bothrisa i Manahide, dwóch Urdeshi obsługujących karabin maszynowy kalibru 0.50. Właz 342 – sekcja wsparcia.

- Dowalcie skurwielom – powiedział pułkownik. A przynajmniej wydawało mu się, że to powiedział. Nie słyszał swego własnego głosu, dwaj gwardziści najwyraźniej nie zwracali na dowódcę żadnej uwagi.

W gardle pułkownika wzbierała gorąca krew.

Świat zmienił się zniecka w bezdźwięczny spektakl. Zhyte widział wyraźnie jęzory płomieni wylotowych tryskające z lufy cekaemu. Smugowe pociski. Krechy laserowej energii. Poruszające się ludzkie usta. Bothrisa. Manahide. Stojącego w progu Belthiniego, spoglądającego w głąb holu z wyrazem głębokiego zaniepokojenia na twarzy.

Pomiędzy nogami Belthiniego Zhyte ujrzał Pakt Krwi. Heretycy dopadli Rhintlemanna, dźgali go w dzikiej furii bagnetami. Krzyżący przeraźliwie oficer dusił się, wymiotował krwią.

Zhyte nie słyszał jego krzyków.

Nie słyszał niczego poza ogłuszającym biciem własnego serca.

Pułkownik przekręcił głowę w bok opierając się skronią o posadzkę. Belthini przekroczył nad jego ciałem, powiedział coś bezdźwięcznie. Zhyte uświadomił sobie zniecka, że coś czuje – charakterystyczny ostry zapach. Ozon.

To był ozon.

Spróbował podnieść głowę, ale zaraz opadła mu z powrotem, uderzając z trzaskiem w podłogę. Pułkownik przesunął zamglonym wzrokiem po futrynie włazu i ujrzał niewielkie pudełeczko wmontowane w framugę, podłączone kablami do pobliskiego ściennego gniazda zasilania. Na obudowie pudełka migała mała dioda.

Ozon.

Pułkownik przekręcił się na brzuch i zaczął czołgać nieporadnie w przeciwną do włazu stronę. Mógłby przysiąc, że powiedział coś ważnego, ale Belthini spoglądał właśnie na operatorów cekaemu i nie dosłyszał słów swego dowódcy.

Rozbłysk oślepiającego światła.

Rozbłysk światła nabierającego w ułamku sekundy fizycznego wymiaru, przeistaczającego się w materię. Ciało pułkownika omiotła fala gorąca. Zhyte obejrzał się przez ramię i ujrzał uruchomione pole siłowe, przecinające w pół Manahide, Bothrisa i ich pięćdziesiątkę. Broń eksplodowała natychmiast. To był niezwykle, wstrząsający widok: wrząca mgła krwi i

zatomizowanego metalu; rozpadający się ludzie, rozcięci z chirurgiczną precyzją. Pułkownik widział biel kości, tkankę mózgową, światło promieniujące z szeroko otwartych ust Manahide w chwili, kiedy tylna część jego ciała zsuwała się po przeciwnej stronie tarczy.

Dwie przemy ludzkiego mięsa wylądowały tuż obok Zhyte, krwawiące, dymiące mocno w miejscach, gdzie zetknęły się z powierzchnią pola siłowego.

Zhyte podniósł wzrok i ujrzał uwięzionego po drugiej stronie tarczy Belthiniego. Sylwetka oficera była silnie zniekształcona falą przeźroczystej energii. Krzyczał coś z dziką desperacją, wymachiwał zaciśniętymi pięściami. Na drugą stronę tarczy nie docierały żadne jego słowa.

Belthini został trafiony w plecy sześcioma, siedmioma wiązkami laserów równocześnie. Krew obryzgała pole siłowe, mężczyzna upadł na tarczę, zsunął się po niej niczym tonący człowiek.

- O kurwa – pułkownik po raz pierwszy usłyszał swój własny głos.

Uświadomił sobie zniechęca, że ból w nodze ustał całkowicie.

Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że jego nogi wciąż jeszcze znajdowały się po drugiej stronie tarczy.

Był jedynym członkiem oddziału, który wciąż potrafił dojrzeć gwiazdy. Ich odległy blask krył się za grubą warstwą czarnych chmur zasnuwających nocne niebo ponad drugą kopułą, ale on – i tylko on – nadal je widział.

Sierżant Dohon Domor zwany był żartobliwie przez swych towarzyszy broni Shoggi. Został trwale oślepiiony na Menazoidzie, wiele lat temu. Szybko przywykł do obłych cybernetycznych wszczepów, które zastąpiły mu w prymitywny sposób naturalny zmysł wzroku.

Shoggi Domor. Shoggi był niewielkim wodnym płazem o wylupiastych oczach zamieszkującym bagna na Tanich. Był *wymarłym* płazem. Przewisko wydawało się pasować do sierżanta wyśmienicie.

Domor jeszcze raz przyłożył palce do włącznika mikrokomunikatora, ale znowu usłyszał jedynie statyczne trzaski. Pluton znajdował się poza zasięgiem ręcznych modułów łączności reszty regimentu, a dwa plecakowe radiokomunikatory przepadły wraz z promem, wciąż przypięte pasami do szeregowców Liglisa i Gohho.

Zaczął przemieszczać się ostrożnym krokiem po zdradliwej powierzchni dachu, mechaniczne oczy pomrukiwały cicho kalibrując ostrość i redukując natężenie termicznej poświaty w obrębie kominów produkcyjnych. Wyloty kominów jarzyły się żółtym blaskiem, ich podstawy emitowały pomarańczową barwę. Sylwetki ludzi były czerwone, otaczająca ich noc mieniła się kolorami granatu, purpury i czerni.

- Złapałeś cokolwiek? – zapytał sierżant Haller.

- Nie – odpowiedział Domor. Jego ręce zaczynały drętwieć od zimna, czuł ból posiniaczonego ciała. Na mundurach i maskach przeciwgazowych gwardzistów chrzęściła cieniutka warstewka szronu.

Z Boninem na szpicy grupy i ubezpieczającym ich z flanki Vadimem, rozbitkowie wspinali się ostrożnie na dach młyna oparowego. Silne podmuchy gorącego powietrza omiały ich sylwetki roztopiając warstwę lodu na ubraniach i sprawiając, że wszyscy zaczęli się zniechęca pocić. Wyczuwali rytmiczne wibracje dachu, wywoływane przez pracujące pod grubym poszyciem potężne maszyny. Ciepła woda i para pokrywały każdy centymetr powierzchni.

Podwieszono pod lufami karabinów latarki omiały nerwowo mrok nocy. Istniało spore ryzyko, że heretycy wystawili warty na tej właśnie części dachu.

Komandor Jagdea szła z powrotem o własnych siłach. Sanitariusz Fayner wstrzyknął jej dawkę deksahedryny i umieścił złamaną rękę na prowizorycznym temblaku. W lewej dłoni ścisnęła służbowy automatyczny pistolet.

Imperialiści przeszli pod ociekającymi wodą dźwigarami i znaleźli się przy wielkim zakratowanym otworze wentylacyjnym, z którego buchały w niebo gęste kłęby gorącej pary. Daleko pod kratownicą jarzyła się ciemnopomarańczowa łuna. Wrażliwe na emisje termiczne okulary Domora zaszczękały metalicznie, uległy kolejnej kalibracji.

- Ach, feth ! – syknął z obrzydzeniem Nehn.

Krawędzie kratownicy oraz wszystkie okoliczne dźwigary pokrywało mrowie połyskliwych robaków wielkości orczego palca. Insekty odwracały w stronę latarek swe wilgotne szczękoczułki, ociekające śluzem. Owady były wszędzie, całe tysiące. Arilla straciła jednego z rękawa, ale insekt pozostawił po sobie ślad w postaci wydzieliny, która błyskawicznie zaschła na podobieństwo kleju. Zrzucony z munduru owad spadł na dach z miękkim plaśnięciem, odbił się kilkakrotnie.

- Termowory – powiedziała Jagdea. Phantyjka oddychała szybko, w rwącym się rytmie – Robactwo. Zbierają się przy wymiennikach powietrza, by żerować na mniejszych owadach.

- Czarujące – odparł Milo rozgniatając jednego z insektów butem i natychmiast tego żałując.

- One nie są niebezpieczne, żołnierzu – oświadczyła pilotka – Uważaj raczej na skrzydłacze.

- Skrzydłacze ?

- Następne ogniwo łańcucha pokarmowego. Mutanty zrodzone z toksycznych zanieczyszczeń. One polują na termowory.

Milo zamyślił się na chwilę.

- A co poluje na skrzydłacze ? – zapytał.

- Rekiny Otchłani. Ale tutaj nic nie powinno nam grozić, one zazwyczaj nie zbliżają się do miast. To myśliwi szerokich przestworzy.

Milo nie miał pojęcia, czym właściwie był taki rekin; nie wiedział też praktycznie nic o Otchłani, zdawał sobie jednak sprawę z powagi, z jaką pani komandor wypowiadała każde słowo.

Bonin przystanął w miejscu, by przyjrzeć się mapie, wdał się w konwersację z sierżantami oraz kapralem Mkellerem, tanithijskim zwiadowcą przydzielonym do plutonu Hallera.

- Pójdziemy tam – zdecydował w końcu Bonin. Mkeller poparł go kiwnięciem głowy. Żołnierze zaczęli przechodzić pod płataniną wsporników wystrzeliwujących wysoko w mroźną ciemność nocy. Lampy nawigacyjne mrugały na czubkach masztów i na masywniejszych kominach. Robaki kręciły się pod nogami ludzi, biegły za światłem, z ich pyszczków sączyły się strużki śluzu.

Bonin zatrzymał się przy wylocie tunelu wentylacyjnego, oczyścił ostrzem noża kratownicę usuwając całe stada termoworów. Z pomocą Mkellera zdjął kratkę z obudowy tunelu, odrzucił ją na bok, a potem zajrzał w głąb otworu.

- Ciasno tu trochę, ale chyba damy radę. Spuście liny.

- Nie – powiedział Vadim.

- Słucham ?

- Dajcie mi spojrzeć na mapę – młody Duch ujął w palce cienki karteluszek wręczony mu przez Bonina.

- To jest szyb odprowadzający gorący gaz.

- I co z tego ?

- To, że będziemy martwi, jeśli spróbujemy tędy zejść.

- Skąd masz taką pewność ? – zapytał Mkeller.

Vadim podniósł głowę tak, by jego błyszczące za wizjerami maski oczy mogli widzieć zarówno Bonin jak i Mkeller.

- Ten szyb to pięćdziesiąt metrów wysokości w pionie. Przy naszej liczebności i obciążeniu –

gwardzista wskazał wymownie głową komandor Jagdeę – zejście na dół pochłonie przynajmniej dwie godziny.

- I ?

- Nie wiem jak często odprowadzany jest tutaj gaz, ale pewien jestem, że żaden z nas nie chciałby się w takim momencie znajdować w połowie drogi. Ugotuje nas żywcem. Ubrania, pancerz, skóra, mięśnie... wszystko spieczone aż do kości.

- Skąd ty tyle wiesz na ten temat ? – zapytał Mkeller.

- W Vervunhive był dachowcem – wyjaśnił cicho Milo – Zna się na tym, co mówi.

- Pracowałem trochę w systemach grzewczych. Głównie na masztach komunikacyjnych i czasach sensorów, ale przy ogrzewaniu też troszkę. Popatrzcie tylko na tę kratę, którą zdjęliście. Widzicie kształt prętów. Rozszerzają się w przekroju ku górze. To jest szyb odprowadzający gaz na zewnątrz.

Bonin spojrział na Verghastytę z wyważonym szacunkiem.

- Więc znasz się na tym ? Dobrze, przyda nam się twoja pomoc.

Vadim zerknął ponownie na mapę, przecierając palcami zaparowane wizjery maski.

- Tutaj... i tutaj. Te duże szyby. Tunele zasysające zimne powietrze dla systemów chłodzących. Zejście nimi trochę potrwa, a przy tym musimy uważać na łopaty wentylatorów i wiry.

- Jakie wiry ? – wtrącił Domor.

- Jeśli tam na dole będą potrzebowali silniejszego chłodzenia, mogą podkręcić obroty wentylatorów, a wtedy w szybie pojawi się silny ciąg ssący. Nie mówię, że to bezpieczna droga do środka, tylko że jest bezpieczniejsza od tego szybu gazowego.

Powietrzem wstrząsnął głośny wizg gorącego powietrza, z otwartego przez Bonina i Mkennera szybu buchnęła fala żaru i kłęby sadzy. Przypadkowym zbiegiem okoliczności przestrogi Vadima nabrały namacalnego wymiaru.

Bonin śledził wzrokiem jezor płonącego gazu unoszący się ku mrocznemu niebu.

- Zostałem przekonany – powiedział zwiadowca – Zrobimy tak jak proponuje Vadim.

Wszędzie w obrębie drugiej kopuły zapaliły się tarcze pól siłowych, unieruchamiając gwardzistów w miejscu na poziomie peryferyjnej części miasta. Zdesperowany komunikat radiowy nadany przez Fazalura z trzeciej kopuły Cirenhomu mówił o takiej samej niespodziance; połączenie zostało jednak nieoczekiwanie zerwane.

Ze strony Urdeshi docierały jedynie nieskładne, pełne paniki strzępy radiowych transmisji.

- Formować szyk, zmieniamy pozycję ! – krzyknął do członków swego plutonu Gaunt. Pułkownik-komisarz wywołał przez radio Corbeca i Braya, nakazał im rozciągnąć oddziały wzdłuż linii pól energetycznych.

- Nie mogę nawiązać łączności ze szpicą ! – zawołał Beltayn.

Gaunt nie poczuł się tym zaskoczony. Włączone tarcze silnie zakłócały pracę systemów komunikacyjnych. Plutony dowodzone przez Varla, Koleę i Obela znalazły się głęboko wewnątrz kopuły miasta, na kontrolowanym przez nieprzyjaciela terytorium.

Prowadząc swych ludzi szerokimi schodami, a potem ciągiem sąsiadujących ze sobą hangarów dla aerodyn, tanithijski dowódca próbował przejrzeć w myślach taktykę działania heretyków. Część ich działania była jasna: pozwolić imperialnemu desantowi na zdobycie przyczółka, a następnie zagrozić im drogę do przodu. Tajemnicą pozostawała wciąż pytanie: co dalej ?

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać.

Pakt Krwi przez cały ten czas czekał. Heretycy nie wycofali się do centrum kopuły. Ukrywali się pod fałszywymi podłogami i za przesuwными panelami ściennymi. W chwili, gdy imperialni

żołnierze utknęli w miejscu, Pakciarze opuścili swe kryjówki wpadając wprost pomiędzy lojalistyczne oddziały.

Gwardyjskie oddziały, które nie miały już praktycznie żadnego pola manewru.

Żołnierz stojący obok pułkownika Colma Corbeca otworzył usta chcąc coś powiedzieć, ale w tej samej chwili upadł z przestrzeloną smugowym pociskiem głową. Wiązki laserowej energii posypały się na pluton Corbeca z balkonów znajdujących się po obu stronach wysokiego dwupiętrowego korytarza, którym zdążali gwardziści.

- Padnij ! Padnij i kryj się ! Odpowiedzieć ogniem ! – krzyczał Corbec.

Trzej żołnierze na jego oczach runęli martwi na ziemię. Pułkownik patrzył pełnym grozy wzrokiem jak wyłożona metalowymi płytkami podłoga eksploduje w tysiącu miejsc trafiona krechami światła. Poczołgał się w stronę bagażowego wózka, który podskakiwał uderzany gradem pocisków. Wyjąwszy z kabury pistolet Corbec zaczął strzelać w stronę kręcących się na balkonach napastników.

Szeregowiec Orrin klęczał tuż przy nim oddając mierzone strzały ze swego karabinu.

- Orrin ?

- Ostatnia bateria, sir.

Corbec wypalił kilka razy z pistoletu, po czym zerwał z uprząży ostatni akumulator do lasera i wcisnął go w dłoń szeregowca.

- Szanuj każdą wiązkę, chłopcze – powiedział.

Pułkownik wiedział dobrze, że żaden z jego żołnierzy nie miał już więcej jak jedną baterię trzeciej klasy. Z odpowiednim zapasem amunicji mogli sobie dać radę, mogli odeprzeć kontratak.

Lecz bez baterii do laserów... klęska była kwestią minut. Już teraz Corbec widział trzech czy czterech najlepszych ludzi w swym plutonie – Ciskiego, Bewla, Roskila, Uclira – chowających się bezradnie we wnękach korytarza, skazanych na bierność.

Skończyła im się amunicja.

Pułkownik modlił się w głębi serca, by ktoś wysoko postawiony... Ornoff, Van Voytz, może nawet sam marszałek Macaroth, ukarze bezmyślnych pracowników Departmento Munitorium, którzy w oczekiwaniu na prawidłowy świstek papieru pozbawili tanithijski regiment siły ognia. Poczołgał się do przedniej części wózka. Ktoś krzyczał wzywając medyka, sanitariusz Munne rzucił się poprzez grad pocisków z pakietem pierwszej pomocy w ręce.

Corbec wystrzelił ponownie w stronę balkonu. Miał przy sobie sześć magazynków do pistoletu i po oddaniu ostatniej karabinowej baterii Orrinowi była to jego jedyna broń. W arsenale sterowca znajdowało się mnóstwo akumulatorów drugiej klasy w pistoletowym formacie, ale tylko nieliczni szeregowi żołnierze posiadali pistolety.

Uclir strzelał z ciężkiego rewolweru. Zdobytna broń, pamiątka zabrana z odległego pobojowiska. Wiele Duchów zbierało takie militaria i Corbec łudził się w duchu, że może więcej ludzi w jego plutonie ma przy sobie sprawną, nieregulaminową broń.

Po lewej stronie pułkownika rozpętała się donośna kanonada. Loell i Surch zdołali rozstawić lekki karabin maszynowy kalibru .30 i otworzyli ogień zasypując balkony deszczem pocisków, stębnując kilka czerwonych postaci, strącając zwłoki w na posadzkę korytarza, rozłupując kamienne parapety. Wiedząc od początku o brakach w amunicji laserowej Corbec dopilnował, by szeregowcy Cown i Irvinn zabrali ze sobą dodatkowe pudła z taśmami do trzydziestki. Teraz miał pewność, że jego kaem postrzela przez dłuższy czas.

Promienie oślepiającego światła uderzyły gdzieś z góry, od strony zbiegającego się coraz liczniej nieprzyjaciela. Corbec obstawiał, że wróg ściągnął sobie montowaną na trójnogu broń plazmową. Dwaj gwardziści zostali przeistoczeni w kupki popiołu w ułamku sekundy. Pułkownik

strzelił dwa razy z pistoletu i pobiegł w tył, ścigany gradem pocisków, w stronę marmurowego portyku stanowiącego kryjówkę dla Muril i zwiadowcy Mkvennera.

- Tam na górze ! – krzyknął lądując na klęczkach obok dziewczyny.
- Gdzie ? – Muril przyłożyła karabin do ramienia.

Muril, Vervunka o imponujących dokonaniach bojowych w czasach Wojny Zoicańskiej, była etatowym strzelcem wyborowym Corbeca. Rawne zapytał kiedyś pułkownika, dlaczego osobiście przydzielił ją do swojego plutonu – Rawne zdradzał w tym czasie nietypowe zainteresowanie wszystkimi kobietami w regimencie – toteż Corbec wyjaśnił mu ze śmiechem, że zrobił to przez wzgląd na jej zaraźliwy śmiech oraz rude włosy przypominające mu pewną dziewczynę, którą z własnej głupoty porzucił niegdyś w prowincji Pryze.

Oba fakty skrywały w sobie odrobinę prawdy, ale głównym powodem tego przydziału był talent snajperski Muril, który w opinii Corbeca ustępował miejsca wyłącznie Szalonemu Larkinowi. Dysponując idealnie utrzymanym karabinem i wysokiej klasy celownikiem optycznym mogła zdjąć każdy cel.

- Zlikwiduj tę zasraną broń ciężką ! – wydyszał pułkownik.
- Widzę... kurwa ! – szybkim ruchem zdjęła karabin z ramienia.
- Co jest ? – zapytał Corbec.
- Cholerne rozbłyski światła przy wystrzałach... są zbyt jaskrawe... oślepiają mnie w okularze, bo fotoreceptory celownika są przeciążone...

Corbec patrzył z niedowierzaniem jak Muril demontuje masywną bryłę celownika optycznego i mierzy z karabinu ponownie, tym razem gołym okiem.

- Nigdy ci się nie uda – wyszeptał.
- Jak to powiadacie, Tanithijczyku, feth z tobą – Muril pociągnęła za spust.

Corbec ujrzał rozprysk kamiennych odłamków w miejscu, gdzie wiązka trafiła w parapet balkonu.

- Dobrze, dobrze – mruknęła Muril – Dopiero się przymierzałam do strzału.

Plazmowa broń wystrzeliła ponownie, wypalając ogromną dziurę w ścianie korytarza i odsyłając w zaświaty spopielonego szeregowca Litza.

- Widzę cię – szepnęła Muril i nacisnęła drugi raz spust.

Wiązka skondensowanego światła rozwalila głowę strzelca Paktu Krwi, trup runął bezwładnie na posadzkę. Celowniczy plazmówki wrzasnął coś głośno i inny Pakciarz skoczył w jego stronę chcąc zastąpić zastrzelonego towarzysza, ale Muril zdołała już wstrzelać się w cel. Jedno pociągnięcie spustu, drugie...

Trzecia wiązka ugodziła pękaty generator energii plazmówki i cała sekcja balkonu wyleciała w powietrze grzebiąc w swych szczątkach ponad trzydziestu heretyckich żołnierzy.

- Mógłbym cię za to ucałować – mruknął Corbec.
- Później – odpowiedziała Muril dodając słowo „sir”, które utonęło w jej radosnym śmiechu.

Pozostawiając montującą na karabinie celownik dziewczynę samą sobie, Corbec i Mkvenner pobiegli razem w głąb korytarza, w stronę zamykającej go rozległej klatki schodowej, gdzie dwójka Duchów obsługujących karabin maszynowy robiła wszystko, co w ich mocy, by zatrzymać w miejscu nieustający napór szturmowców Paktu zbiegających w dół schodów. Podłoga korytarza pełna była ciał, kawałków ciał i kałuż krwi.

Loell został trafiony rykoszetem, ale Cown doskoczył do trzydziestki w jego miejsce przytrzymując strzelcowi taśmę z nabojami. Kaem terkotał głośno, jego chłodzona powietrzem lufa rozpalona była do czerwoności.

Broń umilkła ze szczękiem. Zacięcie.

- O kurwa... – wymamrotał Corbec.

Pakt Krwi runął z góry na gwardzistów.

- Walka wręcz ! Wręcz ! – wrzasnął pułkownik, po czym zastrzelił z pistoletu najbliższego nieprzyjacielskiego żołnierza i wyszarpnął z pochwy swój tanithijski nóż. Jego Duchy skoczyły do przodu: ci, którzy mieli jeszcze coś w bateriach wciąż strzelali, reszta dzierżyła karabiny niczym włócznie.

Na schodach rozgorzała zaciekle walka wręcz. Corbec dźgał i strzelał, w pewnym momencie wbił ostrze noża aż po rękojeść w wizjer hełmu jakiegoś Pakciarza. Widział jak Cisky upada zaciskając dłonie na rozprutym brzuchu; widział walczącego w połowie schodów Mkvennera, zabijającego każdym uderzeniem noża i każdym pistoletowym strzałem. Widział Uclira miażdżącego czaszkę heretyka kolbą swego rewolweru.

Struga płynnego ognia wystrzeliła w górę schodów ogarniając płomieniami gromadę napastników. Furrian, operator miotacza ognia w plutonie Corbeca, wpadł na klatkę schodową kąpiąc wyjących przeraźliwie napastników w morzu płomieni.

- Dalej, Furrian ! Dalej, chłopcze ! – wykrzyczał Corbec.

Furrian dorastał w tym samym leśnym mieście co Brostin i podzielał owo niezdrowe zainteresowanie piromanią, charakterystyczne dla Brostina. Ciężkie zbiorniki paliwa na jego plecach chlupotały głośno pompując paliwo do dyszy miotacza.

Teraz przyszła nasza kolej, pomyślał Corbec, teraz my mamy przewagę.

Wiązka lasera trafiła Furriana w głowę. Gwardzista runął na schody, wygiął się w tył, z dyszy broni zaczęły skapywać palące się z trzaskiem krople paliwa.

Wtedy druga wiązka trafiła w zbiornik paliwa na plecach Furriana. Wybuch cisnął pułkownikiem o posadzkę. Uclir zawył nieładnie, runął w dół klatki schodowej niczym żywa pochodnia, młócąc spazmatycznie rękami. Orrin stracił w płomieniach twarz, ale bynajmniej nie życie. Tarzał się po podłodze krzycząc niezrozumiale przez pozbawione warg usta, dusił się stopionym tłuszczem tworzącym chwilę wcześniej mięśnie jego twarzy.

Pakciarze zbiegali w dół schodów. Na ich drodze stanęli Mkvenner, Cown i Surch; ostatni trzech gwardziści, którzy utrzymali się na klatce schodowej po katastrofalnym wybuchu. Zdyszany Corbec poderwał się z ziemi i ujrzał coś, co miało pozostać w jego pamięci aż do końca życia – prawdziwie heroiczną ostatnią rubież.

Mkvennerowi skończyła się właśnie amunicja, a Cown nie miał przy sobie niczego prócz tanithijskiego noża. Surch strzelał z laserowego pistoletu, posrebrzane ostrze przymocował wcześniej do krótkiej laski.

Mkvenner zamachnął się karabinem i pozbawił głowy pierwszego przeciwnika; laserowe wiązki cięły powietrze wokół jego zwinnej postaci. Obracając broń w rękach zwałił z nóg następnego heretyka uderzając go kolbą w głowę, nie przerywając płynnego ruchu wbił ostrze w brzuch trzeciego. Cown rozpruł tors swego przeciwnika szerokim cięciem z półobrotu, zwał się z jego towarzyszem, przebił nożem wizjer żelaznej maski Pakciarza. Żołnierze Paktu otaczali trójkę Duchów z wszystkich stron.

Surch strzelił jeszcze dwa razy z pistoletu, cisnął rozładowaną bronią w głowę jakiegoś heretyka. Wbił maskę Pakciarza w jego twarz tępym końcem prowizorycznej włóczni, wywinął nią młynka obcinając innemu przeciwnikowi prawą dłoń.

Tanithijski nóż wyleciał z ręki Cowna, kiedy uzbrojony w krótki miecz żołnierz Paktu omal nie odrąbał Duchowi kończyny. Gwardzista wydusił z siebie jakieś przekleństwo, pochwycił za puste pudło amunicyjne do trzydziestki i zdążył zatłuc nim swego przeciwnika zanim stracił przytomność.

Surch zabił dalszych czterech heretyków i zranił właśnie piątego, kiedy dostał postrzał w kolano, upadł i oberwał kolbą wrogiego karabinu po głowie.

Mkvenner.... Mkvenner budził autentyczne przerażenie. Korzystał ze swego karabinu niczym z bojowej laski, kręcąc nią z niebywałą szybkością i zadając równie mordercze ciosy ostrzem, co kolbą broni. Wybrańcy Urlocka Gaura upadali wokół niego z ranami klutymi i ciętymi, z pękniętymi czaszkami, z nogami połamanymi kopniakami Ducha. Wysoki i szczupły, Mkvenner kopał niczym muł, poruszając się z przy tym z gracją tancerza. Mkoll powiedział kiedyś Corbecowi, że Mkvenner zna tajniki cwlwhl, zapomnianej już sztuki walki legendarnych leśnych wojowników z Tanith. Corbec nie uwierzył wówczas w słowa sierżanta. Leśni wojownicy byli tylko mitem, bajką.

Lecz patrząc teraz na Mkvennera pułkownik przypomniał sobie ponownie opowieść Mkolla. Mkvenner był tak szybki, tak precyzyjny w wymierzaniu ciosów. Każde uderzenie niesło śmierć: każde pchnięcie i cięcie, każda riposta. Mityczni leśni wojownicy byli legendą z mrocznej historii feudalnych rządów na starożytnym Tanith. Legendy mówiły, że posługiwali się wyłącznie drewnianymi włóczniami o posrebrzanych ostrzach. Zjednoczyli Tanithijczyków i obalili dynastię Huhhlwch kładąc podwaliny pod system demokratyczny sprawowany przez miasta-państwa.

Widok Mkvennera przypomniał Corbecowi słyszane w młodości gawędy, opowiadane przy ogniskach. Nalsheen, leśni wojownicy, bohaterowie antycznych legend, mistrzowie cwlwhl.

Lecz nawet on, nawet potomek legendarnych Nalsheen, nie mógł powstrzymać w pojedynkę naporu wroga.

Corbec rzucił się w stronę zwiadowcy strzelając na oślep z pistoletu. W połowie schodów potknął się o jeden ze stopni, upadł.

Wtedy właśnie strumienie laserowego ognia wystrzeliły ze szczytu schodów ścinając zbiegających w dół heretyków.

Pluton sierżanta Braya zdołał przedostać się przez wyżej położone piętra kopuły i zaszedł nieprzyjacielskich żołnierzy od tyłu. Liczący dwudziestu pięciu gwardzistów oddział błyskawicznie zlikwidował zaskoczonych atakiem obrońców i zabezpieczył znajdującą się piętro wyżej galerijkę.

Bray zbiegł w dół schodów przystając dwukrotnie po drodze, by dobić drgających spazmatycznie Pakciarzy, dołączył do Corbeca.

- W samą porę jak sądzę – uśmiechnął się sierżant.

- O tak – wydyszał pułkownik podchodząc do Mkvennera i pomagając mu podnieść się na nogi – Dobry chłopak... dobry, dobry chłopak...

Mkvenner był zbyt wyczerpany, by cokolwiek odpowiedzieć. Wspierając go ramieniem Corbec odwrócił głowę w stronę Braya.

- Przygotujcie się – pułkownik słyszał granie mosiężnych trąb i rytualne zaśpiewy heretyków dokonujących przegrupowania w sąsiednich halach i korytarzach – Zajmijcie pozycje obronne. Korzystajcie ze zdobyczonej broni, zbierzcie jak najwięcej amunicji. To dopiero początek.

- A pomyślałeś kiedykolwiek – odezwał się Varl sięgając do kieszonki po płaskie drewniane pudełko ze skrętami lho i wkładając papieros do kącika ust – że możemy okazać się zbyt dobrzy ?

Kolea wzruszył ramionami.

- Co właściwie masz na myśli ? – zapytał.

Varl zagryzł zęby na skręcie, ale go nie zapalał. Nie był głupi. Rozkoszował się w myślach substytutem papierosa, na którego nie mógł sobie w tej chwili pozwolić.

- Poszliśmy prosto do przodu, prawda ? W samo serce nieprzyjacielskich pozycji. I popatrz, dokąd nas to doprowadziło.

Kolea wiedział, co tanithijski sierżant miał na myśli, on sam też nie mógł się wyzbyć niepokojącej myśli, że zostali odcięci od reszty regimentu. Ostatnie radiowe transmisje Gaunta mówiły coś o tarczach czy czymś podobnym, potem radio umilkło i tylko syczało monotownie. Trzy plutony dowodzone przez Varla, Koleę i Obela - liczące w sumie siedemdziesięciu żołnierzy – znajdowały się głęboko wewnątrz drugiej kopuły, zdane praktycznie na własne siły.

Poruszali się ostrożnie, czujnie, pokonując kolejne poziomy mieszkalne, opustoszałe, prawdopodobnie splądrowane przez heretyckich żołnierzy podczas pierwszej inwazji na Cirenholm. Wszędzie wokół dostrzec można było bolesne dla oczu dowody na to, że Cirenholm należał wcześniej do imperialnych miast: wotywny Orzeł wyrzucony przez okno z domowej kapliczki i roztrzaskany obcasami butów; dwie opróżnione butelki piwa ustawione na niewielkim murku; wykonany z plastiku zabawkowy karabin; wywieszony na sznurku pranie, porzucone od tak dawna, że ponownie się ubrudziło.

Na jednej ze ścian rozległego tarasu wypoczynkowego wisiała metalowa tablica przedstawiająca dawniej wykazy norm produkcyjnych i nazwiska najlepszych robotników. W górnej części tablicy widniały naniesione złotymi literami słowa „Druga zmiana południowego młyna Cirenholmu”, a poniżej phantyńska flaga i motto „*Czynimy to dla Imperatora*”. Ktoś użył lasera, by podziurawić tablicę, a potem za pomocą miotacza płomieni spalił większość wykazów.

Kolea patrzył na to z ogromną przykrością. I tablica i habitat, w którym się właśnie znajdowali gwardziści przywozili mu na myśl tanie mieszkanie wynajmowane wraz z rodziną w Vervunhive. Przez prawie dziesięć lat pracował w kopalni głębinowej numer 17 i czasem śnił mu się nocami zapach zmielonej rudy, warkot górniczych świdrów. Czasem śniły mu się twarze starych druhów ze zmiany, Truga Vereasa i Lora Dindy. W ich habitacie też wywieszano comiesięczne wykazy norm i nieraz się na nich pojawiała nazwisko Kolei.

Mieszkający w tym kompleksie robotnicy zatrudnieni byli w jednym z młynów oparowych Cirenholmu. Kolea zastanawiał się, gdzie teraz przebywali, ile z nich wciąż jeszcze pozostawało przy życiu. Nie miał pojęcia czy Pakt Krwi wymordował wszystkich mieszkańców Cirenholmu czy też uwięził ich w nieznanym jeszcze miejscu.

Przesunął wzrokiem po ulicy. Budynki były częściowo zniszczone, pogrążone w półmroku ledwie rozjaśnianym przez sączące się otworami perforowanego dachu brudnożółte światło. Kiedy Gol wracał zmęczony po swojej zmianie w kopalni, miał przynajmniej okazję zaczerpnąć świeżego powietrza i widzieć słońce wznoszące się ponad sztuczną górą głównego kompleksu mieszkalnego.

Duchy posuwały się ulicą zabezpieczając wejścia do habitatów po obu jej stronach. Varl nalegał na to, by gwardziści kontrolowali każde pomieszczenie po kolei i propozycja ta miała w sobie sporo sensu. Od chwili przełamania zewnętrznej linii obrony żołnierze nie widzieli śladu obecności nieprzyjaciela. Pakt Krwi mógł czaić się wszędzie. Inwazja na Cirenholm nie przerodziła się w tak oczekiwane walki uliczne, stała się za to jednym wielkim znakiem zapytania.

Obel stał z grupką żołnierzy przy niewielkim placu targowym znajdującym się między dwoma habitatami. Sklepiki i stragany zostały splądrowane, zniszczone, przewracane.

- Popatrz na to – powiedział do Kolei Obel i zaprowadził sierżanta do zdemolowanego pomieszczenia, które było wcześniej punktem wydawania wypłat. Na ścianach pokoju widniały insygnia Munitorium. Widząc je Kolea zdusił przekleństwo. Jego opinia na temat Munitorium nie była zbyt pochlebna, podobnie zresztą jak opinie innych Duchów – w oddziale Kolei nie było ani jednego gwardzisty, który miałby przy sobie więcej niż jeden magazynek.

Obel otworzył szufladę w masywnym biurku płatnika. Na blacie mebla znajdowała się metalowa dźwignia z okablowaniem cybernetycznym, umożliwiającym otwieranie szuflady

kasowej jedynie upoważnionym osobom. Ktoś pozrywał wszystkie plomby, rozbił zamki, szuflada otwierała się i zamykała bez trudu. Kolea nie zdołał ukryć swego zdumienia na widok wypełnionych po brzegi monetami przegródek.

- Złupili całe miasto i nie zabrali pieniędzy ? – wykrztusił z niedowierzaniem.

Obel wyciągnął z szuflady jedną z monet, uniósł ją w górę. Krążek był zdeformowany, uszkodzony. Ktoś dysponujący zestawem narzędzi, sporą siłą fizyczną i mnóstwem czasu wolnego zgniótł monetę miażdżąc głowę na podobiznie Imperatora. W jej miejscu widniał wygnieciony stylizowany symbol, od spoglądania na który sierżanta rozboleły oczy.

Obel wrzucił monetę z powrotem do szuflady.

- Myślę, że to mówi sporo o dyscyplinie wśród tych skurwysynów. Bardziej byli zainteresowane pozostawieniem po sobie śladu niż szybkim wzbogaceniem się.

Kolea poczuł zimny dreszcz. Wszystkie monety w szufladzie zostały uszkodzone w identyczny sposób. Niby błaża rzecz, a mimo to bardziej przeraziła sierżanta od innych widzianych do tej pory bluźnierczych aktów desakralizacji. Nieprzyjaciel chciał zdobyć Imperium i ukształtować na swój sposób każdą, nawet najmniejszą jego część.

Wychodząc z powrotem na placyk sierżant ujrzał wymalowane na ścianach napisy. Słowa, których nie rozumiał; litery, których nie znał. Niektóre inskrypcje naniesiono w niskim gotyku. Imiona. „Gaur” i „Slaith”.

Kolea wiedział, że Urlock Gaur sprawował władzę nad siłami heretyków w tym sektorze – to on był diabłem wcielonym stojącym na czele Paktu Krwi. Gaunt opowiadał o nim na odprawach z mieszaniną odrazy i nienawistnego szacunku. Ostatnie wydarzenia mające miejsce na froncie krucjaty dowodziły jasno, że Urlock należał do grona wyjątkowo utalentowanych przywódców sił Chaosu. O Slaithu sierżant nie wiedział prawie nic. Wyżsi rangą oficerowie regimentu wspominali czasami o porucznikach Urlocka i Kolea pewien był, że wymieniali wtedy także nazwisko Slaitha. Być może to on stał za heretycką kampanią na Phantine.

Do dwójki oficerów dołączył nieśpiesznie Varl.

- I co o tym wszystkim myślicie, hę ? – zapytał. Obel wzruszył w odpowiedzi ramionami.

- Musimy kierować się w stronę młyna oparowego – powiedział Kolea – Jestem za tym, żeby na niego uderzyć i zająć.

- A po co ?

- Bo zostaliśmy sami, a drogi powrotnej chyba nie ma. Jeśli mamy tu zginąć, zrobmy przynajmniej coś, co sprawi, że śmierć będzie tego warta.

- Zatem młyn ? – Varl nie wyglądał na przekonanego.

- Tak, młyn. Pomyśl tylko jak źle może wyglądać nasza sytuacja. Być może jesteśmy ostatnimi ludźmi, którzy zostali przy życiu, a jeśli to prawda, nigdy nie wyjdziemy stąd w jednym kawałku. Naróbmy im kłopotów, póki jeszcze możemy. Rozwalmy główne źródło zasilania w tym mieście.

Znajdujący się po drugiej stronie placyku Larkin zajrzał do wnętrza ograbionego sklepiku, stawiając stopy tak, by nie nadepnąć na rozbite szkło. Mężczyzna trzymał w pogotowiu swój snajperski karabin. Baen i Hwlan, zwiadowcy z plutonów Kolei i Hallera, przewodzili drużynom zabezpieczającym zachodni kraniec targowiska i zabrali ze sobą również strzelców wyborowych.

Larkin obejrzał się przez ramię i dostrzegł stojącego w progu Bragga, omiatającego ulicę lufą swego karabinu maszynowego. Caill stał opodal uginając się pod ciężarem pudeł z amunicją do cekaemu.

- Wszystko w porządku, Larks ? – syknął Bragg.

Larkin skinął głową i wycofał się z powrotem na zewnątrz sklepiku. Fenix, Garond i Unkin minęli go ubezpieczając się wzajemnie, wbiegając pomiędzy rzędy drewnianych straganów. Larkin widział sylwetki Rilke i Nessay, snajperów usadowionych za stertą rozbitych pudeł,

pilnujących północnego podejścia do placu targowego.

Duch poruszał się teraz bardziej zdecydowanie, zadowolony z bliskiej obecności Bragga i jego niszczycielskiej broni. Ostre oczy gwardzisty dostrzegły jakieś poruszenie w sklepie, który chwilę wcześniej sprawdzili Ifvan i Nour.

- Za mną, Bragg – szepnął Larkin. Mówiąc szczerze, Hlaine Larkin nie należał do szczególnie odważnych żołnierzy, nad brawurowe szarże przedkładał leżenie w kryjówce i likwidowania wroga na odległość, pozostawiając heroiczne wyczyny ludziom pokroju Kolei i Varla. Lecz teraz cierpiał coraz bardziej z powodu napiętych nerwów. Musiał do czegoś strzelić, zanim straci panowanie nad sobą albo rosnące zdenerwowanie wywoła u niego kolejny atak konwulsji.

Oblizał spierzchnięte wargi i spojrzał na Bragga. Olbrzym uśmiechnął się do niego ponad lufą pięćdziesiątki. Snajper kopnął z całej siły w drewniane drzwi sklepiku i omiół wnętrze pomieszczenia swą bronią. Płatki kurzu unosiły się w promieniach światła wpadającego do środka sklepu przez wybite okna i dziury w dachu.

- Pieprz się, Tanithijczyku. Omal nie dostałem przez ciebie zawału.

- Cuu ?

Szeregowiec Cuu wychynął z mroku na tyłach sklepu, jego kocie oczy rozbłysły w ciemnościach.

- Co ty tutaj robisz ?

- Załatwiam własne sprawy. Czemu nie zajmiesz się swoimi, Tanithijczyku ?

Larkin opuścił karabin.

- To mój interes – odparł próbując nadać swemu głosowi silne brzmienie, ale było coś takiego w cholernym Lijahu Cuu, co Larkina za każdym razem przerażało.

Cuu zaśmiał się, a śmiech ten wykrzywił w paskudny sposób przecinającą twarz mężczyzny bliznę.

- W porządku, jest tu tego tyle, że wystarczy do podziału.

- Tyle czego ?

Cuu wskazał dłonią niewielką metalową skrzynkę leżącą na sklepowej ladzie.

- Nie mogę uwierzyć, że ci durnie zostawili wszystko na miejscu, a wy ?

Larkin zajął do skrzynki. Pojemnik okazał się wypełniony do połowy monetami. Cuu zaczął upychać pieniądze po kieszeniach, garść złotych krążków cisnął w stronę Larkina, rozsypał je po kontuarze. Snajper podniósł jedną z monet. Wyglądała na imperialną walutę, ale została w groteskowy sposób zniekształcona. Pocięta, zgnieciona, naznaczona symbolem, który Duchowi wcale się nie podobał.

- Bierz je – powiedział Cuu.

- Nie chcę żadnej.

Verghastyta obejrzał się w stronę snajpera, skrzywił brzydko usta.

- Nie próbuj wpychać się do mojej zdobyczy, a potem odchodzić z dumną pozą – wysyczał.

- Ja nie miałem... – zaczął Larkin.

- Grabież jest sprzeczna z regulaminem wojskowym – oświadczył spokojnym tonem stojący w progu sklepu Bragg.

- A niech mnie, grubas też tu jest.

- Zamknij się, Cuu – odparł Bragg.

- O co ci chodzi, grubasie ? Masz zamiar grać takiego samego świętoszka jak Larkin ?

- Odłóż z powrotem te pieniądze.

- Bo co ? Ani ty ani Larkin nie jesteście w stanie mnie zastraszyć, pewnie, że pewnie.

- Po prostu je odłóż – powtórzył Bragg.

Cuu tego nie zrobił. Odepchnął Larkina, a potem przeszedł obok Bragga wydostając się na

placyk. Oglądając się przez ramię wyszczerzył zęby w stronę olbrzyma.

- Lepiej dla ciebie, żebyśmy nie spotkali się ponownie na ćwiczeniach, co grubasie ?

- Co to miało znaczyć ? – zapytał Bragg.

- Nie chciałbym cię znowu pociąć moim markerem – odpowiedział Cuu.

Bragg i Larkin patrzyli jak Verghastyta odchodzi w ślad za resztą żołnierzy.

- Co się stało ? – spytał podchodzący z boku Caill. Bragg pokręcił uspokajająco głową.

- Ten facet... – urwał na chwilę Larkin – Ktoś powinien dać mu w końcu nauczkę, tyle tylko wam powiem.

Niewidzialny strumień zimnego powietrza szarpał za ubranie gwardzisty. Gdzieś daleko w dole, w blasku mętnej bursztynowej poświaty, rozlegało się rytmiczne przerażające „łup ! łup ! łup !” gigantycznego wentylatora.

Palce Brina drętwiały coraz bardziej, lina wcinała się w jego dłonie. Duch nie pamiętał już nawet czy trzyma ją w taki sposób jak mu zaprezentował Vadim.

- Na lewo ! – syknął ludzki głos – Milo, na lewo ! Rusz się w lewą stronę !

Milo przesunął się w lewo próbując nie kopać zbyt silnie w metalowe ściany szybu, ale wciąż robił zbyt wiele hałasu, kojarzącego mu się na dodatek z dźwiękiem worka warzyw wpadającego do piwnicznego zsypu.

- W lewo, gak ! Masz tam oparcie !

Milo natrafił lewą stopą na krawędź ściany, wyczuł wskazane oparcie, odzyskał stabilną pozycję.

- Vadim ? – wydyszał.

- Jesteś w dobrym miejscu. Teraz puść linę lewą ręką.

- Ale...

- Zrób to, do cholery ! Zrób to i wyciągnij przed siebie rękę ! Masz włącz tuż przed nosem !

Milo pocił się tak silnie, że gotów był przysiąc, iż cała jego skóra ześlizgnie się lada moment z ciała. Nie widział niczego prócz ciemności; nie czuł niczego oprócz wcinającej się w dłonie liny i skąpego oparcia pod podeszwami butów; słyszał tylko własny chrapliwy oddech oraz upiorny łomot obracającego się w dole wentylatora.

Oraz ponagląjący głos Vadima.

- Milo ! Teraz !

Gwardzista wyciągnął przed siebie rękę i poczuł uspokajający dotyk metalowej powierzchni.

- A teraz przesuń się do przodu ! Powolutku do przodu !

Milo spróbował wykonać polecenie, ale nieoczekiwanie stracił równowagę i poczuł, że zaczyna się ześlizgiwać w dół.

- Feth ! – wykrztusił przez ściśnięte łękiem gardło.

Silne ręce pochwyliły go za ubranie, wciągnęły z powrotem na metalową półkę.

- Mam cię, mam cię ! Jesteś bezpieczny !

Milo przykucnął dysząc ciężko, spojrzał w górę dostrzegając w półmroku zarysy twarzy Vadima. Verghastyta uśmiechał się szeroko.

- Dobra robota, Milo.

- Feth... serio ?

Vadim pomógł mu podnieść się z powrotem na nogi.

- To nie było łatwe zejście, nie życzyłbym go nawet kolegom z zespołu dachowego. Szyb jest dużo szerszy niż się spodziewałem i mało w nim uchwytów na ręce. O strumieniu powietrza nawet nie wspominam. Też to czułeś ?

Milo pokiwał głową i wyrzwał na zewnątrz tunelu serwisowego, do którego wciągnął go

Vadim. Ze swej obecnej pozycji widział już wyraźnie obracające się w dole wielkie łopaty wentylatora. Łup, łup, łup !

- Feth ! – wydyszał i obejrzał się przez ramię – Gdzie jest Bonin ?

- Tutaj – powiedział zwiadowca wyslizgując się z ciemnego kąta. Bonin i Vadim zeszli w dół szybu jako pierwsi.

- Nie było lekko, co ? – zapytał Bonin tonem takim jakby zejście było dla niego spacerem po łące.

Vadim wychylił się ponownie w głąb szybu i pomógł wciągnąć do tunelu Lilla, poczerwieniałego i zroszonego kroplami potu.

- Nigdy więcej – wymamrotał gwardzista kucając na chwilę i ocierając mokre czoło.

- Chyba nie powinniśmy ściągać na dół nikogo więcej – powiedział Vadim – Zbyt długo to trwa.

Bonin kiwnął głową i przycisnął palcem swój mikrokomunikator.

- Słyszysz mnie, Shoggy ?

- Nawijaj. Jesteś na dole ?

- Tak, wszyscy czterej w komplecie. Zostańcie tam, gdzie jesteście, to nie jest łatwe zejście. Pokręcimy się tutaj i sprawdzimy, czy nie znajdzie się jakieś lepsze wejście dla was od strony dachu.

- Zrozumiałem. Nie wałusajcie się tam zbyt długo.

Czwórka Duchów odbezpieczyła swe karabiny i rozwinęła płaszcze kamuflujące. Znajdowali się teraz we wnętrzu młyna oparowego Cirenholmu, przemykając po pomostach i kładkach niczym cienie. Łoskot obracających się w dole turbin zagłuszał wszelkie czynione przez nich hałasy.

Bonin przywołał trójkę swych towarzyszy w stronę najbliższej kryjówki, potem machnął ręką nakazując Milo i Vadimowi ruch do przodu. Gwardziści dotarli na rozległy metalowy pomost zawieszony ponad głównymi korpusami gigantycznych turbin. Powietrze było suche, przesyczone zapachem oleju i spalonego kurzu.

Lillo odskoczył w bok, skierowany na flankę ruchem dłoni Bonina. Kiedy znalazł się już na wyznaczonym miejscu, zwiadowca postąpił kilka metrów do przodu. Spozrzegł szkielec metalowej klatki schodowej umożliwiającej być może dostęp do wierzchniej części dachu. Wyglądała dość obiecująco.

Bonin schował się za jednym z filarów i przywołał do siebie resztę żołnierzy. Lillo przyspieszył ubezpieczając zwiadowcę z boku, Milo i Vadim pobiegli przed siebie mijając Bonina i zmiierzając w stronę przeciwnego krańca pomostu.

Milo zatrzymał się po chwili i przyklęknął, ale Vadim biegł dalej. Brin zmełł w ustach przekleństwo. Verghastyta zbyt odsadził się od reszty grupy, złamał płynny szyk całej czwórki.

- Vadim ! – syknął do mikrofonu.

Vadim usłyszał ostrzegawczy szept i zatrzymał się w pół kroku pojmując, jaki błąd popełnił. Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu kryjówki, po czym skoczył prosto w masywną futrynę pobliskiego ściennego włazu.

Właz otworzył się zniecka kilka sekund później, pomost zalany został strumieniem jaskrawego światła.

Vadim obrócił się na pięcie i stanął twarzą w twarz z sześcioma żołnierzami Paktu Krwi.

Ukryty w półmroku Milo dostrzegł nagły rozbłysk światła w głębi włazu, pod którego drzwiami ukrył się Vadim. Moment później młody Verghastyta pojawił się w polu widzenia Ducha biegnąc co sił przed siebie i strzelając za plecy z trzymanego w jednej ręce lasera.

W ciemności ogromnej hali zapłonęły krechy laserowego ognia. Wiązki czerwonego światła cięły kąśliwie powietrze, nadtapiały metalowy pomost, odrywały kawałki poręczy. Milo nie miał

pojęcia czy Vadim zdołał uciec, nie dostrzegł też nigdzie jego ciała.

- Vadim ? Vadim ?

Kilka postaci wypadło na pomost z wnętrza wjazdu, szybko, wprawnymi ruchami. Milo dostrzegł czerwone uniformy, błyszczące karmazynowe hełmy, czarne pasy uprząży oraz ciemne nieruchome twarze, które sprawiały wrażenie zastygłych w spazmach agonizacji bólu. Dwaj heretycy strzelali spod wjazdu w obu kierunkach, pokrywając ogniem pomost i zapewniając osłonę czwórce wybiegających w ślad za nimi kompanów.

Milo podniósł do strzału broń, ale zamarł w miejscu słysząc w słuchawce głos Bonina.

- Milo ! Nie strzelaj, kryj się ! Lillo, wal do nich z tego miejsca, w którym teraz jesteś !

Brin obejrzał się przez ramię. Lillo tkwił w tyle, w głębi pomostu, dalej od wjazdu niż Bonin czy sam Milo. Verghastyta zaczął strzelać krótkimi seriami, mierząc w kierunku zabezpieczających wjazd heretyków, wystrzeliwane z jego karabinu wiązki energii przelatowały na wysokości głowy kucającego Brina.

Pakciarze z miejsca skupili całą uwagę na napastniku, na przemian ostrzeliwując go i zmierzając krótkimi skokami w stronę kryjówki Lilla. Milo przejrzał od razu prostą, ale obiecującą sztuczkę Bonina. Lillo wciągał heretyków pomiędzy lufy Bonina i Mila.

- Czekaj, czekaj... – mruczał w słuchawkach zwiadowca.

Heretycy byli coraz bliżej. Milo pojął w pewnym momencie, że ich dziwnie nieruchome twarze były w rzeczywistości odlanymi z metalu maskami, topornymi i odstręczającymi. Duch czuł już odór ich potu, fetor niemytych od dawna ciał. *To właśnie są członkowie Paktu Krwi*, pomyślał chłopak.

- Czekaj...

Milo kuczał w tak niewygodnej pozycji, że nogi zaczynały go piec żywym ogniem, a skóra cierpła. Ścisnął mocniej swój laser. W powietrzu krzyżowały się wiązki energii – niebieskobiałe krechy światła wystrzeliwane z broni Lilla i jaskrawoczerwone słane w ciemność przez heretyków.

- Teraz !

Milo poderwał się z kucek i pociągnął za spust. Seria wiązek osmolila metalową barierkę chybiając opartego o nią bokiem Pakciarza. Zaskoczony widokiem nieoczekiwanego przeciwnika zamaskowany wojownik w jego stronę, ale Brin w biegu odłożył poprawkę, strzelił jeszcze dwukrotnie, za każdym razem trafiając heretyka w głowę.

Bonin otworzył ogień w tym samym momencie co Milo i zastrzelił dwóch Pakciarzy skradających się pod osłoną metalowych skrzyń w stronę pozycji zajmowanej przez Lilla.

Na pomoście zapadła cisza. Według szacunków Mila gdzieś w okolicy wjazdu musiało znajdować się dalszych trzech wrogów. Chłopak słyszał cichutkie odgłosy kroków zmierzające w kierunku kryjówki Bonina, tkwiącego za rzędem obłych beczek, ale z zajmowanego przez siebie miejsca Brin nie potrafił niczego dostrzec. Położywszy się płasko na brzuchu wyjrzał zza rogu skrzyni. Prawie widział przeciwnika, na powierzchni pomostu rysował się wyraźnie rzucany przez heretyka cień. Pakciarz już niemal dotarł do kryjówki Bonina.

Milo wyskoczył zza skrzyni, wystrzelił dwa razy. Ugodzony wiązkami Pakciarz poleciał do tyłu, upadł, zacisnął palec na spuście swej broni posyłając w sufit hali serię przeznaczoną dla Bonina.

Powietrze rozdarł dziki wrzask. Milo obrócił gwałtownie głowę i ujrzał drugiego heretyka, biegnącego w jego stronę, strzelającego w ruchu. Krechy laserowego światła przedziurawiły skrzynię, wytopiły otwór w kolbie broni Ducha, nadpaliły kompozytowy element pancerza na jego ramieniu.

Bonin wysadził ze swej kryjówki, przeskoczył w ułamku chwili rząd beczek. Zderzył się z

szarżującym na Brina napastnikiem, obaj wyróżnili z rozpędu w barierkę pomostu. Śmignęła wzniesiona w górę pięść zwiadowcy, błysnęło zaciśnięte w niej tanithijskie ostrze. Pakciarz krzyknął ostro, złapał się za szyję. Straciwszy równowagę przeleciał przez barierkę i runął z pomostu w ciemność rozciągającą się poniżej.

Gdzieś z boku rozległ trzask pojedynczego wystrzału. Ostatni żołnierz Paktu Krwi uciekał w kierunku wjazdu i Lillo zabił go jednym dobrze wymierzonym ładunkiem.

Verghastyta podbiegł do dwójki towarzyszy.

- Sprawdź wjazd – polecił mu Bonin. Duch wytarł starannie swe ostrze, zanim schował do pochwy.

- Dzięki – odezwał się Milo – Prawie mnie dorwał.

- Nie ma za co – uśmiechnął się Bonin – Ja nigdy nie zdążyłbym kropnąć tego, który się podkradał do beczek.

Dołączyli truchtem do stojącego przy wjeździe Lilla.

- Chyba dorwaliśmy wszystkich. Ten tutaj wygląda na oficera – gwardzista kopnął czubkiem buta ciało heretyka, którego zastrzelił podczas próby ucieczki.

- Gdzie jest Vadim ? – zapytał nagle Milo.

Rozejrzeli się wokół. Uciekający spod wjazdu Vadim przepadł bez śladu. Dla trójki mężczyzn istniało tylko jedno wytłumaczenie dla jego zniknięcia: ogarnięty paniką chłopak wypadł za krawędź pomostu.

- Hej !

Milo przypadł do barierki, wyjrzał za poręcz pomostu. Vadim wisiał pięć metrów niżej, trzymając się jedną ręką poziomego wspornika platformy.

- O kurwa – wykrztusił Milo – Dawajcie linę !

Bonin przeszukał ciała zabitych Pakciarzy i odkrył zestaw elektronicznych kluczy w kieszeni płaszcza oficera.

- Przepraszam – powiedział Vadim znalazłszy się z powrotem na pomoście.

Bonin nic nie odrzekł, nie było ku temu potrzeby. Młody Verghastyta wiedział doskonale jaki błąd popełnił.

Gwardziści weszli do wnętrza masywnej klatki schodowej, ruszyli w kierunku odległego dachu. Elektroniczne klucze pozwalały otwierać każde napotkane drzwi i wjazdy; nie posiadając ich Duchy straciłyby wiele godzin próbując wysadzić lub wyłamać przeszkody.

Na szczycie klatki schodowej znajdowała się wąska platforma z drabinką biegnącą ku widocznemu w suficie wjazdowi. Bonin wspiął się pod sam sufit i zaczął sprawdzać klucze jeden po drugim, dopóki nie odblokował dźwigni otwierającej pokrywę dachową.

- Maski – powiedział i cała czwórka nałożyła ponownie respiratory. Bonin pociągnął za dźwignię. Na całej długości platformy zapaliły się pomarańczowe światła ostrzegawcze, spod otwierającego się z wizgiem siłowników wjazdu buchnęły do środka kłęby pary i strumień lodowatego powietrza.

- Ktoś na pewno to zauważy – odezwał się Lillo.

Nie mogli temu zaradzić, toczyli wyścig z czasem. Zniknięcie patrolu na platformie poniżej też lada chwila mogło zaalarmować nieprzyjaciela.

Bonin wyskoczył na dach, przywołał do siebie za pomocą komunikatora Domora i resztę grupy. Dotarcie do wjazdu i zejście pod dach zajęło gwardzistom dobre piętnaście minut. Zwiadowca posłał kilku pierwszych żołnierzy na dół, razem z Milo i Lillo, nakazując im zabezpieczyć dolną platformę i podstawę klatki schodowej. Kiedy tylko ostatni Duch znalazł się w środku kopuły, Bonin zamknął ponownie wjazd. Ostrzegawcze lampy zgasły natychmiast.

Żołnierze, którzy stracili swą broń podczas przymusowego lądowania – jak choćby Seena i Arilla – zabrali martwym Pakciarzom ich wysłużone karabinki laserowe. Unikając wjazdu gwardziści zbiegli w dół klatki schodowej, dotarli w końcu do podłogi gigantycznej hali turbin. Było tam ciemno i ślisko od oleju, wyziewy pracujących machin tworzyły w powietrzu zwiewną mgiełkę oparów, ale lojaliści wdzięczni byli losowi za tę ciemność. Mkeller i Bonin przeanalizowali mapę, a potem poprowadzili oddział poprzez płataninę korytarzyków technicznych, pomiędzy obudowami generatorów, pod masywnymi rurami układu ciepłowniczego. Wilgotne maszyny ociekały wodą, w kątach popiskiwały jakieś gryzonie.

Gdzieś wysoko ponad głowami Duchów rozbłysło znieścacka światło, padające z jakiegoś otwartego wjazdu lub słuzy na jeden z bocznych pomostów hali. Żołnierze dostrzegli grupę ludzkich sylwetek biegnących pośpiesznie w kierunku schodów wiodących na wyższe piętro konstrukcji. Chwilę potem w górze pojawiły się inne światła, znaczące miejsce, gdzie inna grupa żołnierzy, znacznie liczniejsza, obsadziła kolejny pomost ubezpieczając pierwszy oddział.

Bonin i Milo zrzucili wcześniej trupy zabitych Pakciarzy z pomostu, ale nie znaleźli żadnego sposobu na zatarcie śladów po zacieklej strzelaninie.

Kiedy nieprzyjacielscy żołnierze zniknęli gdzieś w górze, gwardziści przedostali się wreszcie na drugi kraniec hali i odnaleźli wjazd otwarty z marszu elektronicznym kluczem. Formując szyk drużynami, z Jagdą oddaną pod opiekę środkowej grupy, ruszyli szerokim korytarzem serwisowym o ścianach ożebrowanych masywnymi metalowymi wspornikami. Spod sufitu sączyło się niebieskawe światło lamp ukrytych w zakratowanych niszach.

Korytarz skręcał co chwila w innym kierunku, biegł przez skrzyżowania, tunele łącznikowe, klatki schodowe i wjazdy. Haller czuł rosnące zaniepokojenie, dostrzegał te same emocje na twarzach pozostałych Verghastytów. To był istny labirynt. Jego towarzysze skręcili już tyle razy, że żaden z Verghastytów nie potrafił wskazać nawet przybliżonego kierunku podróży, ale Tanithijczycy szli naprzód z niewzruszoną pewnością siebie. Corbec powiedział kiedyś Hallerowi, że rodowity Tanithijczyk nie potrafi się zgubić. Pułkownik nie sądził, by umiejętność ta zapisana była w ich genach, miała raczej wiele wspólnego z dzieciństwem spędzonym na leśnych ścieżkach ich zielonego świata macierzystego, zmieniających co chwila swoje położenie i kształt.

Teraz Haller wierzył już w te słowa. Bonin, podobnie jak wszyscy pozostali zwiadowcy posępny i milkliwy, w ogóle nie spoglądał na swoją mapę, czasami przystawał jedynie na chwilę, by sprawdzić tabliczki znakujące część korytarzy, a raz zawrócił grupę i poprowadził ją na piętro inną klatką schodową. Jego pewność siebie pozostawała niezmienną.

Dotarli w końcu do niewielkiej sali, od dawna porzuconej i opustoszałej. Haller szacował, że znaleźli się daleko w trzewiach głównej części miasta, gdzieś poniżej sieci kanalizacyjnej. Pod ścianami stały wieszaki pełne zakurzonych starych kombinezonów roboczych i jakieś skrzynie. Większość sufitowych lamp nie działała. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się niewielkie drzwi – metalowe, pomalowane na niebiesko i oznakowane ciągiem białych liter.

Bonin zatrzymał się i spojrzął na Mkellera. Drugi zwiadowca, mężczyzna w średnim wieku i krótko przyciętych posiwiałych włosach, odwzajemnił spojrzenie kiwając przy tym znacząco głową.

- Co to za drzwi ? – wyszeptał Haller.
- Tylne wejście do sali kontrolnej młyna.
- Jesteś pewien ?
- Nie muszę otwierać tych drzwi, żeby mieć pewność, iż jest za nimi korytarz serwisowy prowadzący do sali kontrolnej młyna, sir.
- Dobrze już, dobrze – Haller spojrzął na Domora – Co o tym myślisz ?

- Myślę, że to najlepszy cel jaki mógł nam się trafić. Chyba, że zamierzasz ukrywać się w tych podziemiach do, hmm, nie wiem... końca świata ?

Haller uśmiechnął się pod nosem.

- Uwaga przyjęta do wiadomości. Jak to zwykł chętnie powtarzać nasz kochany pułkownik-komisarz, chcecie żyć wiecznie ?

Wybuch targnął całym pomieszczeniem, odarł ściany z drewnianych paneli, pozaczył brzdami posadzkę i zerwał z sufitu jeden z kryształowych żyrandoli. Żyrandol runął na podłogę z dźwięcznym trzaskiem i rozprysnął się na wszystkie strony, drugi huśtał się szaleńczo pod sufitem.

Niebieskawy dym rozchodził się powoli po korytarzu.

Gaunt mrugnął kilka razy załzawionymi oczami, wykrztusił z płuc gryzący dym i rozejrzał się wokół. Chociaż przysypani warstwą dymiących śmieci, gwardziści z jego plutonu wyglądali na całych i zdrowych.

- Szyk i do przodu, trójkami ! Biegiem ! – powiedział do mikrofonu Gaunt – Soric, pilnuj nam pleców !

- Zrozumiałem, sir – potwierdził Soric, który razem z Theissem, Ewlerem i Skerralem utrzymywał płataninę korytarzy w tylnej części kompleksu, odpierając coraz silniejsze kontrataki nieprzyjaciela.

Gaunt wyciągnął z pokrowca miecz, włączył generator energii i pobiegł do przodu w towarzystwie Derina i Beltayna, ubezpieczany przez Caobera, Wersuna i Starck. Gruz i szkło zgrzytały pod butami żołnierzy, kopnięty przez Gaunta fragment kryształowego żyrandola rozprysnął się w drobne kawałeczki.

Nim jeszcze pułkownik-komisarz dobiegł do końca korytarza, usłyszał pełen frustracji jęk Caobera i pojął z miejsca jego znaczenie. Tarcza pozostała nienaruszona. Eksplozja zerwała cały fronton ściany, zdemolowała futrynę drzwi i spory fragment sufitu. Gwardziści zbudowali bombę z pakietów burzących całego plutonu i jeszcze nie wystarczyło. Pole siłowe pulsowało ścianą migotliwej energii.

- Sir ? – odezwał się Beltayn.

Gaunt zastanawiał się gorączkowo. Istniał co prawda stosowny protokół odwrotu – strateg Biota określił go mianem Niebieski Magus – ale wydanie tego rozkazu miało się z celem. Lojaliści zostali uwięzieni pomiędzy tarczami pól siłowych z jednej strony i Pakciarzami napierającymi na nich od tyłu. Nie mieli się gdzie wycofać, wzywanie floty ratunkowej też wydawało się bezsensowne. Nawet jeśli promy dotarły już do sterowców i tankowały paliwo zgodnie z uprzednio ustalonym harmonogramem, nieprzyjaciół zajął strefy zrzutu, jedyną drogę ucieczki z podniebnego miasta.

Biota pewien był, że wygramy. Psiakrew, on był tego całkowicie pewien. Cirenholm sklasyfikowany został jako cel trudny, ale osiągalny. Imperialny sztab zaniżył ocenę stacjonujących tam żołnierzy Krwawego Paktu.

Gaunt zabrał Beltaynowi mikrofon i słuchawki.

- Jedyńka do reszty oddziałów w obrębie 6903. Tarcza nie została naruszona. Powtarzam, tarcza nie została naruszona. Pozostańcie na swoich pozycjach.

Pułkownik-komisarz zaczął studiować dane taktyczne na swym elektronicznym notesie, aktualizowane na bieżąco przez zbierającego radiowe meldunki Beltayna. Ciasno, bardzo ciasno. Duchy zostały stłoczone na ograniczonej przestrzeni pomiędzy linią pól siłowych i napierającymi na nich heretykami. Niemal całkowicie pozbawiony pola manewru, Gaunt musiał oprzeć się na mizernej jego namiastce.

- Mówi jedynka – kontynuował – Soric, Theiss, Skerral. Utrzymujecie dotychczasowe pozycje. Ewler, przesuń się nieco na zachód. Z map wynika, że dwieście metrów od was jest techniczna klatka schodowa. Macie ją zabezpieczyć i zablokować przejście. Maroy, osłaniasz ogniem zmianę pozycji Ewlera. Potwierdźcie odbiór.

W eterze rozbrzmiały krótkie rzeczowe odpowiedzi.

- Tu jedynka. Burone, słyszysz mnie ?

- Sir !

- Jak tam u was sytuacja ?

- Niski napór wroga, przynajmniej w chwili obecnej. Mam wrażenie, że próbują obejść nas z flanki.

- Rozumiem. Postarajcie się nie oddać ani metra terenu. Gdybyście zostali zmuszeni do odwrotu, cofajcie się najdalej do skrzyżowania 462.

- Cztery sześć dwa, potwierdzam.

- Tarnash, Mkfin, Mkoll. Spróbujcie się przedostać na południe do westybulu przy 717. Jest tam ciąg pomieszczeń, które sprawiają wrażenie użytecznych w obronie.

- Zrozumiałem, sir – zgłosił się Mkfin.

- Odebrałem, jedynka – potwierdził Mkoll.

- Tarnash ? Tu jedynka, zgłóście się.

Trzask radiowych szumów.

- Tarnash ?

Gaunt zerknął na Beltayna, manipulującego gałkami radiokomunikatora. Zatroškany szeregowiec pokręcił przecząco głową.

- Jedyńska do dwudziestki.

- Słucham was, jedynka.

- Soric, Tarnash być może nie żyje, a to oznacza niebezpieczną lukę w waszej lewej flance.

- Dziękujemy za ostrzeżenie, sir.

- Mkendrick, Adare, przesuniecie się na prawo. Soric potrzebuje osłony na flance.

- Zrozumiałem, sir. Ciężko będzie, cholernie tu gorąco – oznajmił Adare.

- Zróbcie, co w waszej mocy. Wix, nadal trzymasz ten dok towarowy ?

- Została nam resztką amunicji, sir. Możemy ich powstrzymać jeszcze przez góra dziesięć minut, potem przyjdzie nam bić się na pięści i noże.

- Strzelać pojedynczymi wiązkami, Wix. Użyjcie pakietów wybuchowych, jeśli będzie trzeba.

Inna transmisja radiowa wdarła się zniemacka w eter przerywając rozmowę.

- Dziesięć pięćdziesiąt do jedynki !

- Raportuj, Indrimmo.

W głosie Verghastyty brzmiała szaleńcza desperacja. Gaunt słyszał w tle kanonadę z broni maszynowej.

- Jesteśmy odcięci ! Moja drużyna jest odcięta ! Zero na wszystkich bateriach ! Gak ! Oni są wszędzie wokół, nie...

- Indrimmo ! Indrimmo ! Jedyńska do dziesięć pięćdziesiąt !

- Kanał jest martwy, sir – wymamrotał Beltayn.

Gaunt spojrział przez ramię na migotliwą powierzchnię tarczy, swego najgroźniejszego nieprzyjaciela. Energetyczna zaporą praktycznie pozbawiała go możliwości skutecznej obrony. Przez moment walczył w myślach z pokusą uderzenia jej ostrzem swego miecza, ale wiedział, że nie zyskałby w ten sposób niczego prócz zniszczenia broni Heironymo Sondara.

- Jakies pomysły ? – zapytał Caobera.

Zwiadowca potrząsnął głową.

- Mogę tylko stwierdzić, że ten system tarcz jest podłączony do miejskiego układu zasilania. Musi pożerać niewiarygodne ilości energii.

Gaunt zdążył już dojść do tego samego wniosku. Gdyby tylko zdołał nawiązać łączność ze swoją szpicą – Varlem, Obelem i Koleą... o ile wciąż jeszcze żyli. Może oni mogliby opanować młyn oparowy i...

Nie, to były jedynie pobożne życzenia. Jeśli trzy plutony wchodzące w skład szpicy wciąż jeszcze istniały, zapewne walczyły teraz szaleńczo o życie odcięte głęboko na terytorium nieprzyjaciela. A gdyby nawet ustały generowane przez tarcze zakłócenia komunikacji radiowej i pułkownik-komisarz nawiązałby z nimi łączność, pomysł szturm na młyn oparowy wydawał się wyłącznie samobójstwem.

Z gorączkowego zamyślenia wyrwał go donośny huk wybuchu. Zanim jeszcze chmura dymu rozeszła się w powietrzu, Gaunt spostrzegł postacie w czerwieni wpadające do pomieszczenia poprzez wysadzoną w jego ścianie wyrwę.

Imperialne mapy Cirenholmu były dość precyzyjne i czytelne, ale to Pakt Krwi był tutaj gospodarzem – heretycy zdążyli dokładnie poznać każdy szyb wentylacyjny i każdy tunel serwisowy. Zdołali się prześlizgnąć do tego holu omijając w jakiś sposób Sorica i resztę linii obrony.

Uderzyli wprost na rozproszony po całym pomieszczeniu pluton Duchów.

Pułkownik-komisarz nie musiał wydawać żadnych rozkazów, jego ludzie zareagowali instynktownie, naciskając spusty nawet w chwili, gdy trafiały ich wiązki nieprzyjacielskich laserów. Wersun runął przed siebie, dwukrotnie postrzelony, strzelał z biodra seriami, które zabiły trzech Pakciarzy. Caober i Derin zderzyli się z napastnikami, dźgając szaleńczo bagnietami i posyłając na oślep krechy energetycznych ładunków.

Vanette, Myska, Lyse i Neith zasypali obręb wylomu seriami z laserów. Trafiony w lewe przedramię Myska upadł na posadzkę, ale zaraz zerwał się ponownie na nogi, używając w charakterze podpórki dla karabinu fragmentu metalowej poręczy. Starck osunęła się na podłogę ugodzona w gardło, Lossa został trafiony wiązką energii w głowę. Gwardzista złapał się za twarz, postąpił kilka kroków do przodu, ułamek chwili później ścięty go serie wystrzelone przez dwóch nacierających żołnierzy Paktu Krwi.

Obaj heretycy zginęli sekundę potem, ich torsy rozerwane zostały boltowymi pociskami Gaunta.

Pułkownik-komisarz przeskoczył leżącego w kałuży krwi Wersuna i ciął energetycznym mieczem najbliższą dostrzeżoną maskę. Błękitna poświata ostrza rozpała powietrze, w nozdrza oficera uderzył silny odór parującej krwi. Drugi heretyk wyrósł z lewej strony Ducha, podniósł do strzału laserowy karabinek. Trafiona mieczem broń została przecięta wpół razem z trzymającymi ją rękami.

Gaunt zawirował w miejscu, odbił ostrzem laserową wiązkę, skoczył natychmiast w kierunku następnej grupy Pakciarzy. Trzej heretycy przeskakiwali właśnie wyrwę w ścianie. Pierwszy zgiął się, runął na posadzkę trafiony z broni Derina. Gaunt przebił mieczem drugiego, zderzył się w biegu z trzecim. Ten uniósł do strzału własną broń, ale pułkownik-komisarz szarpnął za swój miecz i zasłonił się nabitym wciąż na ostrze ciałem przed lufą wrogiego karabinu. Nie tracąc ani chwili przyłożył boltowy pistolet do wizjera czarnej maski i pociągnął za spust.

Wokół rozpętało się istne piekło. Większość Duchów wyczerpała już baterie, rzuciła się na spotkanie prących przez wylom żołnierzy Paktu z nożami, zaciśniętymi pięściami lub dzierzonymi niczym maczugi karabinami.

Energetyczna wiązka nadpałała rękaw uniformu Gaunta. Oficer wystrzelił ponownie z pistoletu, zabił heretyka, który upadł na plecy podcinając nogi biegnących z tyłu kamratów.

Gaunt pociągnął raz jeszcze za spust, ale zamiast wystrzału usłyszał jedynie suchy trzask mechanizmu spustowego.

Magazynek był pusty, a on nie miał czasu na jego wymianę.

Uderzył z półobrotu energetycznym ostrzem, odcinając lufy karabinów, czubki bagnatów, ludzkie kończyny. Dwaj napastnicy runęli do przodu próbując przewrócić tanithijskiego dowódcę ciężarem swych ciał, jeden znalazł się zbyt blisko miecza i skonał wypatroszony w ułamku sekundy. Drugi osunął się na kolana, znieruchomiał zgięty wpół. Caober minął heretyka w biegu, wyszarpując z jego ciała zakrwawiony nóż.

Gaunt wyprostował się i natychmiast runął ponownie na klęczki, pchnięty z całej siły przez Beltayna.

W ciasnej przestrzeni pomieszczenia zaterkotał donośnie karabin maszynowy, dołączył do niego przeciągły syk miotacza płomieni. Bool i Mkan, operatorzy broni maszynowej, oraz noszący miotacz szeregowiec Nitorri, zdołali w końcu nadbiec z tylnej części holu i wesprzeć walczących w wyłomie towarzyszy. Języki ognia i kule wyparły napastników za rozbitą ścianę. Gaunt wykorzystał chwilę względnego spokoju, by odczołgać się w bezpieczniejsze miejsce.

Mundur na lewym ramieniu Nitorriego przesiąkł błyskawicznie krwią, postrzelony gwardzista zwałił się z nóg. Lyse, jedna z kobiet służących wcześniej w verghastyckiej Obronie Cywilnej Vervunhive, przypadła do operatora miotacza, sięgnęła po jego broń. Oblewając strumieniem płynnego ognia wyłom podpałała piękną boazerię i dwóch ostatnich Pakciarzy próbujących wdrzeć się do środka pomieszczenia.

Gaunt nie potrafił odżalować tego, że skończyły mu się pakiety wybuchowe.

- Pilnujcie tej dziury ! – krzyknął do obsady kaemu – Ty też, Lyse ! Dobra robota !
- Sir ! Komisarzu !
- Beltayn ?!

Radiooperator machał z ożywieniem trzymanymi w ręce słuchawkami.

- Sir ! – zawołał – Mam na linii szeregowca Bonina !

- Proszę powtórzyć, sir, ledwie pana słyszeć – Bonin przycisnął słuchawki z całej siły do uszu, spoglądając przy tym z wyrzutem na manipulującego przy radiu Nirriama.

W eterze rozległ się prawie niezrozumiały trzask radiowej transmisji.

- Proszę pozostać przy radiu, sir. Rozłączymy się i poszukamy innej częstotliwości.

Bonin przerwał połączenie.

- Możesz wzmocnić sygnał ? – zapytał Nirriama. Duch uniósł brwi niczym człowiek poproszony o nadmuchiwanie siłą własnych płuc komór sterowca.

- Nie wiem – odparł Verghastyta. Będąc szeregowym żołnierzem piechoty Nirriam przeszedł dodatkowy kurs w zakresie systemów łączności radiowej i tym samym stał się najlepiej wykwalifikowanym specjalistą w połączonych grupach Hallera i Domora – nie znaczyło to jednakże, że prawdziwym specjalistą był.

Nirriam usiadł w szerokim obrotowym fotelu radiooperatora i zaczął studiować panel komunikatora. Duch miał przed sobą główny terminal łączności w oparowym młynie, niewiarygodnie wręcz stary i wysłużony do tego stopnia, że wszystkie opisy na gałkach kontrolnych i dźwigniach zostały całkowicie starte. Maszynieria przywodziła na myśl skomplikowaną metalową łamigłówkę.

Czekający niecierpliwie Bonin rozejrzał się wokół. Komnata była wysoka na dwa piętra, zapewniała miejsce pracy dla trzydziestu stacjonujących w młynie techkapłanów. Wszystkie elementy jej wnętrza wykończone zostały brązem, biegnące we wszystkich kierunkach rury pokrywała kremowa emalia. Posadzkę wyłożono sześciokątnymi zielonymi płytkami

ceramicznymi. Pomieszczenie kryło w sobie delikatną aurę stonowanej elegancji, było reliktem zamierzchłej industrialnej przeszłości.

Stacja miała cztery wejścia: włącz przy wysokiej galerii obiegającej pomieszczenie wokół oraz trzy włązy na poziomie podłogi, w tym jeden zamykający tunel serwisowy, za pomocą którego Duchy dostały się do środka. Domor rozesłał żołnierzy z rozkazem zabezpieczenia wszystkich przejść. Lillo, Ezlan i Milo odciągali do kąta ciała zabitych heretyków.

W pomieszczeniu znajdowało się pięciu techników oraz dwóch strażników w uniformach Paktu Krwi i dowodzący stacją oficer, noszący posrebrzaną metalową maskę i złote naszywki na mundurowej tunice. Bonin i Mkeller nie mieli ochoty na subtelne zagrywki. Strzelanina ucichła nim jeszcze główna część grupy wpadła do sali.

Komandor Jagdea spojrzała ze skrzywionymi ustami na martwe ciała i płamiącą płytki krew. Milo odniósł w pierwszej chwili wrażenie, że widzi na jej twarzy grymas obrzydzenia, ale kobieta była żołnierzem i bez wątpienia miała już sposobność ujrzeć całe rzeki ludzkiej krwi.

Wciąż pobladała z bólu, spojrzała gniewnie na Bonina.

- Mogliśmy ich przesłuchać !
- Mogliśmy.
- Ale ty wolałeś ich zabić !
- To było bezpieczniejsze rozwiązanie – odparł zwiadowca odwracając się do pilotki plecami.

Po chwili niechętnie zgodził się w myślach z jej opinią. Gdyby pozostawili przy życiu techników – techników, którzy wciąż mogli być lojalnymi imperialistami zmuszonymi do pracy dla okupanta – istniała szansa wykorzystania któregoś z nich do uruchomienia miejscowego modułu komunikacyjnego.

Zbyt późno, by to rozpamiętywać, zdecydował Bonin. Modlił się bezgłośnie o to, by jego szczęśliwa gwiazda wciąż nie gasła.

- Nirriam ?
- Daj mi szansę, Bonin.
- Dasz radę szybciej...
- Odwal się albo rób to sam ! – warknął Verghastyta, klęczący pod pulpitem sterowniczym i grzebiący pośród dziesiątków splątanych ze sobą kabli.

Nadchodzący w stronę Bonina Domor przystanął na moment przy Dremmondzie, Guthrim i Arilli. Trójka Duchów siedziała pod jedną ze ścian oparta o nią plecami, odpoczywała podczas gdy Fayner odkażał rany żołnierzy.

- Cokolwiek ? – zapytał zwiadowcę Domor.

Bonin machnął tylko ręką, wskazał dłonią Nirriama.

- Pracuje nad tym – oświadczył Tanithijczyk.
- Spróbuj teraz ! – warknął Nirriam. Bonin dałby sobie uciąć, że pełne irytacji polecenie kończyło się bezgłośnym przekleństwem w verghastyckim slangu.

Założył na głowę słuchawki i nacisnął guzik nadajnika.

- Trzydziestka dwójka do jedyńki. Trzydziestka dwójka do jedyńki, czy mnie słyszycie ?

Nirriam pochylił się nad zwiadowcą, przekreślił delikatnie jedną z gałek jakby spodziewał się, że zdoła w ten sposób coś uzyskać.

Ku zdumieniu Bonina uzyskał.

- ...jka. Trzydziestka dwójka, tu jedyńka. Przekaz słaby, ale czytelny. Słyszycie mnie ?
- Trzydziestka dwójka do jedyńki. Odbieramy was wyraźnie. Częstotliwość jest nietypowa, ale to nasza jedyna opcja komunikacji.
- Pod kopułą pracuje duża liczba generatorów pól siłowych, stąd zakłócenia sygnałów radiowych. Ręczne moduły łączności całkiem siadły. Korzystacie z ciężkiego nadajnika ?

- Nie. Korzystamy ze zdobycznego sprzętu. Musi mieć dość mocy, by przebić się przez ekrany.
- Jakby dowodząc omyślności słów Bonina w słuchawkach rozległ się przeciągły szum i seria donośnych trzasków. Po chwili Duch usłyszał ponownie głos Gaunta.
- ...martwi. Podajcie swoją pozycję.
- Proszę o powtórzenie, jedynka.
- Myślałem, że jesteście martwi. Zgłoszono mi, że wasz prom spadł podczas zrzutu. Wasz status i pozycja ?
- To długa historia, jedynka. Prom spadł, ale Haller i Domor zdołali uciec wraz z trzydziestką ludzi. Minimalne obrażenia wśród ocalałych. Jesteśmy wewnątrz... – Bonin urwał zniechęca, uświadomił sobie, że używany przez niego kanał wcale nie musi być bezpieczny.
- Jedynka do trzydziestki dwójki, powtórzcie ostatnie zdanie.
- Bonin spojrział na swoją wymiętoszoną mapę.
- Trzydziestka dwójka do jedynki. Jesteśmy... gdzieś przy 6355.
- W eterze zapadła długa chwila milczenia, słuchawki syczały i piszczały na przemian.
- Jedynka do trzydziestki dwójki, nie rozłączajcie się.

Gaunt rozłożył swą mapę na blacie rozbitego stołu. Miał zakrwawione rękawiczki, toteż pozostawił rdzawe smugi w miejscach, gdzie przesuwiał palcami po szorstkim papierze.

Sześć trzy pięć pięć. 6355. Na mapie nie było żadnego cholernego znacznika 6355. Ale Bonin powiedział, że jest gdzieś przy...

Gaunt odwrócił w pamięci ciąg liczb. 5536. A to znaczyło, że...

Młyn. Główny pokój kontrolny młyna oparowego.

Feth !

Gaunt odwrócił się w stronę Beltayna, zabrał mu pośpiesznie słuchawki.

- Jedynka do trzydziestki dwójki, jesteśmy zablokowani przez ciąg tarcz siłowych uaktywnionych wzdłuż linii zbieżnej z markerem 48:00. Generatory tarcz są zasilane z głównego systemu energetycznego miasta. Musimy je wyłączyć i to szybko, jeśli chcemy przeżyć następny kwadrans. Rozumiecie mnie ?

- Trzydziestka dwójka do jedynki. Rozumiemy czysto i wyraźnie. Zrobimy, co w naszej mocy. Bez odbioru.

Gaunt poczuł szybsze bicie serca. Czyżby Duchy zyskały szansę na najbardziej niewiarygodny przełom w historii Imperialnej Gwardii ? Uświadomił sobie, że do tego stopnia popadł w ostatnich kilku minutach w rezygnację i gotowość na śmierć, iż sama myśl o odzyskaniu przewagi szczerze nim wstrząsnęła.

Poczuł zniechęca smak zwycięstwa, wyczuwał jego ciepło, dostrzegał ulotny cień. Pojął nagle, co takiego sprawiało, że ciężar odpowiedzialności spoczywający na barkach imperialnych dowódców niezmiennie wydawał się wart poniesienia.

Mieli wciąż szansę. Czy mógł zaufać losowi ? Najlepszy sposób na wykorzystanie tej szansy zmuszał do ogromnego kredytu zaufania, ale jeśli los by go zawiódł, jego ludzie mieli zostać skazani na bezlitosną i szybką eksterminację bez cienia łaski i miłosierdzia.

Wtedy właśnie przypomniał sobie słowa Zweila. Stary ayatani zatrzymał go przed wejściem do pokładowej kaplicy na *Nimbusie*.

Pozwól mi spojrzeć ci w oczy, życzyć szczęścia i pobłogosławić znakiem orła.

Gaunt poczuł nagły dreszcz i pojął, że to lęk. Strach przed tym, co niezrozumiałe i niepojęte dla śmiertelnego umysłu. Strach przed mistycznym wymiarem kryjącym się poza granicami znanej mu galaktyki.

Zweil kazał *zaufać* Boninowi.

Skąd on mógł to wiedzieć ? Jak mógł przewidzieć...

Słowa starego kapłana rozbrzmiewały echem w głowie Gaunta, przybierały na sile wzbijając się ponad oszalały potok zdesperowanych myśli zalewających rozgorączkowany umysł pułkownika-komisarza.

Święta mi to powiedziała... musisz zaufać Boninowi.

Na początku uznał te słowa za przejaw ekscentrycznej natury Zweila; ledwie pamiętał je, kiedy zbliżali się do strefy zrzutu, spięty i gotujący się do wykrzyczenia pierwszych rozkazów. Wyparowały mu z głowy w tym samym momencie, kiedy rozpoczęła się zawzięta walka na lądowisku i jeszcze cięższa konfrontacja w murach miasta.

Lecz teraz słyszał je ponownie z krystaliczną ostrością. Zweil przemawiał w jego głowie, doradzał, wskazujący mu klucz do zwycięstwa.

Musiał tylko okazać zaufanie.

Gaunt przyciągnął nadajnik bliżej stołu i zaczął rzucać w eter szereg zdecydowanych poleceń nakazujących odwrót. Łączył się z wszystkimi plutonami w zasięgu radia. Wielu dowódców zgłaszało z miejsca swe zastrzeżenia, szczególnie głośno protestowali Corbec, Hark i Soric. Gaunt zakrzyczał ich wszystkich bez wyjątku, świadom faktu, że Beltayn spogląda na niego jak na wariata.

Nie spuszczał wzroku z mapy, przyglądał się korytarzom i salom położonym po drugiej stronie włączonych tarcz, w tej chwili wciąż nieosiągalnych. Rozkazał swym ludziom odwrót pod energetyczną zaporę bez żadnej drogi ucieczki, przekazał zwięzłe instrukcje na temat zmiany pozycji natychmiast po wyłączeniu tarcz.

Coś w jego głosie sprawiło, że najwięksi krzykacze umilkli i zaczęli słuchać. Ponad setka dowódców plutonów dostrzegła zniechceni szansę na wywalczenie sobie życia.

- Wycofać się, zająć pozycje defensywne i modlić się. Kiedy wydam rozkaz, wykonać niezwłocznie otrzymane instrukcje.

Grzmot stłumionych eksplozji wstrząsnął pomieszczeniem. Pakt Krwi zareagował z miejsca na odwrót lojalistów, zaczął podciągać do przodu broń ciężką i częściej używać granatów.

Pułkownik-komisarz wykrzyczał rozkazu w stronę własnego plutonu. Musimy ich tylko zatrzymać w miejscu, pomyślał. I zaufać Boninowi.

- Jakież pomysły ? – spytał Bonin. Odpowiedziały mu westchnienia i przeczące ruchy głów.

- Oni pewnie by wiedzieli – mruknęła cicho Jagdea spoglądając w stronę ciał piętrzących się w kącie sali.

Przekłeta kobieta ! Bonin walczył z przemożną ochotą dzielenia jej pięścią po karku. Tanithijczyk nie znosił pretensjonalnego zachowania w stylu „a nie mówiłem ?”. Rozejrzał się pośpiesznie po rozległym pokoju kontrolnym próbując zgłębić umysłem zagadki kryjące się w otaczającej go maszynierii. Czuł się bezradny niczym dziecko. Strzałki okrągłych zegarów poruszały się nieznacznie, kontrolki migały tajemniczo, wszystkie dźwignie i przełączniki sprawiały wrażenie ustawionych w jak najbardziej odpowiednich pozycjach. Był żołnierzem, a nie pieprzonym techadepem. Nie miał pojęcia, w jaki sposób wyłączyć młyn oparowy.

- Gdybyśmy mieli ładunki, moglibyśmy to wysadzić – zauważył Ezlan.

- Gdybyśmy mieli – powtórzył z przekąsem Lillo.

- To co robimy ? – zapytał Haller podchodząc do najbliższej konsoli i pociągając za odlaną z brązu dźwignię. Jej przesunięcie nie pociągnęło za sobą żadnego zauważalnego efektu. Sierżant wzruszył ramionami.

- Jeśli... – zaczął Milo.

- Jeśli co ? – odezwało się równocześnie blisko dziesięć osób.

- Jeśli Pakt Krwi podpiął generatory swych tarcz do głównego systemu energetycznego, na pewno zrobił to w niestandardowy sposób. Mam na myśli wpięcie się w sieć na dziko. Wiecie, tak jak my to robimy podpinając do elektronicznego zamka łamacz kodów.

Domor skinął głową dając do zrozumienia, że zna sens wypowiedzi Brina.

- Wiem, co Milo chce powiedzieć – odezwał się Vadim – Jeśli wpięli się na dziko, będzie to z daleka śmierdziało prowizorką. Coś takiego z miejsca powinniśmy zauważyć.

Bonin rozważał w międzyczasie desperacki pomysł zmontowania domowej bomby z wszystkich dostępnych baterii do laserów, ale zasugerowana przez Mila subtelniejsza metoda z miejsca zyskała jego aprobatę i zepchnęła opcję wybuchowego unieruchomienia młyna na boczny tor.

- No to bierzmy się do roboty, warto chyba spróbować ? – zapytał i zaraz zamilkł. Sierzanci Domor i Haller dowodzili grupą, to oni sprawowali tu komendę. Zwiadowca poczuł, że przekroczył swe kompetencje, spojrzął na obu mężczyzn z wyrazem zmieszania na twarzy.

- Jestem z Boninem – oświadczył Domor.

- Popieram ten pomysł – dodał Haller.

- Więc do dzieła – powiedział Tanithijczyk.

Pasażerowie promu 2K rozproszyli się we wszystkich kierunkach otwierając skrzynki z bezpiecznikami, zaglądając w kanały serwisowe, świecąc latarkami za obudowy stacji roboczych. Z obowiązku poszukiwani zwolnieni byli jedynie wartownicy: Seena na galerii, Mlekker i Lwlyn przy głównych włączach wejściowych oraz Caes, stojący z miotaczem Dremmonda w rękach przy włączu serwisowym.

Bonin wypełził spod roboczej konsoli i zwrócił swą uwagę na jeden ze ściennych paneli. Płyta zamocowana była solidnymi mutrami, toteż Duch zabrał się za ich odkręcanie czubkiem swego tanithijskiego noża. Gdzieś za jego plecami Vadim szperał w otwartej obudowie przekaźnika, ręce wsadził aż po łokcie w kłęby przewodów.

- Rzecz jasna jest też inna opcja – oświadczył wesołym tonem gwardzista – Możemy po prostu przestawić wszystkie wajchy i wciskać guziki tak długo, aż strzałki na zegarach zjadą do zera.

- Już o tym myślałem. Możemy też postrzelać w to wszystko z laserów i rozpieprzyć w drobny mak.

- Mogłoby zadziałać – westchnął Vadim.

- Jeśli mogę coś powiedzieć... - odezwał się ktoś za ich plecami. Bonin zerknął ponad ramieniem i ujrzał Jagdeę, stojącą z założoną na temblak ręką.

- Słucham, pani komandor.

- Jestem zawodowym pilotem i niewiele mi wiadomo na temat młynów parowych, ale i tak przewyższam swoją wiedzą waszą, bo całe życie spędziłam na Phantine. Młyn to generator gazowy. Produkuje miliardy litrów gazu pod wpływem ogromnego ciśnienia. Techkapłani na Phantine posiadli wiedzę sięgającą tysięcy lat wstecz, swe dobrze strzeżone dziedzictwo.

- Czekam na związany z tym wniosek... bo pewien jestem, że jakiś zaraz usłyszę – Bonin zdołał w końcu zdjąć panel ze ściany.

- To antyczny system, pracujący pod obciążeniem milionów... sama nie wiem, może miliardów ton gazu... Wsadźcie to miejsce, rozstrzelajcie, powyłączajcie wszystko, co się da... tak czy owak, system najpewniej eksploduje z braku układów zabezpieczających jego pracę. A jeśli eksploduje taki młyn oparowy... cóż, nie sądzę, żeby wtedy pozostało cokolwiek z Cirenholmu, co byłoby warte ludzkiej uwagi.

- W porządku – odparł z fałszywą pewnością siebie Bonin – Dzięki za informacje.

Zwiadowca odwrócił się wracając do roboty. Przekłęta baba aż prosiła się o pchnięcie nożem za ten swój wredny ozór. Bonin wiedział, że od początku go nie lubiła. Przekłęta baba.

Przeklęta baba miała rację. Kręcili się bez sensu w miejscu, bezradni, nie mając pojęcia o zasadach działania systemu i igrając z układem energetycznym utrzymującym przy życiu całe podniebne miasto. Jagdea miała rację. Wystarczy popełnić jeden błąd, by z Cirenholmu nie pozostało nic prócz dymiącego wierzchołka góry.

- Feth – zaklął Bonin myśląc gorączkowo.
- Co ? – odezwała się za jego plecami Jagdea.
- Nic. Nic.
- Oczywiście jeśli chłopiec miał rację... - ciągnęła kobieta.
- Milo.
- Słucham ?
- Szeregowiec Milo Brin.

- W porządku. Jeśli Milo miał rację i nieprzyjaciel podłączył tarcze do systemu zasilania młynów, czy nie jest bardziej prawdopodobne, że złącza energetyczne zostały podpięte bezpośrednio w hali turbin zamiast tutaj, w pokoju sterowniczym ?

Bonin cisnął o podłogę trzymany w ręku ścienny panel i podniósł się z kolan odwracając twarz w stronę kobiety.

- Tak. Raczej tak, całkiem możliwe. Ale skoro już tu dotarliśmy, zrobimy wszystko, co w naszej mocy. Nie możemy opuścić tego pomieszczenia, bo wróg jest wszędzie wokół, więc spożytkujemy dany nam czas. Jeśli masz jeszcze jakieś komentarze do ogłoszenia, to lepiej zrób to teraz, a potem zamknij się i pomóż nam choć trochę. Naprawdę zaczynasz mnie wkurwiać.

Pani komandor wyglądała na zaskoczoną szorstkimi słowami Ducha.

- Cóż, dobrze. W porządku. Co mam robić ?

Bonin rozejrzał się wokół.

- Tam, między Nirriamem i Guthrie. Rzuć okiem na tamten terminal, jeśli możesz.

- Oczywiście – odparła krótko i ruszyła we wskazanym kierunku.

- Umiesz sobie radzić z laskami, Bonin – zaśmiał się cicho Vadim.

- Ty też się zamknij – odparł zwiadowca.

- Sierzancie ! Sierzancie ! – wszyscy usłyszeli śpiewny głos Seeny.

- Czego ? – Haller wystawił głowę znad otworu szybu serwisowego, do którego zdążył już prawie całkiem wejść.

Seena stała przy barierce galerii, spoglądała w kierunku górnego wejścia do sali.

- Mamy towarzystwo – jej głos krył w sobie melodyjną słodycz, ale nie niósł ze sobą dobrych wiadomości.

- Szybciej, szybciej ! – krzyczał Corbec prostując się i wymachując rękami pomimo śmigających w powietrzu laserowych wiązek. Duchy należące do jego plutonu oraz podwładni sierżanta Braya wycofywali się biegiem w stronę wjazdu ścigani ogniem nieprzyjaciela.

Irvinn potknął się, zachwiał w pół kroku. Corbec złapał żołnierza za kołnierz munduru, wciągnął za próg przejścia.

- Tarcza jest wyłączona, szefie ?! – wykrztusił gwardzista.

- Jeszcze nie, synu.

- Ale komisarz Gaunt mówił, że będzie ! Mówił, że tarcza będzie wyłączona !

- Wiem o tym.

- Jeśli jest włączona, pchamy się prosto w pułapkę, szefie, to...

Corbec przyłożył dłoń do głowy młodego żołnierza.

- Gaunt się przez nią przebije. Zrobi to. Przebije się i uratuje nam tyłki ! A teraz zajmij wyznaczoną pozycję !

Irvinn odbiegł pośpiesznie w bok.

Corbec obejrzał się przez ramię dostatecznie szybko, by ujrzeć dwa padające w drodze ku włazowi Duchy. Jedną z postaci był szeregowiec Widden, podziurawiony serią z ciężkiego karabinu maszynowego, wygięty impetem trafiających go pocisków w sposób przeczący prawom anatomii. Drugą okazała się Muril. Ugodzona kulą zakręciła się w powietrzu, runęła twarzą na posadzkę.

- Nie ! – wrzasnął Corbec.

- Colm ! Zaczekaj ! – krzyknął sierżant Bray.

- Goń ich w tył, Bray, goń za właz ! – zawył Corbec rzucając się biegiem w stronę Muril. Grad laserowych wiązek punktował posadzkę wokół nóg pułkownika atomizując ozdobne płytki podłogowe.

Jakimś cudem oficer znalazł się nietknięty przy rannej kobiecie, przewrócił ją na plecy. Jej zakurzona twarz pokryta była kroplami krwi. Zamrugwała słabo powiekami.

- Zbieraj się, dziewczyno ! Spadamy stąd ! – krzyknął.

- Pułkowniku...

Corbec przesunął spojrzeniem po ciele dziewczyny, dostrzegł wielką dziurę w górnej części jej uda. Rana silnie krwawiła, ale nie wyglądała na śmiertelną. Uniósł Muril w rękach, zarzucił ją sobie na ramię.

Jedna z jego nóg załamała się nieoczekiwanie i oboje runęli z powrotem w grubą warstwę pyłu wzbijając w powietrze chmurkę białej mgiełki.

Czas zwolnił zniemacka swój bieg, świat pogrążył się w bezgranicznej ciszy.

Corbec widział wyraźnie śmigające w powietrzu energetyczne wiązki, krechy czerwonego światła topiące powierzchnię podłogi, rozbłyski wybuchających granatów, ściegi pocisków smugowych, jasnoczerwoną krew Muril kapiącą na posadzkę, tworzącą w białym pyłe niewielkie okrągłe kraterki.

Podniósł dziewczynę ponownie i zaczął biec przed siebie, ale nie szło mu to zbyt składnie. Jedna z nóg nie chciała słuchać słanych przez umysł poleceń.

Poczuł nagłą eksplozję porażającego bólu w plecach, a potem drugie bolesne ułknięcie gdzieś na wysokości obojczyka. Przeleciał bezwładnie przez próg włazu, prosto w wyciągnięcie ręce sierżanta Braya. Meert i Bewl doskoczyli do niego z otwartymi ustami, zdążyli złapać wyslizgującą się z rąk pułkownika Muril.

- Medyk ! Medyk ! – krzyczał Bray.

Corbec uświadomił sobie, że nie może wykonać żadnego ruchu. Jego ciało zalewała fala gorąca, mięśnie miękły z każdą chwilą. Leżał na plecach gapiąc się bezradnie w pokryty panelami sufit korytarza.

Sufit zaczął oddalać się od niego, umykać z coraz większą szybkością.

Ostatnim dźwiękiem usłyszonym przez pułkownika był krzyk sierżanta Braya, ciągle wzywającego sanitariusza.

Viktor Hark strzelał z plazmowego pistoletu w tłum napastników nacierających na klatkę schodową. Oddziały Rawne, Daura i Meryna wycofywały się w rozproszonym szyku poprzez martwy park zmierzając ku zamkniętym tarczami pół siłowych włazom.

Podporządkowując się rozkazowi Gaunta żołnierze oddawali wrogowi bezcenną przestrzeń i nie zyskując nic w zamian.

Hark wypalił ponownie. Śmierć coraz wyraźniej zaglądała im w oczy. Mieli umierać jeden za drugim, z plecami przyciśniętymi do energetycznych zapór.

Sierżant Agun Soric, bohater Vervunhive, siedział na podłodze oparty plecami o ścianę. Wielka dziura w jego klatce piersiowej wydawała z siebie młasczące odgłosy przy każdym bolesnym oddechu, krwawa piana wzbierała na jej krawędziach. Mężczyzna zaczął podnosić ospałym ruchem swój laser, ale ciężar broni przeważał.

Noszący metalowe maski ludzie w czerwieni skradali się ku niemu poprzez klęby gryzącego dymu.

Sierżant Theiss przyklęknął obok ранego towarzysza, zaczął strzelać do napastników, odpędził ich gradem laserowych wiązek.

- Podnieście go ! - Soric usłyszał głos Theissa, poczuł, że ktoś dźwiga jego ciało. Doyl i Mallor trzymali sierżanta pod rękę, Lanasa za nogi.

Theiss, Kazel, Venar i Mtane osłaniali ich swymi laserami.

- Przebiliśmy się ? - wycharczał Soric – Tarcza ?

- Nie – odpowiedział Doyl.

- Cóż... - powieki Sorica opadały coraz bardziej – To była dobra walka...

- Soric ! - krzyknął z rozpaczą Doyl – Soric !

Pierwsze drużyny Paktu Krwi natarły na salę kontrolną młynów od strony górnego przejścia. Seena ostrzeliwała ich samotnie do chwili, w której z pomocą przyszli jej Nehn i Ezlan. Trzask laserowych wystrzałów mieszał się z przekleństwami dziewczyny słanymi pod adresem karabinu maszynowego, którym zazwyczaj się posługiwała.

Korytarz prowadzący na galerię był wąski i trójka Duchów mogła bronić go w nieskończoność... o ile przeciwnik nie użyłby przeciwko nim cięższej broni.

Trzy minuty po rozpoczęciu ataku na górne przejście pod ostrzałem znalazł się jeden z głównych włazów, strzeżony przez Mkellera. Gwardzista spostrzegł na czas ciśnięty w jego kierunku granat, zamknął błyskawicznie ciężką żelazną klapę. Silny wybuch wstrząsnął włazem. Haller podbiegł do Mkellera, pomógł mu zasunąć wszystkie rygle.

- To ich nie powstrzyma zbyt długo ! - krzyknął Mkeller. Jakby w odpowiedzi po drugiej stronie włazu zabębniły ludzkie pięści i kolby karabinów.

Strzegący drugiego wejścia Lwlyn przewrócił się z nienacką na bok ze zdławionym przekleństwem. Materiał munduru na jego ramieniu nasiąkał szybko krwią.

- Dostałem – wykrztusił Duch, po czym stracił przytomność.

Z drugiej strony włazu posypały się krechy laserowej energii. Dwie wiązki ugodziły leżącego nieruchomo w przejściu Lwlyna – gwardzista już nigdy nie miał odzyskać świadomości.

Guthrie doskoczył do włazu i zamknął go nie zwracając uwagi na uderzające w metalową pokrywę wiązki laserów.

- Jeśli mamy coś zrobić, lepiej zrobmy to teraz ! - wrzasnął Guthrie.

Bonin zerknął na Domora, ten wrzucił bezradnie ramionami. Pomieszczenie wyglądało na dokumentnie zdemolowane, wszędzie poniewierały się wydarte spod elewacji i obudów pęki kabli.

- I tyle to było warte, żołnierzu – powiedziała Jagdea siadając pod jedną ze ścian – Zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy – kobieta wyciągnęła z buta nóż o krótkim ostrzu i rozcięła nim krawędź grubego rękawa swego skafandra. Bonin zdążył dostrzec dwie okrągłe białe tabletki, które wpadły do jej dłoni. Podniosła rękę ku ustom.

Bonin skoczył do przodu i wytrzącił kobiecie tabletki z dłoni.

- Feth, co ty robisz ?!
- Odwal się !
- Co ty robisz, do cholery ?!
- Wybieram honorową śmierć, żołnierzu. Jesteśmy trupami, gorzej nawet niż trupami. Dowództwo korpusu lotniczego zaopatrzyło nas w te tabletki na wypadek wpadnięcia w ręce nieprzyjaciela. Pakt Krwi nie bierze jeńców, dobrze o tym wiesz.

- Masz zamiar się zabić ?

- To silnie skondensowany jad skrzydłacza. Podobno całkowicie bezbolesny.

Bonin pokręcił z niedowierzaniem głową. W górze, na galerii, Seena, Ezlan i Nehn strzelali ogniem ciągłym.

- Samobójstwo, komandor Jagdea ? Czy to aby nie tchórzostwo ?

- Pieprz się, żołnierzu. Mam ci to jaśniej wytłumaczyć ? Jesteśmy martwi. Martwi. Wolę raczej umrzeć od trucizny niż konać w ich rękach.

Bonin przykucnął przed Phantyjką, sięgnął po tabletki i zamknął je w swej dłoni.

- Pułkownik-komisarz Gaunt nauczył mnie, że ze śmiercią należy walczyć aż do samego końca. Nie wolno jej witać, nie wolno zapraszać. Śmierć nadejdzie, kiedy przyjdzie na to czas, przyspieszyć ją na własne życzenie mogą tylko skończeni głupcy.

- Nazywasz mnie głupcem, Bonin ?

- Nie, próbuję tylko powiedzieć, że nie wszystko jeszcze stracone.

- Naprawdę ?

- Naprawdę. Może to tylko głupia wiara żołnierza, ale w Gwardii preferujemy walkę do samego końca. Umrzemy, kiedy przyjdzie na to pora, ale samobójstwo nie wchodzi w grę.

Jagdea spoglądała na niego z zaciętą miną.

- Oddaj mi tabletki.

- Nie.

- Chyba przewyższam cię rangą, żołnierzu.

- Mam to gdzieś – Bonin upuścił tabletki na podłogę i rozgniół je obcasem buta.

- Do diabła z tobą, Bonin !

- Tak jest, pani komandor.

- Ty naprawdę wierzysz, że tutaj cokolwiek się jeszcze może zmienić ? Że wydarzy się cud ?

- Wszystko jest możliwe, dopóki tego nie zanegujesz. Moja matka powtarzała, że urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą. To szczęście nigdy mnie nie opuściło. Już kilka razy powinienem był zginąć. Choćby na Vervunhive. Mogę ci pokazać blizny.

- Oszczędź mi tego – padła cicha zrezygnowana odpowiedź.

- Uwierz w moje szczęście, Jagdea. Tanithijskie szczęście.

- Pieprz się, wszyscy już nie żyjemy. Posłuchaj lepiej tego.

Bonin słyszał szaleńczy łoskot uderzeń we włazy, okrzyki trójki gwardzistów broniących galerii, trzask ich wystrzałów.

- Być może. Jeśli tak jest faktycznie, obiecuję, że nie będziesz cierpiała.

- Zrobisz to dla mnie ? Jakie to szarmanckie.

Bonin zignorował sarkazm w głosie kobiety.

- Tanithijski Pierwszy i Jedyne, ma'am. My troszczymy się o swoich ludzi.

Broniący galerii Nehn odskoczył w tył, zamachał ostrzegawczo rękami. Seena ujrzała jak żołnierz Paktu Krwi rzuca się do szarzy na ich pozycje po to tylko, by zaraz runąć na podłogę. Chociaż dziewczyna nie potrafiła w to uwierzyć, mogłaby przysiąc, że heretyk został trafiony od tyłu w głowę przez silnie skondensowaną wiązkę światła.

Atak nieprzyjaciela na galerii ustał całkowicie.

Radiokomunikator Seeny zatrzeszczał cicho.

- Kto tam ?

Pytanie zadane zostało na standardowej częstotliwości gwardyjskiej.

- Tu dwadzieścia cztery, zgłóście się – wyszeptła do mikrofonu.

- Dziewiątka do dwudziestki czwórki. To ty, Seena ?

- Sierżant ?

- Jak zwykle wielki, dwa razy bardziej niż zazwyczaj wkurzony, dziecino.

- To Kolea ! To Kolea ! - podniesiony głos Seeny rozbrzmiał w całym pomieszczeniu.

Połączone oddziały Obela, Varla i Kolei przedostały się na górną część galerii, dołączyły do ludzi Domora i Hallera. Powitanie okazało się bardzo stonowane i ciche, wymieniono tylko kilka uścisków dłoni. Nikt nie krzyczał, nikt nie wiwatował, nikt nie zdradzał odczuwanej przez każdego ogromnej ulgi. Kapryśna fortuna znów wzięła stronę lojalistów.

Przy głównych włazach prowadzących do sali kłębił się przerażająco liczny tłum heretyków, przypuszczających ataki na podobieństwo obłąkanych żądzą krwi psychopatów. Varl rzucił pod wejście operatorów miotaczy ognia licząc na to, że za pomocą ich broni zdoła choć trochę zniechęcić napastników do szturm.

- Oczywiście – potwierdził skinięciem głowy Kolea.

- Naprawdę ? - zapytał Haller, zastępca Kolei w czasach, gdy służyli razem w kompaniach ochotniczych.

- Ty nie przepracowałeś całego dorosłego życia w kopalni. Wiem na jakich zasadach działają generatory energii i transmitery przepływowe.

Kolea podszedł do małego bocznego pulpitu i pociągnął w dół nieoznakowaną dźwignię.

Światła przygasły, strzałki na licznych zegarach spadły na pozycję zerową. Hałas pracujących dotąd na pełnych obrotach turbin zaczął maleć z każdą sekundą.

Sierżant odstąpił od konsoly i ujrzał wpatrzony w siebie oniemiałe twarze.

- No co ? Co jest ?

Tarcze pól siłowych zgasły równocześnie.

Donośny trzask elektrycznych wylądowań i podmuch świeżego powietrza. Migotliwa tarcza na krańcu pomieszczenia znikła, w korytarzu natychmiast zaczęło wyrównywać się ciśnienie.

- Teraz ! - krzyknął Ibram Gaunt – Teraz ! Teraz ! Teraz ! Dzieci Tanith, dzieci Verghastu ! Los się odwrócił ! Pokażcie mi, co potrafi Imperialna Gwardia !

a

ZMIANA TAKTYKI DZIAŁANIA

Strefa okupacyjna Cirenholm, Phantine, 214-222.771.M41

„Cirenholm został zdobyty po siedmiu godzinach walk. Piękne zwycięstwo godne uwiecznienia w annałach Imperialnej Gwardii. Tak mówią podręczniki historii. Lecz trzeba pamiętać, że szalę zwycięstwa przechyliła nie przewaga liczebna, lecz precyzyjne działanie grupy doskonale wyszkolonych specjalistów, na których barkach złożono ogromne brzemie odpowiedzialności i szeroką autonomię w podejmowaniu decyzji. To oni wykorzystali swe podziwu godne umiejętności eliminując obrońców w sposób bardziej efektywny od tego, który mogłoby osiągnąć dziesięć tysięcy zwykłych piechurów. Żalować należy tylko tego, że od początku nie zaplanowaliśmy całej operacji w ten sposób” - Antonid Biota, starszy strateg imperialny, Teatr Phantyński.

Pojedyncze słupy brązowego dymu unosiły się znad południowych krawędzi trzech kopuł miasta wsiąkając w rzadką warstwę smogu. Spoglądając z górnego obserwatorium pierwszej kopuły nie sposób było uwierzyć w to, iż Phantine należało do śmiertelnie niebezpiecznych światów. Jaskrawe słońce płonęło w nieskazitelnie niebieskich przestworzach, a w dole, poniżej murów miasta, gęste warstwy białych chmur ciągnęły się tak daleko jak tylko sięgał ludzki wzrok. Tylko tu i ówdzie spostrzec można było zrudziałe obłoki lub lunę ognistego rozbłysku w miejscu, gdzie tworzące Otchłań opary podświetlały chmury od dołu płomieniami samozapłonu.

Niczym stado wielorybów, ociążałe sterowce nadlatywały powoli w stronę miasta. Osiem długich na kilometr kolosów unosiło się w powietrzu połyskując srebrnobiałym poszyciem kadłubów. Klucze niewielkich, przemieszczających się szybko Lightningów śmigały między sterowcami kontrolując przestrzeń powietrzną. Kanonierki, silnie uzbrojony wariant promu desantowego użytego w ataku na Cirenholm, sunęły ospale po bokach sterowców.

W obserwatorium panował chłód. Systemy grzewcze miasta wciąż nie pracowały poprawnie. Uruchomienie wyłączonych uprzednio młynów oparowych wymagało czasu i sporych nakładów ludzkiej pracy.

Gaunt owinął się szczelniej długim płaszczem. Na szybie okna formowały się miniaturowe kryształki lodu, więc oficer starł je wierzchem ukrytej w rękawiczce dłoni. Pułkownik-komisarz czerpał dziwną satysfakcję z widoku nadlatujących sterowców, zaczynał już do niego docierać dźwięk pracujących na wolnym biegu gigantycznych śmigieł. Szyba drżała co chwilę delikatnie, wprawiana w wibracje manewrami przelatujących tuż nad miastem myśliwców.

- Ibramie ?

Gaunt obejrzał się przez ramię. Na galerię obserwatorium wspiął się niosący dwa kubki kawy Hark.

- Serdeczne dzięki, Viktorze - powiedział pułkownik-komisarz biorąc do rąk jedno z naczyń.

- Piękny widok - skomentował oficer polityczny upijając łyk gorącego napoju.

- To prawda.

Pilot powietrznego holownika zaczepił liny kotwiczące o dziób pierwszego sterowca w szyku i zaczął wciągać olbrzyma do hangaru znajdującego się pod krawędzią pierwszej kopuły. Gaunt patrzył jak wielkie litery tworzące nazwę kolosa - *Zephyr* - wymalowane na jego nosie, znikają powoli z pola widzenia człowieka.

Pił drobnymi łykami swą kawę.

- Najnowsze wieści ? - Gaunt spędził z Beltaynem sześć godzin siedząc przed radiokomunikatorem i monitorując wszystkie transmisje, zanim pozwolił sobie na odrobinę nie dającego wypoczynku snu w jednym z mieszkalnych habitatów drugiej kopuły. Po przebudzeniu

umknął czym prędzej poza zasięg komunikacji radiowej pragnąc oczyścić i odprężyć swój zmęczony umysł.

- Walki toczą się jeszcze w północnych sektorach. Rawne niemal oczyścił całą drugą kopułę. Trzecia jest zabezpieczona, Fazalur przetrzuca swoich ludzi do pierwszej, by wesprzeć Urdeshi. Na najcięższy opór natrafiliśmy w północnym bloku pierwszej kopuły. Heretycy wciąż się tam bronią, ale ich eksterminacja jest tylko kwestią czasu. Znaleźliśmy też mieszkańców, trzymano ich w prowizorycznym więzieniu w trzeciej kopule. Fazalur uwolnił już wszystkich. Rozpoczęliśmy procedurę odsyłania cywilów do ich domów.

Gaunt skinął niemo głową.

- Co ? - zapytał Hark.

- Co co ? - odpowiedział pytaniem pułkownik-komisarz.

Hark uśmiechnął się lekko, a nieczęsto mu się to przydarzało.

- Chodzi o twoje spojrzenie. Masz w oczach smutek.

- Och, tak. Żal mi po prostu Urdeshi. Najdrożej im przyszło w tej akcji zapłacić. Jak wygląda bilans ich strat na chwilę obecną ?

- Tysiąc dwustu zabitych, dziewięciuset rannych.

- A nasz ?

- Dwustu ośmiu zabitych, dwustu rannych.

- Co z Corbecem ?

- Nie wygląda to dobrze - Hark westchnął szczerze - Przepraszam, Ibramie.

- Za co ? Nie ty do niego strzelałeś. A co z Agunem Soricem ?

- Już dwa razy musiano przywracać go do życia elektrowstrząsami. Podobno powinien był umrzeć na miejscu zaraz po odniesieniu takiej rany.

- Agun to człowiek ze stali, umrze dopiero wtedy, kiedy sam tego będzie chciał.

- Oby zatem nie stało się to teraz. Sam nie wiem, którego z nich bardziej by nam brakowało.

Gaunt zeszywniał nieznacznie.

- Co chciałeś przez to powiedzieć ?

Hark wzruszył ramionami.

- Corbec to serce Tanithijskiego Pierwszego. Wszyscy go kochają. Jeśli go stracimy, całe ciało na tym ucierpi. Lecz Soric jest wykuty z tego samego żelaza i znaczy bardzo dużo dla Verghastytów. Jeżeli umrze, wywrze to katastrofalny wpływ na verghastycką część regimentu, a tego raczej byśmy chcieli uniknąć.

- Mają jeszcze innych przywódców: Daura, Koleę.

- I darzą ich szacunkiem, ale nie tak wielkim jak Sorica. Ten człowiek jest dla nich ojcem, podobnie jak Corbec dla Tanithijczyków. Być może Kolea mógłby zająć jego miejsce, ale odnoszę wrażenie, że on tego nie chce. Szczerze mówiąc, on chyba czułby się znacznie lepiej, gdyby został zdegradowany do rangi zwykłego szeregowca.

- Też czasami odnoszę takie wrażenie - mruknął Gaunt kontemplując jednocześnie wzrokiem drugi sterowiec, *Boreasa*, znikającego pod obłą krawędzią kopuły.

- Daur to dobry żołnierz - ciągnął dalej Hark - Lubię go, ale... sam nie wiem. On jest zadziorny, impulsywny. Verghastytom to nie przypadło do gustu. Daur nie stąpa po ziemi tak twardo jak Soric. No i Tanithijczyki darzą go pobłażliwą pogardą.

- Daura ? Gardzą Daurem ? - wykrztusił szczerze wstrząśnięty Gaunt.

- Niektórzy z nich - wyjaśnił Hark mając na myśli majora Rawne - Większość Tanithijczyków przyjęła z aprobatą napływ świeżej krwi, ale chyba żaden z nich nie otrząsnął się jeszcze z wrażenia wewnętrznej inwazji. Najazdu obcych na regiment. Daur równy jest swą pozycją w

jednostce majorowi Rawne. Dla wielu Duchów to on właśnie jest symbolem zaanektowania Pierwszego Tanithijskiego przez Verghastytów.

- Dla majora Rawne w pierwszym rzędzie ?

Hark wyszczerzył zęby.

- Tak, dla niego w największym stopniu. Lecz nie tylko jego to dotyczy. To nabrało już statusu sprawy honorowej. Nie wiedziałeś o tym ?

Gaunt nic nie odrzekł, skinął jedynie głową. Dowódca Duchów wiedział doskonale, że Hark go sprawdza. Komisarz był lojalnym oficerem, a swe obowiązki wypełniał z niekwestionowanym oddaniem, ale nigdy nie odmawiał sobie okazji do przetestowania wiedzy swego przełożonego. Można było wręcz odnieść wrażenie, że Hark czerpał satysfakcję ze świadomości, iż wiedział więcej o poziomie morale i dyscypliny regimentu od samego pułkownika-komisarza.

- Od początku zdawałem sobie sprawę z faktu, że Tanithijczycy i Verghastyci będą musieli przejść długo drogę przed wzajemną akceptacją – powiedział po dłuższej chwili Gaunt – Tanithijczycy czują się pełnoprawnymi członkami jednostki i nawet ci o najbardziej otwartych umysłach wciąż czasami postrzegają Verghastytów jako ludzi z zewnątrz. W końcu to nazwa Tanith widnieje na naszym sztandarze i emblematach na czapkach. I nic na to nie poradzimy. Nie wierzę, by którykolwiek Tanithijczyk próbował kwestionować odwagę i lojalność Verghastytów. To po prostu kwestia... dumy. Pierwszy był zawsze tanithijskim regimentem. Nowa krew nie pochodzi z macierzystego świata.

- Owszem, i z drugiej strony to samo czują Verghastyci – zgodził się Hark – To nie jest ich regiment. Dostali swoje własne insygnia, ale nazwa ich planety nie widnieje na sztandarze. Czują pogardę, jaką darzą ich Tanithijczycy... czują ją, ponieważ jest autentyczna. I rozumieją jej źródło, a to czyni całą sprawę jeszcze trudniejszą. Oni desperacko pragną dowieść swej wartości. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że ten nieformalny podział nie uległ do tej pory jeszcze większemu pogłębieniu.

Gaunt dopił resztkę kawy.

- Verghastyci już dowiedli swej wartości. Liczba strzelców wyborowych w regimencie wzrosła ponad wszelkie regulaminowe normy.

- Tak ? A komu należy to zawdzięczać ? Kobietom, w głównej mierze kobietom. Nie zrozum mnie źle, te snajperki są boskim błogosławieństwem dla naszej jednostki, ale dla verghastyckich mężczyzn to gorzki orzech do zgryzienia, ponieważ odnoszą wrażenie, że kobiety są jedyną wartościową częścią naszych uzupełnień. I żaden Verghastyta nie zdobył jeszcze specjalizacji zwiadowcy. To najbardziej prestiżowa funkcja w regimencie, źródło reputacji Pierwszego. Tanithijscy zwiadowcy są elitarną śmietanką i czy dołączył do ich grona jakikolwiek Verghastyta ? Nie.

- Kilku ma poważne szanse. Chociażby Cuu.

- Kawał skurwysyna.

Gaunt zachichotał krótko.

- Podzielam twoje zdanie. Lijah Cuu to niebezpieczny człowiek, ale ma zadatki na zwiadowcę pierwszej klasy.

Hark położył swój kubek na parapecie okna, oblizwał wargi.

- A zatem... czy masz jakieś pomysły mogące zażegnać dalszy rozłam regimentu ?

Znowu mnie testujesz, pomyślał Gaunt.

- Jestem otwarty na wszelkie propozycje – odparł dyplomatycznie.

- Kilka awansów. Podniósłbym Harjeona do stopnia dowódcy plutonu. Podobnie jak LaSalle. Na promocję zasłużył też Lillo, może Cisky lub Fonetta. Potrzebujemy nowych sierżantów po tym jak zginęli Indrimmo i Tarnash.

- Cisky nie żyje, ogromnie tego żałuję. Zgadzam się generalnie z twoimi propozycjami, ale Harjeon odpada. To były urzędnik, gryziórek. Ludzie nie będą mieli do niego stosownego respektu. Lillo to dobry wybór, Fonetta też. LaSalle być może. Ja stawiałbym raczej na Arcude, to dobry człowiek. Albo na Criid.

- Dobrze, Arcuda, to brzmi sensownie. Mam mieszane uczucia co do Criid. Kobieta-sierżant? To może nam więcej problemów przysporzyć niż rozwiązać. Moim zdaniem lepiej byłoby wcielić dwóch-trzech Verghastytów do korpusu zwiadowczego.

- Viktor, nie możemy tego zrobić, jeśli ci ludzie nie mają odpowiedniego talentu. Nie wyślę na prowadzenie szperaczy, którzy w decydującej chwili mogą zawieść.

- Oczywiście, ale sam mówiłeś o Cuu. Są też inni, chociażby Muril.

- Czy ona aby nie została ranna?

- Wszczepią jej nowiutki stalowy implant w biodro i będzie jak nowo narodzona. Mamy też Jajjo, Livarę i Moullu.

Gaunt zeszywniał, zmarszczył czoło.

- To potencjalni kandydaci. Niektórzy z nich może przejdą selekcję. Muril pewnie tak, Livara też, ale nie znam człowieka bardziej niezdarnego od Moullu, bez względu na to jak szybki jest w bieganii. A Jajjo? O nim muszę jeszcze pomyśleć. Zresztą ostateczna decyzja i tak nie należy do mnie, podejmie ją Mkoll. Zawsze tak było.

- Możesz mu rozkazać...

- Viktor, dość tego, nie naciskaj. Zwiadowcy zawsze podlegali ocenie Mkolla. To on wyznacza kandydatów do tej specjalizacji. Jeśli uważa, że którykolwiek z wymienionych przez ciebie ludzi ma szansę na odznakę szperacza, weźmie go pod swoje skrzydła. Lecz jeśli jest odmiennego zdania, nie będę mu ich wciskał na siłę.

- W porządku. Mkoll zna się na swojej robocie.

- Żebyś wiedział. Posłuchaj, będę miał oczy otwarte. Zrobię wszystko, co zbalansuje pozycje Tanithijczyków i Verghastytów, ubiegnę się nawet do pozytywnej dyskryminacji, jeśli pojawi się taka konieczność, ale nie narażę na szwank efektywności jednostki przesuując w jej obrębie żołnierzy, którzy nie są dość dobrzy do objęcia nowych funkcji.

Hark sprawiał wrażenie zadowolonego z komentarza dowódcy, ale na koniec zaskoczył Gaunta jeszcze jedną uwagą.

- Verghastyci muszą wiedzieć, że cenisz ich równie wysoko jak Tanithijczyków, Ibramie. To naprawdę bardzo ważne. Ich kruche morale może zostać w każdej chwili zniszczone świadomością, że są mięsem armatnim pozbawionym szans na wojskową karierę. Już czują się w tym regimencie żołnierzami drugiej kategorii. Bardzo niedobrze.

Gaunt otworzył usta chcąc coś odpowiedzieć, ale przerwał mu dźwięk otwierających się drzwi. Ubrany w kurtkę z futrzanym kołnierzem oficer radiowy Phantyńskiej Powietrznej wszedł na pomost i zsalutował sprężyscie.

- Lord generał Barthol Van Voytz podchodzi do lądowania, pułkownika-komisarzu. Zażyczył sobie pańskiej obecności w hangarze.

Sterowiec *Nimbus* zbliżał się powoli do głównego hangaru pierwszej kopuły, niewielki powietrzny holownik ciągnął potężny pojazd ledwie dając sobie radę, z jego przeciążonych silników buchały snopy płomieni. Olbrzymie aluminiowe łopaty śmigieł sterowca wydawały z siebie cichnący dźwięk zwalniając obroty.

Van Voytz nadleciał przodem. Dwa eskortujące go Lightningi odskoczyły na boki tuż przed krawędzią lądowiska, trójsilnikowy samolot lorda generała znalazł się w cieniu rzucanym przez sufit hangaru. Był to kanciasty ciężki transportowiec o przeszklonym nosie. Wylądował po

pierwszym zetknięciu kół z podłożem, pilot wyłączył silniki natychmiast po tym jak hak ogonowy złapał za linę hamującą.

Gaunt stał na baczność w olbrzymim mrocznym hangarze, którego przestrzeń zdążyła już wchłonąć sterowiec *Aeolus* i nadal sprawiała wrażenie pustej.

Silniki samolotu wciąż jeszcze gasły, kiedy otwarto drzwi kabiny pasażerskiej. Van Voytz ruszył w dół drabinki.

- Gwardia, baczność ! - powiedział Gaunt. Straż honorowa złożona z Milo, Guheena, Cocoera, Derina, Lillo i Garonda, dozorowana czujnym okiem sierżanta Theissa, strzeliła obcasami butów, zaprezentowała broń. Theiss trzymał w rękach sztandar jednostki.

Lord generał schylił głowę przechodząc obok kręcących się coraz wolniej rotorów samolotu, pośpieszył w górę rampy w towarzystwie swego adiutanta, stratega Bioty oraz czterech żołnierzy ochrony noszących niebiesko-czarne mundury, czapki ze złotymi otokami oraz ciężkie lasery.

- Gaunt !

- Panie generale, sir.

Van Voytz uścisnął dłoń tanithijskiego oficera.

- Cholernie dobra robota, żołnierzu.

- Dziękuję, sir, ale to nie moja zasługa. Mam listę rekomendacji do odznaczeń.

- Wszystkie zostaną zatwierdzone, ma pan na to moje słowo, Gaunt. Cholernie dobra robota – Van Voytz rozejrzał się wokół jakby pierwszy raz dostrzegł otaczający go hangar – Cirenholm. Cirenholm, co ? Jeden krok do przodu.

- Z całym szacunkiem, sir, jeden krok w tył dla Urdeshi.

- Tak. Mam zamiar porozmawiać z pułkownikiem Zhyte, kiedy już opuści oddział chirurgii. Spieprzył sprawę, nieprawdaż ? Spieprzył akcję w potworny sposób. Ale ty, Gaunt... ty i twoje Duchy. Przeistoczyliście tę porażkę w zwycięstwo.

- Zrobiliśmy tylko to, czego od nas oczekiwano, sir.

- Imperialna Gwardia jest z was dumna, pułkowniku-komisarzu.

- Dziękuję panu, sir.

- Zrobił pan to na szybciora, prawda ?

- Sir ?

- Pan i pańscy eksperci od skrytego działania. Zrobił to na szybciora, prawda, Biota ?

- Na to wygląda, sir – odparł z nieznacznym uśmiechem Biota.

- Skłonił nas pan do zmiany sposobu myślenia, Gaunt. Drastycznej zmiany. Ouranberg czeka, a pańska akcja tutaj spowodowała istotne modyfikacje naszej taktyki działania. Prawda, Biota ?

- Tak jest, panie generale.

- Tak jest. Co pan o tym myśli, Gaunt ?

Ibram Gaunt nie miał pojęcia, co właściwie ma o tym wszystkim myśleć.

Onti Flyte postrzegала się za lojalną obywatelkę Imperium, trójkę swych dzieci wychowywała w myśl państwowych edyktów i w duchu patriotyzmu. Kiedy Nieprzyjaciel uderzył na Cirenholm i zajęła miasto, nieszczęsna kobieta odniosła wrażenie, że przestworza runęły jej na głowę. Jej mąż, pracujący w jednym z młynów, został zabity w pierwszych godzinach inwazji. Brutalni żołnierze Paktu zapędzili Onti, jej dzieci i jej sąsiadów do prowizorycznego więzienia na dolnych poziomach trzeciej kopuły.

To było istne piekło. Skąpe wyżywienie, odrobina wody pitnej, brak sanitariatów. Więzienie śmierdziało niczym szalec już pod koniec pierwszego dnia pobytu. Później pojawiły się choroby i wszechobecny brud, a odór urósł tak bardzo, że kobieta zdążyła się do niego przyzwyczaić.

Idąc w grupie cywilów eskortowanych przez gwardzistów z powrotem do ich domów Onti Flyte wciąż czuła ten smród, przesycający jej ubranie i włosy. Wiedziała, że miejskie łaźnie są zatłoczone do pełna, a stojące przed nimi kolejki pozbawiały złudzeń. Umycie dzieci i przebranie ich w czyste ubrania wymagało skorzystania z małej łaźni w habitacie kobiety oraz ciężkiej pracy ze szczotką do mycia w ręku.

Miły młody gwardzista w czerni zwały się Caffran odprowadził ją wraz z dziećmi pod dom. Onti przez całą drogę przeproszała go za roztaczany przez siebie odór. Caffran uśmiechał się tylko wyrozumiale i powtarzał, że to dla niego żaden problem.

Dopiero w progu swego mieszkania pozwoliła sobie na pierwsze łzy, na szloch rozpacz. Ogromnie tęskniła za swym zmarłym mężem, a jej myśli prześladowały bez przerwy wizje okropieństw, jakich musiał doświadczyć przed śmiercią z rąk najeźdźców.

Rozradowane dzieci biegały wszędzie wokół, więc zaczęła je uciszać. Sympatyczny żołnierz – Caffran – mierzył wzrokiem gromady ludzi wracających do swych domów pod eskortą gwardzistów.

- Potrzebuje pani czegokolwiek ? - zapytał grzecznie.
- Tylko przystojnego męża – zażartowała pomimo targającego serce bólu Onti.
- Przykro mi, proszę pani – odparł Caffran – Jestem już zajęty.

Kiedy wyszedł, kobieta usiadła z twarzą skrytą z dłońmi i zaczęła płakać. Jej najstarszy syn, Beggi, przybiegł chwilę potem krzycząc, że kąpiel jest już przygotowana. W rękach trzymał mydlane kryształki, zachowane na specjalną okazję. Dzieci chciały, aby mama pierwsza wzięła kąpiel.

Ucałowała je po kolei i poleciła najmłodszej dziewczynce, Erini, by ta napuściła do zbiornika dość gorącej wody dla całej czwórki. Potem wyszła na tylny dziedziniec habitatu. Zauważyła kłęby pary buchające z otworów wentylacyjnych w dachu łaźni, wciągnęła w nozdrza miętowy zapach mydła.

Po drugiej stronie ogrodzenia biegnącego wzdłuż dziedzińca jej sąsiad, starszy wiekiem mężczyzna o nazwisku Absolom, zamiatał tylne schody swego mieszkania.

- Ależ oni tu naniszczyli, pani Flyte ! - zawołał zbierając rozbite szkło.
- Wiem, panie Absolom, strasznie.

Onti Flyte weszła do przedsionka łaźni i zaczęła zdejmować brudne ubranie.

Naga, owinięta jedynie w kąpielowy ręcznik, przyłożyła dłoń do strumienia wody tryskającej z sufitowego prysznica. Woda była zimna. Usłyszała jakiś dźwięk.

Podnosząc wzrok skamieniała z przerażenia, ponieważ w rogu przedsionka ktoś kuczał w półmroku.

Czuła się bezbronna, odsłonięta. Przez ułamek chwili była przekonana, że to jeden z ukrywających się wciąż heretyków, jeden z zakrywających swe twarze żołnierzy Paktu Krwi.

Lecz to nie był heretyk.

Postać podniosła się na nogi, wyszła z cienia.

Był to przystojny młody gwardzista, podobny do sympatycznego Caffrana, który odprowadził ją do domu.

- Cóż, chyba nie powinno pana tutaj być, sir – powiedziała – Wie pan, co ludzie mówią o przystojnych chłopcach w mundurach...

Parsknęła żartobliwie.

Żołnierz nic nie odrzekł.

Onti Flyte pojęła znienacka, że znalazła się w poważnych kłopotach. Bardzo poważnych kłopotach. Otworzyła usta, ale nie potrafiła z siebie wykrztusić żadnego słowa.

Żołnierz postąpił krok do przodu. Miał bardzo charakterystyczny wygląd.

Miał też nóż. Długi nóż o posrebrzonym ostrzu błyszcząco metalicznie na tle czarnego munduru.

Kobieta czuła rosnący w gardle krzyk. To było niesprawiedliwe, nie tak miało przecież być.

- Ani słowa – powiedział żołnierz.

I tak krzyknęła. Nie trwało to długo.

Dorden trzymał drewniany lizak równie wprawnie jak Neskon swój miotacz ognia.

- Powiedz aaaaa – zażądał.

- Sgloot – wykrztusił Milo.

- Nie, chłopcze. Aaargh... AARGH ! Jakby cię właśnie dźgnął bagnetem ork.

- Aaargh !

- Teraz dużo lepiej – uśmiechnął się Dorden, wyjął patyczek z ust chłopca i wrzucił go do foliowego woreczka na odpadki wiszącego na boku lekarskiej torby, a potem ujął głowę młodego żołnierza w obie ręce i zaczął obserwować z zainteresowaniem jego oczy, odsuwając przy tym palcami powieki.

- Nudności ?

- Dopiero teraz.

- Ha ha.... skurcze ? Krew w moczu lub kale ? Silne zawroty głowy ?

- Nic takiego.

Dorden puścił głowę chłopca.

- Będziesz żył.

- Czy to obietnica ?

- Nie w mojej mocy takie obietnice. Chciałbym...

Wiekowy tanithijski lekarz powiedział coś, co utonęło w gwarze ludzkich głosów wypełniających koszarowe sale. Milo nie poprosił o powtórzenie. W pełnych żalu oczach doktora odczytał znaczenie niedosłyszanych słów – musiały mieć coś wspólnego z jego synem, Mikalem Dordenem, Duchem poległym na Verghaście.

Mijał trzeci dzień od zajęcia Cirenholmu. Tanithijski Pierwszy został zakwaterowany w ciągu połączonych ze sobą magazynów w drugiej kopule miasta. Pracownicy Munitorium umieścili w salach rzędy prostych drewnianych prycz, przykryli każde z nich parą cienkich prześcieradeł. Większość Duchów własnoręcznie podniosła sobie komfort noclegu wrzucając na prycze koce, płaszcze i zapasową odzież.

Hałas panujący w koszarach potrafił przytłoczyć. Już w samej sali zajętej przez Brina znajdowało się dziewięćset żołnierzy, a słowa ich rozmów tworzyły głośny szum odbijając się od ścian i sufitu. Ludzie odpoczywali, czyścili ekwipunek, sprawdzali broń, palili, żartowali, grali w kości, siłowali się na ręce, porównywali wojenne trofea, porównywali blizny, porównywali swe wyczyny...

Dorden, Curth i gwardyjscy sanitariusze krążyli po salach koszar sprawdzając rutynowo stan zdrowia swych podopiecznych.

- To niewiarygodne jak wielu żołnierzy ukrywa swe rany – oświadczył Dorden zbierając swoje instrumenty – Do tej pory zdążyłem złapać za rękę pięciu ludzi nie chcących mi podobno zawracać głowy nie gojącymi się obrażeniami.

- Honorowe blizny – odparł Milo – Dowody odwagi. Lesp zbyt dobrze zszywa rany, boją się, że po jego zabiegu nie zostanie żaden ślad po szramach.

- To bardzo głupie z ich strony, Brin – parsknął Dorden – Nour ma oparzelinę od lasera, która zaczęła się paskudzić.

- Wiem, o co tutaj chodzi – odpowiedział chłopiec – To Verghastyta. Oni pożądamy blizn, by za ich pomocą móc rywalizować z naszymi tatuażami.

Dorden przybrał zachmurzoną minę, rezerwowaną specjalnie na te chwile, kiedy miewał okazję usłyszeć coś wyjątkowo bzdurnego. Podał swemu rozmówcy dwie tabletki o różnych kolorach oraz papierowy rożek wypełniony białym proszkiem.

- Weź to. Mieszanka witamin i minerałów oraz środek wzmacniający antyciała. Nowe powietrze, nowe wirusy i bakterie. W dodatku żyjące w zamkniętym obwodzie wentylacyjnym. Wolałbym uniknąć sytuacji, w której cały regiment padłby z nóg łapiąc chorobę, której wasze organizmy nie zdołałyby zwalczyć. I nie wiemy jeszcze do końca, co te heretyckie ścierwa przywlokły tu ze sobą.

- Proszek ?

- Posyp nim ubranie i buty. Pakt Krwi przyniósł ze sobą wszy, bardzo teraz osamotnione i głodne. Szukają nowych żywicieli. Biedni Phantyńczycy w trzeciej kopule mają potwornie zawszone kwatery.

Milo przełknął obie tabletki, popił je łykiem wody z manierki, a potem posłusznie zaczął posypywać proszkiem swe ubranie. Przed nadejściem doktora zdążył rozmontować do połowy swój karabin i teraz chciał jak najszybciej poskładać broń z powrotem. Co kilka godzin jakiś pluton wzywany był przez majora Rawne do asysty w ostatnim przeczesywaniu pierwszej kopuły miasta – Milo czuł w kościach, że już niedługo przyjdzie pora na jego oddział.

Dorden kiwnął mu na pożegnanie głową, poszedł do siedzącego pryczę dalej Ezlana.

Milo rozejrzał się po koszarowej sali. Dwa rzędy łóżek w głębi pomieszczenia dostrzegł doktor Curth oglądając ranę na głowie jakiegoś żołnierza. Milo westchnął skrycie. Bardzo lubił doktora Dordena, ale miał nadzieję, że trafi w ręce Curth. Badanie w jej wykonaniu gwarantowało sporo przyjemnych doznań.

Gwardzista położył obok nogi na wpół zmontowany karabin, wyciągnął się na plecach i skrzyżował ręce pod głową próbując wyciszyć swój umysł. Chociaż bardzo tego pragnął w przeciągu ostatnich kilku miesięcy, nadal nie potrafił wymazać z pamięci esholi Sanian, młodej studentki, która posłużyła grupie Duchów w roli przewodniczki na Hagii. Bardzo ją polubił i pewien był odwzajemnionego uczucia. Fakt, że nie mieli już nigdy spotkać się ponownie nie miał dla Mila większego znaczenia – wiedział, że nie zapomni jej tak długo jak długo pojawiała się w jego snach.

Nie rozmawiał z nikim na ten temat. Tanithjczycy stracili swe żony i przyjaciółki na ojczystym świecie, Verghastyci pozostawili towarzyszkę życia w ruinach własnego domu. W chwili obecnej w regimencie służyło sporo kobiet i każda z nich była obiektem zainteresowania przynajmniej jednego mężczyzny. Nawiązały się pierwsze dość trwałe romanse, przyjaciel Mila Caffran był tego najlepszym przykładem. Jego pierwsza dziewczyna Laria zginęła na Tanith i młody żołnierz przez długi czas pozostawał równie samotny jak wszyscy pozostali gwardziści. Potem na Verghaście, w samym środku zaciekłych walk ulicznych, poznał Tonę Criid. Tona Criid... gangsterka, dziecko ulicy, żołnierka w kompanii ochotniczej, matka dwójki malców. Ani Caffran ani Criid – oboje zaliczani do grona najbliższych przyjaciół Mila – nigdy nie określili łączącego ich uczucia miłością od pierwszego wejrzenia, a mimo to nikt nie miał ku temu żadnych wątpliwości.

Kiedy ogłoszono Akt Konsolidacji, Criid wstąpiła do gwardyjskiego regimentu jako żołnierz piechoty. Jej dzieci dołączyły do jednostki, trafiając na czas akcji pod opiekę towarzyszących Duchom rzesz kucharzy, zbrojmistrzów, zaopatrzeniowców, handlarzy, muzyków, sztukmistrzów oraz innych dzieci. Niemal każdy regiment Gwardii posiadał własne zaplecze cywilne i liczba

nietatowych członków jednostki sięgała już blisko trzystu osób. Gwardyjskie regimenty ściągały ku sobie czeladź niczym zapach nawozu muchy.

Teraz Caff i Criid tworzyli parę. Byli bohaterami ulubionej miłosnej historii Duchów. Inni żołnierze mogli się uśmiechać pod nosami na ich widok, ale darzyli też oboje szacunkiem. Nikt nie ważył się pomiędzy nich wtrącać.

Milo westchnął ponownie, tym razem ciężiej. Żałował, że Sanian nie mogła mu towarzyszyć w odlocie z Hagii.

Rozważał przez chwilę w myślach opcję udania się na miejskie lądowisko, gdzie obozowała cywilna obsługa regimentu. Mógł spróbować ostro doprawionego mięsa prosto z rożna lub skorzystać z usług jednej z przesadnie umalowanych dziewcząt świadczących płatną miłość.

Odrzucił z niesmakiem ten pomysł. Nigdy wcześniej tego nie robił i nie sądził, aby zaspokoił w ten sposób cokolwiek prócz swych najbardziej bazowych potrzeb.

Zresztą żadna z tych kobiet nie była Sanian. I nie chodziło mu o seks. Sanian tkwiła przez cały ten czas w jego głowie, jakby wryła się tam na stałe. Milo nie chciał, by cokolwiek przyćmiło i oszpeciło te wspomnienia.

Nie potrafił też wyjaśnić, dlaczego wspomnienia te nie ulegały zatarciu, nie odchodziły w niepamięć. Na myśl przychodziła mu tylko przepowiednia. Słowa starych ayatanich na Hagii mówiły, że Milo odnajdzie kiedyś, w nadchodzących latach, swoje prawdziwe przeznaczenie.

Miał głęboko skrywaną nadzieję, że jego los był w jakiś sposób związany z losem Sanian. Miał nadzieję, że to właśnie dlatego wciąż pozostawała tak wyraźna w jego wspomnieniach. Może faktycznie była jego odległym przeznaczeniem.

Zapewne tylko się łudził, ale takie myśli poprawiały mu nieco humor.

- To mi wygląda na kłopoty – usłyszał głos doktora Dordena.

Milo usiadł na łóżku i rozejrzał się wokół. Opoдал wejścia do kwater dostrzegł kapitana Daura dyskutującego z poważną miną z parą imperialnych komisarzy, których chłopak nigdy wcześniej nie widział. Komisarzom towarzyszyło ośmiu uzbrojonych phantyńskich żołnierzy.

- Na podstawie jakiego upoważnienia ? - wycedził przez zęby Daur.

- Komisariat Grupy Operacyjnej, kapitanie, na rozkaz komisarza Del Mara. To sprawa bezpieczeństwa wewnętrznego.

- Czy pułkownik-komisarz Gaunt o tym wie ?

Dwaj oficerowie polityczni wymienili między sobą spojrzenia.

- O niczym nie wie, prawda ? - Daur uśmiechnął się cierpko - A komisarz Hark ?

- Gra pan na zwłokę, kapitanie - oświadczył niższy z pary komisarzy. Mężczyzna przedstawił się wcześniej jako Fultingo, oficer polityczny w sztabie admirała Ornoffa. Drugi z intruzów, wyższy i szczuplejszy, nosił na mundurze naszywki kadeta i nowiutkie insygnia regimentu Urdeshi.

- Owszem, gram. Chcę się dowiedzieć, o co wam chodzi - sarknął Daur - Nie możecie ot tak sobie wejść do kwater moich ludzi i zacząć ich przesłuchiwać.

- Mówiąc szczerze, możemy coś takiego zrobić, kapitanie - odparł Fultingo.

- To jest regiment Gaunta. To są jego ludzie... - Daur zniżył nieco głos - Ibram Gaunt to jedyny znany mi komisarz posiadający pełnoprawny stopień wojskowy. Nie sądzicie, że zwykła uprzejmość nakazywała wyjaśnienie tej sprawy za jego pośrednictwem ?

- Czcigodny Komisariat nie miewa zbyt wiele czasu na uprzejmości i kurtuazję, kapitanie.

Daur odwrócił się słysząc te słowa i ujrzał nadchodzącego szybkim krokiem komisarza Harka.

- Bardzo nad tym faktem ubolewam. Na szczęście jako etatowy komisarz Pierwszego Tanithijskiego dopilnuję, aby przynajmniej podstawowe zasady grzeczności zostały tu uszanowane.

- Chcą przeszukać kwatery - wyjaśnił Daur.
- W jakim celu ? - zdziwił się Hark.
- To kwestia bezpieczeństwa wewnętrznego - wyjaśnił szybko milczący dotąd kadet.
Hark uniósł brwi w geście pozornego zatroskania.
- Doprawdy ? A dokładnie ?
- Komisarzu Hark, czy odmawia pan współpracy ? - zapytał Fultingo.
Hark odwrócił się w jego stronę, zdjął z głowy czapkę, wsadził ją pod pachę, po czym zmierzył rozmówcę lodowatym wzrokiem.
- Zna mnie pan ?
- Ze słyszenia.
- Tymczasem ja wciąż nie znam ani pana ani pańskiego... wychowanka - Hark machnął czapką w kierunku kadeta.
- Jestem komisarz Fultingo, ze sztabu admirała Ornoffa. To kadet Goosen, który służył pod rozkazami komisarza Franta w regimencie Urdeshi.
- A czemu sam Frant nie pofatygował się tutaj osobiście ?
- Komisarz Frant poległ w czasie szturm na miasto - wyjaśnił nerwowym tonem Goosen, po czym poprawił kołnierz swego uniformu.
- O, załapaliście się na promocję polową, kadecie ? - uśmiechnął się Hark.
- Nie w taki sposób jakiego bym sobie życzył - odparł Goosen. Daur uznał w myślach, że była to wyjątkowo odważna odpowiedź w ustach tak niskiego rangą oficera politycznego. Hark wyprostował się na całą wysokość szykując frontalny atak na przybyszów.
- A zatem, Fultingo, o co chodzi ? - powiedział cichym tonem Hark.
- To ma coś wspólnego z tym dzieckiem, jak sądzę - powiedziała Curth. Lekarka podeszła do wojskowych ze zmarszczonym czołem, minęła komisarzy i ich eskortę, po czym schyliła się nad małym pulchnym chłopcem, trzymającym się kurczowo płaszcza ostatniego żołnierza i z wszystkich sił próbującym nie płakać.
- Mam na imię Ana, a ty ? - wyszeptwała.
- Beggi... - wykrztusił malec.
- Zna pan jego tożsamość ? - Curth zmierzyła Fultingo ostrym spojrzeniem.
Komisarz spojrział na wyświetlacz swego notesu.
- Tak, Beggi Flyte. Najstarszy syn Onto Flyte, mieszkanki Cirenholmu.
Malec zalał się w końcu łzami.
- To dziecko jest w głębokim szoku ! - syknęła Curth obejmując chłopca ramionami - Jakim prawem przyprowadziliście go do tych kwater i...
- Jest w głębokim szoku, proszę pani - odezwał się Fultingo - ponieważ jego matka nie żyje. Została zamordowana. Przez jednego z Duchów. A teraz... czy możemy kontynuować nasze dochodzenie ?

Obozowisko cywilnej obsługi było hałaśliwym zadymionym miejscem zajmującym prawie połowę hangaru. Kucharze piekli nad blokami łatwopalnego plastiku kurczaki i steki, ich pomocnicy siekali w tym czasie warzywa, mieszały sosy. W tle unosiła się muzyczna kakofonia gitar, mandolin i ustnych harmonijek, ponad nią górował stukot metalowych narzędzi dobiegający z namiotów zbrojmistrzów. Duchy krążyły wszędzie wokół, jedząc i pijąc, oddając do naostrzenia swą broń białą, tańcząc i śpiewając, rozmawiając z umalowanymi dziewczętami.

Kolea przeciskał się przez ludzki tłok. Połykacz ognia zionął płomieniami przy wtórze okłasków, wydawany przez niego dźwięk przywiódł Kolei na myśl syka włączonego miotacza. Ktoś próbował wcisnąć sierżantowi porcję gorącego kurczaka za jeden jedyny kredyt, ale

mężczyzna odpędził handlarza ruchem dłoni. Inny człowiek, ubrany w krzykliwy strój i strzelający znacząco cybernetycznymi palcami, usiłował zainteresować Ducha wdziękami znajomej „pani”.

- Nie, dziękuję – odparł Kolea mijając go bez śladu zainteresowania.

Jakiś rzemieślnik ostrzył na napędzanej pedałam ośelce wojskowe noże, iskry tryskały snopami w powietrze. Kolea spostrzegł szeregowca Unkina stojącego w kolejce za szeregowcem Cuu. Ostrze Cuu zostało już unurzane w oleju i zaraz miało trafić w uchwyt mocujący ponad obracającą się szybko ośelką.

Sierżant szedł dalej. Pokątni kupcy zaoferowali mu baterie do laserów trzeciej klasy.

- Gdzieście byli wcześniej, do kurwy nędzy ?! - warknął na nich gniewnie przepędzając mężczyzn ruchem ręki. Inni nadal nalegali, zachwalali swoje słodyczne, pornograficzne pisma, rozmaite gadzety i alkohol.

- To prawdziwa sakra ! Prawdziwa, Duchu ! Tylko spróbuj !

- Dajcie mi spokój ! - Kolea zaczął przebijać się przez tłok korzystając z łokci i barków.

Jednonogi inwalida sprzedawał talizmany przedstawiające Imperatora i wybranych świętych, odznaki regimentu, emblematy przedstawiające Orła. Jego towarzysz, mężczyzna o poznaczonej ściegami chirurgicznych nici twarzy, miał w ofercie chronometry, wojskowe noktowizjery i posiadające status kontrabandy osobiste moduły łącznościowe. Jeszcze inny handlarz, całkowicie pozbawiony dolnych kończyn, poruszał się w tłumie dzięki ruchomym protezom, prezentując zainteresowanym cygara, liście lho i kilka rodzajów nielegalnych narkotyków.

Żongler minął sierżanta podrzucając w powietrzu piłeczki. Mim o pomalowanej na żółto twarzy stał pośrodku kręgu widzów odgrywając scenę śmierci Solana. Mały chłopiec biegał goniąc napędzane zakrzywionym kijkiem kółko, dwie jeszcze mniejsze dziewczynki grały w klasy.

- Zajrzysz do mnie, przystojniaku ?

Kolea zatrzymał się w pół kroku. Jego Livy zwracała się do niego w ten sposób. Spojrzał przez ramię. To nie była Livy.

Dziewczyna byłaby nawet ładna, gdyby nie gruba warstwa pokrywającego jej twarz makijażu. Ocienione czarnymi rzęsami oczy błyszczały jaskrawo, na upudrowanym policzku migotał brokat. Uśmiechnęła się do Kolei podciągając na wysokości bioder swą długą suknię i dygając zachęcająco w stronę sierżanta. Duże okrągłe piersi równie dobrze mogła całkiem obnażyć, jeśli brało się pod uwagę fakt, że górna część jej stroju wykonana była z prawie przezroczystego materiału.

- Zajrzysz do mnie ?

Jej perfumy miały upojny zapach.

- Nie – odparł Kolea – Przykro mi.

- Pieprzony kombatan-impotent – wysyczała złośliwie. Próbował zignorować ten docinek. Próbował ignorować całe swe otoczenie.

Aleksa czekała na niego w swoim namiocie.

- Gol – uśmiechnęła się szeroko. Była sporych rozmiarów kobietą, szybko zbliżającą się do końca swej kariery zawodowej. Żadne ilości farby do włosów, pudru i perfum nie zdołałyby już dłużej tuszować postępujących braków w jej urodzie i figurze. Nosila niemodne kapelusze i wypłowiałe suknie. Na widok gościa przycisnęła rżnięty w kryształ kieliszek amasecu do swego odsłoniętego częściowo biustu, oplotła go upięścienionymi palcami.

- Aleksa – odpowiedział opuszczając za sobą płachtę namiotu.

Kobieta usadowiła się wygodniej na wyłożonej poduszkami kanapie.

- To co zwykle ? – zapytała.

Gol Kolea wyjął z kieszonki na pasie garść monet, przeliczył je uważnie, po czym wyciągnął dłoń w stronę Aleksy.

- Na nocnej szafce, poproszę. Nie chcę sobie pobrudzić rękawiczek.

Kolea położył pieniądze we wskazanym miejscu.

- W porządku, chodź do mnie.

Położył się na kanapie, prześlizgnął obok Aleksy. Kobieta obserwowała go zmrużonymi oczami. Kolea sięgnął ręką po tylną płachtę namiotu, rozsunął materiał w miejscu, gdzie Aleksa rozcięła go nieznacznie nożem.

- Gdzie one są ?

- Dokładnie przed tobą, Gol.

Przechylił nieznacznie głowę. Na zewnątrz, na niewielkiej odkrytej przestrzeni między innymi namiotami dwójka dzieci bawiła się w jakąś grę zanurzając palce w studziencie odpływowej. Mały chłopiec i osesek.

- Wszystko z nimi w porządku ?

- W jak najlepszym, Gol – odpowiedziała Aleksa – Płacisz mi za to, aby o nich dbała. Yoncy trochę kaszlał w zeszłym tygodniu, ale już mu przeszło.

- Dalin... ależ on rośnie.

- Bardzo żywy dzieciak. Cały czas trzeba go mieć na oku.

Kolea uśmiechnął się pod nosem.

- To dobrze.

Odsunął się od szpary, usiadł na stercie poduszek. Aleksa przysunęła się bliżej, zaczęła rozmasowywać mu kark.

- Już o tym rozmawialiśmy, Gol. Powinieneś coś powiedzieć. Naprawdę powinieneś. To jest nie w porządku.

- Caff i Tona... troszczą się o nich ?

- Tak, tak ! Uwierz mi, oni są... chciałam powiedzieć, że są najlepszymi rodzicami na świecie... sam wiesz, co miałam na myśli.

- Tak.

- Och, Gol, wyrzuć to z siebie.

Odwrócił w bok głowę, spojrzał na Aleksę.

- To moje dzieci.

Kobieta błysnęła w uśmiechu zębami.

- Tak, są twoje. Powiedz to wreszcie na głos.

- Nie. Nie teraz. Nie chcę im ponownie rujnować życia. Ich tata umarł i niech tak już pozostanie.

- Gol... to nie jest moja sprawa, ale...

- Słucham ?

Aleksa uśmiechnęła się ponownie, niepewnie.

- Po prostu to zrób. Criid zrozumie, Caffran też.

- Nie.

- Criid to dobra kobieta. Trochę się poznałyśmy przez ten czas, kiedy tu przychodziła. Ona zrozumie. Ona byłaby... sama nie wiem... wdzięczna ?

Kolea rzucił raz jeszcze okiem przez szczelinę w ścianie namiotu. Dalin złożył z papieru malutką łódkę, wrzucił ją do wypełnionej wodą studzienki.

- Już na to za późno – wyszeptał Kolea – Dla dobra ich i mojego własnego, już na to za późno.

Grupa wojskowych dotarła do końca ostatniej sali koszarowej Duchów. Odpoczywający gwardziści odprowadzali spojrzeniami postacie mijających pryce komisarzy. Chłopiec nic nie mówił, pociągał tylko nosem i okazjonalnie kiwał przecząco głową.

- I nic ? – zapytał Hark.

- Nikogo nie rozpoznał – odpowiedział Fultingo.

- Więc jesteście usatysfakcjonowani ? – sarknęła Curth.

- Niespecjalnie – zniżył swój głos Fultingo – Matka tego dzieciaka została zamordowana w amoku. Rany na jej ciele odpowiadają idealnie rozmiarami tanithijskiemu nożowi.

- Nóż można ukraść. Albo zgubić w walce. Albo zabrać poległym. Niektóre Duchy mogły stracić w taki sposób swoje noże – zasugerował równie cicho Hark. Daur wiedział, że komisarz blefuje. Bojowy nóż był najcenniejszym przedmiotem w posiadaniu każdego Tanithijczyka. Gwardziści nie mieli ich w zwyczaju gubić, a noże poległych składali wraz z ich ciałami do grobu.

Zresztą Fultingo wcale nie wyglądał na przekonanego słowami Harka.

- Grupa świadków widziała mężczyznę w mundurze odpowiadającym wyglądem uniformom Tanithijskiego Pierwszego. Bardzo się gdzieś śpieszącego mężczyznę.

- Wysokiego czy niskiego ? Brodatego czy ogolonego ? O kolorze skóry i włosów Tanithijczyka czy Verghastyty ? Jakies znaki szczególne ? Insignia i belki na mundurze ?

- Wysoki, szczupły, gładko ogolony – odczytał ze swojego notatnika Goosen – Nikt nie miał okazji przyrzeć mu się bliżej. Nikt z wyjątkiem chłopca. On jest naszym najlepszym świadkiem.

Hark spojrzał w stronę Daura i Curth.

- Potępiam to morderstwo, komisarzu – powiedział do Fultingo – ale wasze polowanie na czarownicy posunęło się zbyt daleko. Chłopiec obszedł całe koszary i nikogo nie rozpoznał. Popelniliście błąd, wasz zabójca nie jest Duchem.

Hark wyprowadził grupę śledczych na korytarz, z dala od ciekawskich spojrzeń żołnierzy. Na zewnątrz było zimno, skondensowana para ściekała z biegnących pod sufitem rur centralnego ogrzewania.

- Sugerowałbym skontrolowanie pozostałych regimentów lub wyszukanie innego potencjalnego sprawcy.

Fultingo otworzył usta chcąc coś odrzec, ale w tej samej chwili na korytarz wpadł pluton zmęczonych Duchów, brudnych i śmierdzących spalenizną. Był to oddział asekuracyjny, powracający z operacji oczyszczania głównej kopuły. Niektórzy żołnierze byli ranni, inni mieli ubrania przesiąknięte krwią heretyków.

- Jeszcze nie zobaczyliśmy wszystkich pańskich ludzi – powiedział Fultingo, kiedy gwardziści minęli jego grupę – Kilka oddziałów wciąż znajduje się w strefie aktywnych działań i...

- Co się stało ? Beggi ? – Curth przykucnęła raptownie obok chłopca, który wskazywał coś palcem – Co takiego zobaczyłeś ?

Malec nic nie odrzekł, ale jego palec mierzył niczym lufa snajperskiego karabinu.

- Oddział, stać ! – krzyknął Hark i powracający do kwater pluton zatrzymał się w miejscu.

- Jakies kłopoty, sir ? – odezwał się prowadzący żołnierzy kapral Meryn.

- Czy to on, Beggi ? – spytała ostrożnie Curth.

- Czy to ten mężczyzna ? – dodał Hark – Jesteś pewien, synu ?

Beggi Flyte skinął powoli głową.

- Żołnierzu ! Do mnie ! – wydał polecenie Hark.

- Ja ? – zdumiał się Caffran – Co się stało ?

Wielkie dzwony bazyliki grały od rana w pierwszej kopule miasta, a ich ogłuszający dźwięk mieszał się z radosnym krzykiem tłumów mieszkańców Cirenholmu stłoczonych na centralnym placu miasta. Dzwony zostały odlane tysiąc siedemset lat wcześniej z myślą o pierwszej bazylice na Phantine, położonej jakieś pięć kilometrów poniżej Cirenholmu. Kiedy znajdujące się na nizinach miasta zostały później opuszczone, a uciekający przed rosnącą warstwą morderczych skażeń Phantycjycy przenosili się regularnie w wyższe partie gór, dzwony przewożono raz po raz do nowej świątyni, a każda z nich znajdowała się na większej wysokości od poprzedniej.

W dźwięku dzwonów kryła się radosna ulga, ich bicie kończyło bowiem nabożeństwo odprowadzane w formie podziękowania za wyzwolenie Cirenholmu. Poprzedniej nocy lojalistyczni żołnierze zlikwidowali lub pojмали w niewolę ostatnich wciąż jeszcze broniących się w północnej części kopuły heretyków Paktu Krwi. Cirenholm był ponownie wolny.

Mszę dziękczynną odprowadzali dostojnicy kościoła z Hessenville, ponieważ wszyscy miejscowi kapłani zostali wymordowani podczas inwazji Paktu. Arystokratyczna elita metropolii stawiała się w pełnym składzie, chociaż niektórzy z wysoko urodzonych wciąż jeszcze byli ciężko chorzy lub osłabieni nieludzkimi warunkami niewoli. Rzesze plebsu były tak ogromne, że nie mogąc pomieścić się w ścianach gigantycznej bazyliki tłum stał na placach wokół budowli słuchając przekazu radiowego płynącego z głośników na metalowych masztach.

Do udziału w uroczystości zaproszono setki imperialnych oficerów. Van Voytz, ubrany w swój galowy uniform, wstąpił na mównicę, by wygłosić kilka zdań. Stonowane, dyplomatyczne przemówienie na równi chwaliło czyny Tanithijczyków, Phantyczyków i Urdeshi. Czas na rozliczenie podjętych w walce decyzji miał nadejść później.

Kiedy msza dobiegła końca i dzwony zagrały donośnie, Gaunt podniósł się ze swego miejsca w ławce i ruszył poprzez tłum w stronę świątynnego wyjścia. Przystanął na chwilę, by porozmawiać z majorem Fazalurem, stoickim dowódcą Phantycyjskiej Powietrznej, oraz młodym oficerem o nazwisku Shenko, który pełnił obecnie funkcję tymczasowego dowódcy Urdeshi.

- Jak się czuje Zhyte ? – spytał Gaunt.

- Dni aktywnej służby ma już za sobą – odparł ze sporą dozą ostrożności Shenko – Zostanie odesłany do domu opieki nad weteranami na Fortis Binary.

- Mam nadzieję, że teraz jest tam znacznie milej niż podczas mojej ostatniej wizyty – pułkownik-komisarz uśmiechnął się w zadumie.

- Sir, chciałbym... – Shenko urwał nie potrafiąc znaleźć odpowiednich słów.

- Ja nie gryzę, bez względu na to, co miałeś o mnie okazję zasłyszeć.

Shenko uśmiechnął się nerwowo.

- Chciałem tylko powiedzieć... Zhyte był dobrym dowódcą. Cholernie dobrym. Kilka razy wcześniej przeprowadził nas przez piekło. Zawsze miał te swoje humory i był przesadnie dumny, cóż... Wiem, że popełnił tutaj błąd, sir. Ale musi pan wiedzieć...

- Wystarczy, Shenko, pojmuję sens tych słów. Nie żywię żadnej niechęci w stosunku do Urdeshi. Mówiąc szczerze, czuję do was sporą sympatię od czasów Balhoutu...

- Widział pan bitwę na Balhaucie ? – Shenko rozszerzył ze zdumienia oczy.

- Tak. Byłem tam razem z Hyrkanami – uśmiechnął się Gaunt. Czyżby faktycznie był już tak stary, że jego dawne kampanie brzmiały niczym odległa historia w uszach młodych oficerów ?

- Poproś któregoś z waszych weteranów, żeby ci opowiedział o Wzgórzu 67. Hyrkanie na zachodniej krawędzi masywu, Urdeshi na wschodzie. Nie żywię do was żadnej niechęci, a już na pewno nie obciążylibym sojuszniczego regimentu odpowiedzialnością za słowa i czyny jednego człowieka. Zhyte powinien być... zresztą to już nieważne. Wasi chłopcy sami musieli zapłacić za jego błąd. Zresztą sam Zhyte też już zapłacił. Ale muszę cię poprosić o małą przysługę.

- Sir ?

- Stań się kimś, kim on nigdy nie był. Następną kampanię zapewne stoczmy ramię w ramię. Chciałbym wtedy myśleć o Urdeshi jako o sojusznikach, nie rywalach.

- Ma pan moje słowo, pułkowniku-komisarzu.

Gaunt zszedł po szerokich schodach, poprzez morze wiwatujących ludzi, ubrany w odświętny uniform. W powietrzu unosiło się wielobarwne konfetti, Phantyjczycy wieszali na szyjach cudzoziemskich oficerów girlandy papierowych kwiatów, ściskali ich i całowali w policzki. Prawdziwe kwiaty znikły z powierzchni Phantine jakieś osiemset lat temu, tylko nieliczne odosobnione ogrody przetrwały tu i ówdzie pieczołowicie pielęgnowane przez koneserów flory – lecz papiernicze młyny wciąż funkcjonowały.

Obwieszony papierowymi kwiatami Gaunt przepychał się poprzez tłum ściskając wyciągane ku niemu dłonie. Kątem oka dostrzegł jakiegoś przystojnego, robiącego wrażenie w swym mundurze oficera witającego się grzecznie z dziękującymi mu Cirenholmczykami. Był to major Rawne. Gaunt roześmiał się mimowolnie. Tak rzadko miewał okazję oglądać majora w galowym stroju, że poczuł się szczerze zaskoczony tym widokiem.

Ruszył w stronę swego podkomendnego.

- Śliczne ciuszki – szepnął z odrobiną drwiny do ucha majora potrząsając jednocześnie czyjąś rękę.

- Mów za siebie – odparł Rawne mierząc wzrokiem kwietną girlandę wiszącą na szyi Gaunta. Szwy okalające jego upstrzone popękany żyłkami oko sprawiały, że wyglądał na jeszcze bardziej rozgniewanego niż zazwyczaj.

- Zabierajmy się stąd – zaproponował cicho Gaunt uśmiechając się cały czas promiennie do tłumu.

- Doskonały pomysł ! A gdzie ? – zapytał ayatani Zweil, który pojawił się zniemacka tuż przy parze oficerów. Na jego szyi wisiała imponująca kolekcja girland.

Wydostali się jakoś z zatłoczonego placu i rozcierając zdrętwiałe dłonie ruszyli czym prędzej w dół bocznej uliczki, lecz nawet tam zmuszeni byli co chwila przystawać, by wymienić uściski rąk oraz przyjąć podziękowania i całusy miejscowych.

- Jeśli tak wygląda ta lepsza część życia wojskowych, wcale mnie już nie dziwi fakt, że kochacie armię – powiedział Zweil – Nikt mnie tak nie hołubił od czasów pracy misjonarskiej Lurkanie, gdzie trafiłem idąc śladami Świętej. Rzecz jasna wtedy wyglądałem znacznie przystojnie, a dodatkowo pomógł mi fakt, że tubylcy oczekiwali nadejścia mesjasza o imieniu brzmiącym podobnie jak Zweil.

Gaunt zachichotał, natomiast Rawne nie wyglądał na specjalnie rozbawionego. Major pozrywał swoje papierowe ozdoby i cisnął je do rynsztoka.

- Nie zaciągnąłem się do Gwardii po to, żeby słuchać pieprzonych pochwał – sarknął z niezadowolaniem – Idę w zakład, że ta banda równie owacyjnie witała Krwawy Pakt, kiedy tu lądował. Zawsze się opłaca sprawiać miłe wrażenie na uzbrojonych ludziach przejmujących nad tobą kontrolę.

- Jest pan największym cynikiem jakiego miałem okazję w życiu poznać, majorze – oświadczył z niesmakiem Zweil.

- Życie kopie w dupę, czcigodny ojcze. Podnieś no te kwiatki do nosa i powąchaj.

Zweil zaczął się bawić w zadumie swoją girlandą.

- Gdyby to tylko było możliwe – odrzekł melancholijnie.

- Jeśli się nie zaciągnąłeś po to, by zostać obiektem uwielbienia imperialnego społeczeństwa, Rawne – zapytał Gaunt – co innego cię ku temu skłoniło ?

Major zamyślił się na chwilę.

- Feth z tobą – odparł w końcu nie znajdując żadnego wyjaśnienia.
- Tak też myślałem – skwitował Gaunt i przystanął w miejscu – Wejdźmy tutaj.

Była to tawerna. Urządzono ją w suterenie kanciastego biurowca, do drzwi wejściowych wiodły niskie kamienne schodki biegnące od poziomu ulicy. Od rozpoczęcia okupacji przez Pakt pozostawała zamknięta i Gaunt musiał wcisnąć w ręce zaniepokojonego wizytą właściciela sporą sumę, by ten zgodził się wpuścić trójkę obcoświatowców do środka.

Tawerna była w opłakanym stanie, na podłodze walało się szkło z rozbitych butelek i kufli. Heretycy zabawiali się tutaj każdej nocy niszcząc pod koniec pijatyki wszystko, co wpadło im w ręce. Dwie dziewczyny, nastoletnie córki właściciela, zamiatały przyzmy śmieci i zdążyły już napęlić nimi kilka worków. Ich wuj pracował w tym samym czasie przy ścianach lokali próbując zdrapać szpachlę obsceniczne teksty wypisane na nich przez Pakciarzy.

Gaunt, Rawne i Zweil zajęli miejsca na wysokich barowych stołkach przy kontuarze.

- Nie powinienem jeszcze otwierać – usprawiedliwiał się właściciel – Ale dla wyzwolicieli Cirenholmu z chęcią zrobię wyjątek.
- Jeden albo i dwa, mam nadzieję – powiedział Zweil.
- Czego się panowie napiją ?
- A ma pan saczę ? – zapytał Gaunt.
- Nie, sir. Mówiąc szczerze, pierwszy raz o czymś takim słyszę.
- Nieważne. Amasec ?
- Zakładam, że tak – skrzywił się gospodarz – Pójdę zobaczyć, czy te sukinsyny coś zostawiły.
- Co my tu robimy ? – syknął rozczarowany Rawne.
- Wypełniamy misję specjalną – odrzekł Gaunt.

Właściciel tawerny powrócił z poobijaną tacą, na której stały trzy szklanki różnych rozmiarów oraz butelka amasecu.

- Proszę o wybaczenie, ale to jedyne szkło jakiego nie zdążyli rozbić.
- W takim przypadku będzie idealne – oświadczył pułkownik-komisarz.

Gospodarz podziękował mu ruchem głowy, napęlił szklanki mocnym trunkiem.

- Butelkę możesz zostawić – zasugerował mu Zweil. Rawne uniósł swoją szklankę, zmierzył wzrokiem wypełniający ją alkohol.
- Za co wypijemy ? – zapytał.
- Za chwalebne wyzwolenie Cirenholmu w imię boskiego Imperatora ! – oświadczył Zweil wznosząc w górę swoje naczynie. Gaunt schwycił go za ramię, przytrzymał na chwilę.
- Nie, nie tym razem. Po bitwie to Colm Corbec wznosił w najbliższym barze taki właśnie toast. Dzisiaj go z nami nie ma. Wypijemy za niego.

Gaunt uniósł szklankę w górę i spojrzał na wypełniający ją płyn jakby to był jad.

- Za Colma Corbeca z Tanithijskiego Pierwszego. Szkoda, że nie ma go teraz tutaj.

Opróżnił zawartość szklanki jednym haustem.

- Za Colma Corbeca – odpowiedzieli chóralnie Rawne i Zweil wypijając własne trunki.
- Jak on się czuje ? – zapytał po chwili major – Cały czas byłem na pierwszej linii... nie zdążyłem... sam wiesz...
- Wstąpiłem do szpitala w drodze do bazyliki – odparł Gaunt obracając w palcach swą pustą szklankę – Jego stan nie ulega zmianie. Najprawdopodobniej umrze. Lekarze sami nie potrafią uwierzyć w to, że jego organizm wciąż walczy.
- Bez niego nic nie będzie już takie samo – mruknął Rawne.
- Gaunt odwrócił głowę, spojrzał Duchowi prosto w oczy.
- I mówi to ten cyniczny cholerny major Rawne ? – zapytał.

Rawne zmarszczył gniewnie czoło.

- To żaden wstyd przyznać, że będziemy ubożsi bez Corbeca. Gdybyś to ty umierał dla odmiany, kupowałbym teraz drinki dla całego regimentu.

Gaunt roześmiał się szczerze.

- Skoro o drinkach mowa... – Zweil ujął butelkę i zaczął nalewać amasecu do pustych szklanek.

Pułkownik-komisarz uniósł swe naczynie, ale jeszcze nie przystawiał go do ust.

- Zamierzam awansować Raglona. Dostanie promocję w trybie polowym, do stopnia dowódcy drugiego plutonu. Zasłużył na to, a dodatkowo był adiutantem Corbeca, więc to oczywisty wybór.

Rawne kiwnął z aprobatą głową.

- Gwoli informacji, przekazuję ci funkcję mojego zastępcy – dodał Gaunt – Obowiązuje od tej chwili aż do ewentualnego odwołania.

- Nie Daurowi ? – zapytał Zweil.

- Pieprzyć Daura ! – sarknął Rawne uderzając swoją szklanką w kontuar.

- Nie, ayatani, nie Daurowi – oświadczył Gaunt – Istnieje jakiś powód, dla którego miałbym zmieniać decyzję ?

Zweil upił nieco alkoholu, wzruszył ramionami.

- Pozostaje kwestia podziału.

- Jakiego podziału ? – spytał Rawne dolewając sobie amasecu.

- Rozłamu pomiędzy Tanithijczykami i Verghastytami – wyjaśnił Zweil – Vervuńczycy uważają się za lekceważoną część regimentu. Podniesienie Daura do rangi drugiego oficera w regimencie podniosłoby znacząco ich morale.

- Pieprzeni Verghastyci ! – burknął gniewnie Rawne.

Gaunt spojrzął z ukosa na kleryka, bo uwaga starca natychmiast przypomniała mu o rozmowie z Harkiem na pokładzie obserwacyjnym kopuły. *Czy Hark i Zweil rozmawiali ze sobą na ten temat ?*

- Ojczy, posłuchaj... ufam ci i darzę twą osobę ogromnym szacunkiem... i zawsze wysłucham porady duchowej, ale w kwestiach protokołu wojskowego zawsze ufam sobie samemu. Lecz mimo wszystko dziękuję ci za opinię.

- Ej, ja tylko chciałem powiedzieć... – zaczął Zweil.

- Tanithijski Pierwszy to Tanithijski Pierwszy – przerwał mu Gaunt – Staram się zachować równowagę kulturową w strukturze jednostki, ale stanowisko drugiego oficera zawsze będzie pełnił Tanithijczyk. Awansowanie do tej rangi Daura byłoby niewłaściwym przesłaniem dla naszych ludzi.

- Cóż, sam najlepiej wiesz, co robisz, Ibramie. Ale uważaj na tę równowagę. Nie strać dla nas Verghastytów. Już teraz czują się żołnierzami drugiej kategorii.

- Bo nimi są – wtrącił major.

- Dość tego, Rawne. Oczekuję, że będziesz traktował Verghastytów na równi z Tanithijczykami.

- Jak sobie życzysz.

- A jak tam Soric ? – spytał Zweil.

Gaunt uniósł szklankę w geście toastu.

- Umiera, podobnie jak Gaunt. W jego przypadku chyba nastąpi to nawet szybciej.

- Wypijmy za duszę Verghastytów – powiedział kapelan – Za Aguna Sorica.

Wszyscy trzej opróżnili swe naczynia. Rawne sięgnął po butelkę.

- A teraz toast za naszą kolejną akcją, za Ouranberg. Oby okazał się tylko w połowie tak paskudny jak Cirenholm.

- Nie okaże się – zaprzeczał Gaunt kładąc swą szklankę dnem do góry na blacie kontuaru. Jeden toast za Corbeca i jeden za Sorica wystarczył – To będzie piekło. Lord generał znalazł jakiś pomysł na wykorzystanie Duchów w tej operacji, ale nic jak dotąd nie wyjaśnił. Mam co do tego złe przeczucia. Raporty wywiadu potwierdziły, że obroną Ouranbergu dowodzi osobiście Sagittar Slaith.

- Sam Slaith ? – wymamrotał Rawne – Feth.

- Są też dobre wiadomości – dodał pułkownik-komisarz – Dzisiaj rano przeleciał z Hessenville sterowiec, który przywiózł dwadzieścia tysięcy baterii trzeciej klasy.

- Chwała Panu ! – sarknął bez cienia wesołości major.

- Zaiste, chwała – skinął głową Gaunt – Inwazja jest nieunikniona i cieszę się, że tym razem będziemy mieli dość amunicji w zapasie.

- Mam nadzieję, że sprawa Caffrana zostanie do tego czasu zamknięta – stwierdził Rawne.

- Jaka sprawa ?

- Och, ten incydent z morderstwem ? – zapytał Zweil – To był dość przerażający wypadek.

- Jaka sprawa ? Jakie morderstwo ? – zawarczał Gaunt.

- Cholera – zeszywniał Rawne – Chyba powiedziałem zbyt wiele. Hark trzymał to przed tobą w tajemnicy ?

- Co trzymał ?!

- Brudną sprawę Tanithijskiego Pierwszego – odparł major – Prawdę mówiąc jestem zaskoczony, że Caffran to zrobił, on nie wydawał się zdolny do czegoś takiego. Miał dość przyjemności z tą Criid, żeby szukać okazji do skoku w bok. A samo morderstwo ? Musiało mu całkowicie odbić... hej !

Gaunt odepchnął major w bok robiąc sobie przejście.

- Gaunt ?! Gaunt ?! – krzyczał Zweil, ale pułkownik-komisarz nie zważał na jego słowa. Wspiąwszy się po schodkach zniknął na położonej wyżej ulicy.

Viktor Hark przeszedł tyłem przez cały pokój, oparł się plecami o duże biurko i pojął zniechęca, że nie ma się już gdzie wycofać.

- Kiedy zamierzałeś mi to powiedzieć, Viktor ? – spytał Gaunt.

Hark wyprostował się na całą wysokość.

- Byłeś zajęty rozmowami z lordem generałem, ponadto uznałem, że ze względów polityki regimentalnej powinieneś zostać odseparowany od tej sprawy.

- Przyjąłem cię do tej jednostki, bo potrzebny mi był oficer polityczny, któremu mógłbym zaufać. Stosuj swoje protokoły, Viktor, ale nigdy więcej nie próbuj niczego przede mną zatajać.

Hark poprawił guziki swej kurtki, spojrzał na dowódcę.

- Wierz mi, nie chciałbyś poznać prawdy – oświadczył łagodnym tonem.

- Feth ! Ja jestem Duchami, każdym z nich ! Jeśli któryś wpada w kłopoty, mnie one też dotyczą !

- Jak ty zdołałeś dojść tak daleko zachowując przy tym taką naiwność ? – potrząsnął głową komisarz.

- Jak ja ci właściwie mogę zaufać, skoro nie wiesz o mnie nawet takiej rzeczy ? – odparł pytaniem Gaunt.

Hark westchnął ciężko, odwrócił się w stronę biurka i sięgnął po leżący na blacie elektroniczny notes.

- Kobieta nazywająca się Onti Flyte została zamordowana trzy noce temu. Zadżgana tanithijskim ostrzem. Świadkowie widzieli Ducha uciekającego z jej kamienicy. Syn ofiary wskazał Caffrana. Sprawa została zamknięta. Nie zwracałem ci nią głowy, ponieważ to tylko pomniejszy incydent.

Po to właśnie tutaj jestem, filtruję kwestie dyscypliny wewnętrznej, byś ty mógł skupić się na całokształcie dowodzenia.

- Doprawdy ? A co będzie z Caffranem ?
 - Komisarz Del Mar nakazał jego egzekucję jutro o świcie.
 - I pomyślałeś, że przejdę bez słowa nad stratą tak wartościowego żołnierza jak Caffran ?
 - Zważywszy na jego przestępstwo, tak.
 - A co sam Caff twierdzi na ten temat ?
 - Zaprzecza, rzecz jasna.
 - Oczywiście... zaprzecza, albowiem najpewniej wcale nie jest winien. Zakładam, że odbyło się przynajmniej jakieś rutynowe postępowanie wyjaśniające ? Świadkowie też się czasami myślą.
 - Ludzie Del Mara prowadzą tę sprawę. Komisarz Fultingo jest...
 - Chcesz mi powiedzieć, że umyślesz od tego ręce ?
- Hark umilkł, nie odpowiedział.
- Lokalne prawo karne oraz Komisarz Grupy Operacyjnej mają swoje sfery jurysdykcji, ale ta sprawa leży również w kompetencji dowódcy regimentu. Jeśli istnieje choć nikła szansa na to, że Caffran jest niewinny, nie pozwolę go rozstrzelać. Zostaw mi ten notes i wyjdź stąd.

Hark rzucił urządzenie na biurko i ruszył w stronę drzwi. W progu zatrzymał się na chwilę i spojrzał na Gaunta.

- Wiem, że Caffran był z tobą od samego początku. Wiem, że jest lubiany przez towarzyszy broni i posiada wysokie noty jako żołnierz. Ale ta sprawa jest czysta i prosta. Tanithijski Pierwszy to jednostka złożona z wyjątkowo zdyscyplinowanych gwardzistów. Mam od czasu do czasu drobne problemy z piciem alkoholu, bójkami czy kradzieżami, ale to nic w porównaniu z tym, co miałem sposobność ujrzeć w innych regimentach. Tam połowa egzekucja za złamanie regulaminu bywa czasami codzienną rutyną. Morderstwa, masowe ludobójstwo, gwałty. Gwardia pełna jest urodzonych morderców i nie wszyscy z nich kontrolują do końca swe żądze. Psiakrew, przecież sam doskonale o tym wiesz ! Ostra dyscyplina i surowy system kar to jedyne sposoby na zachowanie porządku ! Powtórzę raz jeszcze, to tylko pomniejszy incydent, nie liczący się wcale na tle wojny, którą tu prowadzimy. Nie powinieneś marnować swego czasu dla tej sprawy.
- Mam zamiar czas zmarnować, Hark, ponieważ ta sprawa jest wyjątkowa w tym regimencie. A teraz zabieraj się stąd i przynajmniej na jakiś czas zniknij mi z oczu.

Varl odnalazł drogę do wojskowego szpitala idąc śladem zapachu środków dezynfekujących. Zadanie to było z początku dość utrudnione, ponieważ niemal każdy korytarz i hala drugiej kopuły przesycone były ostrą wonią chemikaliów. Pracownicy Munitorium i grupy cywilów pracowały wszędzie wokół czyszcząc podłogi i ściany, usuwając ślady obecności heretyckich najeźdźców.

Lecz szpital wyróżniał się swym własnym specyficznym zapachem. Wonią medykamentów przemieszana z ostrym odorem krwi.

Służby medyczne gwardyjskiego kontyngentu zajęły na swe potrzeby jedną z miejskich akademii, położoną na wyższym poziomie kopuły, nieopodal jej szczytu, przez co część korytarzy i sal kompleksu miała łagodnie zaokrąglone krawędzie. Przybite do futryn okien deski i worki z piaskiem ustawione przez najeźdźców na parapetach usunięto naprędce, by umożliwić światłu słonecznemu dostęp do wnętrza szpitala. Na zewnątrz, za grubymi przeźroczystymi taflami pancernego szkła, rozciągało się bezkresne morze perłowych chmur i lazur przestworzy.

W szpitalu wrzała praca. Varl przechodził obok zmęczonych pielęgniarek i zajętych swymi obowiązkami lekarzy, wojskowych sanitariuszy uzupełniających w magazynie zapasy polowych medykamentów, spacerujących pacjentów. Każda mijana sala pełna była rannych żołnierzy, w

większości Urdeshi, umieszczonych w skromnych, ale funkcjonalnych warunkach. Najciężej ranni przenoszeni byli do bocznych sal. Zapach śmierci i bólu wydawał się wręcz namacalny, towarzyszył mu dźwięk wszechobecnych ludzkich jęków i pomruków.

Varl przycisnął się plecami do ściany robiąc przejście dwójce pielęgniarki pchających metalowy wózek z medyczną aparaturą, po czym wszedł za próg oddziału intensywnej terapii. Lampy w sali były przygaszone, oświetlały jedynie bezpośrednie otoczenie poszczególnych łóżek. Ciszę przerywał rytmiczny pomruk automatycznych respiratorów i popiskiwanie systemów podtrzymywania życia.

Na jednym z łóżek spoczywał Colm Corbec, okryty do połowy prześcieradłem w barwach khaki, przywodzący na myśl zmarłego bohatera złożonego w krypcie imperialnej świątyni. Ramiona miał szeroko rozłożone, ręce przywiązane taśmami do ram łóżka jakby lekarze chcieli go unieruchomić w obawie przed niekontrolowanymi spazmami. Jakieś przewody, żyłki i kable oplatały ciało mężczyzny, jego usta i nos zakrywały wielkie tuby sprawiające wrażenie urządzeń mających zadusić pacjenta. Oczy Corbeca zaklejone były cienką taśmą. Pod gęstym owłosieniem na torsie pułkownika dostrzec można było setki siniaków, zadrapań i rozcięć.

Varl spoglądał w milczeniu na nieprzytomnego mężczyznę nie wiedząc, co właściwie powiedzieć. W zasadzie nie miał pojęcia, po co tak naprawdę tutaj przyszedł.

Znajdował się już w połowie drogi do wyjścia z oddziału, kiedy zatrzymał go w miejscu głos Dordena.

- Byłeś zobaczyć się z szefem, Varl ? – zapytał wiekowy lekarz spoglądając to na sierżanta, to na ekran trzymany w ręku notesu.

- Cóż, ja... – wzruszył nieporadnie ramionami Varl.

- Nie byłeś pierwszy. Tanithijczycy przychodzą tutaj od świtu. Pojedynczo lub po kilku. Kilku Verghastytów też tu było. Oddają mu szacunek.

Varl westchnął głęboko, wsunął dłoń do kieszeni swych czarnych spodni.

- Nie znam się za bardzo na oddawaniu szacunku, doktorze – odparł po chwili – Proszę mnie źle nie zrozumieć. Czuję, że muszę tutaj przyjść i zobaczyć...

- Zobaczyć Colma ?

- Zobaczyć, czy prawdą jest to, co ludzie mówią. Podobno Corbec umiera. Nie potrafiłem w to uwierzyć, to się po prostu nie mieści w głowie.

- A co myślisz teraz ? – zapytał Dorden podając swój notes przechodzącej obok pielęgniarki.

- Nadal w to nie wierzę – Varl wyszczerzył zęby – On nie umrze, prawda ?

- Cóż, wciąż się wszyscy modlimy...

- Doktorze, nie przyszedłem tutaj po słowa złudnej pociechy. Jeśli on faktycznie umiera, chcę o tym wiedzieć. Ja tego po prostu nie czuję. Stałem tam przy nim i niczego takiego nie czułem. Wydaje mi się, że on nie jest na to jeszcze gotowy.

Uśmiech pojawił się dla odmiany na ustach Dordena.

- Też to zauważyłeś ? Dobrze, nie wspominałem nikomu o tym, żeby nie podsycać niepotrzebnie nadziei wśród ludzi, ale ja też mam takie wrażenie.

- To nie jest sprawiedliwe – zauważył półgłosem Varl – Na Corbecu chyba spoczywa jakaś klątwa. Omal nie przegapił ostatniej bitwy na Hagii, a jego rany ledwie co zdążyły się zabliznić. A teraz jeszcze to.

- Colm Corbec to dzielny człowiek, który zdecydowany jest podejmować wielkie ryzyko. Zbyt wielkie, jeśli chodzi o moją prywatną opinię. Przyczyna tego wszystkiego tkwi w fakcie, że podobnie jak inni dobrzy oficerowie, on po prostu musi dowodzić w pierwszej linii. Wiesz, że został ranny ratując życie Muril ?

- Słyszałem.

- Jeśli ryzykujesz, Varl, prędzej czy później musisz ponieść tego konsekwencje. W przypadku Corbeca raczej prędzej niż później.

Sierżant kiwnął głową, oddał lekarzowi nie do końca przepisowy salut, po czym odwrócił się w stronę wyjścia, zawahał się jednak po zrobieniu kilku kroków.

- Doktorze ?

- Tak, sierżancie ?

- Jeśli o ryzykowaniu mowa... chciałbym coś powiedzieć, ale to musi pozostać między nami, dobrze ?

- Mogę ci zapewnić zwyczajową tajemnicę lekarską, pod warunkiem, że to co chcesz mi wyjawić nie stoi w sprzeczności z regulaminem gwardyjskim. Poza tym... jesteśmy przyjaciółmi.

- Dobrze – Varl ujął lekarza pod ramię, odciągnął go od drzwi wiodących na korytarz, do kąta sali.

- Kolea – oświadczył ściszym tonem.

- Mów dalej.

- Jeden z naszych najlepszych żołnierzy.

- Zgadza się.

- Świetny dowódca.

- Bezsprzecznie.

- Nigdy nie doprowadzilibyśmy do końca tego ataku, gdyby nie on. W nim... w nim siedzi drugi Corbec, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Rozumiem. Odnieśliście piękne zwycięstwo, udało wam się przebić do oparowego młyna i wesprzeć drużyny Domora i Hallera. Uratowaliście wszystkim skórę. Słyszałem, że Gaunt ma zamiar przedstawić was do wysokich odznaczeń. Nie wspominaj mu, że ci o tym powiedziałem.

- Nie wiem jak to powiedzieć... Kolea bardzo ryzykuje, wręcz szaleńczo. Jakby nie dbał o to, czy przeżyje czy zginie. On zachowuje się jak wariat, biega przez krzyżowy ogień. To cud, że ostatnio nie został zabity.

- Niektórzy ludzie w ten właśnie sposób dowodzą, Varl. Chyba nie zapomniałeś naszej rozmowy sprzed paru minut na temat Corbeca.

- Pamiętam, pamiętam – Varl próbował ubrać swe myśli w słowa – Ale to nie miało nic wspólnego z odwagą, to było... chore. Tak chore, że zagroziłem mu skargą u Gaunta. Prosił mnie, żeby tego nie robił. Ubłagał mnie.

- Jest uczciwym...

- Doktorze, Gol stracił na Verghaście żonę i dzieci. Myślę... myślę, że on już o nic nie dba. Ma za nic własne życie. Myślę, że on szuka biletu powrotnego.

- Naprawdę?

- Jestem tego pewien. A jeśli mam rację, nie tylko siebie gotów w ten sposób zabić, ale i swoich ludzi.

- Dobrze, że mi o tym opowiedziałeś, Varl. Nie powtarzaj tego nikomu innemu, ja zachowam dyskrecję. Daj mi znać, jeśli te objawy będą się nasilać.

Varl kiwnął bez słowa głową i wyszedł z sali.

Parawan za plecami Dordena poruszył się nieznacznie, zza zasłony wyszła Ana Curth. Kobieta zdjęła z dłoni zakrwawione chirurgiczne rękawice, wrzuciła je do pojemnika na medyczne odpadki.

- Nie wiedziałem, że tam byłaś – chrząknął lekarz.

- On chyba też.

- To była poufna rozmowa.

- I taką pozostanie. Spoczywa na mnie ta sama przysięga lekarska, co na tobie.

- Dobrze.

- Jedno pytanie – kobieta podeszła do najbliższej półki, zdjęła z niej stertę papierów – Co to takiego bilet powrotny?

Dorden westchnął ciężko, podrapał się po zaroście na policzku.

- To termin w gwardyjskim żargonie. Oznacza, że Kolea nie chce już dłużej żyć bez swoich najbliższych. Bez żony i dzieci. Chce się z nimi połączyć. To dlatego rzuca się w każdą akcję bez troski o własne bezpieczeństwo. Liczy na to, że śmierć go w końcu dopadnie, a on zyska w ten sposób swój wymarzony bilet powrotny i dołączy do swych bliskich.

- No tak – mruknęła Ana Curth – Od razu domyśliłam się, że chodzi o coś podobnego.

- Coś ty zrobił?

Caffran podniósł się na nogi, kajdany na jego nadgarstkach i w pasie zaszczękały głośno. Żołnierz miał na sobie tylko czarny podkoszulek i spodnie, resztę ubioru zabrano mu pierwszego dnia aresztu, razem z butami i pasem.

- Co ma pan na myśli? – wyszeptał chrapliwym głosem. Powietrze w celi było zatęchłe i ciężkie, oświetlenie ledwie działało. Wyraz bólu i niedowierzania na twarzy Caffrana zdradzał, że młodzieniec wciąż jeszcze nie uwierzył do końca w stawiane mu zarzuty.

- Pytałem, co zrobiłeś. Odpowiedz mi.

- Nic nie zrobiłem, przysięgam.

- Przysięgam! Po co pan tu przyszedł? Po co te pytania?

Kolea spoglądał na więźnia w milczeniu, a z jego ukrytej w półmroku twarzy nie sposób było wyczytać jakichkolwiek emocji. Caffran wyczuwał doskonale jego pozornie spokojną, tłumiącą gniew osobowość w zasięgu swego wzroku.

- Ponieważ chcę wiedzieć.

- Po co?

Kolea postąpił krok do przodu.

- Jeśli dowiem się, że skłamałeś... jeśli naprawdę skrzywdziłeś tę kobietę...

- Sierżancie, proszę! Nie zrobiłem niczego!

- Sierżancie Kolea!

Koleas zatrzymał się kilka kroków od Caffrana. W drzwiach celi stał Gaunt.

- Co tutaj robisz, Kolea? – zapytał pułkownik-komisarz wchodząc do środka pomieszczenia.

- Ja... – zaczął Verghastyta, po czym urwał i zamilkł.

- Zadałem pytanie, sierżancie.

- Ludzie w moim oddziale... są zatroskani tym, co... co Caffran zrobił. Chciałem...

Gaunt uniósł w górę jedną dłoń.

- Wystarczy. Złamałeś przepisy przychodząc tutaj, Kolea, doskonale o tym wiesz. Wyjdź natychmiast. Przekaż swoim ludziom, że z nimi porozmawiam.

- Tak jest, sir – mruknął sierżant, po czym wyszedł z celi.

- Domyślasz się może, żołnierzu, o co chodziło sierżantowi?

- Nie, sir, nie mam pojęcia.

Gaunt zdjął swoją czapkę, ułożył ją pod pachą.

- Usiądź, Caffran. Wiesz, po co tutaj przyszedłem.

- Żeby zadać takie same pytanie jak Kolea.

- I jaką usłyszę odpowiedź?

Caffran usiadł powoli na zimnej metalowej ławce, obliznął spierzchnięte wargi, spojrzał w oczy pułkownika-komisarza.

- Ja tego nie zrobiłem, sir – powiedział.

Zapadła długa chwila ciszy, którą przerwał Gaunt.

- To wszystko, co chciałem usłyszeć, Caff.

Oficer podszedł do drzwi celi, założył z powrotem czapkę.

- Nie trać ducha, Caff. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię z tego wyciągnąć.

- Dziękuję panu, sir.

Gaunt wyszedł z celi. Strażnicy w mundurach Komisariatu zatrzasnęli masywne drzwi, zaryglowali je i włączyli tarczę pola siłowego. Oddali przechodzącemu oficerowi saluty, on jednak nie zwrócił na to uwagi śpiesząc się w stronę wyjścia z więziennego kompleksu.

Skąpane w deszczu mieszkalne habitaty sprawiały wyjątkowo ponure wrażenie. Nie był to rzecz jasna naturalny deszcz – co dwa dni każda sekcja dystryktu mieszkalnego była zraszana wodą tryskającą ze układu wodociągowego wbudowanego w spodnią część dachu miasta. W założeniu praktyka taka miała utrzymać odpowiedni poziom higieny na zewnątrz domostw i splukiwać nieczystości z ulic; w rzeczywistości wszystko jedynie ociekało wilgocią wydzielającą silny zapach sanitaratów.

Dom, w którym mieszkała rodzina Flyte został zamknięty decyzją władz, drzwi i okna oklejono taśmami ostrzegawczymi, dzieci oddano pod opiekę sąsiadów.

Jakiś mężczyzna przeskokzył przez ogrodzenie placu na tyłach domostwa, zarzucił na głowę płaszcz chroniąc oczy przed potokami wody. Jeśli dach w łaźni znajdował się w dobrym stanie, wciąż istniała szansa na odnalezienie cennych śladów, w przeciwnym razie deszcz już dawno zatarł wszystkie potencjalne dowody. Mężczyzna rozejrzał się wokół, przesunął spojrzeniem po oknach o popękanych, częściowo wybitych szybach. Na zarośniętym zielskim placu poniewierało się pełno śmieci.

Wszedł do łaźni zrywając taśmę i ignorując wypisane na drzwiach zakazy parafowane przez Komisariat. W środku cuchnęło korozją i środkami chemicznymi, oświetlenie nie działało. Budynek łaźni nie był specjalnie szczelny, ale mężczyzna wciąż dostrzegał ciemne zacieki na ścianach, posadzce i obrzeżu kabiny prysznicowej. Jeden z zacieków okazał się perfekcyjnym odciskiem ludzkiej dłoni – kobiecej dłoni.

Rozejrzał się uważnie wokół. Wsporniki dachu znajdowały się nisko nad jego głową, w jednej z belek dostrzegł głęboką bruzdę. Wyjawszy lampę poświecił nią sobie w podejrzanym miejscu, wbił ostrze noża w drewno wyłuskując jego czubkiem jakiś podłużny metalowy obiekt, który schował natychmiast do kieszonki na pasie.

Wciągnął w płuca przesiąknięte wilgocią powietrze, zastanawiał się przed chwilę, potem klęknął na posadzce i zaczął świecić latarkę w pustą przestrzeń pod kabiną prysznicową.

Coś tam błyszczało.

Sięgnął po to ręką.

- Nie ruszaj się ! Nawet na centymetr !

Ktoś zaświecił mu latarką w twarz.

- Wstawaj, tylko powoli !

Wykonał polecenie trzymając ręce przed sobą w polu widzenia intruza.

Młody komisarz-kadet stojący w progu łaźni wyglądał na mocno przestraszonego, w dłoni ścisnął ciężki automatyczny pistolet. Mężczyzna musiał mu w jednym przyznać rację – chłopak podszedł go w niebywale cichy sposób.

- Coś ty za jeden ? – zapytał komisarz-kadet.

- Sierżant Mkoll, Tanithijski Pierwszy – odparł cicho Mkoll.

- Goosen ? Co się tam dzieje ?- zawołał ktoś z zewnątrz budynku.

Starszy mężczyzna, inny komisarz okryty mokrym od deszczu płaszczem, pojawił się nagle za plecami kadeta i omal nie cofnął się o krok do tyłu ze zdumienia na widok Mkolla.

- A to kto, do diabła ?

- Jeden z sąsiadów zgłosił włamanie, sir – oświadczył kadet – Pomyślał, że zabójca wrócił na miejsce zbrodni.

- Skuj go – polecił starszy komisarz – Pójdzie z nami.

- Czy mogę coś pokazać ? – odezwał się Mkoll wskazując palcem prawej dłoni kieszonkę swej bluzy.

Goosen nie spuszczał z obcego lufy pistoletu, śledząc wzrokiem każdy ruch wyciągającego z kieszeni jakiś dokument Mkolla.

- Pisemne upoważnienie sygnowane przez pułkownika-komisarza Gaunta, dowódcę mojej jednostki. Zezwala mi ono na przeszukanie miejsca zbrodni w celu ustalenia faktów mogących odtworzyć przebieg wydarzeń.

Komisarz przestudiował uważnie dokument, zmarszczył czoło.

- To pozaregulaminowa procedura – oświadczył z powątpiewaniem.

- Niemniej jednak posiada moc wiążącą. Czy mogę opuścić ręce ?

Goosen zerknął na komisarza, starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Pozwólcie mu je opuścić.

Komisarze obejrzeni się do tyłu. W tylnej furcie ogrodzenia stał kapitan Ban Daur. Oficer nie trzymał w ręce żadnej broni, ale rozpiął pomimo deszczu płaszcz odsłaniając tkwiący w kaburze na biodrze pistolet. Duch przeszedł szybko przez dziedziniec, położył dłoń na broni Goosena i odsunął ją stanowczo w dół.

- Schowaj to – doradził pozornie rozluźnionym tonem.

- Jest pan z nim ? – zapytał komisarz wskazując palcem Mkolla.

- Tak, jestem z nim, Fultingo. Gaunt oddelegował nas do wewnętrznej grupy mającej wyjaśnić okoliczności tej zbrodni.

- To zbyteczne. Egzekucja jest...

- Egzekucja została zawieszona. Gaunt otrzymał oficjalne potwierdzenie w tej sprawie z biura komisarza Del Mara, godzinę temu. Otrzymaliśmy kilka dodatkowych dni na zebranie odpowiednich materiałów dla obrony podejrzanego.

Fultingo sarknął niezadowolony.

- I wysłał pan na miejsce zbrodni zwykłego żołnierza ?

- Mkoll jest dowódcą jednostki zwiadu w naszym regimencie. Posiada najbystrzejsze oczy w całym Imperium. Jeśli można tutaj coś znaleźć, on znajdzie to na pewno.

- Kto przewodzi tej grupie wyjaśniającej ? – Fultingo wyglądał na wyjątkowo rozłoszczonego – Zamierzam złożyć w tej sprawie formalne zażalenie. Pan, kapitanie ? Wątpię, idę w zakład, że to robota Harka.

- Grupie przewodzi osobiście pułkownik-komisarz Gaunt – oświadczył Daur. Mkoll opuścił w międzyczasie ręce, zaczął przyglądać się uważnie zewnętrznej ścianie łaźni.

- Gaunt ? – wciągnął powietrze Fultingo – Gaunt osobiście ? A po co on się tym zajął ?

- Ponieważ ma to dla niego znaczenie – odparł Mkoll nie przerywając swojej pracy.

Fultingo nie odrywał wzroku od Daura, krople wody ściekały po daszku jego czapki i płaszczu.

- To jest kryminalne wręcz marnotrawienie środków. Jeszcze się z wami policzę.

- Powiedz to komuś, kto się tym przejmie – syknął w odpowiedzi Daur.

Fultingo odwrócił się bez słowa i ruszył w stronę bramy, Goosen deptał mu po piętach.

- Dziękuję – powiedział Mkoll.

- Sam byś sobie poradził.
- Coś nowego w naszej sprawie ?
- Hark zrobił to, o co go Gaunt poprosił. Postępowanie egzekucyjne zostało zawieszane na kilka dni. Dorden ma dokonać dziś wieczór sekcji zwłok ofiary. Hark zaczął rozdzielać między ludzi kwestionariusze; liczy, że wypiszą na nich coś, co mogłoby nam pomóc.

Mkoll pokiwał głową. Daur zadrżał z zimna, podniósł wzrok w górę. Sztuczny deszcz właśnie ustawał, ale powietrze wciąż pozostawało wilgotne i ciężkie. Z kominów i źle zaizolowanych dachów buchały kłęby pary. Woda stała wielkimi kałużami na nierównej ulicy i na tylnym placu domostwa. Daur czuł w nozdrzach swąd kuchennych palników i nie do końca przyjemny zapach prefabrykowanego mięsa rozdawanego ludności cywilnej w ramach pomocy żywnościowej. Gdzieś w pobliżu rozległy się śmiechy rozbawionych dzieci.

Chociaż osiedle sprawiało wrażenie wymarłego, Daur zdawał sobie sprawę z obecności obserwujących go ludzi – ukrytych za szybami ciemnych okien, za zasłonami i firanami, spoglądających w stronę żołnierzy.

- Co za beznadziejna dziura – wymamrotał kapitan.

Mkoll pokiwał głową, podniósł spojrzenie w górę.

- Najgorsza z wszystkich. Nie ma nieba.

Uwaga sierżanta wywołała na ustach Daura przelotny uśmiech.

- Mkoll – odezwał się po chwili kapitan – Skoro jesteśmy tu teraz sami, powiedz mi coś całkiem prywatnie. Uważasz, że Caffran to zrobił ?

Mkoll oderwał swój przenikliwy wzrok od ścian pobliskich budynków i spojrzał w oczy wyższego od niego Verghastyty. Daur zawsze lubił i darzył ogromnym szacunkiem dowódcę tanithijskich zwiadowców, ale teraz widząc jego wzrok poczuł irracjonalne ukłucie lęku.

- Caffran ? Czy zadanie tego pytania było w ogóle potrzebne ? – zapytał cicho Duch.
- Cóż, masz rację. Przepraszam.

Mkoll otarł twarz przemoczonym od deszczu rękawem.

- Skończyłem swoją robotę, sir.

- Dobrze, wracajmy do koszar. Znalazłeś coś ciekawego ?

- Śledczy dość się tu postarali, chyba że ktoś wrócił potem na miejsce zabójstwa zatrzeć ewentualne ślady. Nie wiem, czy zdjęli odciski palców, bo teraz już na to za późno, woda wszystko zniszczyła. W każdym razie przeoczyli... lub zignorowali... brudzę po uderzeniu nożem w jednej ze stropowych belek. Wyciągnąłem z niej kawałek metalu.

- Fragment noża ?

- Tak mi się wydaje. Konstrukcja nośna w tych domach wykonana jest z ceramitu w drewnianej otulinie. Rdzeń posiada dostateczną twardość, by można na nim było złamać ostrze. Ktokolwiek był zabójcą, musiał działać w szale. I posiada na swym nożu niewielką szczerbę.

- Świetnie. Mamy wreszcie punkt zaczepienia !

- Wiem – potwierdził Mkoll – Mam też coś innego. Znalazłem to pod brodzikiem prysznic.

Sierżant wyciągnął w stronę Daura zaciśniętą pięść i rozłożył palce prezentując znalezisko.

Była to złota moneta.

- Imperialna korona ?

Mkoll uśmiechnął się enigmatycznie.

- Sprofanowana złota korona.

Lord generał Van Voytz wybrał sobie za kwatery piękny pałacyk w stylu nowogotyckim, położony w górnej części pierwszej kopuły Cirenholmu. Wzniesiony na masywnych podporach pałacyk był jedną z czterdziestu luksusowych posiadłości zbudowanych na zamkniętym poziomie

metropolii stanowiącym replikę zalesionego rezerwatu ze sztucznym jeziorem pośrodku. Kompleks ten, posiadający nawet jachty przycumowane do drewnianego mola, był przed inwazją Paktu Krwi miejscem igraszek najbogatszych i najbardziej wpływowych obywateli Cirenholmu. Posiadłości wokół jeziora zamieszkiwali dwaj planetarni senatorowie, emerytowany lord generał, wysoki rangą hierarcha Kościoła, sześciu baronów przemysłowych i prezydent miasta.

Wszyscy już dawno nie żyli, toteż nikt nie oponował przeciwko wyborowi Van Voytza. Zresztą za życia pewnie też żaden z nich nie považył się protestować – dowodzący korpusem wyzwolenicznym generał posiadał ogromną władzę i kompetencje.

Imperialny ślizgacz, wciąż jeszcze noszący barwy kamuflujące wykorzystane do rajdu na Cirenholm, przemknął ponad jeziorem. Zapadał już zmierzch i zapalone w pałacyku światła odbijały się od powierzchni wody. Mimo półmroku siedzący na pokładzie ślizgacza Gaunt widział pocerniałe od spalenizny resztki części posiadłości, zniszczonych przez najeźdźców, dostrzegał też rzędy krzyży ustawionych na brzegu jeziora. Nikt nie znalazł dotąd czasu, by zdjąć z nich ciała zamęczonych na śmierć notabli Cirenholmu.

Ślizgacz zwolnił, znalazł się nad niewielką plażą rozciągającą się przed pałacykiem. Patrolujący okolicę żołnierze Urdeshi osłaniali oczy dłońmi chroniąc twarze przed ciągnącą się za pojazdem wodną bryzą. Pojazd przeleciał nad dziedzińcem posiadłości, zaczął pochodzić do wyłożonego płytami lądowiska na tyłach pałacyku.

Gaunt wysiadł w mroku zapadającej szybko nocy, zapiął guziki swego czarnego płaszcza. W powietrzu wyczuwał zapach wody i swąd stygnących silników ślizgacza. Z dziedzińca pałacyku odjeżdżały właśnie dwie sztabowe limuzyny, kilka motocykli i samochodów osobowych tkwiło w bezruchu pod drzewami.

Na schodach wejściowych pałacyku stali kolejni wartownicy. Dwaj z nich, prowadzeni przez któregoś z młodszych rangą oficerów sztabowych Van Voytza, ruszyli na spotkanie pułkownika-komisarza.

- Lord generał oczekuje pana w bibliotece, sir. Proszę tędy. Czy jest pan głodny ?
- Dziękuję, zjadłem razem z moimi ludźmi.
- Zatem coś do picia ?
- Nie, dziękuję.

Gaunt wszedł do pałacowego holu. Wnętrza budowli budziły zachwyt drewnianymi panelami, złotymi wykończeniami, gablotami wyłożonymi antyczną porcelaną. Duch nie potrafił uwierzyć, że te cenne rzeczy przetrwały w nienaruszonym stanie wojenną pożogę. Ozdobiony freskami sufit holu prezentował wizję Osnowy, uzupełnionej malunkami zagubionych w niematerialnym wymiarze kosmicznych statków. Na posadzce sali piętrzyły się metalowe skrzynki z wojskowymi etykietami i torby podróżne.

- Proszę tędy – wskazał ręką adiutant.

Gaunt wszedł do bocznego pokoju, pozbawionego wszelkiego wyposażenia z wyjątkiem gigantycznego kominka i masywnego biurka oświetlanego przez lewitujące w powietrzu klosze. Przy biurku pracował strateg Biota, otoczony holograficznymi projekcjami. Mężczyzna nawet nie spojrział na przechodzącego Gaunta. Dwaj zmierzający w stronę wyjścia żołnierze Urdeshi w pełnym ekwipunku bojowym zwolnili na chwilę kroku oddając dowódcy Duchów pośpieszny salut.

Adiutant zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami z cennego drewna, zapukał w nie delikatnie, po czym poprawił palcem tkwiącą w uchu słuchawkę komunikatora.

- Pułkownik-komisarz Gaunt, sir – zaanonsował gościa mówiąc do mikrofonu zawieszzonego przy ustach, po czym umilkł na chwilę – Tak jest, sir.

Sztabowiec otworzył drzwi i wpuścił Gaunta do gabinetu.

Pomieszczenie stanowiło zaprzeczenie klasycznego wyobrażenia biblioteki. Pod strzelistą kopułą sali, górującą trzy piętra powyżej podłogi, znajdowały się ścienne szafy biblioteczne rozdzielone drabinami i podestami umożliwiającymi dostanie się do wyższych partii księgozbioru. Wszystkie półki były puste, jedyne książki w tym pokoju piętrzyły się niewielką stertą na skrzynce amunicyjnej ustawionej pośrodku podłogi.

Gaunt zdjął czapkę z głowy, włożył ją pod pachę. Bibliotekę rozświetlały lampy zawieszane na jej ścianach oraz unoszące się w powietrzu świetlne klosze, które z miejsca zaczęły krążyć nad Duchem na podobieństwo świetlików. Na przeciwnym krańcu pomieszczenia, pod wielkimi przestronnymi oknami, tkwił wielki pulpit taktyczny, dopiero co rozpakowany. Kable zasilające wiły się po posadzce niczym węże biegnąc w stronę gniazd energetycznych. Wokół pulpitu ktoś ustawił pół tuzina zniesionych w jedno miejsce bibliotecznych krzesel.

Na niewielkim stoliku obok pulpitu stała otwarta butelka wina oraz kilka kieliszków, jeden z nich w połowie napełniony trunkiem.

Ani śladu Van Voytza.

Gaunt rozejrzał się ponownie wokół.

- Tragedia, nieprawdaż ? – odezwał się Van Voytz, wciąż pozostający poza polem widzenia Ducha.

- Sir ?

- Ten dom należał do marszałka lotnictwa Fazalura, ojca naszego przyjaciela, majora Fazalura. Marszałek był bardzo cenionym żołnierzem, wielokrotnie odznaczonym, prawdziwym bohaterem wojennym Imperium, a także niepoprawnym bibliofilem.

Van Voytz wychynął z nienacka spod taktycznego pulpitu, wystawił głowę ponad blat urządzenia i wyszczerzył zęby w przekornym uśmiechu, po czym zniknął ponownie.

- Niestety, już nie żyje. Znaleźliśmy jego ciało na brzegu jeziora. Wiele ciał tam znaleźliśmy, gwoli ścisłości – głos Van Voytza dobiegał spod pulpitu – Marszałek zgromadził tutaj oszałamiającą kolekcję książek, map, hologramów, zwłaszcza pierwszych wydań i limitowanych edycji. Niezwykle bogactwo wiedzy, ogromnie wartościowe. Może pan wyobrazić sobie rozmiary tej biblioteki po ilości regałów, które tutaj stoją.

- Ogromna – przyznał Gaunt.

- Spalili wszystko. Pakt Krwi. Zabrali wszystkie nośniki danych, wszystkie książki, wynieśli do sadu za pałacem, polali benzyną i spalili. Wciąż można tam obejrzeć wielki stos popiołów. Popiołów, stopionego plastiku, kawałków metalu. Resztki ciągle są ciepłe, coś się tam jeszcze dymi.

- Prawdziwa zbrodnia, sir.

Van Voytz wychynął ponownie spod pulpitu.

- Cholerna zbrodnia, Gaunt – lord generał ujął w dłoń kieliszek wina, wypił trunek jednym łykiem i zniknął za urządzeniem.

Pułkownik-komisarz podszedł do przyzmy książek ustawionych na skrzynce, podniósł pierwszą z wierzchu.

- *Sfery Rozważań...* największe dzieło Ravenora. Feth, to przecież pierwsze wydanie !

- Czytuje pan Ravenora, Gaunt ?

- To mój ulubiony autor. A więc oszczędzili część zbiorów ? Ta książka jest przecież bezcenna !

- To moja własność. Nie mogłem znieść widoku tych pustych regałów, więc ściągnąłem z Hessenville część mojej prywatnej kolekcji.

Gaunt odłożył książkę delikatnie na skrzynkę potrząsając z niedowierzaniem głową. Z trudem potrafił ogarnąć rozumem władzę, która pozwalała zmusić Munitorium do transferu statku transportowego po to, by dostarczyć w strefę działań wojennych należące do prywatnych zbiorów

książki. Władzy pozwalającej zdobyć na własność jeden z egzemplarzy pierwszego wydania *Sfer Rozważań* wyobrazić sobie nie potrafił.

Zerknął na pozostałe woluminy. *Życie Świętej. Rozważania Solona* w miękkiej okładce. *Mowa wieków* Garbo Mojaro. Kompletna kopia *Liber Doctrina Historicas*. Pełne kazania Thora w twardej oprawie. *Pokonać Ciemność* Sejanusa. Pierwszy tom *Tactica Imperium*, obity metalowymi płytami. Limitowane wydanie przemówienia Slaydo na Balhaucie, zapisane w pamięci elektronicznego notesu w chwili jego wygłoszenia.

- Lubi pan książki, Gaunt ?

- Lubię te książki, sir.

Van Voytz wyszedł w końcu spod pulpitu, uderzył urządzenie pięścią w bok obudowy.

- Przekłęte pudło ! – sarknął z rozczarowaniem. Miał na sobie buty i spodnie, ale tors okrywał mu jedynie podkoszulek. Mundurowa bluza lorda generała wisiała na oparciu jednego z krzeseł.

- Przysłali mi tutaj ten złom – powiedział Van Voytz nalewając sobie wina i sącząc trunk niewielkimi łyżkami. Drugą ręką poklepywał w tym czasie chłodny wierzch pulpitu – Przysłali i zostawili. Czy ktoś to podłączył i przetestował ? Nie. Czy ja potrafię uruchomić holoprojektory ? Nie. Próbowałem, zresztą widział mnie pan sam pod tym pulpitem.

- To jest praca techkapłanów, sir.

Van Voytz błysnął zębami w uśmiechu.

- Jestem lordem generałem, Gaunt, zazwyczaj potrafię wszystko.

Roześmiali się obaj równocześnie.

- Gdzie się podziały moje maniery ? – parsknął Van Voytz, nalał do jednego z pustych kieliszków wina, podał naczynie Gauntowi. Pułkownik-komisarz uświadomił sobie ze skrepowaniem, że wciąż trzyma w ręce kopię *Tactica Imperium*.

- Na zdrowie – powiedział lord generał.

- Pańskie zdrowie, sir. Imperator strzeże.

- Podoba się panu ta książka ? – spytał Van Voytz wskazując trzymany przez Gaunta tom.

- Jest piękna...

- Proszę ją zatrzymać, jest od teraz pańska.

- Nie mogę przyjąć takiego daru, ta pozycja jest bezcenna...

- Nalegam. Mogę dowolnie dysponować swą własnością. Poza tym zasłużył pan na prezent za swe dotychczasowe osiągnięcia na Phantine. Mówię poważnie, proszę zatrzymać tę książkę.

- Cóż... bardzo dziękuję, sir.

Van Voytz machnął ręką.

- Dość rozmów o literaturze. Przekłęte urządzenie – lord generał upił z kieliszka nieco wina, kopnął nieposłuszny pulpit – Mam tutaj holograficzne plany Ouranberga. Cały nasz schemat szturmu.

- Mogę wrócić jutro, sir.

- Niech pan nie będzie aż tak układny, Gaunt. Dostał pan prezenty, czas je odpracować. Ja będę mówił, pan będzie słuchał. Potem przyjmie pan odpowiednie rozkazy. Zrobimy to tak jak za czasów Sejanusa i Ponthiego. Pan to Ponthi.

- Cóż... to zaszczyt...

- Żartowałem, Gaunt, tylko żartowałem. Zaprosiłem tu pana, aby porozmawiać o ataku na Ouranberg. Biota wypowiadał się już na ten temat i stwierdził, że jestem szalony, mam jednak pewien pomysł, który dotyczy pańskiej jednostki.

- Zamieniam się w słuch, sir.

- Nie pan nie będzie tak sceptycznie nastawiony, Ibramie, to się panu powinno spodobać. Wpadłem na ten pomysł studiując raport opisujący pański udział w ataku na Cirenholm. Ma pan niesamowitych żołnierzy pod swoją komendą.

- Dziękuję, sir.

- Doskonali infiltratorzy. Bystrzy, wykazujący się inicjatywą. Jeśli mamy wykończyć Slaitha, będziemy potrzebowali ich pomocy.

Gaunt odłożył książkę na skrzynię, dopił swoje wino.

- A więc tam jest Slaith, sir ?

- Jest, może pan być tego pewien. Zapewne razem z loxatlami. Ouranberg będzie naprawdę trudnym orzechem do zgryzienia.

Van Voytz napełnił ponownie swój kieliszek.

- Zanim przejdziemy do szczegółów, chciałbym zapytać o pewien problem w pańskim regimencie.

- Problem ?

- Jakiś żołnierz został oskarżony o popełnienie zbrodni.

- Tak, sir. Zajmuję się tą sprawą.

- Wiem, że się pan tym zajmuje, a nie powinien pan. To jest kwestia regulaminowa na poziomie kompanii. Proszę pozwolić go powiesić.

- Nie mogę, sir, nie pozwolę na to.

Lord generał wypił wino i usiadł na jednym z krzeseł.

- Jest pan dowódcą regimentu, Gaunt. Takimi sprawami powinien zajmować się pański sztab.

- Ta sprawa ma dla mnie ogromne znaczenie, sir. Jeden z moich ludzi został niesłusznie oskarżony. Chcę oczyścić go z zarzutów.

- Wiem o tym, rozmawiałem na ten temat dziś po południu z komisarzem Del Marem. Obawiam się, że traci pan swój czas, Ibramie.

- Caffran jest niewinny, sir, mogę...

- Ten człowiek... nazywa się Caffran, tak ? To szeregowy żołnierz. Szeregowy gwardzista. Obciążające go dowody są niepodważalne. Pan ma w tej chwili znacznie ważniejsze obowiązki na głowie, by zaprzętać sobie dodatkowo uwagę jego osobą.

- Z całym szacunkiem, sir, nie mam w tej chwili ważniejszych spraw od tej. Stoję dzisiaj przed panem wyłącznie dzięki szeregowym żołnierzom. Nigdy nie dokonałbym niczego bez ich udziału. W zamian dbam o każdego z nich jak o siebie samego.

Van Voytz zeszywniał zauważalnie.

- Cóż, powinienem poczuć się zawstydzony.

- Sir, nie zamierzałem...

Van Voytz uniósł ponownie dłoń.

- Nie poczułem się urażony, Gaunt. Powiem więcej, to prawdziwa przyjemność móc usłyszeć, że dobrzy dowódcy wciąż pamiętają o podstawowych założeniach swej funkcji. Imperialna Gwardia byłaby niczym bez imperialnych gwardzistów. Nikt z wielkich i wszechwładnych nigdy nie powinien o tym zapominać. Pański prywatny kodeks honorowy jest godny najwyższego uznania. Mam nadzieję...

- Sir ?

Van Voytz wstał z krzesła, zaczął ubierać swoją bluzę.

- Chciałem powiedzieć, że mam nadzieję, iż to pana nie zabije. Ale prawda jest taka, że prędzej czy później ten kodeks i tak doprowadzi do pana śmierci. To jest przekleństwo honoru tak silnego jak ma to miejsce w pana przypadku, pułkownika-komisarzu. Będzie się pan uparcie trzymał swych zasad, a prędzej czy później zapłaci pan za to życiem.

Gaunt wzruszył ramionami.

- Od zawsze zdawało mi się, że o to chodzi, sir.

- Dobrze – powiedział Van Voytz dopinając guziki bluzy – Sedno problemu tkwi chyba w pańskiej podwójnej funkcji. Wystarczy tylko jedno słowo i natychmiast przetransferuję pana z Komisariatu. Będzie pan brygadierem Gauntem... albo nie, nie mieszajmy zbyt z rangami, lepiej generałem porucznikiem Gauntem, podległym wyłącznie mi i Gwardii. Zostałby pan pełnoprawnym oficerem Gwardii z gromadą komisarzy na każde swoje zawołanie.

Gaunt oniemiał, nie potrafił nic z siebie wykrztusić.

- Taki uniform bardzo by panu pasował, Gaunt. Generał porucznik, Tanithijski Pierwszy i Jedyny. Koniec kłopotów z problemami dyscyplinarnymi, koniec z uciążliwymi drobiazgami.

Duch usiadł na krześle, wciąż jeszcze zdumiony.

- Jestem zaszczycony, sir, ale wolałbym pozostać na dotychczasowym stanowisku.

Van Voytz wzruszył ramionami, wyraźnie rozczarowany.

- Skoro sobie pan tak życzy. Ale proszę już dłużej nie zwracać sobie głowy tym Caffranem, ja na pana miejscu bym to sobie darował. A teraz przejdźmy do tematu Ouranberga i mojego pomysłu...

Pomimo usilnych wysiłków Dordena wszy zaatakowały na całej linii frontu. Podczas gdy pododdziały chemiczne oczyszczały kwatery Duchów za pomocą środków insektobójczych, gwardziści zameldowali się w pełnym stanie liczbowym w olbrzymiej łaźni publicznej miasta. Ekwipunek zdany został do czyszczenia za pomocą pary, natomiast sami żołnierze ustawili się w długich kolejkach do strzyżenia. Powietrze wypełniał dźwięk trzech tuzinów pracujących bez ustanku maszynek fryzjerskich, serwitorki zamiatały przez cały czas posadzkę zbierając ścięte włosy do spalarek.

Po ogoleniu do gołej skóry gwardziści trafiali pod prysznice z gorącą wodą, uzbrojeni w szczotki, myjki i płyn do mycia; buty mieli zawieszane na sznurówkach na szyjach. Wykapani, opuszczali łaźnię drugim wyjściem, przechodząc po drodze przez ręce pracowników Munitorium, którzy wydawali im używane, ale czyste mundury oraz pasy, czapki i inne elementy stroju wydzielające z siebie silny odór środków insektobójczych.

Gaunt i Daur weszli do łaźni od strony tylnego wejścia. Ich pojawienie się wywołało falę posykiwań i pomruków. Całkowicie nadzy lub rozebrani do połowy żołnierze stawali na baczność próbując oddać przybyszom salut.

- Spocznij – powiedział natychmiast Gaunt i wśród Duchów zapanowało lekkie rozluźnienie. Pułkownik-komisarz skinął głową w stronę Daura, kapitan włączył trzymany w dłoni elektroniczny notes.

- Uwaga! – krzyknął – Kiedy ktoś z was usłyszy swoje nazwisko, ma natychmiast się ubrać i udać się do wyjścia. Przeczytam każde nazwisko tylko raz!

Wciąż myjący swe gładko ogolone głowy żołnierze spojrzeli wyczekująco w stronę kapitana.

- Mkvenner! Doyl! Bonin! Larkin! Rilke! Nessa! Banda! Meryn! Milo! Varl! Cocoe! Kuren! Adare! Vadim! Nour! To wszyscy! Biegiem do mnie!

Larkin wciągał właśnie na kościsty tors czarny podkoszulek, kiedy usłyszał swe nazwisko. Skrzywił się spoglądając z ukosa na Bragg.

- Czego znowu ? – jęknął rozglądając się na boki. Z ogoloną gładko czaszką wyglądał wyjątkowo mizernie.

- Coś takiego narobił, Larks? – roześmiał się Bragg.

- Absolutnie nic! – burknął snajper wciągając szybko spodnie. Zapiąwszy pas podszedł do wezwanej przez Daura grupy, nie tracąc czasu na wiązanie sznurowadeł.

- To wszyscy – powiedział do Gaunta kapitan, pułkownik-komisarz skinął w odpowiedzi głową. Widząc ściętych do gołej skóry podwładnych Duch przyłożył dłoń do własnej głowy.

- Bez obaw, czekam na swoją kolejkę – powiedział – Wszy nie mają żadnego szacunku dla wyższych szarż.

Gwardziści uśmiechnęli się bez słowa. Wszyscy sprawiali wrażenie świeżych rekrutów, skóra na ich czaszkach miała kolor niezdrowej bladości. Gaunt poczuł szczególne współczucie w stosunku do potraktowanych golarkami kobiet.

- Proszę o uwagę – zaczął – Imperialne dowództwo wyznaczyło nas do realizacji pewnej operacji. Szczegóły potem, teraz zdradzę tylko tyle, że lord generał opracował ją osobiście i uważa za niebywale ważną. Wykonanie tej misji ma najwyższy priorytet na liście zadań imperialnego korpusu.

Niektórzy gwardziści otworzyli szerzej oczy. Larkin jęknął sceptycznie, Banda natychmiast wymierzyła mu kuksańca.

- Osobiście wybrałem każdego z was do udziału w tej misji, niebawem dowiecie się, dlaczego. Nazwa operacji to Larisel. Nie wolno rozmawiać wam na jej temat z nikim poza tą grupą Duchów, ani w szczegółach ani w ogólnikach. Chcę, abyście zgłosili się o godzinie 18.30 w podhangarze numer 117 w pełnym ekwipunku, zabierzcie też swoje rzeczy osobiste. Wszystkie. Macie być przygotowani na nieoczekiwany wylot w każdej chwili. Do koszar już nie wrócicie.

- Czy to misja z biletem w jedną stronę, sir? – zapytał wprost Varl.

- Nie zamierzam was okłamywać, sierżancie. Larisel będzie operacją o wyjątkowo wysokim poziomie ryzyka, ale powód, dla którego przenoszę was do osobnych kwater jest inny. Zostaniecie odizolowani od reszty regimentu w celu zaliczenia specjalistycznego treningu.

Żołnierze wymamrotali coś cicho, skinęli głowami.

- Jakież pytania? Brak, dobrze. Pokładam ogromną ufność w waszych umiejętnościach i charakterach. Powtórzę to jeszcze raz przed wylotem, ale już teraz życzę szczęścia wszystkim. Imperator strzeże.

Gaunt odwrócił głowę w stronę Daura.

- Chce pan coś dodać na tym etapie, kapitanie?

- Jedną kwestię, sir – powiedział Daur robiąc krok do przodu i wsuwając dłoń do niewielkiej kieszonki bluzy – Dotyczy to szeregowca Caffrana. Jak zapewne wszyscy wiecie, prowadzimy własne dochodzenie w tej sprawie wypytyując ludzi i zbierając dowody. Mam nadzieję, że prędzej czy później spłyną do nas pewne cenne informacje, ale w waszym przypadku odizolowanie od reszty jednostki utrudni współpracę, zatem załatwię pewne kwestie już teraz. Po pierwsze, chcę sprawdzić nóż każdego z was. Po drugie, jeśli ktoś z was zauważył uszkodzony nóż u któregoś z towarzyszy broni, zobowiązany jest to natychmiast do mnie zgłosić. Czy ktoś z was widział wcześniej coś takiego?

Kapitan wyciągnął z kieszonki niewielką zapieczętowaną kopertkę, otworzył ją i wyjął ze środka złotą monetę.

- Imperialna korona, bita w miejscowych mennicach... rozmyślnie sprofanowana na awersie i rewersie. Czy ktoś z was taką posiada? Znać jej pochodzenie? Czy zauważyliście tego rodzaju monety u towarzyszy broni? Jeśli nie chcecie powiedzieć o tym teraz, w grupie, w każdej chwili możecie poprosić o rozmowę na osobności mnie, pułkownika-komisarza lub komisarza Harka. To wszystko.

- Rozejść się – polecił Gaunt.

Gwardziści podzielili się na niewielkie grupki, rozmawiając ze sobą półgłosem. Daur i Gaunt wyszli z łaźni, przystanęli na chwilę w zewnętrznym korytarzu.

- Żywię pewne nadzieje co do tej monety – przyznał kapitan – Dowiedziałem się od tuzina Duchów, w tym Obela i Kolei, że w jednej z dzielnic opodal młyna było więcej tego rodzaju pieniędzy, ale wszyscy zarzekali się, że nie zabrali ich przez wzgląd na uszkodzenia.

- To się jeszcze okaże. Jeśli którykolwiek był chciwy, na pewno się do tego nie przyzna. Wszyscy wiedzą doskonale jaki jest mój stosunek do rabowania imperialnego mienia. Sprawdziłeś nóż Caffrana ?

Daur westchnął ciężko.

- Zgubił go. Twierdzi, że doszło do tego podczas walk w parku za wjazdem 505, ale mamy na to tylko jego słowo. Ludzie Del Mara na pewno wykorzystają to przeciwko nam, kiedy prawda wyjdzie na jaw.

- Więc niech nie wyjdzie. Mają już dość solidną linę, by powiesić na niej Caffrana. Nie wkładajmy im dodatkowej broni do ręki.

- I co teraz zrobimy ? – wyszeptał nerwowo Larkin wiążąc sznurowadła. Bragg pochylił się nad nim zapinając swoją bluzę.

- Powiemy o wszystkim Gauntowi – powiedział olbrzym.

- Nie możemy !

- Dlaczego ?

- Ponieważ nie możemy donosić na własnych ludzi. Nigdy nie byłem szpiclem i nie zamierzam stać się nim teraz.

- Ja nie myślę w taki sposób, Larks – uśmiechnął się dobrodusznie Bragg – Bylibyśmy podli, gdybyśmy nie spróbowali pomóc Caffranowi. Nie, ja myślę, że ty się go boisz.

- Nie boję się !

- A ja myślę, że tak. Ja się boję.

Larkin otworzył szeroko oczy.

- Ty boisz się Cuu ?

- Może nie do końca jest to strach, ale na pewno niepokój. To bardzo niebezpieczny człowiek.

Larkin westchnął.

- Boję się go. To wariat. Jeśli go wydamy, a on się z tego wyślizgnie, prędzej czy później nas dorwie. Zrobi wszystko, żeby nas dorwać. To nie jest tego warte.

- Caff jest tego wart.

- Nie będę wchodził Cuu w drogę, w żadnym przypadku. W tym człowieku jest coś chorego. Mógłby trafić przed pluton egzekucyjny, a potem dręczyć mnie co noc koszmarami.

Bragg roześmiał się głośno.

- Myślisz, że żartuję ?

Olbrzym potrząsnął przecząco głową.

- Cuu to popieprzony wariat, Larks. Jeśli ktokolwiek w tym regimencie byłby zdolny do zabicia tej kobiety, to był to on. Jeśli jest winny, nie powinniśmy się tym martwić. Jeśli jest niewinny, wyjdzie z całą skórą. I mówiąc szczerze, co on właściwie mógłby nam potem zrobić ? Zabić nas ? Wymigać się przed zarzutem morderstwa po to, by trafić przed pluton za podwójne morderstwo ?

- Ja tego nie zrobię – syknął Larkin.

Bragg przesunął czubkiem palca po świeżo zrosniętej bliznie na jego ramieniu.

- W takim razie ja to zrobię – powiedział Duch – On nie jest moim przyjacielem.

W koszarach panowała głęboka cisza, przerywana jedynie okazyjnym kasznięciem lub rzadkimi szeptami. W pomieszczeniach wciąż unosił się cierpki odór środków odkażających.

Milo schował do plecaka ostatnie elementy wyposażenia, zamknął klapę, przywiązał do niej zrolowany koc i płaszcz kamuflujący. Vadim, już spakowany i gotowy do wyjścia, podszedł bliżej.

- Brałeś już wcześniej udział w misji specjalnej, Milo ? – zapytał.

- Czasami, ale nigdy w czymś takim – odparł Brin. Duch sprawdził po kolei kieszenie swego munduru, potem obejrzał uprząż skokową – To mi wygląda na bardzo specjalistyczną akcję – dodał wieszając przy pasie rękawice i składając ciasno beret, który wsunął następnie pod epolet swej bluzy. Zarzucił na ramię plecak i podniósł z łóżka uprząż.

- Mnie to wygląda na akcję samobójczą – mruknął posępnie Vadim drapiąc się po czaszce. Brak włosów zmienił optycznie proporcje jego głowy i nos chłopaka sprawiał teraz wrażenie dzioba. Verghastyta przywodził na myśl odrzuconą przez stado wronę.

- To się dopiero okaże – powiedział Milo. Duch ściągnął ciaśniej pasek karabinu, zarzucił na drugie ramię laser, obejrzał raz jeszcze uważnie swe łóżko chcąc się upewnić, że niczego nie zapomniał – Nie zamierzam się martwić, póki nie mam o co.

Obladowani ekwipunkiem i gotowi do wyjścia, podeszli do nich Kuren i Nour. Wymienili pośpieszne uściski dłoni z siedzącymi w pobliżu Duchami. Nikomu nie mówili, gdzie się udają, nikt też o to nie pytał, ale pozostali gwardziści wiedzieli doskonale, że ich towarzysze wyznaczeni zostali do udziału w ściśle utajnionej operacji, stąd też tak wiele słów pożegnania i życzeń szczęścia.

Kuren wyciągnął z kieszeni bandanę, założył ją na czaszkę.

- Pieprzone wszy – warknął – W głowę mi zimno.

- Idziemy ? – zapytał kolegów Milo. Minęła właśnie 18.00, toteż mężczyźni skinęli twierdząco głowami. Brin spojrział na łóżko Larkina. Snajper skończył obsesyjnie wręcz drobiazgowo oględziny swego karabinu i wsunął broń do wodoszczelnego pokrowca – Larks ? Jesteś gotowy ?

- Jeszcze moment, Milo.

Bragg siedział na pryczy obok.

- Pora na ciebie, Larks – powiedział olbrzym.

- Co ty nie powiesz.

- Po prostu... wróc z powrotem, stary.

Larkin zauważył dziwny błysk w oczach Bragga.

- Możesz być tego pewien, chłopie.

Bragg wyszczerzył w uśmiechu zęby i wyciągnął przed siebie wielką pięść.

- Pierwszy i Jedyny.

Larkin podniósł własną dłoń, mężczyźni stuknęli się knykciami.

- Do zobaczenia po powrocie.

Snajper ruszył w stronę drzwi. Kiedy mijał leżącego na łóżku i wpatrzonego w sufit Cuu, Verghastyta usiadł gwałtownie i wyszczerzył w stronę Ducha zęby.

- Czego ? – warknął Larkin zatrzymując się w miejscu.

Wciąż uśmiechając się złośliwie Cuu pokręcił przecząco głową.

- Nic takiego, Tanithijczyku. Nic, pewnie, że pewnie.

- Chodź wreszcie, Larkin ! – zawołał Nour.

Snajper parsknął ze złością i minął siedzącego na łóżku żołnierza.

- Szeregowiec Cuu !

Nieoczekiwany okrzyk osadził w miejscu wszystkich pięciu gwardzistów. Do sali wszedł komisarz Hark, towarzyszyli mu sierżant Burone i dwaj inni Tanithijczycy. Trójka Duchów miała przy sobie broń. Wszyscy przybysze ruszyli prosto w stronę łóżka Cuu.

- Co się dzieje ? – syknął Vadim. Przez salę przetoczył się dźwięk pełnych zainteresowania pomruków.

- O kurwa – wyjąkał Larkin.

Wyraźnie zmieszany Cuu zerwał się na równe nogi, mierząc podejrzliwym wzrokiem nadchodzących gości.

- Inspekcja mundurowa – oświadczył Hark.

- Ale...

- Stań z boku, żołnierzu ! Sierżancie Burone, proszę przeszukać jego plecak i łóżko.

- O co wam chodzi ?! – wybuchnął Cuu.

- Baczość, żołnierzu ! – huknął Hark i Verghastyta usłuchał rozkazu bez piśnięcia, strzelał tylko na prawo i lewo oczami.

- Przeszukać go – polecił jednemu z żołnierzy komisarz.

- To wbrew prawu – zaprotestował stojący wciąż na baczość Cuu.

- Milcz, żołnierzu. Podać mi jego nóż – obszukujący Cuu Duch wyciągnął z pochwy Verghasty ostrze i wręczył je komisarzowi. Hark przyjrzał się uważnie broni.

- Nic, sir – oświadczył Burone. Ekwipunek Cuu i jego rzeczy osobiste walały się po całym łóżku; wszędzie tam, gdzie było to możliwe, rozebrane na części pierwsze. Sierżant kończył właśnie sprawdzać pokrowiec na nóż.

- Ostrze jest czyste – syknął z rozczarowaniem Hark.

- Parę dni temu je ostrzył i czyścił.

Hark obejrzał się przez ramię. Stojący w grupie Duchów Kolea skinął mu głową na przywitanie.

- Byłem tego świadkiem, sir – dodał Kolea – Może pan porozmawiać z człowiekiem, który ostrzy noże.

- To prawda ? – Hark spojrzał pytająco na Cuu.

- I co z tego, do cholery ? To zbrodnia chodzić z naostrzonym nożem w tych czasach ?

- Twoja arogancja zaczyna mnie autentycznie irytować, żołnierzu !

- Sir – odezwał się żołnierz obszukujący Cuu. Mężczyzna podniósł wyżej lewą nogawkę Verghastyty, odsłonił pas materiału owinięty wokół łydki Ducha trochę powyżej buta. Hark schylił się i pociągnął za materiał, spod którego wysypały się na jego dłoń ciężkie złote monety. Obracając pieniądze w palcach komisarz podniósł się z powrotem na nogi i spojrzał w oczy Cuu.

- Masz coś do powiedzenia ?

- One są... nie.

- Zabrać go – polecił towarzyszącym mu Duchom Hark.

Ludzie sierżanta Burone pochwycili Cuu, ten zaczął się wrywać z ich uścisku.

- To niesprawiedliwe ! Puszczajcie !

- Zachowuj się, żołnierzu, albo twoja sytuacja bardziej się pogorszy ! – ostrzegł go Hark.

Cuu przestał się szarpać, pozwolił, by żołnierze poprowadzili go w stronę wyjścia. Kiedy mijał grupę Mila, jego kocie oczy odnalazły Larkina.

- To ty ? Ty im powiedziałaś, czubku ?!

I wtedy Cuu zauważył Bragga. Bragg uśmiechał się pod nosem.

- Gak ! Ty ! Ty grubasie ! To grubas mnie sprzedał !

- Zamknij się ! – ryknął wytrącony z równowagi Hark. Grupa mężczyzn opuściła salę.

Bragg spojrzał w stronę Larkina i wzruszył ramionami, snajper w odpowiedzi potrząsnął z dezaprobatą głową.

- Cóż, było to dość interesujące – odezwał się Vadim.

- Tak – Milo spojrzał na tarczę swojego zegarka – Chodźmy już.

Pod-hangar 117 znajdował się na dolnym poziomie zachodniej części drugiej kopuły Cirenholmu, blisko jednej z głównych stacji oczyszczania powietrza. W powietrzu niósł się nieustający pomruk maszynierii i delikatne wibracje; ciemnymi korytarzami buchało wilgotne ciepło.

Kiedy w miejscu zbiórki zjawili się Varl i Cocoer, dobiegała 18.30 i większość Duchów znajdowała się już w wyznaczonym na spotkanie punkcie. Banda i Nessa rozmawiały z tanithijskim snajperem Rilke, a kapral Meryn i sierżant Adare siedzieli na rzuconych pod ścianę plecakach paląc skręty lho. Doyl, Mkvenger i Bonin, trzej zwiadowcy, oparci byli o przeciwną ścianę debatując nad czymś przyciszonymi głosami. Jakies tajemniki ich sekretnej wiedzy, pomyślał bez większego zainteresowania Varl.

- Cześć, chłopaki – kiwnął zwiadowcom głową, a oni odwzajemnili jego powitanie.
- Dziewczyny, Rilke – powiedział podchodząc do strzelców wyborowych, machnął dłonią w stronę Meryna i Adare.
- Chyba paru z nas brakuje – zauważył kładący plecak na podłodze Cocoer.
- Już nie – odpowiedział Rilke. W głębi pokrytego warstewką rdzy korytarza pojawiła się grupa Duchów prowadzona przez Mila i Larkina.
- I co o tym wszystkim myślicie ? – zapytał Varl – Myślicie, że Gaunt na wieść o ładnej pogodzie zorganizował dla nas wyjazdowy piknik ?

Banda parsknęła cicho. Nessa, która pozostawała permanentnie głucha od czasu walk w Vervunhive, przywykła do czytania z ruchu ludzkich ust, toteż uśmiechnęła się z pobłażaniem sekundę po parsknięciu Bandy.

- Popatrzmy... trzech zwiadowców, czterech snajperów i ośmiu gości od niewdzięcznej liniowej roboty, takich jak ja i Cocoer – ciągnął dalej Varl – Coś wam to mówi ?
- Mnie mówi o infiltracji i skrytym działaniu – odezwał się głos za plecami sierżanta. W korytarzu pojawił się Mkoll, jego ciężkie buty uderzały dźwięcznie w metalową podłogę – Zwiadowców będzie czterech, gwoli ścisłości. Ja również biorę udział w tej misji.

Podobnie jak wszyscy pozostali gwardziści, Mkoll miał na sobie matowoczarny mundur i pancerz osobisty, wysokie buty, uprząż na ekwipunek i starannie zapakowany plecak z przytroczoną do niego bronią. Rękawy bluzy podwinął do połowy ramion. Przeliczywszy szybko zebranych spojrzął na swój zegarek.

- Jesteśmy wszyscy, a 18.30 właśnie minęła. Pierwszy etap mamy zatem za sobą.

Żołnierze weszli w ślad za nim do hangaru. W środku było ciemno i zimno, a panujący w hali mrok rozświetlało jedynie kilku ustawionych opodal wjazdu przenośnych lamp. W rzucanym przez nie świetle stało czterech mężczyzn.

Wszyscy czterej okazali się dobrze zbudowanymi młodymi ludźmi noszącymi kremowe tuniki mundurowe i jasne spodnie o nogawkach wpuszczonych w wysokie sznurowane buty. Głowy mieli ogolone po bokach, jedynie na szczycie czaszek pozostawili sobie pasy krótko przyciętych włosów. To nie zabieg mający ograniczyć zawszenie, uświadomił sobie Varl, ci ludzie nosili się właśnie w taki sposób. Phantyńscy żołnierze, specjaliści z Powietrznej.

Mkoll powitał ruchem ręki mężczyzn, ci zaś odpowiedzieli mu sprężystymi salutami.

- Major Fazalur przesyła pozdrowienia – powiedział jeden z obcych, mężczyzna noszący srebrną belkę na rękawie munduru, tuż pod naszytą na materiał odznaką regimentu – Polecono nam czekać tutaj na wasze przybycie.

- Świetnie. Pora zatem, aby się przedstawić – zasugerował grzecznie Mkoll.

- Porucznik Goshep Kersherin, 81. Phantyńska Powietrzna – skinął głową żołnierz, po czym wskazał dłonią swych towarzyszy – Kapral Innis Unterrio, szeregowiec pierwszej klasy Arye Babbist, szeregowiec pierwszej klasy Lex Cardinale.

- Witam. Jestem Mkoll, Tanithijski Pierwszy. Imiona reszty przyswoicie sobie z biegiem czasu – sierżant odwrócił się w stronę swej grupy – Rzućcie plecaki, spocznijcie. Podzielimy się teraz na zespoły. Cztery sekcje. Sierżant Varl, sekcja pierwsza. Sekcja trzecia, sierżant Adare. Dwójka jest twoja, Meryn. Czwarty zespół należy do mnie. Teraz reszta... Doyl, Nessa, Milo, z Adare. Mkvenger, Larkin, Kuren... Meryn. Varl dostanie Bandę, Vadima i Bonina. Rilke, Cocoeer i Nour ze mną. Zbierzcie się w grupy, żeby od początku przyzwyczajając się do podziału. Dobrze, teraz podejdźcie bliżej. Jak już zapewne wszyscy zauważyli, w skład każdej grupy wchodzi dowódca, zwykły żołnierz, strzelec wyborowy i zwiadowca. Minimalny skład liczebny mający umożliwić jak najszybsze skryte przemieszczanie się. Nie będziemy mieli dostępu do broni wsparcia ani miotaczy ognia, przykro mi.

Wśród żołnierzy rozległo się kilka pomruków dezaprobaty, najgłośniejszym marudził Larkin.

- Skoro tyle już wiemy – w głosie Mkolla zadźwięczała nuta rozbawienia – przejdźmy do zabawniejszej części spotkania. Poruczniku ?

Kersherin kiwnął głową i podszedł do pudła zwisającego spod sufitu na pokrytym gumą kablu, po czym nacisnął jakieś guziki na obudowie urządzenia. W górze rozległa się seria donośnych trzasków i rozległą przestrzeń hangaru skąpało zimne nieprzyjemne światło zapalających się pod sufitem jarzeniowych lamp.

Po drugiej stronie pomieszczenia, jakieś trzydzieści pięć metrów nad wyłożoną grubymi matami podłogi, znajdowała się platforma obwieszona linami wieży skokowej.

- Widzicie to ? – powiedział do otaczających go Duchów Larkin – Wcale, a wcale mi się to nie podoba.

Plac egzekucyjny był kwadratową przestrzenią wylaną popękany betonem, otoczoną z trzech stron wysokim murem, z czwartej zaś gmachem Komnat Sprawiedliwości.

Komnaty Sprawiedliwości, główny kompleks sądownictwa w Cirenholmie oraz siedziba Arbitres, ucierpiały bardzo w trakcie najazdu Paktu Krwi. Najwyższe piętra wzniesionego w stylu gotyckim budynku zostały doszczętnie wypalone, a zachodnia część kompleksu poznaczona była śladami intensywnego ostrzału z artylerii. Wszystkie biura i magazyny złupiono; olbrzymi chromowany emblemat imperialnego orła wiszący nad głównym wejściem został strącony seriami z broni maszynowej, a następnie roztrzaskany na marmurowych schodach gmachu. W holu sądu piętrzyła się sterta powgniatanych hełmów arbitratorkich – tryumfalny kopiec usypany przez heretyków po pokonaniu lekko uzbrojonych stróżów prawa, którzy do samego końca bronili tej części miasta.

Pomimo uszkodzeń kompleks więzienny wciąż spełniał swe podstawowe funkcje, a ponieważ był jedynym zakładem penitencjarnym w murach Cirenholmu, Komisariat imperialnego kontyngentu silnie go obsadził.

Stojący przy tylnym oknie na pierwszym piętrze gmachu Gaunt spoglądał na plac egzekucyjny. Sześciuosobowy pluton noszący kaptury oraz proste mundury pozbawione wszelkich insygniów, naszywek i stopni odczekał, aż stojący z boku kapłan Eklezjarchii udzieli żołnierzom rutynowego odpuśczenia win, po czym podniósł broń do strzału.

Nikt nie zamierzał bawić się w formalne ceremonie. Szczupły komisarz o lekkiej łysinie podniósł w górę szablę i krzyknął coś ochryplym ze zmęczenia głosem.

Więźniowi nie założono opaski na oczy, nawet go nie skuto. Przywarł w bezruchu do tylnej ściany dziedzińca, nie mając gdzie uciec.

Sześć laserowych wiązek przecięło równocześnie powietrze i skazaniec runął na ziemię osuwając się plecami po murze. Nadzorujący egzekucję komisarz schował szablę do pochwy i powiedział coś głośno. Członkowie plutonu egzekucyjnego rozeszli się bez słowa mijając śpieszących po zwłoki serwitörów.

Gaunt puścił poczerniałą od sadzy zaslonę powiewającą w rozbitym oknie. Stojący okno dalej Hark i Daur wymienili między sobą krótki komentarz, po czym zaczęli szukać jakiegoś miejsca do siedzenia. Posadzka korytarza lśniła drobinami zamiecionego pod ściany szkła.

Obite drewnianymi panelami drzwi otworzyły się z trzaskiem, w progu stanął komisarz Del Mar. Był wysokim mężczyzną w podeszłym wieku, o srebrnych włosach i cybernetycznych rękach. Pomimo swoich lat wciąż wywierał stosowne wrażenie. Prawie o głowę wyższy od Gaunta, nosił czarny uniform przepasany purpurową szarfą oraz czarny płaszcz o czerwonym szamerunku. Jego czapka i rękawiczki miały barwę nieskazitelnej bieli.

- Panowie – przywitał się z miejsca – Proszę mi wybaczyć tę zwłokę w spotkaniu. Dzisiejszy dzień pełen jest rozpraw, a każda z nich wymaga mojej autoryzacji. Pan to Gaunt.

- Sir – pułkownik-komisarz zaszalutował, po czym uściśnął wyciągniętą dłoń Del Mara. Wyczuł wyraźnie ukryte pod skórzaną rękawiczką kanciaste kształty mechanicznej dłoni.

- Mieliśmy już sposobność się spotkać, prawda ? – powiedział Del Mar.

- Na Khulenie, dobre dziesięć lat temu. Byłem wtedy z Hyrkanami. Miałem przyjemność wysłuchać pańskiej przemowy na Zgromadzeniu Komisarzy.

- Tak, tak – odpowiedział Del Mar – A potem jeszcze na Canemarze, po wyzwoleniu. Widzieliśmy się przez chwilę, na bankiecie wydanym z okazji przybycia nowego gubernatora.

- Jestem zdumiony faktem, że pan to zapamiętał, sir. To było bardzo... ulotne spotkanie.

- Oktar, niech Imperator ma w opiece jego duszę, bardzo pochlebnie się na pański temat wypowiadał, Gaunt. A pańskich osiągnięć w trakcie tej kampanii też nie sposób pominąć milczeniem.

- Jest pan nad wyraz uprzejmy, sir. Pozwolę sobie przedstawić mojego oficera politycznego, Viktora Harka, oraz kapitana Bana Daura, trzeciego oficera liniowego regimentu.

- Harka już znam, witam, komisarzu. Miło pana poznać, kapitanie. Czy możemy teraz przejść do obowiązków służbowych ? Czeką nas nad wyraz pracowity i męczący dzień. Taktyk Biota jest tutaj wraz ze sporą gromadą sztabowców, zjawił się też inkwizytor Gabel chcący przedstawić rezultaty przesłuchań więźniów.

- Jest jeszcze jedna sprawa, którą chciałbym omówić przed rozpoczęciem spotkania – powiedział Gaunt – Sprawa szeregowca Caffrana.

- Ach tak. Gaunt, jestem zaskoczony faktem, że... – Del Mar urwał, spojrzął w stronę Daura i Harka – Panowie, czy zechcecie pozostawić nas na chwilę samych ? Fultingo !

Komisarz Fultingo pojawił się w pobliskich drzwiach.

- Proszę pokazać tym panom drogę do sali odpraw.

Del Mar odczekał, aż trójka mężczyzn odeszła w głąb korytarza.

- Przejdźmy zatem do sprawy Caffrana. Nie będę owijał w bawełnę, Gaunt. Ta sprawa nie leży już w pańskich kompetencjach. Wiem, że nie jestem pierwszym wyższym rangą oficerem, który zwraca panu uwagę w tej kwestii. Komisarz czy nie, pełni pan również obowiązki oficera liniowego i nie powinien się pan angażować w ręczne sterowanie tym śledztwem. To pomniejsza sprawa dyscyplinarna, której zamknięcie leży w gestii pańskiego komisarza.

- Mam poparcie Harka. Nie zamierzam ustąpić, Caffran to wartościowy żołnierz, a przy tym jest niewinny. Chcę go z powrotem w moim regimencie.

- Czy pan wie, ile osób poleciłem rozstrzelać od chwili przybycia do tego miasta, Gaunt ?

- Pół tuzina ? To standardowa ilość jak na kontyngent tej wielkości.

- Trzydziestu czterech. Muszę przyznać, że dwudziestu z nich było nieprzyjacielskimi jeńcami, których skończyliśmy przesłuchiwać, lecz tak czy owak skazałem na śmierć siedmiu dezertarów, czterech gwałcicieli i trzech morderców. Większość z nich należała do Urdeshi, ale stracono również kilku Phantyńczyków. Spodziewałem się tak wysokich statystyk. Dowodzimy zabójcami, Gaunt, niebezpiecznymi ludźmi szkolonymi do zabijania. Niektórzy pękają psychicznie i uciekają, inni wyładowują swe emocje na bezbronnych cywilach, jeszcze inni po prostu pękają. Pozwoli pan, że opowiem o tych mordercach. Jeden z nich, phantyński szeregowiec, po odniesieniu ran wpadł w dziki szał i zabił dwóch sanitariuszy oraz pielęgniarkę w szpitalu trzeciej kopuły. Zabił ich łyżeczką. Nie mam pojęcia, w jaki sposób można człowieka zabić łyżeczką, ale domyślam się, że wymaga to wyjątkowo dzikiego ataku niepoczytalności. Drugi, urdeshycki operator miotacza ognia, zdecydował się podpalić publiczną jadłodajnię w drugiej kopule uśmiercając w ten sposób czterech obywateli Cirenholmu, którzy mieli pełne prawo czuć się bezpiecznymi w tym mieście. Trzeci, kolejny Urdeshi, zastrzelił swego towarzysza broni w efekcie sprzeczki o łóżko. Wymierzyłem kary w sposób szybki i zdecydowany, zgodnie z chlubnymi zasadami Komisariatu. Egzekucja w trybie natychmiastowym. Nie jestem pobłażliwym człowiekiem, Gaunt.

- Nie posądzałbym pana o pobłażliwość, sir, ja też taki nie jestem. Jako lojalny członek Komisariatu nie waham się przed wymierzeniem zasłużonej kary.

Del Mar pokiwał z aprobatą głową.

- I odważa pan kawał porządnej roboty. Tanithijski Pierwszy ma nieposzlakowaną wręcz opinię. Teraz jeden z pańskich ludzi wyłamał się z szeregu, taka parszywa owieczka. To się zdarza. Kara zostanie wymierzona jako lekcja dla pozostałych. Proszę nie nękać już mojego biura wnioskami o ułaskawienie i nasyłać na nas ustawicznie komisarza Harka.

- Hark dręczy was na moją osobistą prośbę, sir. I cieszę się niezmiernie, że to robi. Caffran jest niewinny. Kupiliśmy sobie dość czasu, by zidentyfikować prawdziwego zabójcę.

- Doprawdy? – Del Mar westchnął ciężko.

- Zabójca został aresztowany poprzedniej nocy, sir. Szeregowiec Cuu, inny członek mojego regimentu, Verghastyta.

- Rozumiem.

- Ci Tanithijczycy, którzy dzisiaj żyją, sir, żyją tylko dlatego, że pewnego dnia zabrałem ich z ojczystego świata. Uznałem ich za wartych tego wysiłku. Nie zamierzam skazywać żadnego z nich na straty, dopóki nie przekonam się, że jest to uzasadnione. W przypadku Caffrana nie ma ku temu żadnego uzasadnienia. On jest niewinny, morderstwa dokonał Cuu.

- Więc... o co pan wnioskuje, Gaunt?

- O uwolnienie Caffrana.

- Na podstawie pańskiej prośby?

- Na podstawie mojej rękojmi. Proszę oskarżyć Cuu, wszystkie dowody wskazują na niego.

Del Mar wyjrzał na zewnątrz przez mijane okno.

- Cóż, teraz... to nie jest już takie proste, Gaunt – powiedział komisarz – Nie jest to proste przez wzgląd na pańską ingerencję w sprawę. Jedna zbrodnia, jeden podejrzany, rutyna. Jedna zbrodnia, dwaj podejrzani... to wymaga specjalnego postępowania. Formalnego dochodzenia. Sam pan to na nas wymusił, Gaunt, musi pan sobie zdawać z tego sprawę.

- Miałem nadzieję, że będziemy mogli darować sobie te formalności. Postawmy przed sądem Cuu i zamknijmy sprawę.

- Cóż, nie możemy tego zrobić. Wpierw musimy formalnie oczyścić z zarzutów Caffrana, a dopiero potem oskarżyć innego podejrzanego. A zważywszy na rychły termin ataku na Ouranburg, nie wiem, czy wystarczy nam na to czasu.

- Zrobię wszystko, co będzie konieczne – stwierdził Gaunt – by zwyciężyć w Ouranburgu... i by ochronić przed krzywdą moich ludzi.

Gaunt odprowadził Del Mara do sali odpraw, w której przygotowywano spotkanie z inkwizytorem Gabelem. Gabel przesłuchiwał schwytanych żywcem żołnierzy Paktu Krwi od pierwszego dnia imperialnej okupacji i gotów był już przedstawić zdobyte w ten sposób informacje, by oficerowie sztabowi mogli wykorzystać je do lepszego zaplanowania uderzenia na Ouranberg.

Sala odpraw pozbawiona była klimatyzacji, cuchnęła ludzkim potem i tytoniowym dymem, ale okazała się jedynym pomieszczeniem w Komnatach Sprawiedliwości dostatecznie dużym, by zmieścili się w nim wszyscy wezwani na odprawę oficerowie oraz holograficzne projektory.

Gestykulując dłonią ponad głowami obecnych Gaunt przywołał do siebie Harka.

- Musisz zrezygnować z udziału w tym spotkaniu. Ja zostanę, potem wszystko ci przekażę.

- Dlaczego ?

- Ponieważ Del Mar nie chce odpuścić. Żąda, byśmy formalnie oczyścili Caffrana z zarzutów, zanim oskarży Cuu. Potrzebuję cię gdzie indziej, musisz załatwić dla mnie parę spraw.

- Ibramie...

- Cholera, Viktor, nie mogę opuścić tej odprawy. Cały czas powtarzają mi, że mam się zdać na swoich zastępców. Feth, sam mi to cały czas powtarzasz. Weź się do roboty i zrób to dobrze. Mogę ci dać czas na uniewinnienie Caffrana do jutrzejszego poranka, nie mamy ani dnia więcej. Von Voytz twierdzi, że do ataku na Ouranberg nie został nawet tydzień. Przygotuj niepodważalne materiały dla obrony Caffra, żebyśmy szybko zamknęli tę sprawę i skupili się wyłącznie na kwestii inwazji.

- A co z Cuu ?

- Do diabła z Cuu, umyvam od tego ręce. Caffran to moje jedyne zmartwienie. A teraz zmykaj stąd i bierz się do roboty.

Hark stał przez chwilę w milczeniu. Gaunt ujrzał na jego twarzy dziwny grymas, jakiego nigdy wcześniej widzieć nie miał okazji; budzący sympatię, ale nieco zaniepokojony.

- Co ?

- Nic – odrzekł Hark – Odprawa się zaczyna, idę stąd. Zaufaj mi, Ibramie.

- Ufam ci, Viktorze.

- Nie chodzi mi tylko o tę sprawę, zaufaj mi całkowicie. Nie zmieniaj później zdania.

- Oczywiście, że tego nie zrobię.

- Dobrze. Dobrze – Hark zasalutował i wyszedł z sali. Gaunt przepchnął się przez ścisk do Daura.

- Wszystko w porządku, sir ?

- Tak mi się wydaje.

Przez salę przetoczył się pomruk szeptów. Inkwizytor Gabel – niebywale wychudzony człowiek w matowoczerwonym pancerzu siłowym – podszedł do holoprojektora i włączył urządzenie mechanicznymi palcami. W powietrzu zapłonął trójwymiarowy obraz Ouranburga.

- Żołnierze Imperium – z wszczepionego w gardło inkwizytora wzmacniacz padły pierwsze chrapliwe słowa – oto Ouranberg, główne skupisko młynów oparowych na tej planecie, strategicznie ważny dla nas cel. Miasto jest obsadzone przez co najmniej pięć tysięcy żołnierzy Paktu Krwi pod osobistą komendą Slaitha. Uważamy, że towarzyszą im przynajmniej trzy stada loxatli. Oto informacje, które uzyskaliśmy od przesłuchanych więźniów...

Varl spadał ku swej śmierci.

Wrzasnął z grozą próbując obrócić się w powietrzu tak, by upaść na ziemię bokiem. Jakieś dwa metry nad podłogą obciążniki zadziałały napinając linę i mężczyzna zawisł w bezruchu z głową zaledwie kilka centymetrów nad matą.

Porucznik Kersherin podszedł do Tanithijczyka, przyklęknął przed nim.

- Wie pan jak to wyglądało, sierzancie ?

- Ech... obiecująco ?

- Nie, beznadziejnie – Kersherin podniósł się z przyklęku i przywołał gestem ręki Unterrio polecając mu wypłatać Ducha z uprzęży. Porucznik zmierzył wzrokiem ludzkie sylwetki stojące na szczycie wieży.

- Następny skacze za sześćdziesiąt sekund!

Znajdujący się trzydzieści pięć metrów wyżej Milo stał na całkiem niepotrzebnie wąskiej platformie, trzymając się jedną dłonią za metalową barierkę. To on był następny w kolejce. Banda, Mkvenger i Kuren stali za jego plecami oczekując na swoją kolej do skoku. Towarzyszący im phantyński żołnierz, Cardinale, skontrolował zapięcia w uprzęży Mila, dociągnął jeden z pasków.

- Nie martw się. Skakałeś już trzy razy. Skąd ta niepewna mina ?

- Ponieważ nie robię żadnych postępów. I dlatego, że mam tylko trzy służbowe majtki, a teraz będę skakał czwarty raz.

Cardinale roześmiał się i przypiął Brina do liny.

- Pamiętaj, twarz w dół, ramiona wyciągnięte, nawet jeśli będzie ci się wydawało, że mata zbliża się z ogromną szybkością. Potem przewrót przez ramię w chwili lądowania. Dawaj, pokaż temu gadule Varlowi, że umiesz to zrobić.

Milo skinął głową, przełknął ślinę. Ściskając dłońmi poręcz stanął wpierw jedną, potem drugą nogą na odskoczni. Jak ją nazywano w instruktażu szkoleniowym? Trampoliną? Trening był ogromnym wyzwaniem, a wysokie wieże odpowiadały za jedynie część psychicznego obciążenia. Trampoliny znajdowały się pięć metrów wyżej niż wynosiła długość najdłuższych wojskowych lin zrzutowych – nie chodziło zatem o zrzut klasyczny. Nikt nie pisał do tej pory nawet słowem – ani Mkoll ani Kersherin – na temat szczegółów misji, ale żołnierze ewidentnie ćwiczyli coś więcej niż zrzut linowy. Uprzęże i haki miały tylko wspomagać symulację. Ta właśnie świadomość, a nie znajdujące się trzydzieści pięć metrów niżej maty, budziła głęboki niepokój gwardzistów.

Stojący na dole Babbist błysnął zieloną latarką.

- Skacz! – polecił Cardinale.

Milo zeszytniał.

- Skacz! Imperator strzeże!

- Nie...

Cardinale zepchnął Ducha uczynnie z trampoliny.

- Coraz lepiej – skomentował obserwujący skok Mila Kersherin. Stojący obok Mkoll kiwnął twierdząco głową.

- Milo zaczyna chwytać podstawy. Paru innych też. Nessa. Bonin. Vadim.

- W przypadku Vadima to wrodzony talent – zgodził się porucznik.

- Nie ma lęku wysokości. Pracował na dachach Vervunhive. To dlatego Gaunt go wybrał do tej akcji. Meryn i Cocoeer też sobie jakoś radzą. I ku memu zdumieniu całkiem nieźle idzie Larkinowi.

- Instynkt samozachowawczy, jak sądzę. Strach to niesamowita motywacja.

- Zgadzam się całkowicie.

Milo zszedł z maty i uklonił się teatralnie obserwującym go Duchom. Na trampolinę weszła banda.

- Najślabi? – zapytał Mkoll.

- Bez wątpienia Varl i Adare. Doyl jest zbyt spięty. Banda za bardzo się stara, dlatego jej nie wychodzi. Musi inaczej pracować kolanami.

- Przyjąłem do wiadomości – Mkoll błysnął w uśmiechu zębami – Damy radę przygotować ich na czas?

- Wysoka poprzeczka. Podstawowy trening w Powietrznej trwa sześć miesięcy, nam dano zaledwie sześć dni. Zrobimy, co w naszej mocy. Nie ma sensu wywalać najślabszych kandydatów i szukać w ich miejsce innych, musielibyśmy zaczynać wszystko od początku.

- Skacze – podniósł palec Mkoll.

Obaj mężczyźni patrzyli jak Banda spada w dół na napinającej się z każdą sekundą uprzęży. Tym razem skok można była uznać za prawie udany; dziewczyna spadła trochę zbyt gwałtownie.

- Dużo lepiej – stwierdził Kersherin – Zaczyna łąpać.

Jakiś czas później, po zaliczeniu czwartego skoku przez Kurena i Mkvennera, Kersherin zwołał wszystkich uczestników ćwiczeń w jedno miejsce, polecił im usiąść na macie. W obieg poszły butelki z wodą i racje żywnościowe, w sali rozległy się ludzkie śmiechy i żarty.

- Poproszę o ciszę! – klasnął w dłonie Kersherin – Czas na zajęcia teoretyczne. Babbist?

Babbist wyszedł przed półkrąg utworzony z siedzących na macie kursantów. Unterrio przyniósł średnich rozmiarów metalową skrzynię, położył ją obok kolegi, po czym wycofał się za grupę Duchów.

Babbist wyciągnął ze skrzyni coś, co zaprezentował następnie swym słuchaczom. Był to solidny i sporo wazący metalowy plecak wraz z budzącą grozę grubą uprzężą, na którą składały się również pętle udowe. Po lewej stronie obudowy sterczała wyprofilowana rączka. Dwa umieszczone w górnej części plecaka ramiona zakończone były metalowymi kulami, przywodziły na myśl dziwaczne rogi jakiegoś zwierzęcia. Całe urządzenie miało matowozielony kolor.

- Moi drodzy przyjaciele – zaczął Babbist klepiąc poznaczony szramami i odpryskami farby przedmiot – Oto klasyczny plecak zrzutowy piątej klasy. Nie dajcie się nabrać na tanie podróbki. Jeśli to komuś potrzebne, pełna nazwa brzmi Osobista Jednostka Zrzutowa Icarus piątej klasy, wyposażona w dwa grawitacyjne kompensatory M12 i ruchome śmigło służące do regulowania pułapu lotu. Odpowiedni pułap bez wątpienia się wam przyda.

Kilka osób roześmiało się krótko, ale nikt nie odrywał wzroku od plecaka.

- Produkuje się je na świecie zbrojeniowym Lucius – ciągnął dalej Babbist – Stanowią gwardyjski odpowiednik standardowego plecaka skokowego. Są znacznie mniejsze i lżejsze od plecaków używanych przez szturmowców Adeptus Astartes. Marines, niechaj Imperator ich błogosławi, potrzebują do utrzymania się w powietrzu znacznie potężniejszego urządzenia. Zresztą my nie jesteśmy bogami. Nikt z nas nie zdołałby unieść na plecach urządzenia przeznaczonego dla Astartes.

Babbist położył plecak przy swoich stopach i rozłożył szeroko ręce.

- Pamiętajcie jak w podstawowych materiałach szkoleniowych Gwardii przekonywano was, że najlepszym przyjacielem żołnierza jest jego laser? Dbajcie o niego, a on zatroszczy się o was? Możecie o tym zapomnieć, teraz macie nowego najlepszego przyjaciela. Jak najszybciej nawiążcie z nim znajomość albo zmienicie się w krwawą plamę na powierzchni ziemi. Jeśli wasz stary przyjaciel laser będzie protestował, powiedzcie mu, że bez tej znajomości nie zobaczy żadnej akcji.

Larkin uniósł z wolna dłoń.

Babbist urwał, wyraźnie zaskoczony, spojrzął z ukosa na Mkolla.

- Wyrzuć to z siebie, Larks – powiedział sierżant.

- Chciałem się dowiedzieć, czy to jest może tylko interesująca prelekcja w przerwie między ćwiczeniami, czy też powinniśmy założyć, że w pewnym momencie w naszej przyszłości zostaniemy przymocowani do takiej rzeczy i wyrzuceni w powietrze? Tak tylko pytam. Czy mamy rację łącząc te zarąbiste skoki z wieży z sytuacją, w której występuje mnóstwo krzyków i popuszczania w gacie?

W hangarze zapadło milczenie.

- Nie – odparł w końcu Mkoll i wszyscy, z Larkinem włącznie, roześmiali się głośno pomimo powagi tego pytania.

- Widzę, że szeregowiec Larkin rozpracował już szczegóły Operacji Larisel – powiedział Babbist – W nagrodę pozwolimy mu zaprezentować działanie tego urządzenia.

Ponaglany przez siedzących wokół Duchów Larkin podniósł się z maty.

- Nigdzie nie będę skakał – zastrzegł podchodząc do Phantyńczyka.

- Nogi w pętle, jedna, druga... – instruował Babbist – I już masz... dobrze. Podciągnij uprząż na ramionach.

- Feth! – jęknął Larkin.

- Czekaj chwilę, zapnę pas na biodrach... dobra, podaj mi górne zapięcia – Babbist zatrzasnął pasy na ramionach klinując ich końcówki w metalowym gnieździe na torsie Ducha – Teraz dolne pasy... – te również zostały zamocowane w tym samym gnieździe – W porządku. Poluzuj trochę uprząż. Gotowe. Jak się czujesz?

- Jakby siedział na mnie Bragg – jęknął ledwie trzymający się na nogach Larkin.

Jego słowa powitał kolejny wybuch śmiechu.

- Typ piąty waży dobre sześćdziesiąt kilo – wyjaśnił Babbist.

- Ja tu umieram – wydyszał snajper.

- To uśpione sześćdziesiąt kilo – dodał Babbist wyciągając dłoń i kładąc ją na panelu kontrolnym urządzenia znajdującym się na wysokości pasa po lewej stronie Larkina. Drażek sterowy tkwił w takim miejscu, by operator mógł go bez trudu ująć lewą dłonią; wykonany był z metalu powleczonego warstwą czarnej gumy, na jego wierzchu znajdował się wielki czerwony przycisk.

- Spróbujmy to włączyć – powiedział Babbist. Phantyńczyk otworzył niewielką klapkę po prawej stronie obudowy, oznaczoną woskową pieczęcią, pociągnął za dwie miniaturowe dźwignie. Urządzenie zaczęło z miejsca drżeć i podskakiwać jakby w jego wnętrzu gromadziła się energia wytwarzana przez obracające się coraz szybciej turbiny. Babbist zamknął klapkę.

- Feth! – syknął zdenerwowany Larkin.

- Odpręż się – uspokoił go Babbist – To tylko rozruch wirnika.

Phantyńczyk położył palec na drążku sterowym i nacisnął leciutko czerwony przycisk.

- I jak teraz? – zapytał.

- O święty... – wymamrotał Larkin – Cały ciężar znikł. Nic nie czuję.

- Stało się tak, ponieważ kompensatory antygravitacyjne... – Babbist wskazał dłonią metalowe kule sterczące na wysięgnikach urządzenia – przejęły na siebie ten ciężar. Czerwony przycisk reguluje ich moc. Nacisnąłem go bardzo lekko i wystarczyło to do zlikwidowania obciążenia operatora. Nacisnę jeszcze trochę...

- Feth! – krzyknął Larkin budząc salwę śmiechu. Mężczyzna wzniósł się na dwadzieścia centymetrów w powietrze i zawisł w miejscu machając bezradnie nogami.

Babbist nie zdejmował palca z drążka.

- To bardzo czuły instrument. Taki nacisk jak w tej chwili umożliwia zawis w miejscu. Gdyby Larkin spadał z dużą prędkością, musiałby wdusić przycisk do połowy, by uzyskać podobny efekt.

- Więc mógłby wyskoczyć z samolotu, nacisnąć guzik i zawisnąć w miejscu? – spytał Milo.

- Tak. A wciskając przycisk do samego końca uzyskamy efekt wznoszenia – wyjaśnił Babbist. Wojskowy nacisnął guzik jeszcze bardziej i Larkin zaczął się powoli wznosić w górę.

- To bardzo subtelny system sterowania. Musicie się przyzwyczaić do delikatnego operowania przyciskiem... spadek, zawis, wznoszenie. Przyjdzie na to jeszcze czas. Inna kwestia latania za pomocą tego urządzenia to przemieszczanie się w poziomie. Pomaga w tym wirnik o dużej mocy zamontowany tutaj – Babbist obrócił Larkina w powietrzu i zademonstrował wbudowany w tylną część obudowy plecaka śmigłowy wirnik – Tu, tu, tu, tu i tam mamy dysze kierunkowe. Bez względu na to, czy naciskacie czerwony przycisk czy nie, operowanie drążkiem w wybranym przez siebie kierunku uruchomi przepływ powietrza przez jedną z dysz, a to wprawi operatora w ruch za pomocą wirnika.

Babbist pchnął drążek nieznacznie do przodu i Larkin przemieścił się o kilka centymetrów.

- Umiejętne wykorzystanie tego układu sterowania pozwala wyskoczyć ze środka transportu, ustabilizować prędkość opadania, po czym skierować się w stronę celu. Jakież pytania?

- Jak często coś takiego się psuje? – odezwała się Banda.

- Praktycznie nigdy – odparł Babbist.

- Mówcie do mnie Panna Praktyczna – sarknęła ironicznie dziewczyna.

- Co z bocznymi prądami powietrza? – zapytał Mkvenner.

- Odrobina praktyki pozwala tak operować urządzeniem, by móc bez trudu kompensować podmuchy wiatru.

- Kiedy zaczynamy ćwiczenia? – spytał z cieniem obawy w głosie Varl.

Viktor Hark odłożył pióro i usiadł wygodniej w swoim fotelu. Było już późno, światła w kopule przygasły, a w biurze komisarza – prowizorycznie urządzonym warsztacie rzemieślniczym położonych opodal gwardyjskich kwater – zaczynało robić się zimno.

Hark uporządkował stertę dokumentów i sięgnął po elektroniczny notes. Przyciskając kciukiem klawisz przewijania przeglądał tekst na ekranie nośnika danych. Caffran, Cuu, dowody rzeczowe, zeznania świadków. Westchnął i odłożył notes z powrotem na biurko.

- Nawet nie pomyślałeś o Cuu, Gaunt – wymamrotał do siebie komisarz – Tak zaprzątnięty jesteś uwolnieniem Caffrana, że nie myślisz o konsekwencjach tego wszystkiego.

Hark podniósł się z fotela, ubrał swój płaszcz, zaczął szukać czapkę. Nie mogąc jej odnaleźć zdecydował, że obejdzie się bez nakrycia głowy. Wyszedł na zewnątrz gabinetu, zamknął uważnie drzwi, ruszył w stronę najbliższych schodów.

- Gaunt?

Komisarz zatrzymał się wpół kroku, spojrzał w dół ciemnych schodów.

- Nie, ojciec, nie ma go tutaj.

Zweil wychynął z półmroku wspinając się w górę.

- Och, Viktor. Przepraszam, myślałem, że to Ibram.

- Jeszcze nie wrócił, jest razem z Daurem i Rawne. Drugi dzień narad.

- Praca żołnierza nie zna końca – westchnął kapłan. Sędziwy mężczyzna wspiął się na stopień, na którym stał Hark, usiadł z westchnieniem na schodach.

Hark zawahał się na moment. Nie miał na to czasu...

Musiał znaleźć czas. Usiadł na schodach obok Zweila.

- Jak leci? – zapytał ayatani.

- Niedobrze. Zbliża się kolejna wielka akcja, a my wciąż tkwimy po uszy w sprawach Caffrana i Cuu.

- Caffran tego nie zrobił, przecież o tym wiesz – powiedział Zweil.

- Masz na to dowody, ojcze?

- Ewidentne dowody – kapłan uderzył jednym z palców w swoje czoło – Sam mi to powiedział. Ufam mu.

- Cóż, my dalej nad tym pracujemy – westchnął Hark – A co z Cuu? Jest niewinny?

Zweil nic nie odparł.

- Ojcze ayatani?

- Nie znam Cuu – odparł ostrożnie Zweil – Nigdy wcześniej nie spotkałem takiego człowieka. Nie potrafię go przejrzeć.

- Więc może coś ukrywać?

- Może mieć też złożony charakter. Wszyscy wokół sprawiają wrażenie święcie przekonanych, że jest winny.

- Bo jest – stwierdził Hark.

- Być może, Viktorze – odpowiedział Zweil.

Komisarz próbował zapanować nad zdenerwowaniem w swoim głosie.

- Ojcze... jak daleko gotów byłbyś się posunąć...

- Jak daleko? Jestem duchownym! Chociaż muszę przyznać, że w młodości...

- Zapomnijmy o twojej młodości, ojcze. Powiadasz, że towarzyszysz nam w trosce o duchowy spokój żołnierzy. Opierasz swą posługę na tajemnicy spowiedzi. Powiedz mi coś...

- Mów.

- Człowiek jest niewinny, ale ty otrzymałeś polecenie, aby tego bezsprzecznie dowieść. I nie potrafisz odnaleźć żadnego liczącego się dowodu na twoją korzyść. Jak daleko gotów jesteś się posunąć?

- Chodzi o Caffrana, tak?

- Powiedzmy, że chodzi o hipotetyczną osobę, ojcze.

- Cóż, gdybym wiedział, że niewinny człowiek zostanie skazany za coś, czego nie zrobił, walczyłbym o jego życie. Walczył za wszelką cenę.

- Bez dowodów?

- Wiara nie potrzebuje dowodów, Viktorze, a bez wiary nie byłoby Boga-Imperatora.

- Jeśli zatem byłbyś przekonany o niewinności tego człowieka, zrobiłbyś wszystko, aby go uwolnić od zarzutów?

- Tak, zrobiłbym to – odparł Zweil studiując z ukosa profil komisarza – Chodzi o Caffrana?

- Nie, ojcze – Hark podniósł się na nogi i ruszył w dół schodów.

- Viktorze, dokąd idziesz?

- Nie troskaj się tym, ojcze.

Sala posiedzeń sądu nie wyróżniała się niczym specjalnym. Na ścianach kwadratowego pomieszczenia wisiały czarne draperie. Podwyższenie pośrodku sali otaczały z trzech stron biurka i krzesła przeznaczone dla sądu, oskarżycieli i obrońców. Żadnych sztandarów, dekoracji, ozdób; tylko prostota umeblowania.

Gaunt zajął miejsce w sektorze obrony razem ze swoim adiutantem Beltaynem i kapitanem Daurem. Przy stole stało jeszcze jedno wolne krzesło, ale żaden z oficerów tanithijskiego regimentu nie widział komisarza Harka od poprzedniego wieczoru. Grupa oskarżycieli – komisarz Fultingo i dwaj jego asystenci – zasiadła po przeciwnej stronie sali. Jeden z pracowników Komisariatu wykladał dokumenty na stół przeznaczony dla sędziego, drugi

kalibrował ustawienia rejestratora obrazu i dźwięku mającego ewidencjonować przebieg rozprawy.

- Powstać, sąd idzie! – obwieścił jeden z urzędników, zaszurały odsuwane krzesła. Komisarz Del Mar i dwaj inni starsi rangą komisarze weszli do sali i zajęli miejsca przy swoim stole.

- Proszę usiąść – powiedział krótko Del Mar. Mężczyzna przejrzał naprędce przygotowane przez urzędników dokumenty, podał elektroniczny notes jednemu z protokolantów.

- Minęła godzina 09.01 czasu imperialnego, 221. dzień roku 771.M41. Proszę odnotować to w rejestrze. Sąd rozpoczął posiedzenie. Proszę podać numerację pierwszej sprawy. Wprowadzić oskarżonego.

- Sąd wojskowy imperialnej grupy operacyjnej na Phantine, numer sprawy 57, numer akt 433 – protokolant odczytywał dane z trzymanego w rękach notesu – Szeregowiec Dermon Caffran, Trzeci Korpus, Tanithijski Pierwszy, oskarżony o morderstwo pierwszego stopnia.

Podczas gdy urzędnik zapowiadał sprawę, uzbrojeni żołnierze Urdeshi wprowadzili do sali Caffrana. Duch został skierowany na podwyższenie pośrodku pomieszczenia, twarzą do stołu sędziów. Na rękach miał kajdanki, ale pozwolono mu przed rozprawę na ogolenie zarostu i założenie galowego munduru. Wyglądał na wstrząśniętego, ale na jego twarzy rysował się wyraz zawziętej determinacji. Chłopak jest przestraszony, pomyślał Gaunt, i słusznie. Oficer skinął głową w stronę żołnierza, Duch odpowiedział mu nerwowym, ledwie dostrzegalnym ruchem.

Było coś dziwnego w wyglądzie Caffrana; coś, co nie dawało Gauntowi spokoju. Dopiero po chwili pułkownik-komisarz pojął, że powodem była gęsta grzywa chłopaka. Osadzony w więzieniu, Caffran uniknął przypadkowo zabiegu golenia głów i tępienia wszawicy. Gaunt uśmiechnął się kącikami ust na myśl o własnej, gładko ogolonej czaszce.

- Gdzie jest Hark? – szepnął w stronę Daura.

- Diabli wiedzą, sir.

Del Mar chrząknął znacząco.

- Kilka słów wyjaśnień dla wszystkich stron. Proszę nie odnieść wrażenia, że traktuję tę sprawę jako mało ważną, ale uważam, że ciągnie się już zbyt długo. Chcę ją zamknąć. Jak najszybciej. To oznacza zakaz prawniczego grania na czasie i ograniczenie do minimum liczby świadków – Del Mar wskazał palcem stertę położonych przed nim dokumentów, wśród których znajdowała się również lista świadków powołanych przez obronę – Żadnych świadków zeznających na temat profilu psychologicznego oskarżonego, wyłącznie naoczni świadkowie wydarzeń związanych ze zbrodnią. Czy to jasne, pułkowniku-komisarzu?

- Tak, sir – wypowiedź komisarza nie pozostawiała żadnych wątpliwości, a przy tym wcale się Gauntowi nie spodobała. Szlag trafił z miejsca większość nazwisk widniejących na liście.

- Parę słów do pana, Fultingo – ciągnął dalej Del Mar – Oczekuję z pańskiej strony odpowiedniej procedury postępowania. Proszę o unikanie wybiegów, które... mogłyby prowokować obronę.

- Tak jest, sir.

- Proszę odczytać akt oskarżenia.

Protokolant podniósł się ponownie z krzesła.

- Obwieszcza się, że w późnych godzinach 214. dnia roku obywatelka Onti Flyte, mieszkanka habitatu robotniczego drugiej zmiany Południowego Młyna oparowego Cirenholmu, została napadnięta i zamordowana za pomocą noża na terenie własnego domostwa.

- Komisarzu Fultingo?

Fultingo wstał, wziął do ręki podany mu przez jednego z asystentów notes.

- Onti Flyte była wdową i matką trojga dzieci. Podobnie jak wszyscy inni mieszkańcy tego dystryktu została skierowana z powrotem do domu przez jednostki wojskowe odpowiedzialne za

wyzwolenie obozów internowania. Pracownicy Południowego Młyna zostali odstawieni pod eskortą do miejsc zamieszkania tego właśnie wieczoru, kiedy popełniono zbrodnię. Krótko później, wedle naszych szacunków pomiędzy godziną 21.50 i 23.00, ofiara została zaatakowana i zamordowana w obrębie habitatu. Zbrodni dokonano za pomocą noża o długim prostym ostrzu, rozmiarami odpowiadającego pod każdym względem tanithijskim nożom wojskowym. Osoba nosząca tanithijski uniform została zauważona w pobliżu miejsca zbrodni w czasie jej popełnienia. Najstarszy syn ofiary, Beggi Flyte, zidentyfikował później szeregowca Caffrana jako potencjalnego sprawcę. Dziennik zmian zawiera informację o przydziale oskarżonego do jednostki odpowiedzialnej za eskortę mieszkańców Południowego Młyna tego właśnie wieczoru.

Fultingo podniósł wzrok znad wyświetlacza notesu.

- Wysoki sędzie, dowody nie budzą większych wątpliwości. Zatrzymaliśmy właściwego człowieka. Proszę o szybkie wydanie wyroku i wykonanie kary.

Komisarz usiadł na swoim krześle. Caffran nawet nie drgnął.

- Gaunt? – Del Mar spojrział na dowódcę Duchów.

Gaunt wstał z miejsca.

- Wysoki sędzie, nikt, nawet sam oskarżony, nie zaprzecza, że Caffran znajdował się tamtego wieczoru w miejscu popełnienia zbrodni. Co więcej, Caffran zeznał, iż rozmawiał z ofiarą i jej dziećmi. Pamięta, że odprowadził ją do domu i upewnił się, że jest bezpieczna. Akt oskarżenia bazuje wyłącznie na zeznaniach syna ofiary. Ten chłopiec jest jeszcze malcem. Zważywszy na straszne doświadczenia z czasu okupacji Cirenholmu oraz nieoczekiwaną śmierć matki, musimy wziąć pod uwagę jego traumatyczny stan. Mógł bez trudu popełnić błąd w identyfikacji. Widział Caffrana z bliska podczas powrotu do domu. Wskazał go jako sprawcę, albowiem Caffran był jedynym znanym mu tanithijskim żołnierzem. Wniosuję o uniewinnienie oskarżonego. Prawdziwy zabójca wciąż pozostaje bezkarny.

Fultingo znalazł się na nogach nim jeszcze Gaunt zdążył usiąść.

- I tu dotarliśmy do sedna sprawy, wysoki sędzie. Pułkownik-komisarz Gaunt chce nas utwierdzić w przekonaniu, że ten bystry inteligentny malec nie był w stanie zapamiętać twarzy zabójcy swej matki i wskazał bez namysłu żołnierza, który pomógł jego rodzinie tamtego dnia. Tracimy niepotrzebnie czas. Materiały dowodowe wskazują na szeregowca Caffrana jako sprawcę zbrodni, a pozytywna identyfikacja tylko je uwiarygodnia. Obrona nie jest w stanie zapewnić żadnego, powtórzę z całą stanowczością, żadnego dowodu mogącego podważyć akt oskarżenia. Usłyszeliśmy jedynie hipotetyczne założenia na temat niepoczytalności świadka. Czy możemy zamknąć w tym momencie sprawę?

Del Mar kiwnął głową polecając Fultingo usiąść, spojrział w stronę Gaunta.

- Jestem gotów zgodzić się z wnioskiem oskarżyciela, pułkownika-komisarzu. Pańska mowa nie należała do złych, ale trudno ją zaliczyć do tych opartych na niezbitych dowodach. Oskarżony zeznał, że przebywał w pobliżu miejsca zbrodni do północy. Widziało go wielu świadków, jednakże nikt nie może zapewnić mu alibi na cały czas pobytu w tamtym miejscu, a zatem miał dość czasu, aby popełnić zarzucany mu czyn. Jeśli nie ma pan nic więcej do dodania, sąd zamyka tę sprawę.

Gaunt podniósł się ponownie z miejsca.

- Opieram swe przekonanie na jednym niezbitym dowodzie – powiedział twardo – Caffran nie popełnił tej zbrodni. Z całym szacunkiem do uwagi wysokiego sądu na temat portretu psychologicznego, nalegam na uwzględnienie faktu, iż szeregowiec Caffran to osoba o nieposzlakowanej opinii i doskonałych referencjach. On nie byłby zdolny do popełnienia zarzucanego mu czynu.

- Sprzeciw – podniósł głos Fultingo – Wysoki sąd nalegał na odrzucenie materiałów opartych na analizie psychologicznej oskarżonego.

- Sąd wie, na co nalegał, komisarzu – odparł Del Mar – Ponieważ jednak pułkownik-komisarz Gaunt najwyraźniej zapomniał o wniosku sąd, przypominamy mu, że posiadający nieposzlakowaną opinię oskarżony jest zawodowym żołnierzem. To zabójca. Zabijanie to jego profesja.

- Caffran służy Imperatorowi jak my wszyscy. Zna doskonale różnicę pomiędzy zabijaniem na polu walki i morderstwem z premedytacją. Nie mógł tego zrobić.

- Gaunt!

- Sir, czy wyśle pan zwykłego żołnierza piechoty do obsługi mózdzierza lub pancierzownicy? Nie, ponieważ nie ma on ku temu odpowiednich kwalifikacji. Dlaczego zatem wysoki sąd upiera się przy założeniu, że Caffran dokonał czynu, do którego nie byłby zdolny przez wzgląd na moralne i etyczne przekonania?

- Dość tego, Gaunt!

Drzwi sali otwały się zniemacka, do środka wpadł Hark. Tak cicho jak to tylko było możliwe komisarz zajął miejsce na wolnym krześle obok Gaunta.

- Proszę o wybaczenie – skinął głową w stronę składu sędziowskiego.

- Mógł pan się nie fatygować, Hark. Sprawa została zamknięta.

Hark wstał i podał jednemu z protokolantów kartę papieru, ten zaś przekazał ją w ręce Del Mara.

- Prosząc wysoki sąd o jeszcze odrobinę cierpliwości pozwalam sobie na dołączenie do listy świadków jeszcze jednej osoby.

Gaunt sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego.

- Sprzeciw! – zaprotestował Fultingo.

- Sprzeciw odrzucony – powiedział Del Mar przestudiowawszy złożony na jego ręce wniosek – Co prawda trochę na to późno, ale nie koliduje to z regułami postępowania. Dobrze, komisarzu Hark, za zgodą pułkownika-komisarza Gaunta przesłuchamy pańskiego świadka.

W ciemnym korytarzu przed salą posiedzeń robiło się coraz zimniej. Tona Criid siedziała pod olejnym portretem jakiegoś wyjątkowo brzydkiego prefekta Arbites i wyłamywała sobie nerwowo palce. Przyszła do sądu chcąc wesprzeć Caffrana, być może nawet zeznawać w jego obronie, chociaż kapitan Daur uprzedził ją, że szanse na prezentację portretu psychologicznego Ducha były mizerne.

Lecz nie pozwolono jej nawet na uczestnictwo w rozprawie.

Razem z nią przyszedł Dorden. Oficer medyczny przyniósł ze sobą materiały dotyczące sekcji zwłok ofiary na wypadek, gdyby wezwano go w celu wyjaśnienia zagadnień patologii sądowej. Na miejscu był też Kolea. Vervuńczyk siedział w pewnym oddaleniu, po drugiej stronie korytarza. Dziewczyna nie była do końca pewna, dlaczego sierżant przyszedł do sądu. Bezpośrednim przełożonym Caffrana był major Rawne. Być może zaprzątnięty sprawami organizacyjnymi regimentu Rawne wysłał Koleę jako swego przedstawiciela.

- Będzie dobrze – pocieszył ją Dorden – Mówię serio.

- Wiem.

- Co to za facet, doktorze? – spytała po chwili Criid, szeptem.

Zgarbiony, starszy wiekiem mężczyzna w cywilnym ubraniu siedział po drugiej stronie korytarza. Nieznajomy przyszedł chwilę wcześniej razem z komisarzem Harkiem. Oficer polityczny polecił mu zaczekać na zewnątrz sali posiedzeń i zniknął w środku pomieszczenia.

- Nie mam pojęcia – odparł Dorden.

Drzwi sali otwały się szeroko, Criid i Dorden spojrzeli w ich stronę wyczekująco. Ze środka wyrzwał jeden z protokolantów.

- Wzywany Cornelis Absolom. Cornelis Absolom. Czy jest obecny?

- Proszę przedstawić swe imię i nazwisko.

- Cornelis, khm, Cornelis Absolom, wysoki sędzie.

- Zawód?

- Emeryt od trzech lat, sir. Wcześniej przepracowałem siedemnaście lat jako nocny strażnik w młynie oparowym.

- A jak pan zdobył ten etat, panie Absolom?

- Firma szukała kogoś z wojskowym doświadczeniem. Mam za sobą dziewięć lat w Siłach Obrony Planetarnej, Dziewiąty Rozpoznawczy Phantine. Zostałem ranny w trakcie Rozruchów Ambrossiańskich i opuściłem armię.

- Zatem możemy przyjąć, iż jest pan dobrym obserwatorem, panie Absolom? I jako nocny strażnik i wcześniej, w szeregach jednostki rozpoznawczej?

- Mam doskonały wzrok, sir.

Komisarz Hark wyszedł przed swój stół, założył ręce za plecy.

- Czy może pan opisać stopień pańskich relacji z ofiarą?

- Pani Flyte była moją sąsiadką.

- Kiedy widział pan ostatni raz ofiarę żywą?

Starszy mężczyzna, siedzący na podsuniętym mu przez wzgląd na wiek krześle, chrząknął niepewnie.

- Tego wieczoru, kiedy ją zamordowano, komisarzu Hark.

- Czy może pan opisać to spotkanie?

- Wróciliśmy do naszego habitatu. Mieszkania były w oplakany stanie. Próbowałem zasnąć, ale nie potrafiłem. Ten odór... wyszedłem na tylny dziedziniec i zobaczyłem ją za płotem. Zamieniliśmy ze sobą kilka słów.

- Na jaki temat, panie Absolom?

- Bałaganu w mieszkaniach, sir.

- I więcej pan jej już nie zobaczył?

- Nie żywej, sir.

- Czy może pan powiedzieć sądowi, co wydarzyło się później tamtego wieczoru, panie Absolom?

- To miało miejsce krótko potem. Napelniłem worek śmieciami, głównie zepsutym jedzeniem z lodówki i poszedłem na tylny dziedziniec, aby wyrzucić worek za ogrodzenie. Usłyszałem jakieś hałasy w domostwie pani Flyte. Głuche uderzenie, potem drugie. Zaniepokoiłem się, dlatego ją zawołałem.

- I co wydarzyło się wtedy?

- Na placu pojawił się jakiś mężczyzna. Zobaczył mnie przy płocie i odbiegł w drugą stronę.

- Czy może pan opisać tego mężczyznę?

- Miał na sobie strój, który – jak dowiedziałem się później – jest uniformem Tanithijskiego Pierwszego. Widziałem żołnierzy należących do tej jednostki wcześniej, stanowili naszą eskortę podczas powrotu do domu.

- Czy widział pan twarz tego człowieka?

Absolom skinął głową.

- Proszę odpowiedzieć na głos dla celów rejestratora dźwięku, panie Absolom – powiedział łagodnym tonem Del Mar.

- Przepraszam, sir. Tak. Tak, widziałem jego twarz. Tylko na krótki moment, ale wystarczająco długo, aby go zapamiętać.

- Panie Absolom, czy był to oskarżony, szeregowiec Caffran?

Świadek obejrzał się w bok spoglądając na Ducha.

- Nie, sir. Tamten mężczyzna był wyższy, szczuplejszy. I starszy.

Hark spojrział na Del Mara.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie.

Kiedy Hark usiadł, do ataku przystąpił Fultingo.

- Panie Absolom, dlaczego nie ujawnił pan tych informacji wcześniej? To pan odkrył ciało ofiary i zaalarmował organy ścigania. Był pan przesłuchiwany przeze mnie i mojego asystenta i twierdził, że nie widział sprawcy.

Świadek spojrział w stronę stołu sędziów.

- Czy mogę być szczery, sir?

- Nie oczekujemy w tej sali niczego innego – odpowiedział Del Mar.

- Byłem przerażony. Przeszliśmy przez prawdziwe piekło w rękach tych bezbożników. Pani Flyte nie zasłużyła sobie na los, który ją spotkał, ale ja nie chciałem uwikłać się w całą tę sprawę. Przesłuchania w Komisariacie, zabezpieczanie habitatu... i nie chciałem ryzykować, że tamten człowiek powróci.

- By pana uciszyć?

- Tak, sir. Byłem przerażony. Potem dowiedziałem się, że człowiek ten został aresztowany i odetchnąłem z ulgą.

Del Mar zapisał kilka uwag w notesie, odłożył świetlne pióro.

- Przez pańskie słowa przemawia spora wiarygodność, panie Absolom, ale jedna rzecz nie daje mi spokoju? Dlaczego zgłosił się pan do nas teraz?

- Ponieważ poprosił mnie o to komisarz Hark. Twierdził, że zatrzymano niewłaściwego człowieka. Kiedy pokazał mi zdjęcie tego chłopaka, wiedziałem już, że Komisariat się myli. Nie złapaliście zabójcy. Przyszedłem tutaj dzisiaj, aby oczyścić z zarzutów tego młodego człowieka i zrobiłem to też dlatego, że się boję. Morderca wciąż pozostaje na wolności.

- Dziękuję panu, panie Absolom – powiedział Del Mar – Dziękuję za pańskie przybycie i szczerść. Jest pan wolny.

- Wysoki sędzie... – zaczął Fultingo.

Del Mar uniósł władczo rękę.

- Nie, Fultingo. W imieniu Boga-Imperatora Terry, którego łaska i majestat nigdy nie przeminą i którego władzę reprezentuję jako członek Komisariatu, ogłaszam tę sprawę za zamkniętą i niniejszym oczyszczam oskarżonego z wszystkich postawionych mu zarzutów.

Stojący w progu sali sądowej Gaunt patrzył jak Criid tuli się do Caffrana, a Dorden potrząsa ręką młodego żołnierza. Pułkownik-komisarz obejrzał się w stronę Daura i Beltayna.

- Dziękuję za waszą pomoc, dziękuję wam obu. Beltayn, zabierz Caffrana z powrotem do kwatery, załatw mu porządną kolację i butelkę sakru. Daj i jemu i Criid dwunastogodzinną przepustkę, pewnie będą chcieli odwiedzić dzieci.

- Tak jest, sir.

- Ban, odprowadź pana Absoloma do domu i przekaz mu moje podziękowania.

- Ja wolałbym to zrobić, Ibramie – powiedział Hark – Obiecałem temu człowiekowi skrzynkę piwa i okazję do podzielenia się starymi wojennymi historiami.

- Doskonale – Gaunt zatrzymał spojrzenie na twarzy komisarza – Uratowałeś nas.

- O to mnie przecież poprosiłeś, Ibramie.

- Nigdy tego nie zapomnę. Caffran zawdzięcza ci życie.

Hark zasalutował i zaczął przeciskać się przez tłum ludzi w stronę starszego mężczyzny.

- Protokolant poinformował mnie, że proces Cuu odbędzie się jutro o poranku, sir – powiedział Daur – Tę sprawę też chcą jak najszybciej zamknąć. Mam przygotować mowę obronną?

- Nie będzie żadnej obrony.

Daur wyraźnie zeszywniał.

- Sir?

- Cuu jest winny. Jego czyny omal nie kosztowały nas Caffrana. Komisariat się nim zajmie, Hark będzie nadzorował wszystkie formalności.

- Rozumiem – odparł szorstko Daur.

Gaunt złapał go za ramię, kiedy kapitan odwracał się w stronę korytarza.

- Ma pan jakiś problem, kapitanie?

- Nie, sir. Cuu zapewne jest winny, tak jak pan mówi. Pomyślałem tylko...

- Ban, uważam cię za przyjaciela, a przy tym oczekuję od wszystkich moich oficerów otwartości w każdej kwestii. Co się z tobą dzieje?

Daur wzruszył ramionami.

- Sprawiasz takie wrażenie, jakbyś spisał Cuu na straty. Jakbyś rzucił go na żer.

- Cuu to zabójca.

- Prawdopodobnie.

- Zostanie sprawiedliwie osądzony. Tak jak miało to miejsce w przypadku Caffrana.

- Dobrze – burknął Daur – Chyba tak.

Stojący w głębi korytarza Kolea patrzył na opuszczających salę posiedzeń ludzi. Dostrzegł Caffrana przytulającego do siebie Criid oraz uśmiechy na twarzach Gaunta i Daura.

Verghastyta westchnął głęboko i zawrócił w stronę kwater Duchów.

Gaunt otworzył wąż wiodący do podsektora 117, wszedł do środka. Towarzyszący mu towarowy serwitor poszedł w ślady człowieka, dźwigając ciężką amunicyjną skrzynię. Serwitor miał na obudowie torsu wielkie insygnia Munitorium.

Wewnątrz hangaru panowało przejmujące zimo i Gaunt odniósł na ułamek chwili wrażenie, że trafił pod zły adres. Pod jedną ze ścian hali zauważył kilka wojskowych plecaków i laserowych karabinów, ale nigdzie nie widać było śladu żywej duszy.

Pułkownik-komisarz podniósł wzrok ku górze.

Dwadzieścia ludzkich sylwetek unosiło się w powietrzu pomiędzy belkami stropowymi hangaru.

Jedna z postaci spostrzegła gościa i zaczęła opadać w dół. Gaunt usłyszał narastający wizg śmigieł. Mężczyzna wylądował w zgrabny sposób, zrobił kilka kroków wyhamowując swe ciało. Pułkownik-komisarz rozpoznał porucznika Kersherina.

Nie zdejmując lewej ręki z drążka kontrolnego plecaka Phantyńczyk wykonał przepisowy salut.

- Pułkowniku-komisarzu!

- Proszę spocząć, poruczniku. Zauważam postępy w szkoleniu.

- Na zróżnicowanym poziomie, ale są zauważalne, sir.

- Chciałbym z nimi porozmawiać, o ile nie jesteście zbyt zajęci.

Kersherin rzucił kilka słów do wiszącego przy ustach mikrofonu i kursanci zaczęli opadać ku podłodze hangaru. Trzej pozostali Phantyńczycy wylądowali w perfekcyjny sposób. Większość Duchów powtórzyła ten manewr z dużo większą ostrożnością, chociaż Vadim, Nessa i Bonin

opadli na ziemię w idealny sposób. Varl i Adare spadli tak nieudolnie, że Gaunt aż skrzywił się na dźwięk uderzających w posadzkę ciał.

Kursanci pomogli sobie wzajemnie powylączyć plecaki, a specjaliści z Powietrznej skontrolowali dla pewności wszystkie panele diagnostyczne urządzeń.

- Chodźcie tutaj – powiedział Gaunt wyciągając z kieszeni jakiś zwitek papieru i rozwijając go w palcach. Kursanci otoczyli go zwartym kręgiem.

- Po pierwsze, chciałem was poinformować, że dzisiejszego poranka Caffran został oczyszczony z wszystkich stawianych mu zarzutów.

Przez hangar przetoczyła się fala aplauzu.

- Następną sprawą, dotyczącą bezpośrednio was. Przyszedł czas, abyście dowiedzieli się czegoś więcej na temat Operacji Larisel. Pewnie już się domyśliliście, że jej elementem będzie desant za pomocą urządzeń antygravitacyjnych. Sądzę też, że niektórzy zdołali już rozszyfrować tożsamość celu.

Gaunt kucnął, rozłożył mapę na podłodze.

- Ouranberg, główny cel naszej ofensywy na Phantine. Miasto pięć razy większe od Cirenholmu, świetnie bronione, silnie obsadzone. Niełatwy cel, ale przecież nie dają nam za darmo tych pięknych błyszczących medali.

Gwardziści pochylili głowy przyglądając się uważnie mapie Ouranbergu.

- Dostaniecie niebawem kopie tych planów i zaliczycie kilka sesji w holosymulatorach, by zaznajomić się z terenem. W chwili obecnej wystarczy wam świadomość, że to jest wasz cel. A raczej miejsce, w którym przebywa cel. Operacja Larisel została już bez wątpienia rozgryziona przez obecnych tu Tanithijczyków jako polowanie. Dyskretny desant, infiltracja wrogiego terytorium i polowanie.

- Na kogo? – spytał Varl.

- Za niecały tydzień imperialny korpus rozpocznie inwazję na Ouranberg. Siła oporu uzależniona jest od poziomu morale Paktu Krwi i ich sojuszników. W chwili obecnej morale wroga jest bardzo wysokie, być może wręcz niemożliwe do złamania. Słyszane przez was pogłoski są prawdą. Nieprzyjacielski garnizon w Ouranbergu jest przez Sagittara Slaitha, jednego z najbardziej zaufanych zauszników Urlocka Gaura. Jego charyzmatyczna osobowość budzi wśród żołnierzy wroga fanatyczną lojalność i posłuszeństwo. Jeśli uderzymy na ufortyfikowany garnizon pod jego rozkazami, przyjdzie nam zapłacić straszną cenę. To będzie krwawa łaźnia. Lecz jeśli uda nam się usunąć Slaitha zawczasu, inwazja ma znacznie większe szanse powodzenia – Gaunt urwał na moment, przesunął wzrokiem po słuchaczach – Celem operacji Larisel jest odnalezienie i zabicie Slaitha przed rozpoczęciem inwazji. Pozbawienie wroga przywódcy i złamanie jego morale.

Nikt z Duchów nie odezwał się nawet słowem. Chłonący słowa Gaunta żołnierze w żaden sposób nie zdradzali swych emocji.

- Informacje na temat sposobu zlokalizowania i eliminacji Slaitha otrzymacie w ciągu najbliższych dni. Posiadamy mnóstwo danych, które mogą się wam okazać przydatne. Będziecie działać w czterech grupach... jak mniemam, zostaliście już podzieleni na sekcje... grupach, które zostaną zrzucone w różnych miejscach metropolii. Cztery grupy uderzające w niezależny od siebie sposób, cztery osobne szanse na sukces.

Gaunt odwrócił się w stronę skrzyni trzymanej przez towarowego serwitora, otworzył jej wieko.

- Ostatnia rzecz, którą powinniście wiedzieć, a która wiąże się bezpośrednio z waszym szkoleniem. Przykro mi to mówić, ale mamy potwierdzone informacje o loxatlach działających w

Ouranbergu pod rozkazami Slaitha. Raporty wywiadu podkreślają wyjątkową odporność tych istot na broń laserową.

Gaunt wyciągnął ze skrzyni ciężki karabin. Broń przypominała swymi rozmiarami małe działko, miała wielką perforowaną lufę i składaną kolbę. Pułkownik-komisarz zatrzasnął masywny magazynek w slocie za profilowanym przednim uchwytem broni.

- To karabin szturmowy U90. Broń stara, ale posiadająca potężną siłę ognia. Strzela dziesięciomilimetroowymi pociskami w trybach półautomatycznym i pełną serią. Solidny odrzut. Magazynek mieści czterdzieści kul. Pożyczyliśmy cztery egzemplarze tej broni od Urdeshi, produkują ją na swoim świecie macierzystym. Nie jest to jakiś wyjątkowo dobry karabin i ma tendencję do zacinania się, ale potrafi zastopować każdego przeciwnika. Każda sekcja wyznaczy jednego członka, który będzie obsługiwał tę broń w miejsce swojego regulaminowego lasera. Magazynek oznakowane żółtym krzyżem mieszczą zwykle pociski – Gaunt sięgnął do skrzynki, wyciągnął z niej inny magazynek – Te z czerwonymi krzyżami to amunicja wybuchowa. Sądzymy, że ta broń, strzelająca pociskami przeciwpancernymi, stanowić będzie najlepszą formę obrony przed loxatlami. Wyznaczeni żołnierze powinni jak najszybciej przystąpić do ćwiczeń strzeleckich.

Pułkownik-komisarz włożył karabin i magazynek z powrotem do skrzynki.

- Przyjdę jutro na kolejną odprawę. Omówimy rozmieszczenie stref zrzutu i specyfikę terenu. Na razie... powodzenia w skokach.

- Feth – szepnął Larkin – Zaczyna się robić coraz ciekawiej.

Przez trzy dni barki zaopatrzeniowe z Hessenville dowoziły do Cirenholmu zapasy żywności, amunicji i paliwa. Z tymi, które przyleciały pod myśliwską eskortą 221. dnia, pojawił się również sterowiec *SkYRO* wiozący na swym pokładzie dwa regimenty Urdeshi i jeden Krassii. W skład konwoju wchodziło też osiemnaście Marauderów i dwadzieścia siedem Lightningów. Od nocnych godzin 215. dnia imperialne lotnictwo patrolowało przestworza na północ od Cirenholmu próbując przejąć nad nimi kontrolę i zniszczyć eskadry Ouranbergu, teraz rozpoczęto też nocne naloty na samo miasto. Admirał Ornof zamierzał zmiękczyć w ten sposób stanowiska obronne nieprzyjaciela i zneutralizować w możliwie jak największym stopniu siłę wrogiego lotnictwa.

Efekty tych bombardowań trudno było oszacować. W ciągu trzech następujących po sobie nocy na Ouranberg zrzucano trzysta tysięcy ton materiałów wybuchowych kosztem czterech Marauderów.

Rezultaty walk stoczonych przez patrole myśliwskie były łatwiejsze do ujęcia w liczby. O ile nie istniała potrzeba nagłego startu alarmowego – co zdarzyło się zaledwie kilka razy – Lightningi latały w kluczach liczących po cztery maszyny, polując w przestworzach na nieprzyjacielskie maszyny dzięki naprowadzeniu ze strony centrum operacyjnego Cirenholmu i astrotachografii. W ciągu pierwszych pięciu dni patroli strącono dwadzieścia dziewięć heretyckich samolotów różnego typu przy stracie dwóch Lightningów. W południe 220. dnia cztery skrzydła phantyńskich Lightningów zostały rzucone w powietrze z zadaniem zatrzymania nieprzyjacielskiej wyprawy bombowej liczącej pięćdziesiąt bombowców nurkujących i myśliwców eskorty. W trakcie powietrznej bitwy dołączyło do niej osiem dalszych Lightningów oraz sześć Marauderów. Stanowiska obrony przeciwlotniczej na północnych krańcach Cirenholmu punktowały dywan chmur ognistymi rozbłyskami wybuchów.

Zaciekła bitwa trwała czterdzieści osiem minut. Nieprzyjacielscy lotnicy zostali zmuszeni do odwrotu, nim chociaż jedna bomba spadła na Cirenholm. Potwierdzone starty heretyków wyniosły trzydzieści trzy maszyny. Phantyńscy stracili sześć maszyn, w tym udekorowanego

asa Erwella Costary. Porucznik Larice Asche zestrzeliła cztery samoloty wroga zdobywając rzadki dla phantyńskich kobiet tytuł myśliwskiego asa. Pilot Febos Nicarde stracił siedem maszyn, za co został przez Ornoffa odznaczony Srebrnym Orłem. Smugi kondensacyjne znaczące miejsce podniebnego starcia znikły dopiero po kilku godzinach.

W hangarach Cirenholmu pracownicy Munitorium, żołnierze Gwardii i cywilni ochotnicy pracowali na kilka zmian przy rozładunku i dystrybucji transportów zaopatrzeniowych. Kilka barek z Hessenville przywiozło na swych pokładach żywność i środki medyczne przeznaczone dla ludności cywilnej Cirenholmu.

Późnym popołudniem 221. dnia – w czasie, kiedy sąd nakazał uwolnić Caffrana – pięć plutonów Duchów pod nadzorem urzędników Munitorium wynosiło skrzynie amunicyjne z ładowni barki i wwoziło je za pomocą kołowych wózków do najbliższego podhangaru.

Rawne zlecił komendę nad grupą Duchów swemu adiutantowi Feygorowi, głównie powodowany troską o zapasy amunicji do pancerni i broni wsparcia regimentu. Wielką halę wypełnił dźwięk metalicznych stukotów, ludzkich głosów, warkot narzędzi, tupot butów. Rozebrani do pasa gwardziści, dyszący ciężko i spoceni, wpychali załadowane po brzegi wózki amunicyjne na położony wyżej podhangar, po czym wracali do głównej hali pośród krzyków i gwizdów, zjeżdżając na pustych wózkach w dół rampy. Wnętrze podhangaru zaczynało przypominać sen szalonego militarysty. Wszędzie wznosiły się przyzmy skrzyń z amunicją, rozdzielone rzędami równiutko ustawionych pocisków artyleryjskich. Pod jedną ze ścian ciągnął się rząd wózków o grubych masywnych kołach, na których tkwiły bomby i rakiety przeznaczone dla lotnictwa. Niektórzy żołnierze nie zdołali się oprzeć ochocie wypisania na głowicach swych imion lub tekstów w postaci „Od Duchów”, „Żegnajcie, dupki” czy „Jeśli zdołasz to przeczytać, wrzeszcz!”. Inni wymalowali na bombach wyszczerzone paszcze lub nanieśli na nie dedykacje od poległych towarzyszy broni.

- Kończy nam się wolne miejsce – powiedział Feygorowi Brostin wycierając zroszone potem czoło.

Feygor skinął głową.

- Nie zwalniamy tempa pracy. Zajmę się tym – adiutant odszukał szybko przedstawiciela Munitorium i zdołał go nakłonić do otwarcia kolejnego w rzędzie podhangaru. Przywoławszy do pomocy Brostina Feygor ruszył w stronę masywnych wrót hali mającej posłużyć za następny tymczasowy magazyn. Po drodze minęli szeregowców Pollo i Derina, wpychających wózek z granatami do jednego z bocznych korytarzyków.

- Co wy kurwa robicie? – warknął Feygor.

- Wieziemy do holu – odpowiedział zdumiony pytaniem Pollo – Mamy tam wladować, ile wlezie...

Feygor spojrzął w stronę ciemnego holu położonego za podhangarem. Pod jedną z jego ścian stało już dziewięć wózków amunicyjnych.

- Och, feth... – syknął adiutant – To nie tak. Zabierzcie je z powrotem, wszystkie do podhangaru.

Dwaj żołnierze wydali z siebie jęk zawodu.

- Zawołajcie paru innych, żeby wam pomogli. Mamy przenieść nadwyżkę do tamtego magazynu – wskazał ręką Feygor – Nie mam pojęcia jak mogliście wpaść na pomysł przywiezienia amunicji tutaj.

- Robiliśmy tylko to, co inni – wyjaśnił Derin.

- Co?

- Chłopaki przed nami. Był z nimi jakiś gość z Munitorium i wyglądało na to, że wiedzą, co robią.

- Ściągnij mi tutaj tamtego faceta – adiutant pokazał Derinowi palcem urzędnika Munitorium, z którym chwilę wcześniej rozmawiał. Duch odbiegł pośpiesznie w głąb hali.

Pięćdziesiąt metrów w głębi korytarzyka otworzył się inny właz łączący hol z podhangarem. Czekający na przybycie magazyniera Feygor dostrzegł trzech Duchów wtaczających na korytarz amunicyjny wózek. Towarzyszył im pracownik Munitorium.

- Ach, feth... – westchnął ciężko Feygor. Adiutant otworzył usta, by krzyknąć, ale pierwszy odezwał się Pollo.

- Musi im być naprawdę gorąco.

Coś w głosie żołnierza sprawiło, że Feygor przyjrzał się uważniej żołnierzom. Duchy miały na sobie pełne mundury, w tym również płaszcz i wełniane czapki.

- Ze mną – rzucił do Brostina i Pollo, po czym ruszył szybkim krokiem w stronę holu – Ej, wy tam!

Żołnierze zignorowali jego okrzyk, najwyraźniej próbując wepchnąć swój wózek do klatki towarowej windy.

- Hej!

Dwaj z nich odwrócili się w stronę adiutanta. Feygor nie poznał żadnego z nich, a chlubił się tym, że znał każdego członka regimentu.

- Co jest...

Jeden z Duchów wyszarpnął zniemacka pistolet z kabury, wystrzelił w stronę intruzów.

Feygor krzyknął, odepchnął Brostina na ścianę w chwili, gdy laserowe wiązki przecięły powietrze.

Pollo był na Verghaście członkiem straży przybocznej możnego Domu Anko, zawodowym ochroniarzem. Zaawansowane implanty neurologiczne opłacane z kiesy pryncypała pozwalały mężczyźnie reagować z refleksem znacznie większym od szybkości przeciętnego człowieka. Poruszając się pod wpływem instynktu oraz nawyków wyniesionych z wieloletnich ćwiczeń Pollo wyciągnął z kieszeni na udzie niewielki automatyczny pistolet, odpowiedział ogniem ustawiając się jednocześnie bez sekundy namysłu pomiędzy przeciwnikami i ciałami swych towarzyszy.

Verghastyta przestrzelił głowę mężczyzny z pistoletem. Reszta uciekła natychmiast.

- Gonić skurwysynów! – wrzasnął Feygor. Adiutant wyciągnął z kabury własny pistolet, podniósł się z powrotem na nogi. Brostin zerwał ze ściany toporek strażacki.

Intruzi wybiegli z holu, przedostali się na sąsiadującą z nim klatkę schodową. Pędzący w ślad za nimi Feygor przycisnął palce do mikrofonu komunikatora.

- Alarm! Alarm! Hangar czterdzieści pięć! Intruzi próbują przedostać się na poziom trzydziesty!

W podhangarze wybuchło pandemonium ludzkich głosów.

Żołnierze wpadli na klatkę schodową, usłyszeli dobiegający z dołu tupot butów. Feygor sadził po trzy stopnie na raz, Pollo biegł tuż za nim, Brostin nieco w tyle.

Adiutant wychylił się za poręcz schodów i wystrzelił w dół na oślep. Odpowiedziały mu dwa strzały, pociski zrykoszetowały o metalowe stopnie. W dole rozległ się trzask otwieranych z całej siły drzwi.

Dolne przejście prowadziło do hali fabrycznej pełnej milczących maszyn. Pomieszczenie było niepokojąco ciche i mroczne, posadzka lśniła plamami oleju. Feygor przesadził próg jednym skokiem i omal nie zginął zastrzelony przez napastnika ukrytego na futryną. Dwie kule gwizdnęły tuż za potylicą adiutanta. Brostin wtargnął do środka warsztatu moment później, przygwoździł przeciwnika do ściany ciosem toporka.

Półmrok hali rozjaśniły płomienie wylotowe wystrzałów. Feygor spostrzegł jeden z ogników, przypadł na kolano, ująwszy pistolet oburącz wystrzelił w stronę celu. Trafiony mężczyzna poleciał na jeden ze stołów montażowych, odbił się od niego, runął na podłogę.

Trzeciego nigdzie nie było widać. Pollo i Feygor podkradli się do przodu, po czym obaj drgnęli słysząc zgrzyt otwieranych drzwi. Na ułamek sekundy dostrzegli ludzką postać obramowaną światłem wpadającym do warsztatu zza progu wejścia. Pistolet Pollo huknął i postać runęła na ziemię.

Brostin odnalazł włącznik oświetlenia w hali, nacisnął go.

Pollo upewnił się, że postrzelony przy drzwiach człowiek nie żyje i wrócił do Feygora, przeszukującego zwłoki mężczyzny leżącego między stołami montażowymi. Nie sposób było nie rozpoznać tożsamości człowieka o zdeformowanych rysach twarzy i poznaczonych dziesiątkami blizn dłoniach. Tanithijski mundur z trudem na niego pasował, niemniej jednak był to tanithijski mundur, z posrebrzonym nożem w pochwie przy pasie włącznie.

- Feth! – wciągnął powietrze Feygor.

- Popatrz na to – powiedział Pollo klękając obok zwłok. W pobliżu osmalonego otworu po wiązce Feygora mundur naznaczony był inną dziurą, zszytą niedokładnie za pomocą czarnej nici.

- Nie pierwszy raz ten mundur leży na martwym człowieku – oświadczył Verghastyta.

Świeża naturalna żywność była rzecz jasna rzadkością w Cirenholmie, ale obiad czekający na Gaunta i Zweila prezentował się nad wyraz zachęcająco.

- Przeszedłeś samego siebie, Beltayn – pochwalił swego adiutanta Gaunt.

- To nic takiego, sir – odparł Duch, chociaż widać było, że komplement sprawił mu przyjemność – Jaki byłby ze mnie adiutant, gdybym nie potrafił załatwić mięsa i świeżego chleba dla swojego szefa?

- Mam nadzieję, że zostawiłeś trochę dla siebie – powiedział Gaunt. Beltayn zaczerwienił się nieznacznie – Jeśli adiutant nie potrafi zadbać o własny żołądek, jak mógłby troszczyć się o żołądek swego szefa?

- Tak jest, sir – Beltayn wyciągnął spod kurtki butelkę klaretu – Proszę nie pytać, skąd to mam.

- Mój drogi Beltaynie – Zweil natychmiast napełnił trunkiem swój kieliszek – Już tym jednym uczynkiem zapewniłeś sobie wejście do nieba.

Adiutant uśmiechnął się, zasalutował i wyszedł z pokoju.

Zweil zaproponował alkohol Gauntowi, ten podziękował mu jednak ruchem głowy. Obaj mężczyźni siedzieli przy stole w pokoju gościnnym kupieckiego domostwa, które pułkownik-komisarz zaadoptował na potrzeby swego sztabu. Dom był mały, wychłodzony i zatęchły, ale przynajmniej nie zbywał na umeblowaniu. Zweil oblizwał swe wargi i zaczął pochłaniać obiad.

- Jesteś zadowolony ze sprawy Caffrana?

- Ciężar spadł mi z serca, ojcze. Chłopak prosił, bym przekazał ci podziękowania za udzielone mu duchowe wsparcie.

- Przynajmniej tyle mogłem dla niego zrobić.

- Będziesz bardzo zajęty przez następne parę dni – powiedział Gaunt – Zbliży się godzina inwazji, żołnierze będą szukali błogosławieństwa i pokrzepienia.

- Już zaczęli. Za każdym razem, kiedy przychodzę do kaplicy, czeka tam na mnie kilku Duchów.

- I jakie odnosisz wrażenie z tych spotkań?

- Dobre, dobre... Są gotowi do akcji, jeśli to chciałeś usłyszeć.

- Chciałem usłyszeć prawdę, ojcze.

- Dobrze wiesz jakie w jednostce panują nastroje. A jak wygląda Operacja Larisel?

Gaunt odłożył na blat stołu sztucce.

- Nie powinieneś na ten temat niczego wiedzieć, ojcze.
- Och, zgadza się. Nikt się nie wygadał, ale w przeciągu ostatnich dwóch dni Varl, Kuren, Meryn, Milo, Cocoer i Nour zgłosili się do mnie, by wyznać grzechy i prosić o boską opatrzność. Trudno się czegoś nie domyślać.

- Będzie dobrze, pokładam w nich niewzruszoną nadzieję.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi, do jadalni wszedł Daur. Verghastyta wyglądał na podekscytowanego.

- Kapitanie, proszę usiąść i nalać sobie klaretu. Mogę poprosić Beltayna o doniesienie obiadu, jeśli jest pan głodny.

- Dziękuję, już jadłem – Daur dosiadł się do stołu.

- Poproszę zatem o raport.

- Mały incydent w hangarach rozładunkowych. Feygor miał kłopoty z grupką intruzów próbujących skraść amunicję.

- Doprawdy?

- To był Pakt Krwi, sir.

Gaunt odsunął talerz i spojrzał uważnie na kapitana.

- Mówisz serio?

Daur skinął w odpowiedzi głową.

- Trzech z nich było przebranych za Duchy, czwarty miał strój Munitorium. Wszyscy nie żyją. Słyszałem, że doszło do ostrej wymiany ognia.

- Feth! Musimy...

- Już zrobione, sir – Daur uniósł znacząco dłoń – Przeczesałiśmy okolicę i zlokalizowaliśmy ich komórkę ukrytą na dolnych poziomach miasta. Musieli się tam kryć od dnia wyzwolenia. Nie chcieli się poddać, więc doszło do walki. W kryjówce mieli ponad trzy tony materiałów wybuchowych. Widocznie przygotowywali się na aktów dywersji.

Gaunt wyprostował się na krześle.

- Zaalarmowaliście dowódców innych jednostek?

- Koordynujemy ponowne przeszukanie całego miasta, żeby się upewnić, iż nikt inny nie przeszedł przez sieć pierwszej obławy. Jak dotąd żadnych śladów, więc wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z odosobnioną grupą. Zidentyfikowaliśmy natomiast sześciu miejscowych, którzy pomagali heretykom.

- Na Tron!

- Myślę, że Pakciarze przymuszali ich do pomocy groźbami, ale też dobrze za te usługi płacili. W uszkodzonych złotych monetach.

Gaunt odłożył sztućce na w połowie pełny talerz kończąc posiłek.

- Czy wszystkie te informacje zostały przekazane do wiadomości komisarza Del Mara?

- W chwili obecnej powinny już trwać przesłuchania i egzekucje.

- Niebawem... – wydał wargi Zweil – Uwolniliśmy ich spod jarzma tych bestii, a mimo to piętno korupcji wciąż kusi.

- Sir – Daur zaczął mówić wolniej, starannie dobierając słowa – Pakt Kwi korzystał z przebrań, skradzionych mundurów i ekwipunku. W ich kryjówce zabezpieczyliśmy dziewięć kompletnych tanithijskich uniformów.

- Skąd je wzięli?

- Z domu pogrzebowego., sir. Już to sprawdziłem. Dziewięć worków na ciała zostało otwartych, zwłoki odarto do naga.

- Przeklęci bezbożnicy...

- Sir, oni mieli wszystko. Ubrania Duchów, pasy, nawet noże.

Gaunt pojął w końcu, dokąd zmierza kapitan. Spojrzał na rozmówcę zdumiony.

- Mówisz o Cuu, prawda?

Daur westchnął ciężko.

- Tak, sir, mówię o nim. Mężczyzna w tanithijskim mundurze, uzbrojony w nasz regulaminowy nóż, noszący przy sobie sprofanowane złote monety. To nie jest już dłużej takie proste.

- Feth – pułkownik-komisarz nappełnił swój kieliszek – Cuu jest zabójcą. Złapaliśmy go.

- Z całym szacunkiem, sir – zaprzeczył ruchem głowy Daur – Być może nie. Nie darzę sympatią Cuu, ale on upiera się przez cały czas, że jedynym przestępstwem jakiego się dopuścił była kradzież złota. Co, jeśli faktycznie jest niewinny? Mamy teraz autentyczne powody, by podważyć akt oskarżenia.

- Tak, ale...

- Pułkownik-komisarzu, stanął pan w obronie Caffrana, ponieważ istniały wątpliwości co do zarzucanych mu czynów. Czy Cuu również nie zasługuje na taki gest lojalności? On jest Duchem, tak samo jak Caffran.

- Ale...

- Ale co? Jest Verghastytą? O to chodzi? – Daur podniósł się z krzesła z rozgniewaną twarzą.

- Usiądź, Daur! Nie to miałem na myśli!

- Naprawdę? Więc powiedz to wszystkim Verghastytom w tym regimencie jutro, kiedy Cuu stanie pod ścianą!

Kapitan wyszedł z pokoju zamykając za sobą z trzaskiem drzwi.

- Czego? – warknął w stronę spozierającego na niego Zweila Gaunt.

Starzec wzruszył ramionami.

- Chłopak ma rację. Cuu to Duch. Powinien oczekiwać, że wielki i wspaniały Ibram Gaunt będzie walczył o jego życie równie zaciekle i bezkompromisowo jak o życie Caffrana.

- Cuu jest zabójcą – powtórzył Gaunt.

- Być może. Jeśli masz nadzieję, że potwierdzą twoje podejrzenia lub je obalą dzięki wyznaniom zasłyszczanym podczas spowiedzi, to muszę cię rozczarować. Jestem powiernikiem dusz ludzkich, ale dochowuję tajemnic, inaczej ludzie przestaną mi ufać. Tylko Bóg-Imperator słyszy to, co ja słyszę.

- Imperator strzeże.

- Faworyzujesz jedną z części regimentu?

- Słucham?

- Faworyzujesz Tanithijczyków? Często tak właśnie myślą twoi ludzie. Darzysz ich większą atencją od Verghastytów.

- Nieprawda!

Zweil wzruszył ramionami.

- Tak to właśnie wygląda, zwłaszcza dla Vervuńczyków. Cenisz ich, szanujesz, czasami nawet lubisz, tak jak Daura. Ale zawsze w pierw patrzysz na Tanithijczyków.

- Bo są ze mną dłużej.

- To żadne usprawiedliwienie. Czy Verghastyci są żołnierzami drugiej kategorii w tym regimencie?

- Nie! – Gaunt uderzył kieliszkiem w blat stołu, podniósł się z krzesła – Nie, nie są!

- Więc przestań im dawać do zrozumienia, że jednak są. Działaj, zanim Pierwszy Tanithijski rozpadnie się na dwie części.

Gaunt nic nie odrzekł, stanął przy oknie wyglądając na zewnątrz.

- Ile razy w ciągu ostatniego tygodnia wspomniałeś w odprawach Corbeca? Ile razy informowałeś ludzi o postępach w jego leczeniu? A ile razy wspomniałeś o Soricu? Dwaj

oficerowie, obaj szczerze kochani przez podwładnych, obaj darzeni twoją sympatią... obaj konający. Corbec przewija się w każdej twojej przemowie do regimentu. Soric? Wybacz mi, Ibramie, ale nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy o nim wspomniałeś.

Gaunt odwrócił się z wolna w stronę kapłana.

- Odmawiam przyjęcia do wiadomości twoich zarzutów. Zrobiłem wszystko, by Verghastyci czuli się pełnoprawnymi członkami tego regimentu. Doskonale zdaję sobie sprawę z faktu, że istnieje rywalizacja...

- Tak, Ibramie?

- Jeśli uważasz, że to prawda... i jeśli Daur tak uważa, a właśnie dał mi to jasno do zrozumienia, zrobię, co będę musiał. Pokażę żołnierzom, że w tym regimencie nie ma żadnych podziałów. Pokażę, że nie wątpię w nikogo. Nikt nie będzie miał prawa sugerować, że przedkładam Tanithijczyków ponad Verghastytów. Duchy to Duchy. Zawsze i na zawsze, pierwsi i ostatni. Nie ma znaczenia, gdzie się urodzili.

Zweil uniósł swój kieliszek w geście toastu i wypił jego zawartość.

- Myślę, że wiesz, co powinieneś uczynić wpierw?

- Tak, chociaż zrobię to wbrew swoim wszystkim normom etycznym. Będę walczył o życie Cuu.

Przemaszerowali dwadzieścia kilometrów w dolnych częściach miasta, po czym przyspieszyli kroku pokonując trzydzieści pięter centralnej klatki schodowej dzielnicy biegiem.

Kiedy oddział Kolei dotarł w końcu do parku będącego punktem wyjścia grup ćwiczebnych, wszyscy żołnierze ociekali już potem i dyszeli ciężko.

- Koniec – wysapał z trudem Kolea. Sierżant osunął się na kolana i zgiął ku ziemi tak mocno, że wiszący na jego szyi nieśmiertelnik spoczął na kamykach. Mężczyzna splunął siarczyście.

Żołnierze gdzie popadło lub rozeszli się w poszukiwaniu wody. Kawałek dalej, na uschniętym szarym trawniku, plutony Skerrala i Ewlera wykonywały ćwiczenia rozciągające mięśnie w rytm poleceń rzucanych barytonem przez Skerrala.

Hwlan rzucił w ręce Kolei butelkę wody. Sierżant podziękował mu ruchem głowy i pociągnął łyk płynu.

Pluton sprawiał wrażenie osłabionego i bardzo się to Kolei nie podobało. Kilku członków grupy zginęło podczas szturm na Cirenholm, ale Rawne obiecał, że przetrzuci w stosownym czasie uzupełnienia z rezerwowych plutonów, by przywrócić standardową liczebność.

Najbardziej w oczy rzucała się jednak nieobecność trzech osób, które znikły po przybyciu do Cirenholmu. Nessa i Nour zostali wyznaczeni przez Gaunta do udziału w tajnej misji. Cuu aresztowano. Kolea nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

- Może powinniśmy odwiedzić Cuu dziś wieczorem, jeśli dostaniemy przepustki – zasugerował Lubba czytając w jakiś sposób w myślach sierżanta. Można było zresztą odnieść wrażenie, że wszyscy członkowie plutonu myślą o tym samym.

- Co masz na myśli?

- Zobaczyc się z nim. Życzyć powodzenia. Wszystko z nim będzie w porządku, prawda, sierżancie?

- Tak, pewnie.

Lubba, operator miotacza płomieni, był niskim barczystym mężczyzną o ciele pokrytym gangsterskimi tatuażami. Duch oparł się plecami o metalowe ogrodzenie parku.

- Cóż, nie zobaczymy już więcej tego biednego sukinsyna, prawda?

- Co?

- Jutro o tej porze będzie już sztywny. Rozwałą go pod ścianą – powiedział Jajjo.

- Tylko, jeśli okaże się winny... – zaczął Kolea – Nie wierzę, żeby Cuu, nawet Cuu, był zdolny do takiej zbrodni.

- To i tak nie ma znaczenia – odparł Lubba – Stary Gaunt wsadził jaja w imadło, żeby wyciągnąć Caffrana. Nie robi tego drugi raz. Myślę, że to nawet był taki układ. Cuu zamiast Caffrana.

Kolea pokręcił przecząco głową.

- Gaunt nie zrobiłby...

Kilku Verghastytów roześmiało się sarkastycznie.

- Nie zrobiłby!

- Caff to Tanithijczyk, co nie? Jest cenniejszy!

Kolea podniósł się z ziemi.

- On nie postępuje w ten sposób, Lubba. Wszyscy jesteśmy Duchami.

- Pewnie, pewnie – Lubba odchylił w tył głowę, przymknął oczy.

Przez chwilę panowała napięta cisza zakłócana jedynie okrzykami sierżanta Skerrala. Po raz pierwszy Kolea dostrzegł emocje skrywane dotąd przez swoich podwładnych. Oni czuli się ludźmi drugiej kategorii. Nigdy wcześniej tego nie zauważył, Gaunt zawsze zwracał się do niego z głębokim szacunkiem. Ale teraz...

- Zbierajcie się! – klasnął w dłonie – Na nogi i marsz do łaźni! Żywo! Posiłek za dwadzieścia minut!

Odpowiedziały mu jęki niezadowolenia, ludzie zaczęli podnosić się opieszale z ziemi. Kolea zaczął popędzać ich w stronę wyjścia z parku.

Ana Curth, ubrana w stary polowy mundur, siedziała na drewnianej ławce opodal wyjścia z parku. Skrzyżowawszy kształtne nogi tkwiła pogrążona w lekturze książki.

- Dobra książka? – spytał Kolea zatrzymując się przy niej na chwilę.

Kobieta podniosła ku górze wzrok.

- Gregorus z Okassis. *Ody*. Polecił mi ją Dorden. Albo jestem głupia albo tylko dzisiaj mam kłopoty ze zrozumieniem tekstu.

- Acha – Kolea przesunął wzrokiem po żołnierzach wchodzących na klatkę schodową za parkiem – Masz przerwę pomiędzy zmianami?

- Tak. Lubię świeże powietrze.

Kolea obejrzał się przez ramię i spostrzegł ironiczny uśmiezek na ustach lekarki.

- Mówiąc serio, czekałam tu na ciebie. Obel powiedział mi, że właśnie tędy będziecie wracali z ćwiczeń.

- Na mnie? – zdziwił się Kolea.

- Na ciebie.

- Czemu?

- Bo czuję się wmieszana w pewną sprawę, która mi się nie podoba. Masz wolną chwilę?

Sierżant usiadł na ławce obok kobiety.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy jakiś czas temu na Bhavnagerze? Nie powiedziałaś mi wtedy wszystkiego.

- Nie. Od kogo to wiesz?

Kobieta uderzyła go delikatnie w ramię książką.

- Od nikogo, podeszłam cię. Ale powinieneś być wtedy powiedzieć.

- Nie zaczynajmy tego od nowa.

- Odpowiedz mi, sierżancie. Czy próbujesz się za wszelką cenę zabić?

Kolea otworzył usta, ale nie zdołał nic odrzec. Sprawiał wrażenie całkowicie zaskoczonego.

- Oczywiście, że nie – wykrztusił w końcu – Chyba, że uważasz zaciąg do Gwardii za śmierć na życzenie.

Curth wzruszyła ramionami.

- Ludzie uważają inaczej.
- Ludzie?
- Niektórzy ludzie.
- Którzy?

Curth uśmiechnęła się lekko. Sierżant lubił jej uśmiech.

- Dalej, Gol – powiedziała – Nie chcę...
- Zaufałem ci wtedy. Może teraz ty obdarzysz zaufaniem mnie.
- Kobieta odłożyła książkę na ławkę i przeciągnęła się.
- Złapałeś mnie. W porządku. Jeden z tych ludzi to Varl.
- Wiedziałem...
- Nic mu nie mów – wtrąciła pośpiesznie – Kwestia zaufania, rozumiesz?
- W porządku – burknął sierżant.
- Varl... nie on jeden jak sądzę... uważa, że podejmujesz nieuzasadnione ryzyko. Ci ludzie sądzą, że utraciwszy żonę i dzieci szukasz... jak to się nazywało? Biletu do domu?
- Biletu powrotnego.
- Tak, dokładnie. Bądź co bądź, tak właśnie myślą. Ale ja wiem lepiej, prawda? Mylą się?
- He? – sierżant podniósł książkę i zaczął przerzucać jej strony. Poezja. Długie zawile poematy podobne do tych, przez które musiał brnąć w szkole podstawowej dwadzieścia pięć lat temu.
- Mają faktycznie powody ku temu, by się martwić?
- Nie – mężczyzna podniósł szybko wzrok i spostrzegł, że lekarka obserwuje go uważnie – Nie. Ja nie... biorę na siebie niepotrzebnego ryzyka. Nie sądzę, bym to robił. Na pewno nie z rozmysłem.
- Ale?

Kolea przygryzł na moment dolną wargę, po czym spojrzał na książkę potrząsając leciutko głową.

- Była jedna taka chwila, podczas desantu. Wpadłem pod wrogi ostrzał i nic sobie z tego nie robiłem. Varl to zobaczył. Nawet w tej chwili nie potrafię sobie uświadomić, co takiego właściwie chciałem zrobić.
- Uciec?

Odwrócił głowę i spojrzał w oczy kobiety. Nie było w nich cienia oskarżeń, wyłącznie troska. To właśnie ta troska czyniła z niej doskonałą lekarzkę.

- Co masz na myśli?
- Każdy z nas szuka drogi ucieczki. Ucieczki przed bólem, lękiem, śmiercią. Ucieczki przed wszystkim, czego w życiu nienawidzimy. Każdy z nas ma na to własny sposób. Są Duchy topiące troski w alkoholu. Są tacy, którzy zaprzatają swą uwagę hazardem, inni gromadzą fetysze i amulety –nie przerywając zdania kobieta wyciągnęła z kieszonki bluzy pudełko skrętów z liści lho, zapaliła jednego – Mój sposób to książka ze starymi wierszami, ławka w parku i ta cholerna używka – wciągnęła w płuca chmurę tytoniowego dymu. Rzuciła palenie dobre parę lat przed egzaminami w akademii medycznej, ale kilka miesięcy temu powróciła do starego nałogu – Lubię też szklaneczkę sakry od czasu do czasu. Feth, stosuję na zmiany wszystkie sztuczki pozostałych, nieprawdaż?

Sierżant roześmiał się, rozbawiony po części jej uwagą, po części zaś sposobem, w jaki rodowita Verghastytka wypowiedziała tanithijskie przekleństwo. Curth była jedną z niewielu osób pochodzących z Verghastu, które bez oporów posługiwały się słowami zapożyczonymi z tanithijskiego dialektu.

- I tak dochodzimy do ciebie – podjęła wywód – W twoim przypadku nie ma ucieczki, prawda? Narkotyki i alkohol tylko pogorszyłyby sytuację. To straszne znajdować się tak blisko swych dzieci, a zarazem tak od nich daleko. W takim przypadku droga ucieczki wydaje się w zasadzie tylko jedna. Śmierć.

- Bawisz się teraz w psychoterapeutę?

Wydmuchnęła chmurkę dymu.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie. Wiesz o tym.

- Wiem.

- Doprawdy?

- Tak. Powiedzieć im. Powiedzieć wszystko Caffranowi i Tonie. Pokazać się dzieciom. Nie myśl sobie, że tego nie rozważałem. Ana, coś takiego zrani ich wszystkich. Caffran i Criid... to ich zniszczy. To tak jakby im chciał odebrać własne dzieci. A Dalin i Yoncy? Już raz mnie stracili. Powrót do mnie mógłby się okazać zbyt ciężkim wyzwaniem dla ich psychiki.

- Myślę, że sobie z tym poradzą. Myślę, że dobrze by na tym wyszli, wszyscy. To miałyby dla nich większe znaczenie, niż ci się wydaje.

- Być może – odparł sierżant kartkując książkę.

- Nie wspominam już o zbawiennym wpływie takiego rozwiązania na ciebie. Co o tym sądzisz?

- A jeśli nie mam zdania?

- Och, biedaku, ty nawet nie masz pojęcia jak ja potrafię być natrętna i namolna. Nie wspomnę już o udreće tych wszystkich dodatkowych zabiegów medycznych, które mogę dla ciebie zorganizować.

- Dogadajmy się – zaproponował Kolea – Atak na Ouranberg jest już bliski. Naprawdę bliski. Pozwól mi skoncentrować się na tym. Potem... potem wyjaśnię tę sprawę. Skoro uważasz, że to jest najlepsze rozwiązanie.

- Uważam. Naprawdę tak uważam.

- Lecz nie przed Ouranbergiem. Caffran i Cridd muszą mieć czyste głowy. Taka wiadomość byłaby dla nich niczym trafienie w dom z bombardy.

Curth skinęła głową i wypuściła z płuc kolejny obłoczek dymu. Tytoniowa chmura przybrała niebieskawą barwę w sztucznym oświetleniu parku.

- Idę na to – powiedziała lekarka.

Kolea przewertował kartki książki w drugą stronę zamierzając oddać tom kobiecie. Nie zrobił tego, zatrzymał palec na stronie tytułowej. Do kartki przyklejony został lekko żółknięty certyfikat – szkolna nagroda będąca wyróżnieniem za osiągnięcia w nauce uzyskane przez Mikala Dordena.

- Pożyczyłaś to od Dordena?

- Tak – kobieta zerknęła na kartkę – O, nie zauważyłam tego wcześniej. Musiała należeć do jego syna.

Przez pierwsze kilka lat istnienia regimentu Mikal i Tolin Dordenowie stanowili wyjątek pośród tanithijskich żołnierzy. Ojciec i syn, oficer medyczny i szeregowiec piechoty. Jedyne spokrewnione ze sobą osoby, które ocalały z zagłady Tanith.

Mikal zginął podczas walk w Vervunhive.

Kolea oddał lekarce książkę.

- Gol?

- Tak?

- Nie zwlekaj z tym za bardzo. Nie czekaj, aż będzie za późno.

- Obiecuję, że tego nie zrobię.

O godzinie 8.00 rano 222. dnia Duchy uczestniczące w Operacji Larisel zebrały się w pomieszczeniu magazynowym przylegającym do ćwiczebnego podhangaru. Wszyscy porządnie się wyspali, wzięli prysznic, po czym zjedli śniadanie dowieszone z wojskowej kuchni. Napięcie wciąż nie słabło, ale w oczach ludzi pojawił się nowy błysk, dowód gotowości i chęci działania.

Pomieszczenie gospodarcze zostało wcześniej uprzątnięte, wstawiono do niego stół taktyczny oraz kilkanaście krzeseł.

- Siadajcie – polecił Kersherin, kiedy cała grupa weszła do środka. Wszyscy zrobili zaskoczone miny widząc przekraczającego próg kapitana Daura. Oficer zdjął z miejsca swoją czapkę i kurtkę.

- Dzień dobry – powiedział.

- Gdzie pułkownik-komisarz? – spytał Mkoll.

- Prosił mnie, abym przekazał jego przeprosiny i przyszedł na zastępstwo. Coś mu wypadło.

Daur podszedł do stołu taktycznego i wsunął do slotu czytnika kanciasty nośnik danych. Terminal zaczął buczeć, na jego szklanej powierzchni pojawiły się ciągi znaków. Daur wstukał litery hasła umożliwiającego dostęp do poufnych informacji.

- Co mu wypadło? – odezwał się Adare, ale kapitan zignorował jego pytanie.

- Porozmawiajmy o Ouranbergu – zasugerował wskazując dłonią stół taktyczny. Phantyńscy specjaliści zajęli miejsca pomiędzy Duchami. Daur nacisnął jakiś klawisz i ponad stołem pojawiła się trójwymiarowa projekcja majestatycznego miasta.

- Oto i on – oświadczył kapitan. Wszyscy pochylili się w stronę stołu.

- Kto chce, może wstać. Prędzej czy później i tak wszyscy będziecie musieli zaznajomić się z tym miejscem. Zacznijmy od informacji podstawowych. Dwie połączone ze sobą kopuły, Alfa i Beta, to kompleksy mieszkalne. Wbudowany pomiędzy nie od północy kompleks to główny młyn oparowy. Tutaj, widzicie? Do młyna i kopuły Beta przylega Gamma, mniejszy sektor mieszkalny. Jeszcze mniejsze habitaty znajdują się na północnej krawędzi młyna. Główny aerodrom znajduje się tutaj, poniżej rowka między piersiami, jeśli spojrzymy na te kopuły z anatomicznego punktu widzenia.

- Hej, lepiej nie – syknęła Banda. Kilku mężczyzn roześmiało się głośno.

Daur uniósł dłoń w geście przeprosin.

- W porządku. Tutaj, na południowych obrzeżach, znajduje się główna porta...

- Co to jest porta? – spytał Larkin.

- Brama, Larks.

- Lepiej się upewnić – odburknął snajper zapisując coś w notesie.

- Główna brama, jakby ją nie znać. Sześćdziesiąt metrów kwadratowych tworzących hermetyczny właz o nazwie Ourangate. Przed nią, na skalnym płaskowyzu o długości jednego kilometra, rozciągają się Pola Pavii, coś w rodzaju ornamentowanej platformy.

Co to takiego? zasygnalizowała rękami Nessa.

- Postumenty. Pomniki wzniesione dla uczczenia bohaterów wojennych – wyjaśnił Daur posługując się wprawnie zarówno głosem jak i językiem migowym – Noszą nazwę Alei Poliandronów i wytyczają oficjalną drogę wiodącą do Ourangate. Do Pól Pavii przylega dzięki mostowi wzniesiona na sąsiednim górskim szczycie stacja portowa, główny punkt postojowy dla sterowców, zwłaszcza tych przewożących wysokich rangą pasażerów. Po przeciwnej stronie miasta, na północnym wschodzie, inny górski szczyt posłużył do lokalizacji drugiego młyna oparowego. Masyw skalny stanowiący podstawę miasta przebija się przez nie w jednym miejscu wyrastając ponad kopuły, stąd szczyt nazywający się... Ouranpeak.

Kapitan wskazał skalną iglicę wystrzeliwującą w przestworza pomiędzy kopułami Beta i Gamma.

- Co to za instalacje na zachodzie i północy? – zapytał Mkoll.

- Rury kominowe – wyjaśnił Daur – Są połączone za pomocą wsporników i kratownic z głównym młynem, służą do odprowadzania przemysłowych gazów.

Kapitan rozejrzył się po pokoju.

- Dotąd wszystko zrozumiałe? Zaraz porozmawiamy o strefach zrzutu. Czy ktoś ma jakieś pytania?

- Tak – powiedział Varl – Co takiego wypadło Gauntowi?

- Zaczęliście? – zapytał Gaunt.

- Tak, zaczęliśmy – odparł zmęczonym głosem Del Mar – Czas jest na wagę złota, dlatego przesunęliśmy godzinę rozpoczęcia obrad o trzydzieści minut.

- Nikt mnie o tym nie poinformował.

- Gaunt, zakładam, że nie zamierza pan ingerować w przebieg tego posiedzenia?

- Zmieniłem zdanie – odpowiedział Duch i ruszył w stronę rzędu pustych krzeseł po stronie składu obrońców.

Na podwyższeniu w miejscu zajmowanym niedawno przez Caffrana stał Cuu, skuty i zrezygnowany.

- Proszę do mnie podejść – polecił Del Mar. Gaunt udał się w stronę stołu sędziowskiego, przechylił się ponad nim.

- Ledwie zniosłem te prawnicze przepychanki we wczorajszej sprawie Caffrana, Gaunt – wyszeptał Del Mar – Nie wierzę, że zamierza pan powtórzyć to dzisiaj. Tam stoi człowiek, którego pan sam nam wskazał jako zabójcę. Sprawa już jest zamknięta. On jest mordercą.

- Mogłem się mylić. Proszę o jedną chwilę.

Nie czekając na pozwolenie sędziego Gaunt odwrócił się i podszedł do skazańca.

- Zrobiłeś to? – zapytał wprost.

- Nie, sir! – w zimnych na co dzień oczach Cuu malowało się zwierzęce przerażenie – Ukradłem złoto, heretyckie złoto, za to dam sobie rękę uciąć! Ale nie ja zabiłem! Pewnie, że pewnie!

Gaunt zamyślił się na moment, a potem podszedł z powrotem do sędziowskiego stołu, zdjął z ramienia worek podróżny i wysypał jego zawartość na blat przed komisarzem.

Tanithijskie noże, dziewięć w sumie, każdy w regulaminowej pochwie.

- Co to jest? – zapytał Del Mar.

- Wojskowe noże. Broń biała stosowana przez Tanithijczyków. Jak pan widzi, niektóre z nich mają szczyrby na ostrzach. Każdy mógł posłużyć jako potencjalne narzędzie mordu.

- I dlaczego miałbym w to uwierzyć?

- Ponieważ znaleziono je przy członkach komórki dywersyjnej Paktu Krwi. Heretycy znajdowali się w posiadaniu kilku kompletów mundurowych Tanithu oraz tych noży. Używali sprofanowanych pieniędzy do przekupienia lokalnej ludności. Zdeponowane w sądzie dowody: kawałek ostrza oraz złota moneta, wskazują na Cuu jako sprawcę zbrodni. Ale nie można zapomnieć, że tamtej nocy nie każdy człowiek w mundurze Duchów był Duchem.

- Teraz naprawdę zaczyna mnie pan wkurzać, Gaunt – zirytował się Del Mar – Nie zamierzam tego tolerować.

- Nie dbam o to, interesują mnie wyłącznie moje obowiązki. Istnieją poważne przesłanki do obalenia zarzutów stawianym oskarżonemu. Równie poważne przesłanki jak te, które pozwoliły uniewinnić Caffrana.

- Ostrzegam pana...

- Niech pan nawet nie próbuje. Obaj wiemy, że mam rację.

Del Mar wyprostował się na krześle, potrząsnął z frustracją głową.

- A co z tym starszym mężczyzną? Świadkiem?

- Pokazałem mu zdjęcie Cuu. Nie rozpoznał go.
- Rozumiem. Zatem Duch, którego widziano na miejscu zbrodni; człowiek odpowiedzialny za zabójstwo Onti Flyte...
- ...był najprawdopodobniej członkiem Paktu Krwi przebrany w tanithijski mundur. Tak, sir.
Del Mar westchnął.
- Dostatecznie wiarygodny powód do oddalenia aktu oskarżenia – powiedział Duch.
- Niech cię diabli, Gaunt.
- Sir, czy możemy zamknąć tę sprawę? Chciałbym powrócić do pełnienia moich regulaminowych obowiązków – pułkownik-komisarz położył szczególny nacisk na słowo „regulaminowych”.
- Przyznał się do kradzieży?
- Tak, sir.
- Zatem zostanie wychłostany. Zamykam sprawę.

Gaunt nie czekał na oficjalne ogłoszenie wyroku. Kiedy zmierzał w dół schodów wiodących do Komnaty Sprawiedliwości, napotkał idącego w drugą stronę komisarza Harka. Oficer sprawiał wrażenie zmęczonego, miał zapuchnięte oczy, a czubkami palców próbował przyglądać rozwichrzony włosy.

Hark zatrzymał się wpół kroku widząc Gaunta.

- Sir?
- Sprawa skończona. Cuu został uwolniony od zarzutu zabójstwa.
Hark zrównał krok z Gauntem.
- Cóż... życzyłbym sobie mimo wszystko, by mnie o czymś takim informowano wcześniej, sir.
- Informowano, Viktorze?
- O zmianie pańskiego poglądu na winę Cuu.
Gaunt zerknął na komisarza z ukosa.
- To była decyzja podjęta za pięć dwunasta. Wy dwaj, ty i ojciec Zweil, od kilku dni dawaliście mi do zrozumienia, że nie traktuję poważnie Verghastytów. I mieliście rację. Popularny Tanithijczyk wpada w tarapaty, a ja poruszam niebo i ziemię, aby go wyciągnąć z opresji. Mniej popularny Verghastyta wpada w tarapaty, a ja macham na to ręką. Czuję dreszcz na samą myśl o tym, co zrobiłbym z morale Verghastytów, jeśli Cuu stanąłby dzisiaj samotnie przed tym trybunałem.
- Cieszę mnie te słowa, sir. Z niezrozumiałego dla mnie powodu sprawiał pan wrażenie faworyzującego Tanithijczyków. Być może nie zdając sobie nawet z tego sprawy.
- Kapitan Daur uświadomił mi ten fakt w dość ostry sposób, muszę przyznać – Gaunt zatrzymał się w miejscu i spojrzał na Harka – Wciąż wydajesz się... wyrzuć to z siebie.
- Jak już powiedziałem, byłbym wdzięczny, gdyby mnie pan wcześniej poinformował o zamiarze obrony Cuu. Mogłem pomóc.
- Poradziłem sobie sam.
- Oczywiście, ale mogłem zająć się robotą papierkową, zgromadzić trochę dowodów. Po to tu jestem.

Gaunt uniósł dłoń. Widząc ten znak czekający na dziedzińcu kierowca zapalił silnik samochodu i zaczął podjeżdżać pod schody gmachu.

- Zakładam, że porozmawiałbyś ze świadkami. Najpewniej wolałbyś sam to zrobić niż pozwolić na to mnie.
- Sir?
- Odwiedziłem pana Absoloma, Hark. Było nie było, miał okazję widzieć zabójcę. Musiałem się upewnić, że to nie był Cuu. Pan Absolom to bardzo uprzejmy człowiek, Wojenny weteran,

nieprawdaż? Dla Imperialnej Gwardii zrobiłby wszystko. Zwłaszcza po odwiedzinach wygadanego komisarza, który opowiedział mu o obowiązkach wobec armii.

- Kazał mi pan zagwarantować uwolnienie Caffrana? - oczy Harka pociemniały.

- A kluczowy świadek mógł tego dokonać, prawda? Absolutnie nie rozpoznał na zdjęciu Cuu, to oczywiste, ale ty przecież już o tym wiesz. Nie rozpoznałby żadnego zdjęcia. On nigdy nie widział zabójcy, prawda, Viktorze?

Hark odwrócił głowę, spojrzął gdzieś w bok.

- Oczekuje pan mojej rezygnacji? – zapytał dźwięczącym goryczą głosem.

- Nie, ale chcę, byś wyniósł z tej sprawy pewną nauzkę. Nie będę łamał imperialnego prawa. Lepiej, żeby Caffran został stracony mimo swej niewinności, niżbym miał skłamać w jego obronie. Komisarze są często otaczani posępną niesławą, Viktorze. To w pełni zasłużona reputacja. Ludzie ci to polityczni drapieżnicy dążący do osiągnięcia za wszelką cenę swych celów. To nie mój styl postępowania i nie będę czegoś takiego tolerował u żadnego z moich współpracowników. Mógłbyś zostać prawdziwym wzorem oficera politycznego, Hark. Moim wyśnionym w naiwnych marzeniach ideałem tego urzędu. Nie ubiegaj się ponownie do takiego wybiegu, bo będę cię musiał wykopać z tej jednostki i z Komisariatu. Czy wyraziłem się dość zrozumiale?

Hark skinął głową. Gaunt wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku bramy. Komisarz obserwował oddalający się pojazd.

- I kto tu jest naiwny? – powiedział.

Gaunt wspiął się na przyciągniętą przez Beltayna pustą skrzynkę amunicyjną. Zaczął mówić, a dźwięk pierwszych jego słów sprawił, że zgromadzeni w wielkiej hali gwardziści z miejsca umilkli.

- Ludzie Verghastu, ludzie Tanithu. Duchy. Przed chwilą otrzymaliśmy rozkazy. Jeśli pogoda dopisze, o świcie 226. dnia wyruszymy na Ouranberg. Przygotujcie się do tego. To wszystko.

Zeskakując ze skrzynki i zakładając na głowę czapkę pułkownik-komisarz pomyślał o tym, czego żołnierzom powiedziec ze zrozumiałych powodów nie mógł. W chwili rozpoczęcia inwazji członkowie Operacji Larisel mieli spędzać dwudziestą czwartą godzinę w obrębie Ouranberga.

Oby ich Bóg-Imperator strzegł.

a

SKOK

Ouranberg, Phantine, 224.771.M41

„*Nigdy, nigdy, już nigdy więcej!*” – Hlaine Larkin, snajper drugiej sekcji specjalnej, Tanithijski Pierwszy.

Tuż po północy, w pierwszych godzinach 224. dnia, na północ od Cirenholmu rozszalała się monumentalna burza. Długie na wiele kilometrów jęzory ognia wystrzeliwały w górne warstwy atmosfery, a grube warstwy chmur kłębiły się szaleńczo.

Zasięg systemów namierzania został ograniczony do zaledwie pięciu kilometrów. Chmury popiołów przysłoniły blask gwiazd. Zatrute serce Phantine biło szaleńczo rozpalając ciemność nocy ognistymi łunami.

Burza została przewidziana przez meteorologów marynarki kosmicznej oraz astropatów. Na to właśnie czekali oficerowie sztabowi imperialnego kontyngentu.

Sterowce *Zephyr* i *Trenchant* zajęły pozycje wyjściowe kilka godzin przed północą. Otoczone gęstą kurtyną *altocumulusów* rozciągających się na przestrzeni czterdziestu kilometrów, sterowce unosiły się w miejscu zwanym Pustką Leawarda, położonym niemal w samym środku wielkiej powietrznej pustyni zwanej Zachodnimi Pustkowiemi Kontynentalnymi.

Przebywający na pokładzie *Zephyra* admirał Ornoff wydał rozkaz startu.

Ornoff efektywnie wykorzystywał sterowce w swym planie nocnych rajdów. Wyrzucając w powietrze wyprawy bombowe ze zmieniających ustawicznie położenie sterowców zyskiwał pewność, że obrona przeciwlotnicza Ouranberga nigdy nie była do końca przekonana, z której strony nastąpi kolejny atak. Nieprzyjacielskie eskadry myśliwskie przeczesywały okolicę z dnia ludząc się nadzieją na zlokalizowanie imperialnych lotniskowców, ale Zachodnie Pustkowie Kontynentalne były rozległe, a Ornoff umiejętnie korzystał z osłony tworzonej przez burzowe *mammatoculusy*.

Nocny rajd przeprowadzony 224. miał uderzyć na Ouranberg od południowego wschodu, pokonując wprawdzie dystans trzystu czterdziestu kilometrów. Silne prądy powietrzne Pustki Leawarda miały zapewnić maszynom odpowiednie przyśpieszenie. Samoloty leciały w ciemnofioletowym pasie powietrza na pułapie, gdzie troposfera przechodziła w stratosferę.

Wraz z myśliwską eskortą w postaci *Lightningów* i *Thunderboltów* marynarki, wyprawa liczyła ponad sześćset samolotów. Trzydzieści matowoszarych *Marauderów* z insygniami Korpusu Powietrznego *Phantine* tworzyło rolę szpicu wyprzedzającej główną część zgrupowania; bombowce te miały zrzucić na cel flary sygnalizacyjne i ładunki zapalające. Sześć minut lotu w tyle znajdowało się trzysta ciężkich bombowców. Zdecydowaną większość tej grupy tworzyły ociążałe sześciosilnikowe *Magogi*, pomalowane na matowoczarny kolor. *Magogi* były samolotami o napędzie śmigłowym przeznaczonymi wyłącznie do latania w obrębie atmosfery, użytkowanymi od setek lat. Oprócz nich w szyku wyprawy leciało też ponad dwadzieścia *Behemothów*, wspaniałych antycznych kolosów phantyńskich sił powietrznych.

W ślad za pierwszą falą podążała druga, złożona z *Marauderów* w barwach marynarki kosmicznej oraz jednostek powietrznych *Urdeshi*. Zielony kamuflaż maszyn marynarki pozwalał odróżnić je z miejsca od srebrnych na spodzie i beżowych w górnej części kadłuba samolotów *Urdeshi*. Wszystkie siedemdziesiąt bombowców załadowanych było bombami zapalającymi.

Trzecia fala liczyła około dwieście maszyn. Należały do niej głównie *Magogi*, chociaż liczyła też dwadzieścia szturmowych modeli *Marauderów* w barwach *Urdeshi* i trzydzieści phantyńskich *Shrike*. Zarówno szturmowe *Maraudery* jak i jednosilnikowe *Shrike* o sierpowatych skrzydłach były bombowcami nurkującymi przeznaczonymi do precyzyjnego ataku na cele obrane w strefie zbombardowanej przez wcześniejsze fale.

Wśród maszyn drugiej fali leciały też cztery niebieskie phantyńskie *Maraudery*, które nie przewoziły na pokładzie żadnych bomb. *Larisel* 1, 2, 3 i 4.

Kersherin i pozostali specjaliści z Powietrznej skontrolowali wszystkich gwardzistów sprawdzając każdy szczegół ich ubioru i ekwipunku ze skrupulatnością, która w innej sytuacji mogłaby się wydawać zdecydowanie przesadną.

Każdy członek oddziału specjalnego miał na sobie zmodyfikowaną wersję tanithijskiego uniformu. Zamiast regulaminowej bielizny wszyscy założyli obcisłe gumowe skafandry, które miały chronić ludzką skórę zarówno przed lodowatym powietrzem jak i żrącymi oparami. Na to ubrano następnie tanithijską bluzę mundurową i spodnie, a na tors ciężką kamizelkę przeciwodłamkową w formie kolczej koszulki. Elementy ekwipunku noszone zazwyczaj w

plecaku zostały umieszczone w kieszeniach mundurów oraz za pasami, po czym zaciśnięto na nich kamizelki. Potem przyszła kolej na rękawice i buty, spięte za pomocą zamków błyskawicznych z nogawkami i rękawami noszonych pod mundurami skafandrów w celu szczelnego zabezpieczenia skóry.

Już po pierwszych minutach gwardziści zaczęli się pocić w swych strojach, a nie był to jeszcze bynajmniej koniec przygotowań. Na mundury została nałożona zewnętrzna uprząż z kieszeniami na rzepy na udach oraz pętlami, na których każdy żołnierz powiesił lampkę i flary sygnałowe, zwój mocnej linki, laserowy pistolet o krótkiej lufie, nóż do cięcia metalu o zębatym ostrzu oraz tanithijski nóż wojskowy. Płaszcz maskujący gwardzistów zostały ciasno owinięte wokół ładunków wybuchowych i granatów, a następnie obwiązane żyłką i przymocowane do zewnętrznej uprząży na torsach Duchów. Pakiety medyczne, żywnościowe oraz amunicję do laserów wszyscy poupychali do kieszeni na udach.

Nie wszyscy mieli przy sobie standardowe lasery. Czterej strzelcy wyborowi nosili schowane w pokrowcach snajperskie karabiny laserowe o długich lufach. Milo, Cocoer, Varl i Meryn uzbrojeni zostali w U90. Amunicja do tego typu broni zajmowała znacznie więcej miejsca, dlatego czterej operatorzy U90 nosili w swych kieszeniach baterie do laserów dla swych towarzyszy broni, zaś każdy inny członek sekcji opasany był jednym pasem z pociskami do U90. Na czas skoku do komór U90 załadowano płaskie magazynki liczące po dwadzieścia pięć nabojów, zabezpieczone jeszcze dla pewności paskami taśmy klejącej, by nie wypadły podczas zrzutu. Pojemniejsze magazynki bębnowe, wiszące na pasach amunicyjnych noszonych przez wszystkich członków grupy, okazały się zbyt duże i nieporęczne, by można z nich było efektywnie skorzystać w trakcie skoku. Na lufy U90, podobnie jak w przypadku zwykłych laserów, nałożono plastikowe nasadki mające zapobiec ich przypadkowemu zabrudzeniu lub zatkaniu po zderzeniu z ziemią.

Żołnierze rozprowadzili na swych twarzach czarną pastę kamuflującą i sprawdzili osobiste moduły łączności. Potem poprawili wysokie kołnierze kombinezonów przygotowując się na założenie hełmów. Varl ucałował medalion w postaci srebrnego imperialnego orzełka zawieszony na szyi, a potem wsunął go pod bluzę.

Wykonane z czarnej stali hełmy miały wbudowane wizjery oraz miękkie obicia wewnątrz. Na wysokości podbródka w każdym znajdowała się skórzana wkładka zabezpieczająca dolną szczękę. Zamek błyskawiczny zamontowany u podstawy hełmu umożliwiał spięcie go ze skafandrem w celu szczelnego zamknięcia całego ubioru. Butla z tlenem zawieszona w przedniej części uprząży zapewniała dopływ powietrza do wnętrza kombinezonu.

Na sam koniec żołnierze założyli swe jednostki zrzutowe, uruchomili je w celu skontrolowania kompensatorów i wirników. Przy okazji sprawdzone zostały po dwa razy wszystkie bezpieczniki w karabinach. Kersherin odmówił krótką, ale żarliwą modlitwę w intencji całej grupy.

Ukryci w ciężkich strojach ludzie niewiele widzieli i jeszcze mniej słyszeli, dobiegał ich głównie cichy trzask radiowych szumów w komunikatorach. Poruszając się z trudem wymienili między sobą uściski dłoni i życzenia szczęścia.

Kiedy wszyscy phantyńscy specjaliści założyli swe ubiory – co zajęło znacznie mniej czasu niż w przypadku Duchów – cała grupa została odprowadzona pod eskortą do hangaru numer pięć, gdzie uczestników operacji wsadzono na pokłady czterech czekających już Marauderów.

- Feth! – Milo usłyszał w radiu jęk Adare – Już mam tego serdecznie dosyć.

Wyznaczone do transportu Maraudery pozbawiono większości standardowego uzbrojenia, pozostawiono w nich jedynie nosowe działka. Normalnie bombowiec tego typu obsługiwany był przez sześćoosobową załogę, ale na czas rajdu w każdym lecieć miało tylko dwóch lotników:

pilot i nawigator. Przednie działka zostały sprzężone z układem strzeleckim na drążku pilota, a nawigator miał koordynować przebieg zrzutu z obecnym w każdym samolocie phantyńskim specjalistą. Członkowie załóg siedzieli już w kabinach kontrolując po raz ostatni instrumenty i odmawiając modlitwy.

Gwardziści usiedli na gołych podłogach ładowni oczekując na start.

Start przebiegł bez większych problemów i admirał Ornoff potraktował to jako dobry znak. Jeden Magog zawrócił niemal natychmiast zgłaszając blokadę luku bombowego, drugi opuścił formację po piętnastu minutach lotu meldując krytyczną awarię pokładowej elektroniki. Pierwsza maszyna wylądowała bezpiecznie na pokładzie *Zephyra*, druga minęła na oślep sterowce i poleciała na wschód prosto w burzowe chmury. Nigdy jej już więcej nie ujrano ponownie.

Zmasowany start i tylko dwie awarie – najlepszy rezultat od chwili rozpoczęcia nalotów na Ouranberg. Znajdujący się na mostku *Zephyra* Ornoff zaczął nabierać pewności siebie, ale przyzywał na wszelki wypadek ojca przełożonego kościelnej misji na sterowcu nakazując mu odprawić czym prędzej dziękczynną mszę.

Ten lot był głośniejszy, zimniejszy i bardziej gwałtowny niż przeżycia wyniesione z desantu na Cirenholm. Samoloty przemieszczały się znacznie wyżej i szybciej niż miało to miejsce poprzednim razem i krótko po pełnym wstrząsów starcie członkowie grupy specjalnej zaczęli doceniać swe ocieplane uniformy – temperatura i ciśnienie w ładowniach spadały z każdą sekundą, a na metalowych powierzchniach tworzyła się warstewką szronu.

Chociaż ładownie były zamknięte, a pole widzenia żołnierzy ograniczały dodatkowo wizjery hełmów, gwardziści i tak mogli obserwować przebieg całego rajdu. Elektroniczne lokalizatory używane przez bombardierów oświetlały wnętrze kabiny chłodną zieloną poświatą ukazując trójwymiarowy obraz otoczenia.

Lecący w Lariselu 1 Varl podszedł bliżej lokalizatora, z trudem utrzymując się na nogach pod ciężarem ekwipunku. Sierżant sprawdził swój komunikator, po czym klepnął w ramię obsługującego urządzenie Unterrio.

- To są fale bombowe? – zapytał.

- Tak – potwierdził Unterrio. Nawet korzystając z radia Phantyńczyk musiał podnosić głos, by przekrzyczeć ryk silników i huk wiatru – My znajdujemy się w tej grupie.

Varl pochylił głowę niżej, zmrużył oczy i spostrzegł, że to, co w pierwszej chwili wziął za elektroniczną mgiełkę było w rzeczywistości setkami miniaturowych punkcików z przypisanymi im równie malutkimi graficznymi sygnaturami.

- Każdy samolot wyposażony jest w nadajnik sygnału identyfikacyjnego – wyjaśnił Unterrio – To pozwala szybciej lokalizować bandytów. Kiedyś wrogie myśliwce wślizgiwały się do bombowej formacji i krążyły w jej obrębie zaliczając kolejne strącenia. Teraz, jeśli nie wyświetlasz odpowiedniego kodu, jesteś celem.

- Załapałem – kiwnął głową Varl. Rozglądając się po kabinie sierżant zauważył, że pozostali członkowie Larisela 1: Banda, Vadim i Bonin, słuchają z zainteresowaniem wyjaśnień Phantyńczyka.

- Gdzie znajdują się pozostałe samoloty transportowe? – zapytał przez radio Vadim.

Unterrio wskazał ukrytym w rękawicy palcem poszczególne punkty na wyświetlaczu.

- To Larisel 4, sierżant Mkoll. Tutaj samolot sierżanta Adare, Larisel 3. Tutaj, za graficzną sygnaturą Maraudera marynarki... to Larisel 2, maszyna kaprala Meryna.

Poprawne odczytanie całego obrazu zajęło Varlowi kilka sekund. Sierżant miał wrażenie, że cztery samoloty są rozproszone na przeciwnych krańcach fali.

- Marauder podskoczył kilka razy, silniki zagrały na moment inną nutą.
- Co to było? – zapytał suchym metalicznym głosem Varl.
 - Turbulencja – odparł Unterrio.

Znajdujący się na pokładzie Larisela 3 specjalista Cardinale wyjaśniał w tym samym czasie szczegóły odczytów stojącym przy lokalizatorze Doylowi i Milo. Nessa i Adare, pogodziwszy się z uciążliwościami lotu, grali w ostrze, papier, kamień. W eterze rozbrzmiewały ich parsknięcia śmiechu punktujące każdy ruch dłoni.

- Larkin żałował szczerze, że w ładowni nie ma żadnego okienka. Snajper siedział na podłodze samolotu obserwując pozostałych członków grupy. Kersherin studiował wyświetlacz lokalizatora, Kuren i Meryn rozmawiali półgłosem, Mkvenger sprawiał wrażenie śpiącego.
- Jak długo jeszcze? – zapytał Kersherina Larkin.
 - Czterdzieści minut – odparł Phantyńczyk.

Sierżant-zwiadowca Mkoll nie został stworzony do latania, ale ani razu nie zakwestionował decyzji Gaunta o mianowaniu go dowódcą całej operacji. Mkoll nigdy nie kwestionował otrzymanych rozkazów. Wiedział też, że z chwilą lądowania i rozpoczęcia właściwej misji stanie się odpowiednim człowiekiem na odpowiednim miejscu.

Ale lot okazał się dla niego koszmarną udręką. Dopóki pułkownik-komisarz Gaunt nie zabrał go z Tanith, sierżant nie znalazł się nigdy wyżej niż sięgały wierzchołki drzew nał. Podróże kosmiczne – odstręczające Mkolla w równym stopniu co Colma Corbeca – przynajmniej nie przypominały normalnego lotu.

To było coś okropnego. Wibracje, ryk wiatru na zewnątrz: jakby powietrze cały czas przypominało znajdującym się na wysokości ośmiu kilometrów ludziom, że są tam wyłącznie dzięki prawom fizyki.

I beczynność oczekiwania, prawdziwy czynnik szargający nerwy. Czekanie na rozpoczęcie akcji rodziło w umyśle lęk, dawało człowiekowi czas na myśli, które erodowały pewność siebie. Walka była piekłem samym w sobie, ale tam przynajmniej miało się żywych przeciwników, których raziły wiązki laserów. Tutaj człowiek zmuszony był do toczenia samotnej wojny z czasem, lękiem, nadpobudliwą wyobraźnią, turbulencjami... i zimnem.

Mkoll czuł się chory. Sierżant nienawidził bezradnej beczynności jeszcze bardziej od krępującego go ciężaru ekwipunku. Miał wrażenie, że przygwożdżono go do metalowej podłogi i nie mógł się wyzbyć lęku, iż w chwili skoku nie zdoła dojść do luku.

Rozejrzał się po ładowni Larisela 4. Babbist, phantyński specjalista, walczył z uszkodzonym lokalizatorem. Na migotliwym wyświetlaczu urządzenia pojawiały się bezsensowne ciągi znaków. Zły znak, pomyślał Mkoll, jeśli Babbist nie zdąży tego naprawić, będziemy skakać na ślepo.

Cocoer i Nour siedzieli oparci plecami o ścianę ładowni, sprawiali wrażenie śpiących. Nour najpewniej faktycznie spał, robił tak często tuż przed rozpoczęciem akcji. Zdenerwowany i napędzany rosnącą w żyłach dawką adrenaliny Rilke rozmontowywał i składał z powrotem mechanizm spustowy swojego karabinu, manipulując niewielkimi częściami za pomocą ukrytych w grubych rękawicach palców. Mkoll miał ochotę złapać go i odebrać broń, ale się przed tym powstrzymał: byłoby to bezsensowne posunięcie, które tylko podniosłoby bardziej napięcie.

- Sierżant sprawdził częstotliwość radia i przechylił głowę w kierunku snajpera.
- Wszystko gra, Rilke?

- Pewnie, gra – odparł Rilke nie przerywając obsesyjnej czynności – Mówiąc szczerze, jestem cholernie wystraszony, sierzancie. Najchętniej bym się porzygał, ale nie mogę tego zrobić w tym hełmie.

- To byłoby coś okropnego – przyznał Mkoll i usłyszał w słuchawkach śmiech Rilke.

- Robię to, żeby nie myśleć o chorobie – dodał snajper demontując w ułamku sekundy obejmę spustu broni i zaraz wkładając ją ponownie w odpowiednie miejsce – Feth, ale się czuję chory. Cały żołądek mi z nerwów poskręcało. A jak pan sobie radzi ze stresem, sierzancie?

- Obserwuję ciebie – odpowiedział Mkoll.

Trzydzieści minut przed celem nieoczekiwany sygnał na lokalizatorach wywołał alarm wśród eskorty. Dziesięć imperialnych myśliwców odłączyło się od wyprawy zmierzając na południe w poszukiwaniu potencjalnego intruza.

- Najpewniej to było silne wyładowanie energetyczne Otchłani – wyjaśnił zaniepokojonym Duchom Unterrio – Wszystko będzie w porządku.

Marauder zatrząsł się ponownie, już piąty czy szósty raz w taki sam sposób od chwili rozpoczęcia podróży. Reszta pasażerów przestała na podskoki maszyny zwracać uwagę, ale Bonin przekonany był, że wibracje te nie zostały spowodowane turbulencjami. Przewrotna natura i instykt samozachowawczy wyostrzony jeszcze dzięki częstym kontaktom z Mkollem uaktywniły w głowie zwiadowcy całe mrowie miniaturowych alarmów.

Bonin wstał ociężale ze swojego miejsca i podreptał w stronę drabinki wiodącej w górę do kokpitu pilotów. Unterrio, kucający wraz z Varlem przy ekranie lokalizatora, odprowadził Ducha wzrokiem. Phantyńczyk był wyraźnie niezadowolony z faktu, że gwardzista wędruje po ładowni, ale nic mu nie powiedział.

Bonin wstawił głowę do kokpitu. Członkowie załogi sprawiali wrażenie walczących ze sterami.

- Jakiś problem? – zapytał.

- Nie – odparł jeden z pilotów – Nie ma problemu.

Bonin odniósł wrażenie, że poznaje ten głos.

- Na pewno?

- Tak! – warknął pilot oglądając się przez ramię. Chociaż maska tlenowa zasłaniała większą część twarzy, Duch z miejsca rozpoznał błyszczące za wizjerem hełmu oczy komandor Jagdei.

- Cześć – powiedział Duch.

- Szeregowiec Bonin – odparła kobieta.

- Myślałem, że została pani ranna?

- Porządnie mnie zszyto i opatrzone, mam na ręce klamry zaciskowe. Maraudera można prowadzić za pomocą jednej ręki, to nie to samo, co Lightning.

- To pani jest w tej kwestii znawcą. Ochotniczka?

- Proszę o ochotników. Tak.

- Musiała nas pani polubić – dodał Bonin, ale Phantyjka nic nie odrzekła – Silniki nie powinny pracować w taki sposób, prawda?

Jagdea obejrzała się ponownie w stronę żołnierza.

- Nie, nie powinny, zadowolony? Mamy problem z przepływem paliwa, ale dopilnuję, żeby to nie wpłynęło w żaden sposób na powodzenie misji. Dostarczę was na miejsce.

- Jestem tego pewien – kiwnął głową Bonin.

Szczęście przestało imperialistom dopisywać praktycznie o rzut kamieniem od Ouranberga. Dziesięć kilometrów od celu chemiczna burza ustała raptownie i wielkie jężory ognia opadły w niższe części Otchłani pozostawiając po sobie czyste niebo.

Radary Ouranberga natychmiast namierzyły lojalistyczne samoloty. Dwie minuty później przy pierwszej fali pojawiły się heretyckie myśliwce.

Nieprzyjacielskie maszyny przemknęły poprzez imperialną formację na włączonych dopalaczach, zmierzając z północy na południe. Dwa ostrzelane Magogi zaczęły opadać stromymi łukami ku Otchłani, ogarnięte językami ognia. Marauder w barwach marynarki kosmicznej przestał istnieć zmieniając się w chmurę metalowych odłamków i płomieni.

Kiedy heretyckie samoloty weszły w łuk mający wyprowadzić je do kolejnego ataku, natrafiły na myśliwską eskortę. Poprzez widoczny ze swego miejsca fragment szyb kokpitu Milo dostrzegł serie pocisków smugowych i rozbłyśki detonacji.

Do kokpitu wlała się zniecka porażająca oczy swym blaskiem poświata.

- Co to było? – zapytał Adare.

- Szpica oświeciła cel – odpowiedział pilot – Pięć minut do celu. Przygotujcie się.

Duchy podniosły się na nogi. Cardinale przeszedł pomiędzy gwardzistami odpinając od ich kombinezonów przewody tlenowe podłączone do pokładowego układu wentylacji, uruchomił w to miejsce osobiste butle tlenowe.

- Pobieracie teraz powietrze z wewnętrznego zapasu – wyjaśnił. Wszyscy potwierdzili jego słowa ruchami ukrytych w hełmach głów.

Specjalista otworzył po kolei każdy panel jednostki skokowej, przesunął włączniki kompensatorów. Napędy urządzeń z miejsca przejęły na siebie ciężar ekwipunku żołnierzy, ku ich ogromnej uldze. Wiatr na zewnątrz wył tak przeraźliwie, że nikt nie słyszał dźwięku turbin kompensatorów.

Cardinale podłączył własną butlę tlenową, a potem odwrócił się plecami do Nessy umożliwiając jej włączenie jego własnego plecaka skokowego. Doyl podszedł do włazu i położył dłoń na dźwigni otwierającej luk.

Wszyscy spoglądali w stronę ekranu lokalizatora.

Pierwsza fala przesuwała się ponad ogromnymi kopułami Ouranbergu, naznaczonymi już ognikami zrzuconych wcześniej flar i bomb zapalających. Sunące wolno Magogi zaczęły otwierać swe luki, bomby wypadały z brzuchów maszyn eksplodując w dole seriami oślepiających rozbłysków.

Ponad i wokół wyprawy imperialne myśliwce toczyły zacieklą walkę z heretyckimi przeciwnikami kierując się w głównej mierze wskazaniem elektronicznych namierników. W dole ogień prowadziły wszystkie baterie przeciwlotnicze; raketowe pociski cięży przestworza, Hydry wykreślały na niebie ogniste wzory.

Jeden z Magogów zapalił się błyskawicznie, śmigła silników wciąż obracały się ciągnąc płonąca jak kometa maszynę w dół. Inny bombowiec został pochwycony w światła reflektorów i dziurawiony pociskami do chwili, w której rozpadł się na kawałki. Jakiś Behemoth, ugodzony raketą w podstawę skrzydła odchylił tor lotu zmierzając z wolna w stronę miasta; uderzył w kopułę Beta wywołując eksplozję sięgającą płomieniami na pięćset metrów w każdym kierunku.

Inny Behemoth został trafiony w chwili, kiedy otwierał komorę bombową. Wybuch bombowca zmiótł z nieba samoloty lecące po obu jego stronach.

Widząc znak dany przez Babbista Nour otworzył właz w ścianie ładowni. Do wnętrza maszyny wdarł się natychmiast szaleńczy pęd powietrza. Nour cofnął się mimowolnie o krok

widząc jak Marauder marynarki lecący tuż obok w szyku staje w płomieniach i odbija w bok wprost na Larisela 4.

Tracący sterowność bombowiec minął Larisela o zaledwie kilka metrów i zaczął opadać w dół sypiąc za sobą płonącymi szczątkami. Ogień trawił jego środkową sekcję. Zanim maszyna znikła pod skrzydłami Larisela, Nour zdołał dostrzec pilota i przedniego strzelca, tłukących pięściami w szyby kokpitu, próbujących za wszelką cenę uciec przed wdzierającymi się od tyłu do kabiny płomieniami.

- Gotowość do skoku! – krzyknął Mkoll.

Nour poczuł lodowaty dreszcz; nie potrafił wyrzucić z myśli widoku poparzonego, krzyczącego bezgłośnie pilota, próbującego roztrzaskać pancerną szybę gołymi rękami.

- Gotowy.

Babbist popchnął Rilke i Cocoera w stronę luku.

Strefy zrzutu dla poszczególnych grup specjalnych wybrano nad wyraz starannie. Larisel 1 – sekcja Varla – miała zeskoczyć na kompleks głównego młyna oparowego, natomiast Larisel 4 – grupa Mkolla – na zabudowania mieszkalne robotników młynowych na północnym zachodzie. Grupa Adare – Larisel 3 – miała lądować w obrębie drugiego młyna oparowego, a Larisel 2 – pod rozkazami kaprała Meryna – na kopułę Beta.

Nad Ouranbergiem migotały eksplozje pocisków przeciwlotniczych. Pierwsza fala Magogów zrzuciła bomby na kopułę Beta. Mrok nocy rozjaśniały oślepiające wybuchy, wielkie kompleksy miejskie punktowane były ściegami detonacji.

- Ruszamy – wydał rozkaz Cardinale.

Milo wyskoczył z Maraudera. Z miejsca uderzył go dziki pęd powietrza, który obracał młodego żołnierza we wszystkich kierunkach. Duch zaczął manipulować drążkiem kontrolnym plecaka, bez większego efektu.

- Spokojnie, z wyczuciem... – rzucił w eterze Cardinale, ledwie słyszalnym głosem.

Ouranberg zbliżał się bardzo szybko. Milo zaczął bardziej zdecydowanie operować drążkiem. Na ćwiczeniach radził sobie całkiem dobrze, ale żaden trening nie mógł przygotować go na tak zaciekłą walkę z bocznymi prądami powietrznymi. Wiatr spychał Ducha sponad strefy zrzutu.

Spostrzegł Nessę i Adare mijających go w locie ku miastu, operujących bezustannie wirnikami. Podążył w ślad za nimi czując jak podmuchy wiatru szarpiają za jego maskę tlenową.

Wielka szara kopuła młyna oparowego rosła w oczach Ducha, przywodząc swymi rozmiarami na myśl osobne miasto.

Milo spadał prosto na nią.

Larkin omal nie stracił przytomności wypadając z luku. Po części winny był temu strach przed skokiem, po części przywodzący na myśl uderzenie młotem pęd powietrza. Snajper zawirował wokół własnej osi nie dostrzegając przed sobą niczego prócz smolistej ciemności.

- Larkin! Larkin!

Mężczyzna pojął, że spada plecami w dół. Walcząc o odzyskanie prawidłowej postawy nacisnął zbyt mocno przycisk kompensatorów i wystrzelił w górę niczym zanurzony w wodzie korek. Wiatr wył przeraźliwie w jego uszach. Nigdzie nie potrafił odnaleźć wzrokiem Kersherina, Mkennera, Kurena ani Meryna. Poharatana bombami kopuła Bety pulsowała setkami ogników. Snajper próbował określić swe położone dopasowując widziany w dole obraz do holograficznych projekcji oglądanych podczas odpraw.

Wtedy spostrzegł Meryna, spadającego jakieś dwadzieścia metrów po lewej, walczącego z drążkiem, ale utrzymującego jako taką stabilność lotu. Przekręcając drążek Larkin zaczął opadać w ślad za kapralem.

Larisel 1 znajdował się dwie minuty lotu od strefy zrzutu, kiedy silniki bombowca odmówiły w końcu posłuszeństwa. Jagdea wykrzyczała w komunikator rozkaz skoku próbując utrzymać tracący sterowność samolot tak długo w powietrzu jak to tylko było możliwe. Zaczęli skakać w ustalonej wcześniej kolejności: Vadim, Unterrio, Banda, Varl. Bonin zawahał się, po czym pobiegł w stronę kabiny pilotów. Marauder dygotał coraz silniej.

- Szybko! – krzyknął – Spadajcie stąd! Oboje macie spadochrony!

Jagdea odepchnęła go ręką. Za szybami kokpitu zapłonęła eksplozja, do wnętrza maszyny wpadł grad metalowych szrapneli i kawałków szkła. Bonin nie musiał nawet zaglądać do środka kokpitu, by wiedzieć, że drugi pilot nie żyje.

- Jagdea! – krzyknął łapiąc kobietę za rękaw kombinezону.

Tracący moc Marauder obrócił się brzuchem do góry, wpadł w śmiertelny lot nurkowy. Bonin wylądował na dachu kokpitu, miażdżony siłą przeciążenia, na wpół uduszony własną uprzężą skokową.

Jagdea uniosła z nadludzkim wysiłkiem rękę i nacisnęła przycisk odpalający miniaturowe ładunki wybuchowe wbudowane w ramy kokpitu, odrzucając za pomocą ich wybuchu górną część kabiny. Robiąc to wplotła ręce w uprząż Bonina pociągając go na siebie. Pęd powietrza dokonał reszty wysysając dwójkę imperialistów na zewnątrz kabiny.

- Jesteśmy nad celem? – spytał Mkoll.

- Nie wiem – odparł Babbist.

- Jesteśmy nad celem?

- Cholerny lokalizator się spieprzył! – wrzasnął Babbist próbując przywrócić do stanu użyteczności migotliwy ekran.

- Przestrzelimy strefę skoku, jeśli nie będziemy uważać – ostrzegł Nour.

- Skaczemy, teraz! – przesądził Mkoll.

- Ale... – zaczął Babbist.

- Skaczemy teraz!

Mkoll podbiegł do luku.

- Ustawić się w linii, szybko!

Przez ładownię przebiegł dziwny dźwięk, wibrujący delikatnie na granicy słyszalności. Mkoll odwrócił głowę, rozejrzał się błyskawicznie. W podłodze kabiny dymiła dziura po pocisku dużego kalibru, który zabił Babbista w drodze ku sufitowi ładowni. Nour przewrócił się, Rilke i Cocoe pomagali mu podnieść się z powrotem na nogi.

- Skaczcie! – wrzasnął Mkoll. Sierżant przymknął oczy oślepiony nieoczekiwanym snopem iskier. Seria smugowych pocisków przeorała ładownię. Duch usłyszał krzyk Rilke i głos Noura powtarzający te same słowa.

- Spada! Spada! Spada!

Unterrio dostrzegł młodego Verghastyę na pomoście łącznikowym przy jednym z kominów. Gwardzista wskazywał na przestworza.

- Tam! Tam! – powtórzył w module łączności.

Varl podniósł głowę. W pierwszej chwili nie wiedział, czego wypatrywać, ale zaraz zauważył punkt, który zwrócił uwagę Vadima. Marauder, znajdujący się jakieś półtora kilometra dalej,

zawracający na południe. To musiała być maszyna Mkolla, Larisel 4, przelatujący nad kompleksem przemysłowym.

Sierżant spostrzegł, że bombowiec się pali.

- Feth, lepiej, żeby... – zaczął, ale wtedy samolot wyleciał w powietrze. Wielka kula białego światła wykwitła na moment w przestworzach, po czym zgasła.

Mkoll, Rilke, Nour, Cocoer... po prostu przestali istnieć. Świetni żołnierze, dobrzy przyjaciele...

Cała sekcja specjalna uległa zagładzie jeszcze przed rozpoczęciem misji.

a

LARISEL I GRZMOT

Szturm na Ouranberg, Phantine, 224-226.771.M41

„Tuż po ukończeniu specjalistycznego szkolenia mieliśmy to przemożne wrażenie, że Bóg-Imperator jest z nami i wszystko pójdzie po naszej myśli. A potem wylądowaliśmy, Mkoll i pozostali zginęli, i wtedy pojęliśmy, że praktycznie nie mamy żadnych szans” – Brin Milo, członek trzeciej sekcji specjalnej, Tanithijski Pierwszy.

Musieli jak najszybciej opuścić dach. Gęste kłęby dymu buchały z miejsc upadku bomb zapalających w całym obrębie drugiego młyna oparowego Ouranberga. Dym pożarów unosił się również nad główną częścią miasta i spychany wiatrem w stronę młyna mógł przy odrobinie boskiej opatrności osłonić swą kurtyną ostatni etap lądowania grupy specjalnej.

Doyl zlustrował swe otoczenie w momencie wylądowania na dachu. W polu jego widzenia wznosiło się sześć wież obronnych, wszystkie górowały ponad fragmentem dachu wybranym na strefę zrzutu.

Pięciu członków Larisela 3 wpadło za obudowę masywnego wywietrznika i przywarło do niej w bezruchu. Nikt nie strzelił w ich stronę, chociaż dwie wieże pluły ogniem broni przeciwlotniczej w kierunku odlatujących imperialnych samolotów.

- Zauważyli nas? – rzucił w eter Milo.

- Ciągle jeszcze żyjemy, prawda? – odparł sierżant Adare – Myślę, że skupili swą uwagę na samolotach.

- Kontrola statusu – zarządził specjalista Cardinale – Ktoś został ranny? Ktoś coś zgubił?

Nikt nie zgłosił żadnych nieprawidłowości. Adare zapytał Nessę raz jeszcze za pomocą języka migowego, by zyskać całkowitą pewność.

- Słyszeliście, co mówili? – odezwał się Doyl – Sierżant Varl w radiu, kiedy skakaliśmy?

Milo usłyszał. Był to krótki, urywany, przerażający w swej treści przekaz. Maszyna Mkolla została zestrzelona tuż przed strefą zrzutu.

- Nie potrafię w to uwierzyć – wyszeptał gwardzista.

- Ja też – powiedział Adare – Niech Bóg-Imperator strzeże ich dusz. My nic więcej nie możemy zrobić. Trzeba się z tym pogodzić i porządnie tym skurwysynom odpłacić.

Sierżant podniósł ukrytą w grubej rękawicy dłoń i wymienił uściski z Doylem, Milo i Nessą. Cardinale zawahał się, a potem stuknął swymi knykциями w knykcie Adare. Milo wiedział, że sierżant chciał przekazać Phantyńczykowi, iż ten jest częścią zespołu.

Sam Milo wymienił uścisk dłoni z sierżantem bez większej pewności siebie. Śmierć Mkolla okazała się dla młodego żołnierza prawdziwym wstrząsem. Sierżant-zwiadowca sprawiał wrażenie nieśmiertelnego, był jednym z tych Duchów, którzy nie mieli prawa umrzeć. Milo nie wiedział, co powiedzieć Nessie. Dziewczyna nie mogła czytać z ruchów ust towarzyszy, ponieważ wszyscy mieli założone hełmy, a nikt nie przekazał jej jeszcze wieści za pomocą gestów języka migowego. Chłopak martwił się wcześniej o to, czy Nessa podoła trudom misji ze

swym kalectwem, ale teraz szczerze jej zazdrościł faktu, że pozostawała w błogiej nieświadomości tego, co się wydarzyło.

Doyl poprowadził ich wzdłuż biegnącej do wywietrznika wielkiej rury, a potem poprzez fragment odkrytej przestrzeni za skupisko innych, galwanizowanych rur. Wszyscy poruszali się wolno i ociężale, chociaż pracujące wciąż kompensatory antygrawitacyjne przejęły na siebie sporą część obciążenia.

Cardinale pomógł Doylowi zdjąć plecak i zwiadowca zniknął gdzieś w przedzie szukając wejścia prowadzącego pod dach. Reszta grupy zaczęła zdejmować w międzyczasie własne plecaki. Adare i Cardinale schowali ciężkie urządzenia w niszy pod rurami, przywiązując je do nich linami i maskując za pomocą siatki kamuflującej. Milo szczerze wątpił, aby przez wzgląd na toksyczną atmosferę na dachach krążyło sporo patroli, ale ostatnią rzeczą, jakiej życzyliby sobie imperialiści było przypadkowe odkrycie ich obecności.

Gwardziści wciąż uginali się pod ciężarem ekwipunku, hełmów i ciężkich ubiorów, ale już poczuli ulgę. Nessa wyciągnęła z pokrowca swój snajperski karabin i przygotowała go do użytku, chociaż hełm uniemożliwiał jej na razie korzystanie z celownika optycznego. Milo zdał taśmę klejącą zabezpieczającą włożony do komory U90 magazynek ze standardową amunicją, wymienił go na bęben z pociskami przeciwpancernymi, oznakowany czerwonym krzyżykiem. Adare pobierał i schował do kieszonki wszystkie plastikowe zatyczki wyjęte z luf karabinów, potem ostrożnie sprawdził komunikator. W powietrzu zdołał przejąć komunikat Varla, ale po lądowaniu na pełnym kominów, masztów i innych instalacji dachu łączność została ograniczona do bardzo krótkiego zasięgu. Daur przestrzegał zresztą w trakcie ostatniej odprawy, że po zrzuceniu poszczególne sekcje specjalne będą zdane wyłącznie na siebie. Standardowy komunikator plecakowy niepotrzebnie obciążałby uczestników misji, a przy tym nikt nie mógł zagwarantować, że nieprzyjaciel nie będzie rutynowo nasłuchiwał na imperialnych częstotliwościach.

Milo przykucnął upewniając się, że pokrywa ostrzałem całą przestrzeń od rur po widniejące nieco dalej niewielkie kominy będące zapewne elementem instalacji wentylacyjnej. Pomimo panującego na dachu zimna Duch czuł ściekające mu po kręgosłupie kropelki potu. Coraz trudniej mu się oddychało – prawdopodobnie kończył się już zapas powietrza w butli tlenowej.

Pojawił się Doyl. Zwiadowca zdjął z upręży swój maskujący płaszcz, owinął się nim szczelnie.

- Znalazłem potencjalne wejście. Trzydzieści metrów w tamtą stronę. Wygląda na właz serwisowy i jest zamknięte, ale powinniśmy sobie poradzić z zamkiem.

Pobiegli zgięci w pół, gęsiego, w ślad za zwiadowcą. Właz pokryty był grubą warstwą rdzy i brudu, tkwił w ścianie niewielkiej nadbudówki wyrastającej ponad odsłonięty fragment dachu. Milo i Cardinale stanęli po obu stronach nadbudówki obserwując otoczenie, Adare i Doyl zaczęli przyglądać się wejściu.

- Nie sprawia wrażenia hermetycznego – powiedział sierżant.
- Też tak myślę. Musimy tam wejść i poszukać szczelnego włazu gdzieś poniżej.
- Tniemy – zdecydował Adare.

Doyl sięgnął po niewielki palnik, wyszeptał modlitwę poprawnego zapłonu, włączył miniaturowe energetyczne ostrze i wbił je w zamek. W powietrze trysnęło kilka iskier, ale Adare zasłaniał zwiadowcę swoim płaszczem. Kiedy zamek został już pocięty, Doyl podważył za pomocą noża właz i otworzył skorodowane drzwiczki.

Adare wszedł do środka pierwszy, oświetlił pomieszczenie snopem światła padającym z podwieszanej pod lufą karabinu latarki. Nadbudówka sprawiała wrażenie poddasza wybudowanego ponad tunelem wentylacyjnym. Jakaś maszyna, pokryta patyną i rdzą,

wystawała z podłogi. Pomimo założonego hełmu Milo słyszał wyraźnie zawrozcenie wiatru wpadającego do wnętrza pomieszczenia przez dziury w ścianach.

Doyle znalazł klapę w podłodze po przeciwnej stronie nadbudówki, opuścił w dół niewielką drabinkę wiodącą w ciemną przestrzeń pomiędzy wierzchnią warstwą dachu, a spodnią, hermetycznie szczelną. Teraz już wszyscy mieli problemy z oddychaniem.

Podłoga w dole wykonana była z czystego metalu, wyrastały ponad nią poziome wsporniki. Obawiając się, że podłoga może być pod napięciem, członkowie grupy przemieszczali się po wspornikach. Po pięćdziesięciu metrach natrafili na sporych rozmiarów otwór w podłodze, przez który wychodziły w górę masywne kompozytowe filary wspierające górną część kopuły.

Na jednym z filarów znajdowały się metalowe klamry. Żołnierze wykorzystali je zmiierzając w dół, ostrożnie operując rękami i nogami, schodząc z bronią zarzuconą na plecy.

Dwadzieścia metrów w dole droga okazała się zablokowana. Filary wystrzeliwały ponad posadzkę wykonaną ze wzmocnionych kompozytów, tworząc solidny płaszcz odgradzający nieszczelne górne poziomy od właściwej części kompleksu. Adare gotów już był zawrócić, ale wtedy Milo cudem spostrzegł niewielką płytę osadzoną w metalowej posadźce. Trzymany za uprząż przez Adare, Doyle pochylał się w dół na drabince i nacisnął na płytę tak silnie, że ta wpadła pod jego ciężarem do środka płaszcza. Doyle wskoczył w ciemność w ślad za nim, moment później przywołał przez radio resztę grupy.

Wszyscy znaleźli się w ciasnym tunelu łącznikowym biegnącym tuż pod wewnętrznym dachem kopuły. Doyle podniósł płytę, przyłożył ją do otworu. Pod wpływem różnic ciśnienia otwór natychmiast został szczelnie zasklepiony. Milo czuł wyraźnie pęd powietrza uciekającego przez dziurę do chwili, w której Doyle przytknął płytę do właściwego miejsca.

Żołnierze odpięli szybko butle tlenowe i podnieśli wizjery swych hełmów. Powietrze w tunelu było rzadkie i zimne i miało dziwny metaliczny posmak, który osadzał się w ludzkich gardłach, ale stanowiło namacalny dowód na to, że grupa dotarła do wewnętrznej części młyna.

- Uruchomiliśmy jakiś alarm? – zapytał Cardinale.

- Nie sądzę – odparł Doyle upewniając się jednocześnie, że płyta przylega szczelnie do ram otworu – Procesory atmosferyczne mogły zarejestrować minimalny spadek ciśnienia w czasie, kiedy płyta była zdjęta, ale wątpię, żeby to zwróciło czyjąś uwagę.

- Na wypadek, gdyby tak się jednak stało i gdyby byli w stanie namierzyć źródło nieszczelności, zabieramy się stąd jak najszybciej – zdecydował Adare.

Zaczęli przemieszczać się w głąb tunelu. Korytarzyk biegł przed siebie pozornie bez końca, ale nawet na cal nie zmieniał poziomu. Doyle popełził przodem, czterdzieści metrów dalej natrafił na właz w podłodze. Wejście było masywne i zabezpieczone elektronicznym zamkiem.

Zwiadowca pracował szybko i wprawnie. Zdjął z uprzęży jeden z sześciu miniaturowych elektronicznych łamaczy obwodów, przykleił go do obudowy włazu i podpiął klemy po obu stronach zamka. Odczekawszy, aż na łamaczu zapłonie zielona lampka sygnalizująca przepływ sygnału przez urządzenie mężczyzna wbił w zamek ostrze palnika. Nie odpowiedział mu żaden ryk klaksonów ani alarmowe światła, ale Doyle nie miał całkowitej pewności, że nikt nie został zaalarmowany, toteż żołnierze przedostali się szybko na drugą stronę włazu i zamknęli go ponownie.

Pod włazem znajdował się korytarz: stary, brudny i kiepsko oświetlony. Setki lat wysokiej wilgotności pokryły ściany, podłogę i sufit grubą warstwą osadów. Korytarz biegł z północy na południe.

- Południe – oświadczył pewnym siebie tonem Adare. Gwardziści ruszyli na południe, w kierunku głównej części Ouranberga.

Oraz istoty, którą mieli zabić.

Bonin potrzebował całych pięćdziesięciu sekund na odzyskanie kontroli nad urządzeniem skokowym i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że trwa to całą wieczność. Wirował w powietrzu i obracał się w szaleńczy sposób, nie mając pojęcia, gdzie jest góra, a gdzie dół. Jagdea przywierała do niego z wszystkich sił.

Zanim zwiadowca zdołał wycisnąć z kompensatorów dość mocy, by urządzenie udźwignęło oboje pasażerów i zaczął nim sterować za pomocą wirnika, wiatr wyniósł ich poza wschodnią krawędź kopuły.

- Trzymaj się! – rzucił w eter.

- Mam nienaruszony spadochron! Skoczę! – odkrzyknęła.

- Gdzie? – zapytał. Pod ich wiszącymi w powietrzu nogami nie było niczego prócz rozpalonej daleko w dole jęzorami ognia pustki Otchłani.

- To nie ma...

- Nie! Trzymaj się! – jego głos sprawiał wrażenie słabego i kruchego w słuchawkach hełmu. Silny wiatr miotał ciałami ludzi, targał za elementy ich ubiorów. Bonin leciał ostrożnie w stronę mrocznego miasta, sterując plecakiem za pomocą krótkich skoków wirnika, próbując unosić się w powietrzu na podobieństwo liścia niesionego wiatrem. Początkowo odnosił wrażenie, że prądy powietrzne mu sprzyjają, ale nagle, nieoczekiwane uderzenia silnego wiatru co chwila spychały go w przeciwną stronę.

- Trzymasz się mocno?

- Tak – kobieta wplotła swe ręce i ramiona w uprząż na torsie mężczyzny. Bonin zauważył, że mimowolnie objął ją swym prawym ramieniem ujmując palcami za paski zwiniętego spadochronu.

- Potrzebujemy więcej mocy – powiedział naciskając czerwony guzik. Szarzejące w ciemnościach nocy dachy Gammy majaczyły przed ich oczami niczym stoki górskiego masywu.

Dolot do kopuły okazał się prawdziwą udręką. Bonin musiał cały czas walczyć z uderzeniami wiatru mogącymi roztrzaskać oboje ludzi o powierzchnię dachu, a plecak wydawał z siebie dźwięki sugerujące, że pracuje na resztkach mocy. Zawirowania powietrza tworzone przez odbijające się od kopuły wiatry miotwały parą wojskowych na wszystkie strony i chociaż wysokościomierz informował niezbitcie, że Bonin zwiększa wysokość, kopuła zdawała się stać cały czas w tym samym miejscu.

Kompleks Gamma nie został praktycznie drażniony podczas lotniczego rajdu, chociaż łuna wielkich pożarów rozjaśniająca chmury zdradzały, że położona w tyle Beta stała w ogniu.

Kiedy zwiadowca znalazł się już nad krawędzią kopuły, nieoczekiwany pęd powietrza z przeciwnej strony przyspieszył jego lot omal nie doprowadzając do zderzenia z wysokim masztem.

Imperialiści lecieli teraz ponad oblodzonym dachem kopuły, zmierzając szybko w stronę struktur głównego młyna oparowego.

- Var! Banda! Vadim! Zgłóście się! – rzucił w eter Bonin. Duch myślał początkowo, że jego największym problemem będzie dotarcie w pobliże młyna. Teraz pojął nieoczekiwanie, że lądowanie w rozległej strefie zrzutu będzie niczym w obliczu poszukiwań reszty członków zespołu.

Powtarzał radiowe wezwania tak często jak tylko pozwalała mu na to odwaga. Mijana przez niego wieża ożyła znienacka, rzygnęła strumieniami pocisków smugowych.

Celem nie była para imperialistów, obrona przeciwlotnicza strzelała do bombowca nurkującego Shrike, który powtarzał nieudane wcześniej podejście do ataku – lecz Bonin był tak

dalece skoncentrowany na sterowaniu plecakiem, iż nawet nie zwrócił uwagi na nieoczekiwaną kanonadę.

Nagła myśl zaprzątnęła zniecka jego uwagę. Być może człowiek unoszący się na plecaku był tak małym celem, a może była to kwestia czystego szczęścia, ale zwiadowca nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tylko cud sprawił, iż jak dotąd nie zauważyło ich ani jedno stanowisko obrony przeciwlotniczej na dachach kopuły Gamma.

To musiało być szczęście, zdecydował Bonin. Chociaż przestworza przysłaniała gruba warstwa chmur, Duch pewien był, że jego szczęśliwa gwiazda migocze gdzieś wysoko w górze.

Ciekawe, jak długo jeszcze miało to trwać?

- Trzymaj się, Jagdea – powiedział.

- Co? Kur...

Opadli na dach w cieniu młyna, ale pod nieprawidłowym kątem i z nieco zbyt dużą prędkością. A sam dach okazał się bardziej stromy, niż Bonin zakładał.

Uderzyli w dach raz, odbili się od niego i polecili w dwie przeciwne strony. Jagdea przekoziołkowała dwa razy krzycząc z bólu, gdy uderzyła się w oplecioną pasami zranioną rękę. Bonin próbował zmniejszyć obroty wirnika, ale przy pierwszym uderzeniu w ziemię puścił drążek i nie potrafił go odnaleźć palcami. Wyrznął w metalową kratownicę, potem w bok jakiegoś zbiornika, stracił przytomność.

- Niezłe lądowanie – usłyszał głos Jagdei, kiedy już odzyskał świadomość.

Kobieta klęczała nad nim usiłując poluzować uprząż gwardzisty.

- Złamałem coś?

- Nie sądzę.

Mężczyzna usiadł ostrożnie. Znajdował się na fragmencie dachu pomiędzy zbiornikiem na jakąś ciecz i podwyższeniem, które obrał wcześniej za miejsce lądowania. Dach pokryty był warstwą śliskich osadów będących mieszaniną deszczówki i brudu. Rozglądając się wokół Duch zauważył, że tocząc się jeszcze kawałek dalej wpadłby niechybnie do głębokiego na pięćdziesiąt metrów odkrytego zbiornika na odpady.

Dwójka wojskowych wślizgnęła się za ciąg opasłych beczek. Bonin przygotował do użytku swój laser, Jagdea wyciągnęła z kabury automatyczny pistolet. Zwiadowca ponowił radiowy sygnał, ale nadal nikt mu nie odpowiadał.

Ruszyli na zachód, przebiegając śpiesznie po pomoście przerzuconym nad zbiornikiem pełnym oleistej wody. Opodal z szeregu metalowych kominów w niebo tryskały obłoki płonących gazów przemysłowych.

Komunikator zatrzeszczał zniecka. Bonin pomyślał, że Varl albo ktoś inny z jego grupy próbuje nawiązać kontakt, toteż zawrócił w miejscu, by uzyskać silniejszy sygnał. W słuchawkach rozległy się chrapliwe głosy, które w niczym nie przypominały niskiego gothica.

Duch wciągnął Jagdeę za krawędź pomostu w tej samej chwili, kiedy po przeciwnej stronie zbiornika pojawili się trzej żołnierze Paktu Krwi w ciężkich kombinezonach ochronnych. Ich karmazynowe hełmy błyszczały wyraźnie w półmroku.

Pierwszy spostrzegł intruzów, wystrzelił serię ze swojego lasera. Laserowe wiązki wcięły się w metalową krawędź pomostu.

Bonin przyłożył broń do ramienia i pociągnął za spust. Krecha światła otarła się o heretyckiego strzelca i zatrzymała w miejscu pozostałych dwóch. Wszyscy trzej zaczęli strzelać równocześnie, przestrzeń ponad zbiornikiem zapełniła się energetycznymi wiązkami.

Obrany przez Bonina za cel Pakciarz podjął próbę biegu przez pomost, podczas gdy dwaj towarzysze ubezpieczali go ogniem. Bonin przestrelał mu pierwszą wiązką ramię, drugą trafił

prosto w żelazną maskę helmu. Żołnierz ześlizgnął się bezwładnie z pomostu, wpadł z pluskiem do brudnej wody.

Duch złapał pilotkę za rękę i pobiegł wraz z nią poprzez dach w stronę rzędy galwanizowanych rur kominowych będących wymiennikami ciepła. Laserowe wiązki cięży powietrze za ich plecami.

Znalazszy się za rurami Bonin ponownie przyłożył broń do ramienia. Dwaj następni żołnierze paktu Krwi pojawili się na sąsiednim dachu, zaczęli strzelać z ogrodzonego łańcuchami podwyższenia. Zwiadowca pojął, że czterem heretykom nie będzie potrzeba wiele czasu na skoordynowanie między sobą morderczego ognia krzyżowego.

Wiązki energii uderzały w obudowy wymienników powietrza. Bonin oddał jeden strzał, trafił w klatkę piersiową pierwszego z dwóch Pakciarzy biegnących pomostem. Mężczyzna przewrócił się na barierkę, zawisł na niej zaczepiony klamrą uprzęży.

Kolejna seria wiązek zasypała rząd wymienników, zerwała metalowe zadaszenie ponad nimi. Jagdea strzelała ze swojego automatu, ale niezbyt dobrze radziła sobie z bronią palną.

Laserowy ładunek omal nie trafił Bonina w rękę. Zwiadowca podniósł wzrok. Drugi napastnik na pomoście był już blisko, a imperialiści nie mogli ryzykować odwrotu w inne miejsce, bo wystawili by się w ten sposób pod lufy strzelców na sąsiednim dachu.

Pakciarz biegnący przez most pochylił się gwałtownie do przodu, przeleciał za barierkę, runął do zbiornika.

- Feth, co... – zaczął Bonin.

Dwaj heretycy na dachy odwrócili głowy w bok wyraźnie zaskoczeni i w tym właśnie momencie czaszka jednego z nich eksplodowała trafiona skondensowaną silnie wiązką energii.

Bonin poderwał lufę broni i puścił serię w kierunku ostatniego przeciwnika. Pakciarz uskoczył, schował się za jakiś filar i już się więcej nie pojawił.

- Wstrzymaj ogień, Bonin – w eterze rozległ się czyjś głos.

Zza filara wychynął chowający do pochwy nóż Varl.

- Teren czysty. Banda?

- U mnie czysto.

- Vadim?

- Czysto.

- Unterrio?

- Też czysto. Brak ruchu.

Varl podbiegł do Bonina i Jagdei.

- Biegiem za mną. Myśleliśmy, że już po was.

Cała trójka popędziła co sił w nogach po schodkach wiodących na położony nieco wyżej taras.

- Jak nas znaleźliście? – spytał Bonin.

- Odebraliśmy twój sygnał i próbowaliśmy namierzyć jego źródło. Skurwiele mieli na dachu patrole. Raczej nie z powodu nas. Podczas rajdu strącili sporo naszych samolotów i pewnie szukali teraz lotników, którzy skoczyli ze spadochronami.

- Jesteś tego pewien?

- Nie – odparł szczerze Varl.

Banda wychynęła z kryjówki na szczycie tarasu. Bonin był już pewien, że to oddane przez nią strzały zlikwidowały dwóch heretyków.

- Niezłe oko – powiedział.

- Za to dają nam te błyszczące medale – odparła, po czym przywitała ruchem głowy Jagdeę – Widzę, że masz ze sobą przyjaciółkę.

- Jagdea nas tutaj dostarczyła żywych i całych, Banda. Spłaciłem tę przysługę.

- Gak, chłopie, tylko żartowałam.

Vadim i Unterrio wspięli się na taras po bocznej drabince, dołączyli do reszty grupy.

- Dobra nasza – powiedział Varl – Skoro już wszyscy jesteśmy razem, może weźmiemy się w końcu do roboty. Na dachach wciąż roi się od tych drani. Proponuję zejść na dół.

- Znaleźliście wejście? – spytał Bonin.

Varl obejrzał się w jego stronę, a widoczne za szkłem wizjerów oczy sierżanta pełne były sarkazmu.

- Nie, nie znaleźliśmy, ponieważ *primo*, szukaliśmy najpierw twojego zadka, sam nie wiem po co, i *secundo*, czy to aby nie jest twoja robota, panie zwiadowco?

- Moja – przyznał Bonin.

- Możemy się za to zabrać? – spytała Banda – Zaczyna mi się kończyć powietrze.

- Dobra, wszyscy za Boninem, ubezpieczać się wzajemnie – polecił Varl.

Jagdea złapała go za rękaw kombinezonu.

- Sierzancie, wiem... wiem, że nie powinno mnie tutaj być. Myślę, że będzie najlepiej, jeśli tutaj zostanę i się ujawnię.

- Nie! – przerwał jej Bonin.

- Zgadzam się, pani komandor, nic z tego – pokręcił głową Varl.

- Doceniam waszą dobrą wolę, ale ja nie mam za sobą treningu żołnierza piechoty i z pewnością nie mam ani odrobiny umiejętności koniecznych w operacjach specjalnych. Rozumiem doskonale wagę misji, do udziału w której się zgłosiłam. Nie chcę stanowić dla was obciążenia.

- Idzie pani z nami. Koniec dyskusji – powtórzył Varl.

- Mogę spróbować na własną rękę...

- Nie! – podniósł głos Varl.

- Komandor Jagdea ma rację, sierzancie – powiedział Unterrio – Bez niej będziemy przemieszczać się szybciej i bardziej skrycie. Ta operacja jest zbyt ważna, by pochopnie narażać ją na fiasko. I podobnie jak ja, pani komandor pochodzi z Phantine. Bardziej zależy nam na wyzwoleniu tego świata niż własnym życiu.

- Proszę posłuchać Unterrio, sierzancie – dodała Jagdea – Przed chwilą zlikwidowaliście wrogi patrol. Niech inni Pakciarze mnie znajdą, a wezmę winę za to na siebie. Samotny zestrzelony pilot. Tego właśnie będą się spodziewać. Kupię wam czas.

Varl przesunął w zamyśleniu palcami po pasku swojego U90.

- Kiedy mówiłem *nie*, znaczyło to *nie*. Żeby uwierzyli w tę bajeczkę, musielibyśmy ci zostawić również snajperski karabin i wojskowy nóż, a taki sprzęt pociągnąłby za sobą jeszcze więcej pytań. Po drugie... nie zabieram cię ze sobą przez wzgląd na współczucie. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego jak okrutne są ich przesłuchania? Nie dałabyś rady. Żaden z nas nie dałby rady. Twoja historyjka o zestrzelonym pilocie przestałaby błyskawicznie istnieć, wydałabyś im bez wahania nas, swoją rodzinę i swoją planetę. Nie, pani komandor, idzie pani z nami. Dla naszego własnego dobra.

Larisel 2 nie miał większych trudności z wejściem do miasta. Spore połacie Bety zostały zniszczone podczas bombardowania, część ich wciąż płonęła. Zebrawszy się opodal zgrupowania masztów komunikacyjnych członkowie grupy specjalnej zeszli na zachodni kraniec kopuły i opuścili się po linach w dół zawałonej sekcji dachowej, spod której buchały kłęby gęstego dymu.

Ubezpieczani przez Larkina, Meryn i Mkvenner skontrolowali pierwsze pomieszczenie. Był to pokój mieszkalny, całkowicie wypalony. Mkvenner przeszedł po zwęglonym dywanie, stanął przed drzwiami dosłownie wtopionymi pod wpływem żaru w futrynę. Kapral Meryn wywalił z

zawiasów drzwi prowadzące do bocznego pokoju, również zniszczonego płomieniami. Lotnicza bomba przebiła jego sufit i wylądowała kilka pięter niżej. W podłodze obok resztek łóżka ziała ogromna dziura o osmalonych krawędziach.

- Schodzić na dół – rzucił w eter Meryn.

Kersherin, Larkin i Kuren zeskoczyli do środka pierwszego pokoju, Mkvenner skierował ich do Meryna. Wszyscy spojrzeli w głąb wielkiej wyrwy. Odległe syreny zawodziły przeciągle uaktywnione seria przebić w hermetycznym płaszczu kopuły.

- Dwa piętra poniżej nie istnieją – stwierdził Mkvenner. Wybuch bomby dosłownie unicestwił pomieszczenia na dwóch niższych piętrach. Larkin podniósł wzrok i spostrzegł zwykły kuchenny widelec wbity do połowy w ścianę pokoju. Siła wybuchu zmieniła przedmiot codziennego użytku w morderczy pocisk.

- Liny w ruch – zdecydował Meryn. Mkvenner przywiązał jeden koniec swej liny do rury grzewczej i opuścił się jako pierwszy w dół.

Reszta żołnierzy poszła w jego ślady. Mijając pierwsze zniszczone piętro Larkin próbował nie patrzeć na poczerńiałe zwłoki dwóch ofiar wybuchu dosłownie wprasowane w ścianę pokoju. Na resztkach trzymającej się jeszcze w powietrzu podłogi tkwiła połowa biurka zaścielona kartkami wydartymi z jakiejś książki oraz cudem nietknięta porcelanowa waza.

Jeszcze jedno piętro i gwardziści stanęli ponownie na podłodze, odartej wybuchem z wykładziny. Część pokoju na tym poziomie – sypialni - ocalała; znajdowało się tam krzesło, ozdobna szafka pełna szklanek i butelek oraz doskonałej jakości dywan, który urywał się niczym ucięty nożem w miejscu, dokąd dotarły płomienie. Przez poręcz krzesła przewieszane były jakieś ubrania. W pozornie nienaruszonej części pokoju jedynymi śladami zniszczeń była nieco złuszczone farba na ścianie, spękana pod wpływem gorąca.

Mkvenner podkraść się do drzwi i uchylił je odrobinę. Po drugiej stronie dostrzegł skąpany w blasku awaryjnych lamp korytarz.

- Za mną – polecił i gwardziści ruszyli w ślad za nim formując ciasny szyk.

Larkin drżał coraz mocniej. Po części przyczyną był wstrząs wywołany gwałtownością skoku, po części napięcie, w głównej jednak mierze załamała go wieść, że Mkoll zginął. Snajper czuł pierwsze objawy swej migreny. Okazał dość rozsądku, by zabrać na czas akcji tabletki, zresztą nalegali na to Daur, Gaunt i Meryn; ale hełm i zawór butli tlenowej uniemożliwiły mu zażycie lekarstwa.

Zdołali przebiec zaledwie dziesięć metrów, kiedy po drugiej stronie korytarza pojawiło się trzech mężczyzn w białych żaroodpornych kombinezonach i maskach tlenowych. Ratownicy spanikowali na widok uzbrojonych intruzów i rzucili się do ucieczki.

- Och, feth. Brać ich – rozkaz Meryna zabrzmiał okrutnie, ale okazał się koniecznością.

Kuren i Kersherin otworzyli ogień zabijając wszystkich trzech ratowników. To nie w porządku, pomyślał Kuren. To było cholernie nie w porządku, ale musieli to zrobić, by zachować w tajemnicy swą obecność. Jeszcze jeden ratownik pojawił się zniemacka na korytarza, zaczął biec w stronę położonej w głębi windy porzucając ciągniętego na noszach nieprzytomnego człowieka.

Mkvenner strzelił jeden raz. Ratownik wpadł na ścianę, odbił się od niej i runął na podłogę. Jego noga drgała jeszcze przez chwilę konwulsyjnie.

- Feth – powiedział z niesmakiem Mkvenner.

- Musimy wysadzić to miejsce – zdecydował Meryn – Znajdą zwłoki z ranami postrzałowymi i będą wiedzieli tyle samo, ile powiedzieliby im ci biedni dranie, gdybyśmy ich zostawili żywych. Wysadzmy trupy w powietrze, to pomyślą, że wleźli na bombę z opóźnionym zapłonem.

Mkvenner przytaknął ruchem głowy i wyciągnął z pokrowca przy pasie dwa ładunki wybuchowe. Larkin obserwował go wciąż nie potrafiąc opanować drżenia. Tak zimna bezwzględność była cechą kaprała Meryna, której snajper nigdy wcześniej nie zauważył. Meryn, jeden z młodszych wiekiem Duchów, był świetnym żołnierzem o doskonałych aktach osobowych, ale Gaunt jak dotąd nie zdecydował się go jeszcze awansować. Rawne przygarnął kaprała pod swoje skrzydła i teraz młody podoficer najwyraźniej pragnął z wszelkich sił się wykazać, eliminując każdą przeszkodę stojącą mu na drodze do sukcesu. Robił rzeczy, które bez wątpienia zrobiłby jego równie bezwzględny mentor Rawne, ale stał się w ten sposób człowiekiem, którego Larkin dotąd nie znał. Meryn zachowywał się racjonalnie i w uzasadniony sposób, lecz Larkinowi wcale się to nie podobało.

- Larkin! Ruszaj się, wiejemy! – krzyknął kapral. Żołnierze zaczęli zbiegać pośpiesznie w dół klatki schodowej położonej obok szybu windy. Podłoga zakołysała się pod ich nogami, kiedy silny wybuch zniszczył opuszczony chwilę wcześniej korytarz.

Gaunt zabrał Beltaynowi elektroniczny notes i przeczytał szybko jego zawartość.

- Czy to potwierdzone informacje?

- Przesłał je admirał Ornoff.

W raporcie admirała znajdowała się informacja o zniszczeniu dwóch samolotów grupy specjalnej przed dotarciem do ich celu. Larisel 2 i 3 wylądowały szczęśliwie. Opierając się na zeznaniach pilotów Ornoff zakładał, że niektórzy – o ile nie wszyscy – członkowie Larisela 1 zdołali wyskoczyć z samolotu przed jego eksplozją.

To było już coś.

Larisel 4 eksplodował w powietrzu krótko przed osiągnięciem krawędzi miasta. Żadnych ocalałych, żadnych spadochronów.

- Och, Boże-Imperatorze – westchnął z żalem Gaunt – Mkoll.

Pięćset syren alarmowych zawyło w tym samym momencie wydając przeciągły wizg i tysiące robotników zaczęły przemieszczać się w obrębie drugiego młyna oparowego Ouranbergu. Była to pora zmiany roboczej, ale ludzie opuszczający swe stanowiska nie mieli tego dnia zaznać odpoczynku. Ponawiane co chwila radiowe komunikaty nakazywały im zgłosić się po odbiór racji żywnościowych do wyznaczonych kantyn, a następnie udać się pod bramę baskuły. Tam mieli zostać podzieleni na grupy robocze i udać się przez most do głównej części miasta, aby wziąć udział w gaszeniu pożarów i odgruzowywaniu terenu.

- Nieobecność w miejscu zbiórki pociągnie za sobą karę dla wszystkich członków grupy roboczej nieobecnego – powtarzał spiker. Głos mężczyzny, silnie zniekształcony przez radiowęzeł, miał dziwny chrapliwy akcent i można było odnieść wrażenie, że heretyk odczytuje z kartki tekst w języku, którego nie rozumie – Kara zostanie wymierzona w trybie natychmiastowym. Nie istnieje żadne usprawiedliwienie nieobecności. Zbiórka przed główną baskułą za dwadzieścia minut.

Długi, pozbawiony emocji komunikat powtarzany był na okrągło przez kilkanaście razy, a echo słów spikera odbijało się od wysokich ścian budynków.

Nikt nie komentował polecenia, nikt nie próbował oponować. Robotnicy zeszli ze swoich stanowisk i ruszyli ogrodzonymi drutem kolczastym chodnikami wiodącymi w stronę kantyn podczas, gdy ich zmiennicy maszerowali w milczeniu biegnącymi obok podobnymi chodnikami w przeciwną stronę. Pełne pyłu powietrze cuchnęło zgnilizną: odorem będącym efektem ubocznym destylacji przemysłowych gazów. Przestrzeń zadaszzonego dziedzińca oświetlały

żółtawe lampy, migoczące pod wpływem przeciążenia sieci elektrycznej silnikami wielkich wentylatorów.

Żołnierze paktu Krwi spacerowali po pomostach wzniesionych ponad chodnikami, uzbrojeni w elektryczne pałki i neuralne paralizatory. Niektórzy z nich, rozebrani do czarnych skórzanych podkoszulków, ale wciąż skrywający twarze za żelaznymi maskami, trzymali na smyczach powarkujące cybermastify i obrzucali Phantyńczyków stekiem bluźnierczych wyzwisk. Byli to członkowie jednostki poganiaczy niewolników Slaitha, wyspecjalizowanej formacji okupacyjnej. Ich brutalne metody sprawowania kontroli umożliwiały Slaithowi utrzymanie odpowiedniego poziomu produkcji w zajętych przez Pakt zakładach. Na Gigarze poganiacze pracowali nad miejscową ludnością przez osiem tygodni, szczując ogary na dwadzieścia wybranych osób za każdym razem, kiedy ktoś zasłabł albo zwolnił tempo pracy. Po upływie ośmiu tygodni rafinerie Gigaru miały na swoim koncie wyprodukowanie całorocznych zapasów paliwa dla sześćdziesięciu regimentów zmechanizowanych Paktu. A ogary były zawsze najedzone.

Mieszkańcy Ouranberga zostali zredukowani do poziomu niemalże żywych trupów, pozbawieni snu, świeżego jedzenia i odpowiedniej ilości płynów. W przypadku wielu osób trudno było wręcz określić płeć czy wiek, nie miało to zresztą dla okupantów żadnego znaczenia. Wszyscy nosili na sobie ubrania powiązane brudnymi bandażami, pokryte grubą warstwą szarego pyłu. Założone na głowy kaptury i czapki, również szare od brudu, upodabniały ich do mnichów. Ludzie byli zgarbieni, potulni; odrapane respiratory i podarte rękawice wisiały przy ich pasach objając się o uda. Czyjaś odsłonięta, czarna od siniaków stopa pozostawiała za sobą ciąg kropel krwi

Ustawiczne bombardowania Ornoffa utrudniały życie ludziom Slaitha, natomiast mieszkańcom Ouranberga ich życie zmieniły z piekła na ziemi na coś jeszcze gorszego. Każda godzina spędzana poza stanowiskiem pracy oznaczała udrękę robót interwencyjnych.

Slaith wiedział, że inwazja jest nieuchronna i zamierzał ją odeprzeć przeistaczając miasto w fortecę. Chodziły plotki, że poganiacze dosypywali do posiłków robotników stymulanty umożliwiające im pracę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Wielu ludzi zmarło już w spazmatycznych konwulsjach lub wpadło w szal rzucając się wprost na lufy Pakciarzy.

Klaksony ryknęły ponownie, spiker zaczął powtarzać monotony komunikat. Robotnicy z sekcji dziewiątej młyna zmiierzali w stronę schodów, które prowadziły na plac zbiórek. Tuż przed schodami jeden z ludzi potknął się i upadł na ogrodzenie z drutu kolczastego. Znajdujący się na platformie nad jego głową żołnierz Paktu Krwi machnął w dół elektryczną pałką, ale nie zdołał dosięgnąć ofiary. Reszta robotników przyśpieszyła natychmiast, chcąc jak najszybciej oddalić się z miejsca incydentu. Pakciarze przepychali się przez tłum w stronę schodów, bijąc na odlew tych robotników, którzy nie dość szybko cofali im się z drogi. Ogary ujadły donośnie.

- Niczego nie próbuj – syknął Adare łapiąc Mila za ramię i ściskając je nieznacznie.

Powietrzem wstrząsnęły przeraźliwe ludzkie krzyki, któryś z Pakciarzy zaczął strzelać w tłum.

- Idź przed siebie, na litość boską – wyszeptał Adare.

Milo z trudem powstrzymywał się przed odrzuceniem brudnego płaszcza i otwarciem ognia ze ściskanego pod prawą pachą U90. Natężenie ludzkich krzyków stało się wręcz nieznośne.

- Wszyscy zginiemy, jeśli to zrobisz – dodał Adare.

Członkowie Larisela 3 podążali przed siebie wmieszani w tłum robotników. Wszyscy mieli na sobie podarte ubrania, w materiał kombinezonów i skórę wtarli całe garście pyłu. Doyl owinął buty i łydki mężczyzn kawałkami bandaży, również niemilosiernie wybrudzonych. Szli przed siebie zgarbieni, z opuszczonymi ramionami.

Kanonada w tyle przybrała na intensywności.

Milo dławił się wściekłością. Zerkając spod kaptura spostrzegł Pakciarza stojącego tuż po drugiej stronie ogrodzenia, wpatzonego w kolumnę robotników. Milo znajdował się dostatecznie blisko heretyka, by poczuć jego odrażający odór, dostrzec rytualne blizny na dłoniach i ośmioramienną gwiazdę Chaosu wypaloną na odsłoniętej klatce piersiowej mężczyzny. Żelazna maska Pakciarza sprawiała wrażenie skierowanej wprost na Brina.

Duch ścisnął mocniej obejmę spustu U90...

Gwardziści znaleźli się na placu zbiórki, zaczęli schodzić w dół metalowych schodów.

Drugi oparowy młyn wbudowany był w wulkaniczny szczyt sąsiadujący z masywem, na którym wzniesiono Ouranberg. Z metropolią łączył go długi na dwa kilometry most wiszący, przerzucony pomiędzy szczytami. Za brudnymi oknami placu zbiorów wznosiła się majestatyczna bryła Ouranbergu. W warstwie smogu migotały tysiące światełek znaczących wierzchołki anten komunikacyjnych, miliony innych pulsowały w oknach kompleksu.

Plac wypełniony był po brzegi więźniami, Larisel 3 ukrywał się wśród tej ludzkiej rzeszy. Milo trzymał się blisko Nessy na wypadek, gdyby dziewczyna nie zauważyła jakiegoś polecenia Adare.

- Oddajcie hołd Slaithowi! – z głośników ryknął chrapliwy głos spikera – Oddajcie mu hołd, albowiem on jest waszym panem!

Żołnierze Paktu Krwi odpowiedzieli gardłowymi okrzykami, robotnicy pokornie wydali z siebie pełen załężnienia pomruk.

- Czujcie Slaitha, a poprzez swe cierpienie i krew pojmiecie prawdziwą istotę Khorna!

Na dźwięk tego imienia niektórzy robotnicy zaczęli płakać i zawodzić, ktoś krzyknął bezrozumnie, trzasnęły bity. Milo poczuł ucisk w gardle i jeżące się na skórze włoski. To słowo, to ohydne słowo. Imię ciemności, zwierzęcy skowyt z Osnowy. Cuchnęło diabolicznym złem, czymś znacznie głębszym niż prosta kombinacja liter. Było niczym dźwięk emitowany na określonej częstotliwości, wywołujący wśród słuchaczy grozę i odrażenie.

Milo rzadko miał sposobność słyszeć któreś z Prawdziwych Mian Chaosu, bo były to zakazane słowa, których żadne ludzkie usta nie powinny wymawiać.

Próbował o nim zapomnieć. Był przerażonym samą myślą o tym, że zostanie mu ono w pamięci i że kiedyś wypowie je na głos dobrowolnie. Gaunt zdradził mu kiedyś, że istnieją cztery Prawdziwe Miana Chaosu, wypowiedane w połączeniu lub z osobna. Milo obiecał sobie wtedy, że dołoży wszelkich starań, aby żadnego z nich nie poznać.

- Chwała Osnowie! Poprzez Osnowę wiedzie jedyna prawdziwa droga! Imiona Osnowy to nieskończoność, a każde z nich wieści cierpienie ludzkości! Oddajcie hołd Osnowie! Czujcie ją! Poprzez moc Osnowy Pan Zmiany przeistoczy wszechświat! Osnowa pograży wszystko w morzu krwi!

Milo zauważył, że Nessa drży i pojął, że dziewczyna bezwiednie reaguje na słowa, których nawet nie słyszała. Zaczął popychać ją powoli w głąb tłumu, modląc się jednocześnie do Boga-Imperatora, by spiker nie wymówił bluźnierczego słowa ponownie.

Cardinale dotarł do bramy placu zbiorów, dołączył do podchodzących pod nią robotników. Próbował nie zwracać uwagi na słowa spikera, zaciskając dłoń tak silnie na małym emblemacie srebrnego orła, że jego skrzydła przebiły mu skórę. Czując ukłucie bólu Phantyńczyk rozluźnił ucisk palców i rozejrzał się wokół próbując bez podnoszenia głowy znaleźć resztę członków zespołu. Dostrzegł Adare i Doylea, nigdzie nie widział natomiast dziewczyny ani chłopca.

Brama łączyła się z mostem poprzez baskulę: potężny żelazny most opuszczany na łańcuchach z wznoszących się po obu stronach bramy wież strażniczych. Kiedy most opadł w dół z ogłuszającym hukiem, żołnierze Paktu Krwi zaczęli smagać więźniów batami ustawiając ich w szeregi. Brama otworzyła się z metalicznym szczękiem.

Elektryczny pejcz dotknął łydki Cardinale i mężczyzna osunął się na jedno kolano porażony bolesnym spazmem.

- Dalej! Dalej! – ryknął znajdujący się obok Pakciarz, ale jego ochryple krzyki skierowane były głównie do tych robotników, którzy pod ciosami batów przewracali się na ziemię.

Cardinale poczuł silną dłońią łapiącą go pod ramię i ktoś pociągnął go w górę stawiając na nogi. Ujrzał Doylea.

- Twoja noga? – szepnął zwiadowca.
- Wszystko gra. Musimy przejść przez bramę.
- Wiem – Doyl obejrzał się przez ramię i dostrzegł stojącego kilka metrów dalej Adare.
- Pierwszych pięćdziesięciu! – krzyknął Pakciarz, podobnie jak spiker wypowiadający słowa tak jakby posługiwał się całkowicie dla niego obcym językiem - Pierwszych pięćdziesięciu do kopuły Beta!

Ponownie trzasnęły bity i ludzie runęli pośpiesznie w stronę bramy. Most okazał się dostatecznie duży, aby mógł nim przejechać ciężarowy samochód. Dach konstrukcji wykonany był z przeszklonych płyt, a wewnątrz oświetlały wbudowane w ściany przestarzałe lampy.

- Reszta jest z nami? – wyszeptał Adare.
- Tak – potwierdził Doyl – Nie oglądaj się. Milo i Nessa są jakieś dwadzieścia metrów za nami. Widziałem ich przed chwilą.

Pakciarze rozpędzili grupy robotników pod ściany mostu robiąc miejsce dla nadjeżdżającej ciężarówki, ruch kolumny został na chwilę wstrzymany. Cardinale wykorzystał tę okazję, by schylić się i rozetrzeć piekącą łydkę.

- O kurwa – jęknął znienacka.
- Co?

Cardinale zaczął przeszukiwać swe kieszenie. Delikatny łańcuszek wciąż był owinięty wokół jego nadgarstka, ale srebrny orzełek zniknął.

- Dalej! Dalej! – wrzasnął jeden ze strażników, kiedy ciężarówka przejechała z warkotem silnika. Kolumna więźniów podjęła dalszy marsz ku murom Ouranbergu.

- Musiał się urwać – uznał Cardinale.
- Zapomnij o tym, to już nieważne – syknął Adare.
- A co, jeśli go znajduję? – nie ustępował Cardinale. Phantyńczyk pocierał ranki na wewnętrznej stronie dłoni, nacięcia po czubkach skrzydeł orzełka.
- Zamknij się, dobrze? Daj mi pomyśleć.

Kolumna znajdowała się w połowie drogi przez most.

Wszystko gra? zasygnalizował ruchami palców Milo spoglądając w stronę Nessy.

W porządku. To było przerażające.

Prawda.

Gromada robotników zbliżała się do jednej z bram Ouranbergu – gigantycznego wejścia wyrastającego ponad mostem i północnymi obrzeżami metropolii. Na ścianach fortecy powiewały sztandary Paktu Krwi.

Prawie na miejscu.

Na placu zbiórek jeden z Pakciarzy szarpnął za łańcuch, na którym miotał się jego ogar. Stwór węszył przy brudnej kostce brukowej.

Coś znalazł.

Pakciarz pochylił się i zaczął gmerać zgrabiętymi palcami w brudzie. Dostrzegł jakiś błysk.

Mały dwugłowy orzełek. Emblemat. Symbol Imperium.

- Alarm! – wrzasnął plując cuchnącą śliną – Alarm! Alarm!

Syreny zaczęły wyc przeraźliwie. Idący w kolumnie robotnicy rozglądali się z przerażeniem wokół, kiedy ściennie lampy zmieniły kolor na pomarańczowy. Brama Ouranbergu była tak blisko.

- Do przodu! – syknął Adare.
- Co robimy? – wymamrotał Cardinale.
- Do przodu, powiedziałem. Prawie doszliśmy na miejsce. Wbijamy się do środka.

Trójka mężczyzn zaczęła przebijać się łokciami przez szeregi więźniów, zmierzając w stronę bramy.

Na drugim krańcu mostu żołnierze Paktu Krwi przebiegali przez baskulę roztrzając na boki robotników albo po prostu zabijając ich strzałami z przystawienia. W powietrzu niesło się przerażające ujadanie. Ogary zostały spuszczone z łańcuchów.

- Szybciej! – syknął Milo ciągnąc Nessę za rękę.

Dziewczyna zaskoczyła go stawiając zdecydowany opór.

- Nie – powiedziała głośno i zmusiła go do cofnięcia się pod jedną ze ścian mostu, pomiędzy innymi ludźmi. Szybkim ruchem dłoni ściągnęła kaptur na twarz chłopca.

Nessa brała udział w walkach o Vervunhive jako członek ochotniczych kompanii miejskich. Wiedziała jak wtapiać się w otoczenie, jak wykorzystać każdą osłonę. Chociaż instynkt podpowiadał Brinowi, że trzeba uciekać, Duch usłuchał dziewczyny, zaufała jej.

Opuścił głowę ku butom.

Żołnierze Paktu Krwi przebiegli obok nich, kopiąc i tłukąc kolbami karabinów ludzi zbyt wolno odsuwających się im z drogi. Ogary sadziły do przodu susami śliniąc się obficie, w powietrzu rozszedł się ich ostry fetor.

Dwaj zdezorientowani robotnicy zostali zastrzeleni na oczach Mila i Nessy, ich ciała leżały w rosnących kałużach krwi deptane ciężkimi butami Pakciarzy.

Wewnątrz bramy również wyły syreny. Heretyccy żołnierze, skrywający twarze za żelaznymi maskami, spędzali wszystkich wkraczających do miasta więźniów pod jedną ze ścian głównego holu, krzycząc coś i wymachując bronią.

- Feth! – powiedział Adare stawiając pierwszy krok w murach Ouranbergu.
- Wtapiać się w tłum! – ponaglał Doyl – Do szeregu z pozostałymi i nie zwracać na siebie uwagi!

Wszyscy słyszeli przybierające na sile ujadanie.

- Psy! Przekłete psy! – jęknął Cardinale – Złapały mój zapach...
- Nie panikuj! – Doyl podniósł głos na tyle, na ile pozwalał mu zdrowy rozsądek.
- Musimy coś zrobić – w głosie mężczyzny rozbrzmiewał coraz silniejszy strach.
- Nie zrobisz niczego, dopóki ci nie pozwolę, Phantyńczyku! – warknął Adare – Pod ścianę z resztą robotników!
- Ale psy!

Ogary wpadły przez bramę przewracając krzyczących przeraźliwie więźniów, pędząc wprost na imperialistów.

- Święty Imperatorze! – wrzasnął Cardinale odpychając w bok Adare.
- Och, feth! Nie! Nie rób tego! Nie! – krzyknął Adare – Na Złoty Tron, Cardinale...

Phantyński żołnierz odrzucił swój płaszcz i obrócił się w miejscu wystrzelivując długą serię z trzymanego w rękach lasera. Zabił trzy ogary, dwa z nich w połowie skoku. Czwarty stwór, ważący dwieście funtów cybermastiff, uderzył z rozpędu w ciało mężczyzny i przewrócił go na ziemię. Stalowe szczęki zacisnęły się na lewej części twarzy Cardinale.

- Akcja! – krzyknął z rozpaczą Adare – Działaj, Doyl! Nie ma wyjścia!

Sierżant Adare chwycił oburącz swój karabin i zastrzelił szarpiącego się z Phantyńczykiem ogara. Doyl ściał celnymi wiązkami energii znajdujących się najbliżej Pakciarzy.

Cardinale wrzeszczał przeraźliwie, krew bryzgała z potwornych ran na jego twarzy i szyi. Adare pochwycił Phantyńczyka i poczuł jak jego dłonie ślizgają się w gorącej krwi.

- Wiać! Wiać! – Doyl zabił jeszcze dwa ogary, trzeci uciekł skomląc i ciągnąc za sobą łańcuch – Zabierz go stąd! Zabierz!

Zwiadowca puścił serię z lasera, trafił dwóch żołnierzy Paktu stojących w gnieździe karabinu maszynowego nad bramą. Obaj mężczyźni przelecieli martwi przez barierkę platformy, spadli na dziedziniec bramy.

Robotnicy uciekali na wszystkie strony krzycząc w panice. Adare podniósł Cardinale na nogi i zaczął go wlec za sobą strzelając jednocześnie z trzymanego w jednej ręce lasera. Doyl zaczął przepychać się przodem, roztrącając tłum, torując drogę. Gdyby tylko zdołali wymknąć się z holu i znaleźć kryjówkę...

Doyl odskoczył mimowolnie w tył, kiedy laserowa wiązka otarła się o jego czoło. Krew ciekąca z częściowo zasklepionej żarem rany zalewała mu oczy. Tanithijczyk zaklął, zerwał detoklejkę z ładunku wybuchowego i cisnął pakietem na lewo. Ogłuszający wybuch cisnął w powietrze pokiereszowane ciała trzech Pakciarzy i pogłębił panujący na dziedzińcu chaos.

Strzelając bez namysłu do każdej postaci choć trochę przypominającej heretyka Adare parł wprost na północno-zachodnie wyjście z holu. Duch ciągnął za sobą Cardinale, robotnicy pierzchali przed nim zdjęci grozą.

- Doyl! Tędy! W tę stronę!

Na wpół oślepiony własną krwią zwiadowca zaczął biec w stronę głosu sierżanta, odpychając pięściami i kopiąc tarasujących mu drogę więźniów. Kilku robotników wpadło na niego w ślepej panice.

- Adare!

- Tutaj, Doyl!

Gdzieś z tyłu zaterkotał karabin maszynowy, kilkunastu ludzi padło na ziemię przeszytych kulami. Doyl wciągnął w nozdrza ostry zapach prochu i krwi. Karabin zaterkotał ponownie.

Duch przetaił oczy rękawem i obrócił się w miejscu przypadając na jedno kolano. Przyłożył broń do ramienia szukając źródła ostrzału. Żołnierze Paktu Krwi przebijali się przez pandemonium na dziedzińcu, jeden z nich dźwigał cekaem na dwunogu, biegnący w tyle ładowniczy obwieszony był pasami z amunicją. Tryskające z lufy płomienie wylotowe rozświetlały ciemny dziedziniec niczym stroboskopowa lampa. Każdy błysk światła utrwał w oczach ludzi obraz zderzających się ze sobą, ogarniętych bezrozumną grozą cywilów.

Doyl zdążył przestrzelić gardło operatora cekaemu, zanim krew ponownie zalepiła mu oczy. Adare zdołał dobiec do korytarza za holem, wpadł do środka wlokąc szybko Cardinale. Obracając się w miejscu sierżant machnął ręką i cisnął ponad głowę Doyle granatem, prosto w gromadę nadbiegających Pakciarzy.

- Szybciej! – Adare podniósł głos przekrzykując huk eksplozji – Damy radę! Pierwszy i Jedyny! Cholerny Pierwszy i Jedyny!

Doyl pobiegł za głosem sierżanta.

Popędzili środkiem szerokiego kamiennego korytarza, pod sufitem tunelu unosiły się kłęby dymu buchającego od strony dziedzińca. Oszołomieni robotnicy błakali się wszędzie wokół.

- Czysta strefa! – zawołał Adare – Pomóż mi z nim!

Złapali Cardinale pod pachy, przyspieszyli kroku. Doyl starał się nie spoglądać na zmasakrowaną twarz Phantyńczyka.

- Któreśdy? – zapytał Adare.
- W lewo – zdecydował zwiadowca.

Zdołali pokonać zaledwie kilka metrów, kiedy wiązka lasera ugodziła w kolano sierżanta. Duch runął na ziemię. Z bocznego korytarzyka tunelu wysypał się oddział żołnierzy Paktu Krwi.

- Feth! – jęknął z rozpaczą Doyl. Tanithijczyk puścił Cardinale, zaczął strzelać z przystawionej do biodra broni, ugodził krechami światła dwóch heretyków. Heretycy tłoczyli się na odkrytej przestrzeni stanowiąc doskonały cel.

Podobnie jak sam gwardzista.

Nieprzyjacielscy żołnierze zaczęli strzelać w biegu, kule i wiązki energii cięły przestrzeń wokół trójki imperialistów. Doyl poczuł jak jeden z pocisków dziurawi na wylot jego czapkę, inny rozorał mężczyźnie skórę na udzie. Rykoszety krzeszały iskry na kamiennych ścianach i sypały na wszystkie strony kawałeczkami budulca.

Adare otworzył ogień z leżącej pozycji, znienacka dołączył do niego Cardinale. Skąpany we własnej krwi Phantyńczyk zdołał się jakoś pozbierać na nogi. Kołysząc się chwiejnie u boku Doyle strzelał krótkimi seriami, prosto w ciała nacierających heretyków.

- Uwaga na wybuch! – krzyknął Doyl zrywając detoklejkę z drugiego pakietu i rzucając ładunkiem w głąb korytarza. Eksplozja zawałiła część tunelu, pogrzebała Pakciarzy pod bryłami kamieni. Karmazynowy hełm potoczył się po posadzce korytarza, uderzył ze szczękiem w jedną ze ścian.

- Cardinale! Słyszysz mnie? Słyszysz mnie? Wciąż mamy szansę! – krzyknął Adare próbując podnieść się na nogi.

Phantyński specjalista pokiwał głową, wciąż chwiejąc się i zataczając.

- Z powrotem! – rozkazał sierżant – W przeciwną stronę korytarza!
- Robi się! – potwierdził Doyl – Ale musimy się jak najszybciej zapaść pod ziemię. Na odkrytej przestrzeni zginiemy.
- Zgoda – odparł Adare odwracając się w miejscu. Jego następne słowa utonęły w donośnym trzasku.

Tors sierżanta eksplodował, mężczyzna poleciał w tył uderzając w ścianę tunelu z siłą wystarczającą do zgruchotania kręgosłupa. Setki miniaturowych otworków pokryły w ułamku chwili chropowatą fakturę ściany.

Doyl odskoczył zasłaniając swym ciałem Cardinale. Phantyńczyk upadł ponownie i Duch pewien był, że specjalista zginął. Doyl poczuł nagle zapach kwaśnego mleka i mięty.

Stwór poruszał się tak szybko, że wzrok zwiadowcy ledwie za nim nadążał. Wczepiona pazurami w sufit istota pędziła zawieszona grzbietem ku ziemi, oplatająca jej korpus uprząż z mechanicznymi podajnikami przeladowała samoczynnie dziwaczny miotacz użyty do zabicia Adare. Bandolier z wyprawionej skóry zwisał ze śliskiej skóry stwora, dyndał w powietrzu. Bestia skierowała w stronę człowieka wąsaty pysk, zamrugała podwójnymi powiekami chroniącymi mlecznobiałe ślepie.

Doyl omiół stwora laserową serią.

Bestia zaledwie drgnęła.

Doyl wrzasnął i wystrzelił ponownie, rozładowując ogniem ciągłym całą baterię.

Stwór złapał człowieka za gardło jedną z przednich kończyn i uniósł w górę.

- Imperator strzeże – wykrztusił Doyl, kiedy loxatl przyłożył lufę miotacza do jego oka i wystrzelił.

- Przechodzić! Przechodzić! – krzyczeli Pakciarze bijąc kogo popadnie batami i elektrycznymi pałkami. Spędzeni w jedno miejsce robotnicy byli kierowani ku wyjściu z holu. Cały dziedziniec zasłany był ciałami i gruzem. Żołnierze Paktu odciągali na bok ludzkie zwłoki.

Czy oni...? zasygnalizowała palcami Nessa.

Nie myśl o tym, odpowiedział Milo, *musimy iść dalej*.

Wmieszani w tłum, idący ze spuszczoneymi głowami, dwaj ostatni członkowie Larisela 3 weszli do Ouranbergu.

Grupa Varla przemieszczała się ostrożnie poprzez kompleks głównego młyna, wykorzystując opuszczone klatki schodowe i tylne korytarze. Kilkakrotnie żołnierze musieli się ukrywać pod płaszczami, mijani przez śpieszące gdzieś wojskowe patrole lub robotnicze gangi.

Bonin szedł na przedzie grupy. Gwardziści ukryli swoje ocieplane elementy ubrań, hełmy i koszulki kolcze w ciemnym kącie, przykrywając je płaszczem. Varl owinął Unterrio standardową siatką maskującą, po twarzy Jagdei roztarł resztki pasty kamuflującej.

Wielki kompleks przemysłowy rozbrzmiewał dźwiękami wytężonej pracy – warczały wkrętarki, piszczały suwnice, huczały basowo turbiny i sprężarki.

Podczas ostatniej odprawy żołnierze otrzymali informację, że Slaith przebywa gdzieś w obrębie kopuły Alfa. Varl uznał, iż w obliczu zaistniałej sytuacji najlepiej będzie zdobyć więcej danych. Grupa zatrzymała się dwukrotnie w ustronnych miejscach, by Unterrio mógł podłączyć swój przenośny terminal do miejskiej sieci danych, ale obie próby okazały się fiaskiem – żołnierze Slaitha zniszczyli imperialne oprogramowanie zastępując je bezwartościowymi plikami o niezrozumiałych sekwencjach znaków.

Przedostali się przez kilka magazynów i znaleźli kryjówkę opodal hangaru aerodyn. Przez ponad kwadrans tkwili w niej czekając, aż serwitorki skończą ładować towarowy transporter. Dopiero, gdy powietrzna ciężarówka poderwała się z lądowiska i hangar na chwilę się wyludnił, żołnierze zyskali okazję do dalszego ruchu. Banda przystanęła na moment studiując zapiski na grafiku kursów wiszącym na jednym z filarów hangaru.

- Regularne tranzyty do kopuły Alfa – powiedziała - Kurs co kilka godzin.

Varl pokiwał głową, po czym odwrócił się w stronę Jagdei.

- Potrafi pani poprowadzić taki transporter?

- Tak – odparła.

Ruszyli w dalszą drogę, ale zaraz utknęli w miejscu. Grupa robotników pod uzbrojoną strażą usuwała szkody w zbombardowanych halach fabrycznych. Bonin zawrócił całą grupę szukając obejścia, ale natknął się natychmiast na nadciągające tunelem z drugiej strony grupy remontowe.

- Feth! – syknął Varl. Gwardziści znaleźli się w pułapce.

- Tutaj! Tutaj! – wycedził przez zęby Bonin otwierając zamek drzwi osadzonych w bocznej ścianie korytarza. Wszyscy wepchnęli się naprędce do środka, a zwiadowca zamknął szczelnie drzwi. Było to niewielki składzik na zapasowe części do maszyn, przesycony wonią oleju maszynowego i smarów. Varl i Bonin stanęli po obu stronach drzwi z gotową do użycia bronią, uważnie nasłuchując dobiegających z zewnątrz dźwięków.

Słyszeli twarde gardłowe głosy i trzask radiowych transmisji. Kilka osób najwyraźniej zatrzymało się na chwilę pod drzwiami magazynu prowadząc ożywioną konwersację.

Vadim prześlizgnął się na zaplecze pomieszczenia. Zdjął ze stołu montażowego kilka płyt i skrzynek, wspiął się na blat sięgając do niewielkiego okienka w tylnej ścianie składziku. Szybka była brudna i młody Duch musiał oczyścić ją rękawem, by móc wyjrzeć na zewnątrz.

Wygląda obiecująco, zasygnalizował dłońmi. Varl i reszta Duchów kiwnęła porozumiewawczo głowami. Jagdea i Unterrio, nie znający języka migowego, zmarszczyli czoła.

Wy pierwsi, ja ubezpieczam. Zabierz waszą trójkę. Vadim wyjdzie w ślad za wami. Varl pisał palcami w powietrzu. Bonin pokazał mu uniesiony w górę kciuk, przeszedł na tyły pomieszczenia i wspiął się na stół w miejsce wracającego na podłogę Vadima. Przez szczelinę w pękniętej szybie owiało go świeże powietrze. Wyrzał na zewnątrz. Okienko wychodziło na wąską tylną alejkę biegnącą pomiędzy budynkami oparowego młyna, pełniącą rolę cyrkulatora powietrza. Otworzył okno za pomocą ostrza noża i wystawił na zewnątrz głowę.

Stojący przy drzwiach Varl śledził wzrokiem znikające za futryną okna buty Bonina. Głosy za drzwiami wciąż toczyły dyskusję, ale sierżant odnosił wrażenie, że rozmówcy zaczynają się oddalać.

W okienku pojawiła się twarz Bonina, zwiadowca wsunął do składziku ręce. Wchodząca na stół Banda podała mu swój snajperski karabin, podciągnęła się w górę. Vadim podparł jej stopę pomagając wspiąć się do okna.

Potem odwrócił się i przywołał ruchem ręki Jagdeę.

Podsadzona przez Vadima, Phantyjka zwinnie dotarła do okna, ale owijająca ją siatka maskująca, noszona przez kobietę ze względu na uparte nalegania Varla, zahaczyła o futrynę.

Jagdea zaszamotała się unieruchomiona w miejscu. Vadim wskoczył na stół i sięgnął po nóż próbując rozciąć siatkę. Stół poruszył się pod nogami żołnierza, wprawił w drżenie stojącą obok półkę.

Varl zerknął szybko przez ramię. *Pośpieszcie się*, zasygnalizował. Sierżant pewien już był, że szorstkie głosy na zewnątrz zaczynają się ponownie przybliżać. Zmienił ułożenie swego cybernetycznego ramienia, ujął mocniej obudowę U90.

Vadim pociął nożem siatkę uwalniając Jagdeę z opresji. Kobieta wślizgnęła się w okno, ale nagła zmiana nacisku na stół sprawiła, że mebel poruszył się niebezpiecznie i uderzył w sąsiednią półkę.

Mały pojemnik pełen śrub runął z najwyższej półki ku podłodze.

Varl odniósł wrażenie, że czas zwolnił swój bieg. Widząc spadający pojemnik zamknął oczy i spał mimowolnie mięśnie oczekując najgorszego.

Hałas nie nastąpił. Varl otworzył oczy. Unterrio zdołał pochwycić pojemnik zaledwie kilka centymetrów nad podłogą. Wyraz niewysłowionej wręcz ulgi na twarzach Unterrio i Vadima omal nie wywołał wybuchu śmiechu sierżanta.

Unterrio opuścił składzik jako następny w kolejce. Widząc kłopoty Jagdei, zawczasu zdjął z siebie siatkę maskującą, zwinął ją starannie i wyrzucił przez okienko.

Kłęczący na stole Vadim obejrzał się w stronę sierżanta, przywołał go ruchem dłoni.

Ty pierwszy, polecił Varl, po czym przycisnął ucho do drzwi. Ludzkie głosy rozbrzmiewały po ich drugiej stronie, dokładnie po ich cholernej drugiej stronie.

Bonin uszkodził zamek włamując się do środka, ale sierżant zauważył metalowy rygiel, który naprędcę przesunął na właściwe miejsce. Zaczął cofać się w głąb składziku mierząc w drzwi z karabinu.

Vadim przedostał się na drugą stronę okna i zajrzał do środka gotów pociągnąć sierżanta w górę. Wciąż celując w stronę drzwi, Varl wspiął się na stół. Jego lewa noga zahaczyła o kant półki.

Kilka dwulitrowych butli z olejem roztrzaskało się z hukiem o podłogę.

Varl nie potrafił uwierzyć w to, co się właśnie stało.

Usłyszał podniesione głosy, klamka drzwi zaczęła poruszać się gwałtownie.

- Szybko! – syknął Vadim.

Ktoś zaczął walić w drzwi pięściami, potem kopać. Potem padły strzały.

Metal wokół zamka uległ deformacji, popękał pod wpływem trafienia kilkoma laserowymi wiązkami. Rygiel wciąż trzymał.

Ktoś, kto znajdował się po drugiej stronie drzwi zaczął strzelać prosto w ich środek wytapiając w metalu sześć dymiących otworków. Przebijając drzwi wiązki straciły wiele ze swej energii kinetycznej, ale były wciąż jeszcze dość silne, by wytrącić Varla z równowagi i zrzucić go ze stołu.

- Varl! – krzyknął Vadim. Kolejne wiązki przebiły powierzchnię drzwi, rozjaśniły ciemną przestrzeń składziku.

- Feth! – warknął sierżant. Był mocno posiniaczony na ramionach i udach; w miejscach, gdzie krechy energii nadpały jego ubranie. Pozbierał się z podłogi, wymierzył w drzwi z U90 i pociągnął za spust.

W magazynku U90 znajdowały się standardowe naboje. Uderzając w metalowe drzwi powgniatyły je w wielu miejscach, ale tylko kilka pocisków przeszło na wylot. W odpowiedzi na zewnątrz rozpętała się wściekła kanonada.

Varl wyrwał z broni magazynkę, zastąpił go zasobnikiem z czerwonymi krzyżkami, przeładował karabin i zasypał drzwi pociskami przeciwpancernymi. Naboje przeszły przez metal jakby to był mokry papier, podobnie jak przez ścianę po obu stronach. Cegły rozpryskiwały się na wszystkie strony.

Sierżant odwrócił się w miejscu, cisnął broń w wyciągnięte ręce Vadima i wskoczył na stół podciągając się na parapecie okienka.

Na korytarzu zaczął porykiwać alarmowy klakson, szybko dołączyły do niego kolejne. Członkowie Larisela 1 pobiegli tylną alejką, skręcili w kanał odpływowy ciągnący się wzdłuż ściany niewielkiej fabryczki.

- Nie tędy! – krzyknął Bonin dostrzegając wznoszące się za fabryką dwie wieżyczki strażnicze – Tutaj! – skręcili w kolejną alejkę, ale droga okazała się zatarasowana pryzmami dachówek.

- Pięknie, Bonin – sarknęła banda – Tędy nie ma przejścia.

- Jest, tam – powiedział Vadim. Verghastyta wspiał się na najbliższą pryzmę nie zwalniając kroku. Reszta poszła z miejsca w jego ślady ścigając zwinnego Ducha, wspinając się na mur alejki i lądując na zadaszeniu przysłaniającą biegnący po drugiej stronie korytarz.

Schowali się pod płachtami materiału nałożonymi na beczki na oddalonym nieco dziedzińcu.

- Lepiej będzie, jeśli się na jakiś czas przyczaimy – zasugerował Bonin.

- Dobra – wydyśzał Varl – A potem wrócimy do tamtego hangaru.

Członkowie Larisela 2 – sekcji specjalnej Meryna – jako pierwsi ujrzeli twarz Sagittara Slaitha. Na każdej ulicy i na każdym placu w kopule Beta znajdowały się ekrany informacyjne emitujące wystąpienia katechetów Paktu Krwi, głoszących bluźniercze peany na część swej diabolicznej wiary. Transmisje były nadawane przez cały czas, nagrywano je za pomocą trzymanyh ręcznie kamer, które często traciły ostrość przekazu próbując nadażyć za kapłanami. Ludzie ci byli wytatuowanymi osobnikami o skórze przebitej kolczykami, wykrzykującymi psalmy w języku będącym mieszaniną niskiego gothica i ich własnej mowy. Niektórzy potrafili nauczać całymi godzinami, wpadając od czasu do czasu w spazmy i konwulsje sugerujące korzystanie z narkotyków. Inni wydzierali się histerycznie przez kilkanaście minut, po czym znikali z ekranów. Transmisja przerywana była wówczas na kilka sekund, a kamera przeskakiwała do kolejnego katechety.

Członkowie Larisela 2 próbowali ignorować te przekazy, ale okazało się to praktycznie niemożliwe. Krzyki katechetów rozbrzmiewały na każdej ulicy.

Najbardziej podatny na mesmeryczne działanie tych audycji okazał się Larkin. W drodze poprzez zbombardowane habitaty żołnierze pozbyli się części niepotrzebnego już ekwipunku i uwolniony od zamkniętego hełmu snajper zażył czym prędzej swoje tabletki. Przez chwilę czuł się lepiej, ale migrena nie zamierzała ustąpić i napierała na mózg człowieka niczym nie chcąc się uspokoić burza.

Po wejściu na normalne poziomy kompleksu gwardziści natrafiali na ekrany informacyjne na praktycznie każdym rogu ulic. Larisel 2 przemykał się tylnymi alejkami, pomostami łącznikowymi i pustymi placami, ale nigdzie nie znajdował schronienia przed diabolicznymi kazaniem. Larkin czuł jak jego migrena przybiera na sile, a umysł pogrąża się ponownie w stanie otępienia i dezorientacji.

Zrozumiałe, wygłaszane w niskim gothicu części kazań były odrażające same w sobie. Używane w nich słowa, koncepcje i idee budziły przerażenie i szok, lecz bełkotliwe zdania wymawiane w języku Osnowy okazały się jeszcze gorsze, przynajmniej w opinii Larkina. Umysł snajpera popadał w szaleństwo próbując mimowolnie interpretować ich brzmienie.

Ale najbardziej przerażał Larkina widok mieszkańców Ouranbergu, w podartych ubraniach, często płaczących, zgromadzonych przed ekranami z wbitym w wyświetlacze wzrokiem. Wyglądało na to, że nikt ich do tego nie zmuszał; po prostu gromadzili się na ulicach i placach patrząc w milczeniu na ekrany, poddając się biernie korodującemu ich umysłowi praniu mózgow.

Mkvenner umiejętnie dobierał trasę zespołu. Z niebывałym instynktem unikał pieszych patroli i wprowadzał grupę w kryjówkę przed każdym przelotem aerodyn. Żołnierze trzymali się z dala od ludzi i tylko raz zostali zmuszeni do zlikwidowania niepożądanego świadka. Mężczyzna w średnim wieku wyszedł na tylny dziedziniec habitatu w chwili, kiedy gwardziści przez niego przebiegali. Człowiek popatrzył na nich bez słowa, po czym odwrócił się i wszedł z powrotem do budynku.

Meryn odłączył się od grupy, pobiegł w ślad za świadkiem; po kilku minutach wyszedł z budynku wracając w stronę imperialnych żołnierzy.

Nikt nie zapytał Meryna o to, co stało się w habitacie – wszyscy znali odpowiedź na to niewypowiedziane pytanie. Wszyscy wiedzieli, że absolutna poufność ich misji była najważniejszym priorytetem. Likwidacja świadków oznaczało zło konieczne, podobnie jak miało to miejsce w przypadku członków grupy ratowniczej. Zło konieczne.

Larkin wciąż nie potrafił się z tym pogodzić. Określenie „zło konieczne” niezmiennie kojarzyło mu się ze słowami ludzi, którzy lubili taką frazę zasłaniać własne błędy. A we wszechświecie zbyt wiele było zła, by rozmyślnie brać udział w jego szerzeniu.

Najbardziej nie podobał mu się jednak całkowity brak ludzkich uczuć Meryna. Kapral pozostawał opanowany i niewzruszony. Rawne bez wątplenia, a być może również Gaunt, pochwaliliby tego rodzaju profesjonalizm, ale Larkin na pewno poczułby się odrobinę lepiej, gdyby Meryn okazał chociaż trochę żalu.

Tuż przed świtem 224. dnia żołnierze zatrzymali się na krótki postój na pierwszym piętrze opuszczonego budynku mieszkalnego. Po rozpoczęciu cyklu dziennego ryzyko natrafienia na niepożądanych świadków wydatnie rosło, a poza tym ludzie musieli w końcu coś zjeść i się przespać. Okna splądrowanego, a następnie porzuconego budynku wychodziły na niewielki dziedziniec pełen spalonych samochodów. Po drugiej stronie placu znajdował się słup, na którym zawieszony był wielki ekran informacyjny emitujący najnowszą porcję kazań katechetów Slaitha. Zgromadzeni przy beczkach z płonącym olejem mieszkańcy miasta wpatrywali się z podniesionymi głowami w ekran.

Żołnierze zjedli naprędce posiłek, po czym położyli się spać. Pierwszą wartę objął Kuren.

Obudził ich wszystkich jakieś dwie godziny później. Na zewnątrz wciąż panował półmrok. Lampy mające przygasnąć automatycznie po rozpoczęciu dnia zostały wcześniej rozbite. Ouranberg sprawiał wrażenie pograżonego w niekończącym się przedświecie, co w opinii Mkvennera miało znacząco ułatwić przemieszczanie się grupy.

Kuren obudził swoich towarzyszy przez wzgląd na telewizyjne audycje.

Katecheci przerwali swe wystąpienia i na ekranach od piętnastu minut nie było nikogo, widniały na nich jedynie białe paski zakłóceń.

Potem pojawił się Sagittar Slaith.

Jego postać wzbudzała skrajną grozę.

Podczas odprawy członkowie misji mieli sposobność obejrzenia kilka bardzo rozmazanych, wykonanych z dalekiego dystansu zdjęć Slaitha; sugerujących wysokiego i dobrze zbudowanego osobnika – ale tamte zdjęcia w niczym nie przypominały istoty widocznej na ekranie.

Twarz na ekranie całkowicie pozbawiona była owłosienia, nie miała nawet brwi i rzęs. Uszy mężczyzny zostały w nienaturalny sposób rozciągnięte mnóstwem wbitych w nie kolczyków, przez co przywodziły na myśl szpiczaste uszy monstrualnego nietoperza. Zęby Slaitha okazały się chromowanymi implantami w kształcie trójkątnych kolców. Trzy podłużne stare blizny przecinały każdy jego policzek świadcząc o uczestnictwie w rytuale lennym złożonym Urlockowi Gaurowi. Slaith miał na sobie białe futro narzucone na najeżony kolcami ciemnoczerwony pancerz siłowy. Jego oczy wyglądały jak pozbawione źrenic mlecznobiałe pasy.

Miał niski miękki głos kojarzący się z sennym koszmarem, budzący człowieka zlanego potem, ale nie pozostawiający po sobie żadnych wyraźnych szczegółów snu.

Przemówił do nich. Wprost do nich. Używał niskiego gothica.

- Imperialni żołnierze. Wiem, że tutaj jesteście. Wiem, że zjawiliście się nieproszeni w moim mieście. Skradacie się niczym szczury w mroku. Wyczuwam was.

- Feth! – syknął Larkin. Meryn uciszył go ostrzegawczym mruknięciem.

- Umrzecie – ciągnął dalej Slaith, a jego oczy ani razu nie mrugnęły – Umrzecie wkrótce. Już zaczęliście umierać. Zabierzecie ze sobą do grobu sto tysięcy rodzajów agonii. Wasze przedśmiertne krzyki wstrząsną Złotym Tronem i przebudzą ten martwy zezwłok, któremu służycie. Potnę wasze ciała i sprawię, że oddacie cześć Paktowi Krwi. Spalę wasze serca na ołtarzu Chaosu. Wyślę wasze dusze do Osnowy, gdzie mój pan, Bóg Krwi, wielki Khorne, ukształtuje was na swe podobieństwo. On mocą swej chwały przeinaczy wasze dusze w ciemności, gdzie będziecie cierpieć męki po wieczność.

Słyszac zakazane imię Larkin poczuł gwałtowne zawroty głowy, zrobiło mu się gorąco. Snajper zauważył, że pozostali żołnierze pobladli nienaturalnie, a Kersherin oddychał szybko powstrzymując się przed zwirowaniem.

- Porzucicie swą skazaną na niepowodzenie misję, a ja w zamian zaoferuję wam błogosławieństwo bezbolesnej śmierci. Macie na to godzinę – Slaith przechylił głowę w bok jakby mówił coś do osoby trzymającej kamerę, potem spojrzal ponownie w obiektyw – Niewolnicy, słudzy tego miejsca, słuchajcie mnie. Przeszukujcie swoje habitaty, warsztaty i magazyny. Przeszukujcie piwnice i poddasza, pralnie i spiżarnie. Znajdźcie tych nieproszonych szkodników. To wasza powinność. Każdy, kto zostanie zatrzymany pod zarzutem ukrywania lub wspierania tych intruzów poniesie karę z mej własnej ręki, podobnie jak jego rodzina i sąsiedzi. Ci, którzy wydadzą imperialnych szpiegów, pozyskają mą przychylność. Ich nagroda wykroczy poza wszelkie wyobrażenia, zostaną bowiem potraktowani jako moi bracia krwi. Tak okazuje się prawdziwą lojalność wobec Boga Krwi.

Obraz na ekranie zawirował zniemacka, operator obrócił kamerę w innym kierunku. Gwardziści spostrzegli bogato umeblowaną komnatę o wielkim oknie w przeciwnej ścianie, za

którym widniała jakaś zrujnowana statua. Okryte futrem plecy Slaitha wypełniły obiektyw kamery, operator podążył w ślad za swym panem idącym poprzez komnatę. W pewnym momencie Slaith zrobił krok w bok, obraz przekazywany przez kamerę wyostrzył się ponownie. Członkowie Larisela 2 wstrzymali oddech.

Na podłodze pod jednym z okien leżały trzy poskręcane ludzkie ciała. Dwa z nich bez wątpienia miały na sobie tanithijskie mundury i bez wątpienia należały do martwych ludzi. Głębokie straszne rany sprawiały, że nie sposób było zidentyfikować ofiar. Dywan przesiąknięty był krwią. Na obu trupach leżał rzucony w poprzek okaleczony mężczyzna, mający na sobie jedynie wojskowe spodnie phantyńskiego specjalisty. Sprawiał wrażenie martwego, ale rozdzielony stalową pięścią Slaitha jęknął chrapliwie i przekrzywił się w bok.

To był Cardinale. Twarz żołnierza przypominała krwawą maskę, jego nadgarstki oplecione były drutem kolczastym.

- Święty feth – sapnął Meryn.

- Tak dowiedziałem się o waszej obecności, imperialne szczury. Wasi towarzysze zostali już schwytani i ukarani. Nie macie szans.

Slaith spojrział z powrotem w obiektyw kamery.

- Daję wam jedną godzinę – powiedział i zniknął. Na ekranie nic się przez dłuższą chwilę nie działo, toteż wszyscy podskoczyli mimowolnie, kiedy pojawił się na nim kolejny katecheta, wykrzykujący histerycznym głosem ciąg bluźnierstw.

Dłonie Larkina drżały silnie, w ustach mężczyzna czuł dziwną suchość.

- Dorwali Larisela 3 – powiedział Meryn.

- Te ciała... Milo? Doyl? – zapytał Kuren.

Mkvenner wzruszył bezradnie ramionami.

- Może. Jeden z nich to chyba Adare.

- Więc niektórzy z trójki mogli przeżyć? – nie ustępował Kuren.

- Chyba, że nie zostało z nich nic, co można by rzucić przed kamerę – odparł Mkvenner.

- Teraz już nie zasnę – oświadczył Meryn – Nie po czymś takim. Chodźmy dalej. Dopadnijmy tego skurwiela. Dobra?

Kersherin i Mkvenner kiwnęli z aprobatą głowami.

- Dobra – powiedział z wbitym w podłogę wzrokiem Kuren.

- Larkin, jesteś z nami?

Snajper skrzyżował wzrok z Merynem.

- Tak. Chodźmy.

Kominy spalarni gazowych odpadów Ouranberga wznosiły się na północ i zachód od metropolii, na stromych skalnych iglicach. Ciężkie rury podtrzymywane kratownicami wsporników i poprzecznych belek, niektóre z nich długie na cztery kilometry, łączyły kominy ze strukturą głównych kompleksów. Same spalarnie były wykonanymi z cegieł kominami o średnicy dwudziestu metrów, przysłonięte wykonanymi z pocerniałego metalu kapeluszami.

Był późny poranek 224. dnia roku. Przystworza miały blask topazu, a chmury toksycznych oparów wznoszące się z dolnych warstw Otchłani przechodziły w żółtawą mgiełkę rozwiewane silnymi na tej wysokości prądami powietrznymi. Gdzieś na zachodzie gromadziły się ciężkie burzowe chmury.

Ouranberg znajdował się trzy kilometry dalej, po drugiej stronie zardzewiałej płataniny rur i wsporników. Miasto nawet z tej odległości przytłaczało swoimi rozmiarami. Promienie słońca odbijały się w tysiącach okien, wąziutkie smugi dymu znały przestrzeń ponad obłymi kopułami.

Z trudem łapiąc oddech mężczyzna usiadł na wąskiej skalnej półce pięćdziesiąt metrów poniżej wylotu komina, zapierając się jedną nogą o metalowy wspornik, by przypadkiem nagły podmuch wiatru nie pozbawił go równowagi. W górującej ponad nim spalarni wiatr zawodził na metalowym zadaszaniu i zamykającej komin kracie, a co dziesięć minut dźwięk ten tonął w huku płonącego gazowego wyziewu. Z nieba sypały się bezustannie płatki sadzy.

Zapas tlenu w jego butli już dawno się wyczerpał, dlatego mężczyzna zmuszony był do korzystania z rezerwowego filtra powietrza w swoim hełmie. Każdy oddech był gorący i wilgotny, wywoływał duszności. Taka wspinaczka byłaby nie lada wyzwaniem nawet w normalnych warunkach. Mężczyzna miał wrażenie, że zdążył do tej pory wypocić co najmniej dwa kilogramy wagi. Bolała go głowa, a dłonie i stopy krwawiły silnie pomimo rękawic i butów.

Zaczął wspinać się ponownie, tym razem pokonując dziesięć metrów i docierając do najniższej położonych wsporników rur biegnących od strony Ouranberga. Podniósł szybko wizjer hełmu pociągając niewielki łyk wody z metalowej butelki, po czym opuścił go ponownie. Pragnienie wciągnięcia w płuca zimnego powietrza na zewnątrz maski prawie całkowicie go dekoncentrowało.

Przesunął się ostrożnie do kratownicy. Z dołu sprawiała wrażenie delikatnej, ale kiedy już do niej dotarł, uświadomił sobie w pełni tytaniczne rozmiary wsporników. Wspinaczka nadal miała być trudna, metalowe filary znajdowały się w zbyt dużych odstępach od siebie. Mężczyzna zastanowił się czy aby nie byłoby lepiej, gdyby popęzł na brzuchu po poziomym wsporniku, asekurując się cały czas dłońmi.

Dotarłby w ten sposób do Ouranberga w następnym stuleciu.

Alternatywą była dalsza wspinaczka w górę w celu dotarcia na wąski pomost biegnący ponad rurą odprowadzającą gazowe odpadki; to oznaczało jednak konieczność pokonania czterdziestu metrów niemal idealnie gładkiej skalnej ściany.

Skontrolował długość liny wiszącej pod jego stopami. Nie miał już zbyt wiele zapasu, więc poświęcił dziesięć minut na wciągnięcie przywiązanego do jej końca ekwipunku na skalną półkę będącą miejscem odpoczynku. Wspinaczka w pełnym osprzęcie nie miała żadnych szans powodzenia, więc żołnierz co jakiś czas wciągał swój ekwipunek za pomocą liny na wyższy poziom iglicy. Nie potrafił odżalować faktu, że jego skokowy plecak uległ uszkodzeniu podczas zrzutu. Sprawdził założony na głowę moduł łączności i ponowił radiowe wezwanie.

- Larisel, Larisel, czy mnie odbieracie?

Nic.

- Larisel, Larisel, zgłóście się.

Wciąż nic. Mężczyzna zdawał sobie sprawę z faktu, że wylądował daleko poza zasięgiem odbiorników swych towarzyszy, ale nie potrafił się powstrzymać przed irracjonalnym kontrolowaniem układu łączności.

- Larisel, Larisel... mówi Mkoll. Czy mnie słyszycie? Czy mnie słyszycie?

Odliczanie do rozpoczęcia inwazji trwało, zbliżał się Dzień O. Operacja Grzmot miała wejść w życie za dwadzieścia cztery godziny.

Gaunt i Rawne dołączyli do generała Von Voytza oraz oficerów Urdeshi i Phantine, by wziąć udział w przeglądzie Szóstego Regimentu Krassii. Była to świeżo powołana do służby jednostka, pochodząca z niedawno wyzwolonego świata rolniczego Krassia w pasie Rimward Marginals. Na placu stały dwa tysiące żołnierzy w miedzianego koloru mundurach i szarych czapkach z daszkami. Ich dowódca, pułkownik Dalglesh, był weteranem Sił Obrony Planetarnej o krzaczastych brwiami i krótko przystrzyżonej brodzie.

- Obiecująca jednostka, pułkowniku – oświadczył Gaunt pod koniec inspekcji.

- Dziękuję, sir – Dalglesh sprawiał wrażenie szczerze ukontentowanego – Pozwolę sobie powiedzieć, że będzie to prawdziwy zaszczyt móc służyć z panem ramię w ramię.

Gaunt uniósł pytająco brwi.

- Tak, sir – skinął głową Dalglesh – Reputacja Pierwszego Tanithijskiego sięga daleko. Krassia została skolonizowana podczas krucjaty Świętej. Pańskie dokonania na Jej rodzimej Hagii spotkały się z ogromną przychylnością moich podwładnych.

- Dziękuję – odparł Gaunt – Zawsze to miło usłyszeć czyjś komplement.

- Zawsze to miło zasłużyć sobie na czyjś komplement... – mruknął stojący z tyłu Rawne.

Włożona w ucho Gaunta słuchawka trzasnęła ledwie słyszalnie.

- Przepraszam pana, pułkowniku. Gaunt, słucham?

- Pułkowniku-komisarzu, mówi Curth. Niech pan przyjdzie do lazaretu i lepiej niech się pan pośpieszy.

Ana Curth wyłączyła komunikator i pobiegł wzdłuż korytarza przepychając się przez tłumek pielęgniarek, sanitariuszy polowych i pacjentów poruszających się o własnych siłach.

Dorden obejrzał się przez ramię.

- Złapałaś go?

- Już tutaj idzie.

Dorden zrobił krok w głąb szpitalnej sali.

- Tutaj na niego natrafiłaś?

Kobieta potrząsnęła przecząco głową.

- Znalazłam jego puste łóżko. Odłączył kroplówkę. Zaczęliśmy go szukać i Lesp wszedł tutaj.

Dorden zrobił kolejny krok w stronę łóżka, na którym spoczywał Colm Corbec – pogrążony w śpiączce tak głębokiej, że główny oficer medyczny szczerze wątpił, aby pułkownik kiedykolwiek się z niej wybudził.

Agun Soric, półnagi, okryty jedynie prześcieradłem i pasami bandaży, siedział na stołku przy łóżku, z głową opartą o klatkę piersiową Corbeca. Skóra sierżanta poznaczona była czerwonymi punktami w miejscach, gdzie wbito mu igły kroplówek oraz paskami źle zdartej taśmy klejącej mającej przytrzymać je w miejscu.

Soric podniósł głowę słysząc kroki Dordena, z wolna wycelował w brzuch lekarza lufę trzymanego w dłoni laserowego pistoletu.

- Ani kroku dalej.

- Cześć, Agun. Spokojnie. Nie denerwuj się.

Zdrowe oko Sorica było zapuchnięte i przekrwione. Sierżant długo nie odzyskiwał przytomności i Dorden nie mógł wyjść ze zdumienia jak ciężko ranny Verghastyta mógł trwać przy życiu po własnoręcznym odłączeniu medycznej aparatury.

- Doktor – mruknął sierżant rozpoznając w końcu swego rozmówcę.

- To ja, Agun. O co chodzi z tą bronią?

Soric spojrzął na swój laser i zrobił taką minę jakby ujrzał go pierwszy raz w życiu. Po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

- Demony – wyszczał.

- Demony?

- Wszędzie wokół. Czają się w powietrzu wszędzie wokół. Miałem sen. Przyszły po Corbeca. Przyszły po niego, śniłem o tym. Przyszły po niego. Siedzą w jego żyłach jak żerujące szczury. Nnn! Nnn! Nnn! – Soric wydał z siebie odgłosy przywodzące na myśl mlaskanie.

- A ty chcesz z nimi walczyć, Agunie? Za pomocą pistoletu?

- Tak, jeśli będę musiał – Soric przekręcił w bok głowę, spojrzał na Corbeca – On jeszcze nie jest gotów, by umrzeć. Jeszcze nie tym razem.

Dorden zawahał się na moment przypomniawszy sobie wypowiedziane w podobny sposób słowa sierżanta Varla.

- Nie, nie jest jeszcze na to gotowy, Agunie – przyznał.
- Wiem, śniłem o tym. Ale te szczury-demony... one tego nie wiedzą. Żerują w jego ciele – Soric powtórzył odgłos mlaskania, po czym rozkaszał się spazmatycznie.
- Zastrzeliłbym je, gdyby tylko dał radę – dodał po chwili.
- Skąd on wziął broń? – odezwał się ktoś z tłumu gapiów.
- Kto to? – zdenerwował się Soric podnosząc z powrotem lufę broni – Demony? Jeszcze więcej demonów? Śniły mi się demony!
- To nie demony, Agunie, nie demony – uspokajał go Dorden.
- Zabierz ich stąd natychmiast – wyszczał w stronę Curth.
- Wychodź! Szybciej! – lekarka przepędziła gapiów i zaciągnęła płachtę materiału powieszoną w progu wejścia.
- Jakim cudem on jeszcze żyje? – wyszeptła w stronę Dordena.
- Bo jestem starym twardym sukinsynem, kochana pani Curth – odpowiedział jej Soric – Vervuńska Huta Jedyńka, ot co. Taka praca hartuje człowieka. Kochana z niej dziewczyna, prawda, doktorze? Kochana, kochana dziewczynka.
- Zawsze tak uważałem – odpowiedział spokojnym tonem lekarz – Nie oddałbyś mi tego lasera, Agunie? Może ja mógłbym zastrzelić te szczury-demony?
- Och nie! – podniósł głos Soric – To byłoby nie w porządku. Pan nie używa broni, doktorze. Zawsze to szanowałem. Człowiek, który ratuje życie zamiast je odbierać.
- Więc może ja, Agunie? – odezwała się Curth – Podczas obowiązkowego szkolenia w Siłach Obrony Planetarnej była najlepsza w strzelaniu z broni krótkiej w mojej klasie. Idę w zakład, że dam radę załatwić te szczury.

Soric spojrzał na nią i szybkim ruchem palców obrócił broń tak, że jej kolba skierowana została w stronę kobiety.

- Zrób to zatem – powiedział, po czym skinął głową w stronę Dordena – Kochana, kochana dziewczyna.

- Wiem o tym – odetchnął z głęboką ulgą lekarz.
- Curth wyjęła pistolet z dłoni sierżanta i wrzuciła go do pobliskiego pojemnika na odpadki.
- Pozwól mi się przebadać – powiedziała do Sorica.
- Nic mi nie jest – odparł Verghastyta.
- Chcę się tylko upewnić, że te szczury nie zagrażają również tobie.
- No dobrze – mężczyzna zakaszłał ponownie i Dorden spostrzegł maleńkie kropelki krwi rozpryskujące się na prześcieradle. Sierżant przygarbił się mocniej.

Curth stanęła za nim, przyłożyła stetoskop do jego pleców.

- Feth! Oddycha za pomocą obu płuc! Jak to możliwe?!
- Czysto? – wykrztusił z niedowierzaniem Dorden.
- Nie... są tam jakieś płyny – przełożyła stetoskop w inne miejsce – Ale jest ich niewiele. To wprost niewiarygodne.
- Niewiarygodne – wyszeptał lekarz.
- Dajcie spokój, wszystko ze mną w porządku – oświadczył nieoczekiwanie Soric, chwiejnie podnosząc się z miejsca i kaszląc – Sen powiedział mi, że wszystko będzie w porządku. Sen to sprawił. Miałem stać się silny, aby strzec Colma przed demonami. One chcą jego duszy, doktorze. Wgryzają się w nią.

- Sen ci to powiedział?
- Soric skinął twierdząco głową.
- Wspominałem wam kiedyś, że moja babka była wiedźmą?
- Curth i Dorden wymienili przestraszone spojrzenia.
- Wiedźmą? – powtórzył Dorden.
- Miała dar widzenia, bardzo nieszkodliwy. Dzięki niemu zbiła fortunę w podmiejskich dzielnicach.
- Była... psionikiem? – zapytała ostrożnie Curth.
- Gak, nie! – Soric opryskał łóżko kropelkami śliny – Kochana dziewczynka, ale jeszcze głupiutka, prawda, doktorze? Moja droga Ano, gdyby babka była psionikiem, zabrano by ją na Czarną Arkę, prawda? Odleciałaby Czarną Arką albo została zastrzelona. Nie, nie... ona była tylko zwykłą wiedźmą. Potrafiła spoglądać w przyszłość, głównie poprzez sny. Moja mama zawsze mi powtarzała, że odziedziczę ten talent, ponieważ byłem siódmym synem siódmego syna, ale przez całe życie nic takiego u siebie nie zauważyłem.
- Do teraz – dodał.
- Śniło ci się, że Corbeca pożerają demony? – zapytała Curth.
- Widziałem to tak wyraźnie jak ciebie.
- Są w jego krwi?
- Tak.
- I sen kazał ci powrócić do życia, abyś mógł temu zapobiec? Uratować przed nimi Corbeca?
- Tak, pani doktor.
- Curth przeniosła spojrzenie na Dordena.
- Znajdź Lespa. Każ mu zrobić u Corbeca test toksykologiczny.
- Chyba żartujesz – odparł lekarz.
- Po prostu znajdź Lespa, Tolinie.
- Nie ma takiej potrzeby, sam umiem zrobić test toksykologiczny.
- Miałem też inne sny – powiedział dziwnie odległym głosem Soric.
- Musimy cię zabrać z powrotem do łóżka, Agunie – próbowała go uciszyć Curth – Sen uleczy cię tylko wtedy, kiedy pozwolisz sobie na odpoczynek.
- W porządku. Kochana, kochana dziewczynka, doktorze.
- Curth wsparła sierżanta swym ramieniem podczas gdy Dorden rozpakowywał medykamenty niezbędne do przeprowadzenia testu.
- Złe sny – wymamrotał Soric.
- Wierzę ci.
- Widziałem Doylea. I Adare. Obaj nie żyją. Ten widok omal nie złamał mi serca. Obaj nie żyją. A kardynał strasznie cierpi.
- Kardynał?
- Potwornie cierpi. Ale powiedzcie Gauntowi... Mkolł nie zginął.
- Curth zerknęła na Dordena wzrokiem, w którym nadzieja mieszała się z niedowierzaniem.
- Chodź ze mną, Agunie – powiedziała.
- Kochana, kochana dziewczynka – nogi pod sierżantem ugięły się zniemacka i mężczyzna upadł na posadzkę.
- Lesp! Lesp! – krzyknęła przeraźliwie lekarka.

Kiedy Gaunt dotarł do lazaretu, Soric leżał już na łóżku podłączony z powrotem do układu podtrzymywania życia.

- Co powiedział?

- Że demony przyszły po Corbeca. Śniło mu się, że Doyl i Adare nie żyją, ale Mkoll nie zginął. I mówił coś o cierpiącym strasznie kardynale.

- O kim?

- O kardynale.

Gaunt stał razem z lekarką w cieniu tylnego wyjścia z gmachu lazaretu. Curth próbowała zapalić skręta lho, ale zbyt silnie drżały jej dłonie.

- Daj mi to – powiedział pułkownik-komisarz zabierając jej papierosa i podchodząc do miotacza płomieni porzuconego wraz ze stertą innego wojskowego ekwipunku pod ścianą korytarza. Odpalił skręta od niebieskiego płomyka zapłonowego broni.

Wrócił z powrotem do kobiety i wręczył jej używkę.

- To świństwo cię zabije – powiedział.

- Lepiej to niż Osnowa – odparowała zaciągając się mocno.

- Powiedział „kardynał”?

- Jestem tego pewna.

- Phantyński specjalista przydzielony do sekcji Adare nazywał się Cardinale – wyjaśnił Gaunt.

- Żarty sobie robisz? – rozszerzyła oczy kobieta.

Na korytarzu pojawił się Dorden. Lekarz wyjął bez słowa skręta z dłoni Curth, zaciągnął się nim głęboko, rozkasłał, po czym oddał używkę lekarce.

- Corbec będzie żył – oświadczył.

Gaunt uśmiechnął się szeroko.

- A Soric? – zapytał.

- On też. Nie mam pojęcia, co zdołaloby powalić Aguna Sorica.

- Nie wyglądasz na uszczęśliwionego – zauważył pułkownik-komisarz.

Dorden wzruszył ramionami.

- Zgodnie z sugestią Any przeprowadziłem test toksykologiczny. Corbec znajdował się w stanie przedśmiertnej śpiączki z powodu infekcji nosokomialnej.

- To znaczy?

- Złapał wtórną infekcję tutaj, w lazarecie.

- Zakażenie krwi – wyjaśniła Curth.

- Tak, Ana, zakażenie krwi. Gdybym nie wstrzyknął mu dwudziestu gramów morfomycyny i środka przeciwskrzepowego, zmarłby pewnie przed wschodem słońca.

- Cholera – westchnął Gaunt.

- Demony w jego krwi, żerujące niczym szczury – powiedziała Curth naśladujące mlaszczące dźwięki wydawane przez Sorica.

- Nawet nie zaczynaj tego tematu – przerwał jej Dorden.

- Ale sam przyznałeś...

- Nie, nie przyznałem – potrząsnął głową Dorden.

Żołnierze w głównych koszarach pakowali swe plecaki i zabezpieczali broń, kiedy do sali wszedł pluton porządkowy pod komendą Harka. Szeregowiec Cuu był skuty kajdankami i poruszał się z wyraźnym trudem, podtrzymywany przez eskortujących go gwardzistów. Miał bladą twarz – efekt nieprzespanych nocy – co jeszcze mocniej uwidaczniało bliznę przecinającą jego oblicze.

- Stać! – polecił Hark i członkowie eskorty zatrzymali się w miejscu.

- Kluczyki! – zażądał komisarz.

Najbliższy żołnierz podał mu pęk kluczyków z dekoderm linii papilarnych. Komisarz zdjął z rąk więźnia kajdanki.

Cuu wyprostował się rozcierając zaczerwienione nadgarstki.

- Czy pojmujesz rozmiary swej winy i wstydzisz się grzechu popełnionego przed obliczem Boga-Imperatora?

- Tak, sir.

- Czy akceptujesz zasadność kary i uznajesz ją za gest wybaczenia ze strony Boga-Imperatora?

- Tak, sir.

- Czy obiecujesz trzymać się z dala ode mnie? – warknął Hark wpatrując się prosto w oczy Cuu.

- Może pan na to liczyć.

- Sir!

- Sir! Może pan na to liczyć, sir!

Hark odwrócił głowę.

- Więzień jest wolny – oświadczył, po czym wyszedł z sali wraz z członkami eskorty.

Cuu podszedł do swego łóżka, usiadł na nim i wlepił spojrzenie w Bragg.

- Czego? – zapytał olbrzym podnosząc spojrzenie znad na wpół rozmontowanego karabinu.

- Ty – wysyczał Cuu.

- Co ty? – Bragg odłożył broń i zaczął się podnosić ze swego miejsca.

- Odpuść mu, Bragg – odezwał się Fenix.

- On nie jest tego wart – dodał Lubba.

- Nie, Cuu chciał coś powiedzieć – potrząsnął głową wielki Duch – Cuu, cieszę się, że Gaunt cię z tego wyciągnął. Cieszę się, że to nie ty. Czuję się chory na samą myśl o tym, że ktoś w tym regimencie mógłby zrobić coś takiego.

- Myślałeś, że to ja, Bragg. Powiedziałeś im, gdzie mają szukać.

- Cóż – odwrócił głowę Bragg – Te monety... to był twój błąd.

- A to twój – Cuu podniósł swą tunikę w górę tak, by każdy zobaczył jego szczupłe plecy i przecinające je szramy po trzydziestu uderzeniach bata.

Miał za sobą długą drogę.

Późne popołudnie przyniosło ze sobą zmianę pogody: niskie pasmo chmur z zachodu przycinało kroplami deszczu, a w głębi Otchłani chemiczne burze rozświetlały gęstą zupę mgieł ognistymi rozbłyskami płomieni.

Kwaśny deszcz okazał się dość ulewny, by zredukować bryłę odległego Ouranberga do rozmazanego szarego kształtu, ale w niczym nie przesłaniał bezmiaru rozciągającej się w dole pustki.

Mkoll przesuwiał się wzdłuż rury. Na przylegającym do niej wsporniku było zaledwie tyle miejsca, by mężczyzna mógł stawiać stopę za stopą, opierając się jedną dłonią o bok rury. Krople deszczu czyniły wszystko śliskim: metal pod jego stopami, rurę pod palcami. W razie nagłej potrzeby nie miał żadnego innego oparcia oprócz wystającej okazjonalnie główki nitu. Wszystko opierało się na doskonałym wyczuciu równowagi i absolutnej koncentracji.

Pierwsze pięćset metrów pokonał idąc spacerem po wierzchu rury, ale potem zmiana pogody i rosnący wiatr sprawiły, że musiał z tej opcji zrezygnować. Podróż wzdłuż boku rury okazała się znacznie bardziej uciążliwa.

Wolałby nie spoglądać w dół, jednakże nie miał innego wyjścia. Powierzchnia wspornika pokryta była rdzą i mokrymi porostami zmuszając do bardzo ostrożnego stawiania kroków. W dole rozciągała się bezkresna pustka żrącej Otchłani. Jedno potknięcie, jedna kępka porostów, jedna niewielka kałuża i poleciałby w dół bez nadziei na ratunek. Mkoll miał przynajmniej tę świadomość, że spadając z pewnością uderzy w jeden ze znajdujących się niżej wsporników, co zaoszczędziłoby mu męczarni powolnej śmierci w gazowych oparach.

Już dwa razy zdołał wymigać się śmierci. Najpierw nagły podmuch wiatru omal nie zepchnął go z rury w Otchłań. Potem mężczyzna nadepnął przypadkowo na jednego z oślizgłych insektów zamieszkujących to miejsce. Termowory. Bonin i Milo wspominali mu o nich. Mkoll rozdeptał stwora i jego but pojechał na wilgotnej masie w prawo. Niewiele brakowało do upadku, bardzo niewiele.

Mkoll oszacował na oko, że ma za sobą połowę drogi do miasta. Deszcz przybrał na sile zacinając z ukosa, niebem wstrząsnął głuchy grzmot atmosferycznych wyładowań. Zrobiło się bardzo ciemno i z wyjątkiem kilku świateł Duch nie dostrzegał już nawet zarysu metropolii.

Deszcz wyciągnął z kryjówek termowory. Mkoll uznał, że stworzenia te żywiły się wodą deszczową albo polowały na mikroskopijne organizmy odsłaniane spod warstwy osadów deszczówką o wysokiej zawartości kwasów. Feth, nie był przecież biologiem! Jedyne, czego był pewien to fakt, że cały wspornik pokrywała chmara odrażających robaków, dziesięciokrotnie liczniejsza od tej zauważonej przez niego przed burzą. Usiłował żadnego nie dotknąć, a już z pewnością na żadnego nie nadepnąć. To drugie było znacznie trudniejsze. Często musiał robić większe kroki, by przejść ponad większymi skupiskami insektów, a dwukrotnie usuwał z drogi szczególnie wielkie chmary kolbą swego lasera.

Skrzydłacz prawdopodobnie wziął go za innego drapieznika rywalizującego o zdobycz albo miał ochotę na większą przekąskę. Mężczyzna spostrzegł nadlatującego stwora w ostatniej sekundzie – wielkiego szcurowatego drapieznika o rozpiętych na dwa metry skrzydłach i sięgającym czterech metrów ogonie. Skrzydłacz wpadł na człowieka wydając z siebie ultradźwiękowe piski i tłukąc szaleńczo skrzydłami. Mkoll zachwiał się, zaklął dziko i spadł z wspornika.

Zdołał pochwycić kant wspornika lewą dłonią, gwałtowne szarpnięcie omal nie wyrwało mu ramienia ze stawu. Jęknął z bólu przebijając w powietrzu nogami. Kiedy jego lewe palce zaczęły się z wolna ześlizgiwać, zdołał zarzucić na wspornik drugą dłoń. Za pierwszym razem nie złapał żadnego oparcia, zgarnął za to pełną garść termowor. Strząsnął insekty z dłoni i ponowił próbę. Wciąż machał nogami, a jego mięśnie pleców i ramion płonęły żywym ogniem pod wpływem przemożnego wysiłku.

Skrzydłacz powrócił atakując go od tyłu, piszcząc tak przeraźliwie, że stalowy hełm męczyzny wydawał się wpadać w drgania.

- Spierdalaj! – wrzasnął bezradnie zwiadowca.

Zagryzając zęby i sapiąc z wysiłku zdołał przełożyć za krawędź wspornika jeden łokieć, potem drugi, potem stopę. Podciągnąwszy się na belkę leży płasko na brzuchu dysząc szaleńczo, z twarzą w chmarze robaków.

Leżał tak przez dłuższą chwilę próbując uspokoić dzikie bicie serca i walcząc z atakiem duszności.

Kiedy poruszył się w końcu chcąc ruszyć w dalszą drogę, skrzydłacz wylądował na jego ramieniu i zaczął wgryzać się w ochraniacz na karku mężczyzny. Mkoll przekręcił się w bok, złapał stwora za łepkę i przytrzymał w miejscu pomimo dzikiej szarpaniny dostatecznie długo, by wyszarpnąć z pochwy nóż i zabić drapieznika.

Duch zepchnął stwora za krawędź wspornika i spoglądał w dół w ślad za nim, śledząc wzrokiem opadające ku Otchłani ciało o wirujących skrzydłach i ogonie. Przeklęty zwierzak omal go nie wykończył.

Zanim skrzydłacz wpadł pomiędzy chmury, jakiś niewyraźny kształt, dużo od niego większy i złowieszco czarny, wychynął na moment spośród oparów Otchłani i pochwycił martwą zdobycz zwinnie w powietrzu.

Mkoll nie miał pojęcia, co takiego przed momentem dostrzegł, ale poczuł dziką ulgę na myśl o tym, że to właśnie skrzydłacz zdecydował się obrać go za przekąskę, a nie ten stwór.

Pozbierał się z trudem na nogi, wytarł ze zgniecionych termowor przód uniformu, po czym podjął dalszą podróż.

Nessa położyła dłoń na ustach Brina, zanim go obudziła. Dziewczyna zawahała się na chwilę. Młody Duch spał niczym dziecko, ze spokojną twarzą. Nie chciała go budzić.

Lecz zbliżała się godzina 22.00 czasu imperialnego, a wraz z nią cykl nocy miasta. Trzeba było ruszać w dalszą drogę.

Milo otworzył oczy i spojrzał na nią uważnie. Uśmiechnęła się uspokajająco i zdjęła dłoń z jego ust, odkrywając uśmiech chłopaka.

Gwardzista usiadł i potarł twarz rękami.

- Wszystko w porządku? – spytał.

Nic nie odrzekła. Milo opuścił zasłaniające część twarzy dłonie i powtórzył pytanie obracając głowę tak, by Nessa mogła czytać z jego ust.

- Tak – odpowiedziała, po czym dodała – Mówię zbyt głośno?

Pozostając głuchą miewała kłopoty z kontrolowaniem głośności własnej mowy.

- Nie – zaprzeczył.

Wymknąwszy się z grupy robotników przemysłowych dwójka Duchów spędziła resztę dnia na mozolnej podróży przez fabryczne dzielnice, ustawicznie kryjąc się przed nieprzyjacielskimi patrolami. W późnych popołudniowych godzinach zmęczeniu i pełni napięcia imperialiści schowali się w porzuconym budynku mieszkalnym na obrzeżach kopuły Alfa, aby się zdrzemnąć i nieco odpocząć.

Żadne z nich nie wspominało przerażających wydarzeń sprzed kilku godzin. Milo nie znał zbyt dobrze Doyle, ale wiedział, że Tanithijczycy stracili utalentowanego zwiadowcę. Śmierć Adare zraniła go znacznie głębiej. Lhurn Adare – zdecydowany, pewny siebie, silny emocjonalnie – był powszechnie lubiany wśród Duchów i zaliczał się do przyjaciół Mila. Adare należał do grupy imprezowiczów pułkownika Corbeca; był jednym z tych mężczyzn o twardych jak stal głowach, którzy zwykli opuszczać wraz z Corbecem bary o brzasku poranka – resztę paczki tworzyli Varl, Derin, Cown, Domor, Bragg i Brostin. Wewnętrzny krąg przyjaciół Colma, rdzeń tanithijskiej braci. Milo wiele przeszedł u boku Adare, od pierwszych dni istnienia regimentu. Doskonale pamiętał żarty jakie Adare zwykł sobie stroić z Baffelsa i Cluggana. Pamiętał jak ledwie potrafił utrzymać się na nogach po nocnej libacji dla uczczenia awansu Adare na sierżanta. Pamiętał wszystkie jego praktyczne rady i wskazówki.

A teraz obaj już nie żyli. Adare i Doyl. Milo był tego pewien. Baffels zginął na Hagii, Cluggan dawno temu na Voltemandzie. Mkoll w przestworzach nad Ouranbergiem.

Ile jeszcze czasu potrzeba, aby odeszli ostatni wciąż żyjący Tanithijczycy?

Żołnierz podniósł się z podłogi i przeciągnął ciało próbując porzucić pełne goryczy myśli. Świecący pustkami pokój oświetlała niewielka chemiczna lampa zapalona przez Nessę – dziewczyna odważyła się ją zapalić, ponieważ okna pokoju ktoś zabił szczelnie deskami lub zasłonił płachtami materiału. Snajperski karabin Nessy spoczywał na rozłożonym na podłodze płaszczu. Gwardzistka czyściła broń niewielką szmatką nasączoną olejem.

Milo rozdarł foliowe opakowanie i pochłonął łapczywie rację żywnościową, popijając jedzenie wodą. Zauważył przelotnie, że ręce ma pokryte grubą warstwą brudu, ale nic sobie z tego nie robił.

Potem rozłożył papierowe schematy Ouranberga, które otrzymali wszyscy uczestnicy operacji i zaczął studiować je uważnie opracowując alternatywne wersje trasy.

- Spałaś? – spytał dotykając wpierw delikatnie ramienia dziewczyny. Odwróciła głowę spoglądając w jego stronę.

- Trochę.

- Wystarczająco?

- Miałam sen – przyznała Nessa kontrolując jednocześnie układ celowniczy karabinu.

- Sen?

- Śniło mi się, że pułkownik Corbec i sierżant Soric przyszli nas odszukać. Obaj żyli.

- Zapewne obaj wciąż żyją – pokiwał głową Milo – Nie mam pojęcia...

- Kiedy odlatywaliśmy, znajdowali się o krok od śmierci. Zupełnie inaczej czujesz się, kiedy tracisz kogoś w walce, a zupełnie inaczej, gdy opuszczasz go umierającego i nigdy... nigdy się nie dowiesz...

- Dowiemy się. Zresztą obaj będą na nas czekać, zobaczysz. Soric będzie sypał żartami i ukrywał swą dumę z ciebie. Corbec otworzy flaszkę sakry i zażyczy sobie, żebyśmy zagrał na dudach.

- Czemu Soric miałby być ze nie dumny?

- Ponieważ wsadzisz Slaithowi wiązkę między oczy.

Dziewczyna roześmiała się cicho.

- Dobrze wiedzieć, że pokładasz we mnie taką ufność. I że potrafisz spoglądać w przyszłość, Brin.

- Taki mam dar.

Uśmiechnęła się, a potem zaczęła składać swój karabin. Robiła to błyskawicznymi ruchami palców. Milo szczerze wątpił, by zdołał zmontować rozłożony na części laserowy karabin w czasie dwa razy dłuższym od tego, który potrzebny był dziewczynie.

Obserwował Nessę w milczeniu. Dziewczyna postrzegana była powszechnie za najpiękniejszą kobietę w regimencie, chociaż wielu żołnierzy miało swoje własne faworytki: Muril, Arille, Bandę, Solię, Ellan, Criid oraz – kiedy byli dość pijani lub obolali, by się do tego przyznać – Anę Curth. Criid i Banda uważane były za najbardziej uwodzicielskie, chociaż Milo zauważył, że osoba Criid nad wyraz rzadko przewijała się w konwersacjach Duchów, przez wzgląd na swój związek z Caffranem. Nessa nie była tak zniewalająca w kontaktach jak Banda czy Solia. O jej uroku decydował po części duchowy spokój, po części kalectwo będące wojenną spuścizną, lecz w głównej mierze odpowiedzialna za to była jej twarz o idealnych proporcjach i ciemnym błękicie oczu. Długie ciemne włosy zawsze dodawały dziewczynie urody, ale teraz ich nie miała – co w najmniejszym stopniu jej nie szpeciło. Zaczynały jej powoli odrastać tworząc delikatny meszek na skórze czaszki.

Podniosła wzrok i spostrzegła jego spojrzenie.

- Widzisz coś ciekawego?

Zaprzeczył ruchem głowy, przesunął spojrzenie w bok i zauważył niewielki kawałek dykty oparty o ścianę pokoju. Na jego powierzchni widniał wycięty nożem napis „*Nessa Bourah, 341.748-225.771.M41*”.

- Feth, co to takiego? – zapytał.

- Stary nawyk – odparła.

- To jest cholerny nagrobek!

- Uspokój się, Brin. Robiliśmy sobie takie każdego dnia walk w Vervunhive. To tylko taki nawyk.

Zdenerwowany Milo potrząsnął głową.

- Będziesz to musiała lepiej wyjaśnić – zażądał.

Nessa odłożyła swoją broń.

- Czekaliśmy na śmierć. Każdego dnia na przedmieściach Vervunhive czekaliśmy na śmierć. Ogrom naszych strat był porażający. Mieliśmy w zwyczaju wykonywać prowizoryczne nagrobki dla zabicia wolnego czasu. Kiedy ktoś ginął, nagrobek był pod ręką. Łatwe szybkie rozwiązanie. Płytki grób, garść ziemi rzucona na ciało, modlitwa... i gotowy do użytku nagrobek.

- To straszne.

- Tak... w pewnym sensie tak – urwała na chwilę, potem chrząknęła znacząco – Zwyczaj stał się rutyną, a ludzie coraz częściej umieszczali na nagrobkach datę następnego dnia, jakby prowokowali przeznaczenie. Na początku był to tylko czarny humor, ale potem ktoś, nie pamiętam kto, puścił w obieg plotkę, że ci, którzy na nagrobkach ryli datę kolejnego dnia, nie ginęli.

- Nie ginęli?

- Wrażliwcy, którzy w miejscu daty pozostawiali puste miejsce, zazwyczaj umierali. Ci, którzy znakowali własną ręką datę swej śmierci, wymykali się jej, a potem wyrzucali stary nagrobek i zaraz robili nowy, z poprawną datą kolejnego mającego nadejść dnia. Po tygodniu czy dwóch robili to już wszyscy. Kpiliśmy z bogów czy demonów czy innych sił rządzących wszechświatem próbując oszukać ich za pomocą tych nagrobków.

- I nadal to robisz ?

- Tak, w chwilach podobnych do tej – skinęła twierdząco głową.

- Chyba powinienem zrobić sobie własny – zasugerował.

- Przykro mi, to działa wyłącznie w przypadku Verghastytów.

- Szkoda – uśmiechnął się niewymuszenie.

I zastygł w bezruchu.

W pomieszczeniu poniżej usłyszał odgłosy stukania, drapania. Widząc wyraz jego twarzy Nessa pochwyciła swój karabin, odbezpieczyła broń.

Nasłuchujący przez cały czas Milo podniósł własny karabin.

Głośniejsze drapanie, jakiś trzask.

Spadajmy stąd, zasygnalizował dłońmi.

Pozbierali z podłogi swoje plecaki, przez cały czas obserwując czujnie drzwi pokoju. Nessa wygasiała lampę.

Otulony półmrokiem Milo wskazał kciukiem drzwi. Ruszyli bezszelestnie w ich kierunku, z gotową do strzału bronią, z zapiętymi płaszczami.

Milo odsunął delikatnie płachtę materiału przysłaniającą okno.

Trzy plutony Paktu Krwi zbierały się na ulicy poniżej.

Kolejny patrol. Od kiedy Pakciarze odkryli Adare i Doylea, nieprzyjaciel ustawicznie przetrząsał miasto w poszukiwaniu pozostałych intruzów. Publiczne ekrany emitowały wezwania skierowane pod adresem ludności cywilnej, żądające zdemaskowania kryjówki imperialistów i nadawane na przemian z wezwaniem, by „imperialne szumowiny” same się poddały.

Milo i Nessa wycofali się w kierunku tylnych drzwi. Oboje pewni byli, że przyjdzie im stawić czoła członkom Paktu.

Główne drzwi habitatu eksplodowały rozsądzone salwą z jakiegoś potężnego obrzyna i pierwszy loxatl wdarł się do wnętrza pomieszczenia.

W bladym świetle słonecznym Milo zobaczył szary kształt o podługnym płaskim pysku, wibrysach i krótkim muskularnym ogonie. Stwór wpadł do pomieszczenia i skoczył z rozpędu na jedną ze ścian, czepiając się jej za pomocą pazurzastych łap. Zautomatyzowana uprząż na cielsku bestii obracała lufą dziwnego miotacza, przypominającą licznymi otworkami wieczko solniczki.

Drugi loxatl przesadził próg i wskoczył na przeciwną ścianę. Milo poczuł zapach kwaśnego mleka i mięty.

Broń stwora obracała się skanując pomieszczenie, klikała metalicznie. Namierzywszy Mila miotacz wyemitował wąski promień zielonego światła będący najpewniej czymś w rodzaju celownika.

Nessa wystrzeliła ze swego karabinu.

Obcy został zerwany ze ściany siłą trafienia, grzmotnął w futrynę drzwi miotając się w konwulsjach.

Drugi wypalił z miotacza, panele ściennie tuż przy Brinie rozprysły się w drzazgi. Gwardzista odpowiedział ogniem, omal nie tracąc równowagi pod wpływem niesamowitego odrzutu U90. Rozpryskowa amunicja rozerwała wielkiego jaszczura na strzępy, spryskała ściany jego posoką. Dymiące cielsko spadło ze ściany, znieruchomiało na podłodze.

- Feth! – krzyknęła Nessa. Postrzelony przez nią stwór podniósł się na łapy celując lufą broni w Mila. Duch władował w niego resztę magazynka U90, dziurawiąc pociskami łeb i tors loxatla.

Chłopak spojrzał w stronę Nessy.

Wiejmy, zasygnalizował rękami. Skinęła głową i pociągnęła go w stronę drzwi, którymi wdarły się loxatle. Milo pojął w mig, że dziewczyna ma rację. Żołnierze Paktu Krwi uderzyli na tylne wejście do habitatu, szykując się do wyłapania wszystkich nieszczęśników uchodzących przed obcymi.

Nikt nie spodziewał się, że ofiary mogą uciec przez główne wejście budynku. Trzymając się za ręce Milo i Nessa przebiegli przez ulicę chroniąc się w wąskich uliczkach budynków po drugiej stronie.

W pokoju, z którego chwilę wcześniej uciekli, leżał zgnieciony masywnym cielskiem loxatla cementarny marker Nessy.

Prawie cały dzień zmuszeni byli tkwić w kryjówce przy wielkim hangarze załadunkowym. Kiedy trafiła się w końcu sposobność, zdobycie transportu zajęło im zaledwie dziewięćdziesiąt sekund. Banda zastrzeliła ze snajperki kierowcę, a Bonin i Varl zlikwidowali pozostałych świadków nożami.

Jagdea doskoczyła do aerodynamy, otworzyła boczne drzwi kabiny i wyszarpnęła z siedzenia martwego kierowcę.

- Zostawiamy ich tutaj ? – spytał Unterrio wskazując ruchem głowy trupy.

- Nie, wrzucie ich na pakę – powiedział Vadim.

Szybko podnieśli ciała heretyków i umieścili je w tylnej części ciężarówki.

Zdobyty pojazd okazał się lekką aerodynamą o zamkniętej kabinie i przysłoniętej brezentem pace. Jagdea wsiadła do kabiny studiując wskaźniki, reszta Larisela 1 sadowiła się w tym samym czasie w tyle wozu.

- Pani komandor ? – odezwał się Varl.

- Jeszcze chwila, muszę sprawdzić te dźwignie – odpowiedziała Phantyjka.

Kobieta uruchomiła ciężarówkę i poprowadziła ją wprawnie kanionem wąskich ulic w kierunku kopuły Alfa.

W tym samym czasie daleko na północnym zachodzie Mkoll kończył wspinać się na granitowy blok skały w miejscu, gdzie wielka rura docierała do Ouranbergu. Noc była ciemna i piekielnie zimna, a wiatr ustawicznie szarpał ciałem zwiadowcy, ale Tanithijczyk czuł tylko przemożną ulgę. Zdołał dotrzeć do miasta.

Teraz musiał się jakoś przedostać do środka.

Od dobrej godziny arterią komunikacyjną ciągnęły bezustannie konwoje z amunicją przeznaczoną dla baterii przeciwlotniczych w kopule Alfa. Larisel 2 został zmuszony do zaszycia się w kryjówece i nerwowego oczekiwania na spadek natężenia ruchu. Duchy tkwiły w wypalonych ścianach położonej przy drodze niewielkiej kaplicy Ministerium.

Kuren pilnował drzwi ściskając w rękach U90 Meryna. W przeciągu ostatniego dnia gwardziści mieli okazję kilka razy zobaczyć w oddali diaboliczne loxatle towarzyszące patrolom Paktu Krwi.

- Przypomina wam to coś ? – zapytał Mkvenner. Zwiadowca przeszukiwał od dobrej chwili zasłaną gruzem posadzkę kaplicy. W uniesionej wysoko ręce trzymał tanią plastikową figurkę, jedną z tuzina podobnych miniaturki znalezionych w małym pudełku.

- To pamiątka po świętym Phidolasie, który przewodził pierwszym kolonistom lądującym na Phantine – odezwał się Kersherin – Każda świątynia na tej planecie sprzedaje takie figurki. To dla pielgrzymów.

- W porządku – kiwnął głową Mkvenner – ale nie to miałem na myśli.

- Nic więcej nie przychodzi mi na myśl... – mruknął Kersherin.

Duch uderzył figurką w pobliski filar pozbawiając ją głowy i większej części torsu.

- A teraz ? – zapytał ponownie.

Wszyscy spojrzeli na niewielki przedmiot jakby oczekiwali jakiegoś żartu ze strony zwiadowcy.

- Feth – odezwał się zniecierpliwiona Larkin – Ona była za Slaithem.

- Zgadza się – odparł Mkvenner.

- Że jak ? – syknął Meryn – Za Slaithem ? O czym mówicie ?

- Kiedy on był na ekranie – zaczął wyjaśniać Larkin – Kiedy pokazywał... pokazywał nam Cardinale, za jego plecami widać było rozbite okno, a za oknem na wpół rozwaloną statuetkę.

- Nie pamiętam żadnej statuy – oświadczył Kuren.

- Była tam statua – potwierdził Mkvenner – Na wpół rozwalona. Dokładnie za oknem.

Zwiadowca obrócił w palcach uszkodzoną figurkę i spojrzął na spód jej podstawki.

- Statuetka przedstawiająca świętego Phidolasa – zaczął czytać treść niewielkiej naklejki – Kopia posągu, który można oglądać na centralnym placu kopuły Alfa w Ouranbergu.

- Proszę, proszę, proszę... – roześmiał się złowieszczo Meryn.

- Nie podoba mi się ten widok – powiedziała Jagdea.

- Prowadź dalej – polecił siedzący obok niej w kabinie Bonin.

Zamachowcy wjechali bez większego trudu do kopuły Alfa, włączyli się w ruch uliczny dostatecznie gęsty, by ich wóz nie rzucał się w oczy. Varl miał nadzieję, że dotrą przed zachodem słońca do centralnych dzielnic miasta, lecz ruch na drodze zaczął w pewnym momencie zwalniać, a opancerzone ślizgacze antygravitacyjne Paktu Krwi z włączonymi światłami ostrzegawczymi unosiły się ponad arterią komunikacyjną zmuszając samochody do zjazdu w kierunku ustawionego na poboczu punktu kontrolnego.

- Musimy wyrwać się z tej drogi – wycodziła przez zęby Jagdea. Ich pojazd włókł się w żółtym tempie za wielkim transporterem amunicyjnym.

- Jeśli spróbujemy zawrócić, z miejsca nas zauważą. A żadnych bocznych odnóg jeszcze nie mijaliśmy.

- Mimo to nie sądzę, żeby wjazd na ten punkt kontrolny był zdrowym pomysłem !

- Sierżancie ?! – Bonin odwrócił się w siedzeniu, spojrzął przez okienko w tylnej ścianie kabiny na jadącego na pacy Varla – Jakież niebywale sprytne pomysły ?

Varl spojrział przez przednią szybę na stojące niemal w miejscu kolumny pojazdów, rzucił okiem do tyłu. Sześciopasmowa autostrada była odsłoniętą przestrzenią blokową jedynie samochodami, po obu jej stronach wznosiły się trzydziestopiętrowe ściany całkowicie zagradzające drogę ucieczki. Sierżant zmełł w ustach przekleństwo. Użycie powietrznej ciężarówki wydawało się dobrym pomysłem i jak dotąd pozwoliło Duchom zaoszczędzić sporo czasu, ale Jagdea i Bonin od chwili wjazdu do kopuły Alfa nalegali, by porzucić aerodynę i ukryć się gdzieś na mieście. Varl odrzucił ten pomysł zamierzając przemieszczać się tak szybko jak to było możliwe w kierunku centrum. Poczł się teraz jak skończony idiota, który w dodatku zawiódł zaufanie swych ludzi. Chociaż Gola Kolei nie było w pobliżu, ich wzajemna gra ze śmiercią wpędziła w końcu sierżanta w kłopoty. Kolea okazał się bohaterem w Cirenholmie, wyłączwszy generatory pól siłowych praktycznie zapewnił imperialistom zwycięstwo, wygrał tę rundę rywalizacji z Varlem. Kiedy rozpoczęła się operacja „Larisel”, Varl uznał, że to doskonała okazja do zdobycia własnego tytułu bohatera. Gra ze śmiercią, Kolea ! Jak ci się to podoba ?

Więc nalegał na dalszą jazdę i utknął w pułapce, powodowany idiotyczną chęcią jak najszybszego dopadnięcia Slaitha. Głupota nie była dość wystarczającym terminem dla jego zachowania.

- Widzę boczną ulicę po lewej, jakieś siedemdziesiąt metrów przed nami – powiedział znienacka.

- Też widzę – odpowiedziała Jagdea.

- Pojedziemy dalej prosto w tym tempie, aż pod punkt kontrolny, a potem gaz do dechy i odbijemy w tamtą stronę.

- To wszystko ?

- Pani komandor, ufam, że potrafi pani poprowadzić ten samochód równie szybko jak Lightninga na dopalaczu. Uciekniemy w tym samym kierunku, porzucimy auto i zaszyjemy się gdzieś na jakiś czas.

- To twój plan ? – spytał Unterrio.

- Tak, psiakrew – odparł Varl – Wszyscy gotowi ?

- A co zrobimy, jeśli kontrolerzy nakryją nas przed tym skrzyżowaniem ? – odezwała się Jagdea.

- W porządku... – mruknął Varl – Tak czy owak, musimy wyrwać się z tej drogi. Skręć prosto na ścianę.

- Co ?!

- Załadowałem pociski wybuchowe. Wyrąbię w ścianie dziurę. Wjedziemy do środka budynku, porzucimy samochód i zwiemy na piechotę. Przygotujcie się.

Korek nadal przemieszczał się w żółtym tempie, powietrze pełne było spalin, wibrowało dźwiękiem dziesiątków pracujących na niskich biegach silników. Nad ciężarówką przeleciał antygravitacyjny ślizgacz, pomknął w dół autostrady. Z ustawionych na punkcie kontrolnym głośników płynęły strumienie niezrozumiałych komend.

- Piesi żołnierze – syknął ostrzegawczo Bonin.

- Gdzie ? – zapytał Varl.

- Idą między autami w naszą stronę. Za tą wysepką, przy barierce.

- Kurwa mać.

- Sprawdzają papiery – powiedziała Jagdea. Kobieta zdjęła szybko rękawice, wytarła swe mokre od potu dłonie w spodnie, ujęła ponownie kierowcę spięta i gotowa do natychmiastowego ruszenia z miejsca.

- Czekać, czekać – polecił Varl. Ukryci pod plandeką Banda, Vadim i Unterrio przyłożyli broń do ramion, Bonin położył swój pistolet na udzie.

- Może do nas nie dojdą – wyszeptła z nadzieją w głosie Banda.

Pojazdy ruszyły nieco szybciej do przodu, przemieściły się o kilka metrów. Stojący przy rozgradzającej pasy barierce oficer Paktu Krwi machnął chorągiewką, przepuścił bez kontroli trzy jadące przed Duchami aerodynamy.

Po czym wyszedł na jezdnię z uniesioną wysoko ręką nakazując zatrzymać ciężarówkę.

- Kurwa – zaklęła Jagdea.

Za oficerem pojawili się czterej inni żołnierze i Pakciarz trzymający na smyczy ogary. Opiekun ruszył ze swymi zwierzętami w stronę ciężarówki.

- Jesteśmy spaleni – syknął Bonin.

- Wiem ! – odwarknął Varl – Czekaście do ostatniej chwili...

Oficer wspiął się na boczny schodek kabiny i zajrzał do szoferki ciężarówki. Gwardziści poczuli odór jego ciała, ujrzeli przekrwione oczy błyszczące niezdrowo za wizjerami żelaznej maski. Pakciarz zaczął coś mówić w języku, którego nikt nie rozumiał, ale urwał natychmiast, dostrzegając imperialny ekwipunek Bonina i Jagdei.

- Teraz – powiedział Bonin przykładając Pakciarzowi pistolet do głowy i pociągając za spust. Jagdea wdusiła pedał gazu i wóz odbił w bok z tak silnym przyśpieszeniem, że Unterrio stracił równowagę i przewrócił się na pakę aerodynamy. Powietrzna ciężarówka wystrzeliła w kierunku wyrastającej ponad autostradą ściany, pozostawiając za sobą krzyki, strzały i ryk alarmowych syren. Jeden z antygravitacyjnych ślizgaczy ruszył w ślad za uciekinierami, wystrzelowane z jego działek serie pocisków stębnowały nawierzchnię drogi.

- Varl ! – krzyknęła Jagdea widząc zbliżającą się z ogromną prędkością ścianę. Sierżant odrzucił w górę plandekę nad kabiną, wystawił na zewnątrz broń. Pęd powietrza wypychał go z powrotem do ładowni, mężczyzna toczył zażartą walkę o utrzymanie się na nogach. Od ściany aerodynamę dzieliły zaledwie sekundy lotu.

Pociągnął za spust U90 i pokrył fasadę budowli kręgiem nakładających się na siebie miniaturowych detonacji.

Aerodyna wpadła w wyrąbaną pociskami dziurę.

Niemal się w niej zmieściła.

Varl schylił się w ostatniej chwili, wystające z wierzchniej części wyrwy cegły zahaczyły o plandekę, zdarły ją w ułamku sekundy z ciężarówki. Nos aerodynamy uniósł się w górę, jeden z tylnych silników dotknął natomiast ziemi i rozleciał się na kawałki pośród przeraźliwego zgrzytu dartego metalu.

Po drugiej stronie ściany znajdowała się przestronna hala magazynowa, całkowicie pusta, jeśli nie liczyło się masywnych filarów wspierających jej strop, ustawionych co trzydzieści metrów. Uszkodzona ciężarówka wpadła do hali niemal bokiem, uderzyła z potworną siłą w posadzkę, odbiła się od niej na moment i grzmotnęła ponownie siejąc na wszystkie strony snopami iskier i kawałkami metalu.

Aerodyna zdołała ściąć pierwszy filar na swej drodze, wielka kolumna przewróciła się z ogłuszającym hukiem. Siła zderzenia wyrzuciła Varla i Bandę z pojazdu, para Duchów potoczyła się po posadzce tracąc natychmiast przytomność. Unterrio pozbierał się jakoś na nogi, próbował ocucić Vadima, który uderzył głową o kabinę aerodynamy.

- Wysiadać ! Wysiadać ! – krzyczał Unterrio.

Bonin odzyskał przytomność i odkrył, że wisi przewieszony przez wybite przednie okno kabiny. Przez moment dumiał otępiały na tym, co się właściwie stało, potem dotarły do niego okrzyki Phantyńczyka.

Jagdea, siedząca z zapiętym pasem bezpieczeństwa, uratowała swe życie, ale wstrząs kraksy bardzo ją dezorientował. Bonin wyplątał ją z uprzęży i zaczął wyciągać z samochodu. Po

drugiej stronie wyrwy zapłonęły potężne reflektory, w ich poświacie poruszały się jakieś ciemne sylwetki wpadające do wnętrza magazynu.

Unterrio wyskoczył z ciężarówki i stworzył ogień ze swojego karabinka.

- Bonin, zabierz ich stąd ! Zabierz ich ! – krzyczał.

Bonin próbował znaleźć w myślach sposób na przetransportowanie w bezpieczne miejsce czwórki półprzytomnych osób. W jego polu widzenia pojawiła się Banda, płacząca z bólu i bezsilnej wściekłości, trzymająca się dłonią za złamany nadgarstek drugiej ręki.

Jagdea otworzyła zamglone oczy i spojrzała niewidzącym wzrokiem na zwiadowcę.

- Bez przerwy w czymś się rozbijam – wymamrotała – To mi się nie podoba.

- Jagdea !

Traciła przytomność, jej umysł zapadał się w ciemność.

- Czuję zapach mleka, Bonin... mleka i mięty...

Odłamkowy miotacz huknął ogłuszająco i broń Unterrio zamilkła na zawsze.

Coś niewielkiego i metalicznego upadło na ziemię tuż obok Bonina, zawirowało w miejscu. Przez ułamek sekundy Duch pewien był, że to granat, ale zaraz rozpoznał obły kształt miny paraliżującej.

- Uciekać ! – wrzasnął, chociaż zdawał sobie sprawę z tego, że żaden inny gwardzista nie zdoła wykonać jego polecenia.

Mina uległa aktywacji, zapłonęła oślepiającym światłem niczym miniaturowa gwiazda, zgasła po kilku sekundach.

Kiedy kompletnie sparaliżowany Bonin przewracał się na ziemię, wiedział już, że jego osobista szczęśliwa gwiazda w końcu też zgasła.

Wybiła północ dwieście dwudziestego piątego dnia roku. Imperialny kontyngent wyznaczony do udziału w Operacji Grzmot zaczął opuszczać Cirenholm formując powietrzny konwój zmierzający ku Ouranbergowi.

Pierwsze w powietrzu znalazły się skrzydła bombowców wraz ze swą myśliwską eskortą. Noc była bezchmurna i siedzący w kokpitach Magogów piloci mogliby przysiąc, że ich maszyny tworzą nową konstelację biorącą swój początek w podniebnym mieście.

Sterowce tworzące rdzeń floty zaczęły opuszczać Cirenholm w ślad za bombowcami, ich wielkie rotory cięły powietrze. Tworzące eskortę Thunderbolty śmigały po bokach wielkich pojazdów. Sterowce *Zephyr*, *Aeolus* i *Trenchant*, załadowane urdeshyckimi i krassiańskimi żołnierzami, obrały kurs mający doprowadzić je na pozycje wyjściowe do ataku na główny aerodrom Ouranbergu. Duchy weszły na pokład *Nimbusa*, który jako jeden z sześciu sterowców miały dostarczyć kontyngenty tanithijski, urdeshycki i phantyński na lotnisko Pavia, położone po południowej stronie miasta.

Nadciągała godzina zero. O świcie następnego dnia miało rozpętać się piekło.

Gaunt skontrolował raz jeszcze rozkazy wylotu, podpisał je i podał plik dokumentów Beltaynowi, ten zaś pobiegł przekazać je jednemu z adiutantów Van Voytza. Rawne, Daur, Hark i grupa kilku innych wyższych stopniem oficerów czekała na pułkownika-komisarza przed jego kwaterą. Opuścił pokój, założył na głowę czapkę, po czym poprowadził swych podkomendnych do hangaru. Jak dotąd nie otrzymał jeszcze żadnego zgłoszenia od grup Larisel i zaczął się zastanawiać, czy którykolwiek z oddelegowanych do tej misji żołnierzy jeszcze żył.

W rozległym hangarze tysiące stojących w pełnym ekwipunku Duchów uczestniczyły w modlitwie odprawianej przez ayataniego Zweila. Kleryk zauważył nadchodzących oficerów, zakończył czytanie *Kazań świętej Sabbath* i schowawszy swą księgę wygładził szatę.

- Pozwólcie powiedzieć mi jeszcze jedno – oświadczył dźwięcznym głosem – Mówię to do was wszystkich, abyście zapamiętali me słowa i nieśli je w sercach stawiając czoła niebezpieczeństwu tej wojny. Chcę powiedzieć to teraz, zanim zrobi to ten człowiek – Zweil wskazał palcem nadchodzącego Gaunta. Przez szeregi gwardzistów przebiegł zduszony śmiech – Imperator strzeże. Pamiętajcie o tym, a wówczas będzie was chronił.

Zweil odwrócił się w stronę Gaunta.

- Oddaję ci twoich ludzi – powiedział. Mruczając pod nosem słowa błogosławieństwa nakreślił przed twarzą Ducha znak orła, po czym ruszył wzdłuż linii oficerów powtarzając ten zabieg przy każdym z nich.

- Wygląda na to, że czcigodny ojciec skradł mi moją frazę – powiedział donośnie Gaunt wywołując kolejną falę śmiechu – Pozwólcie zatem, że powiem coś innego. Pułkownik Corbec i sierżant Soric wracają do zdrowia.

W hangarze wybuchła radosna wrzawa. Gaunt uciszył ją po chwili gestem uniesionej w górę dłoni.

- Musimy zapewnić im odpowiednie warunki rekonwalescencji, w tym również dobre samopoczucie. Chciałbym, by pierwsze wieści jakie do nich dotrą mówiły o zajęciu Ouranbergu i chwale okrywającej Ducha. Takie słowa ulecą ich szybciej od jakiegokolwiek medykamentu doktora Dordena i doktor Curth. Co wy na to ?

Wrzawa przybrała ogłuszającą skalę.

- Żołnierze Tanith ! Żołnierze Verghastu !

- I żołnierki ! – krzyknęła Tona Criid.

- I żołnierki – uśmiechnął się Gaunt – Często zadaję wam pytanie, czy chcecie żyć wiecznie. Tego wieczoru go nie zadam. Jutro rano chciałbym ujrzeć was wszystkich całych i zdrowych, ze sztandarem Pierwszego Tanithijskiego łopoczącym ponad dachami Ouranbergu. Śmierć nie wchodzi tym razem w grę. Walczcie do upadłego i sprawcie, by Bóg-Imperator otrzymał zwycięstwo, którego od nas oczekuje.

Niemal ogłuszony krzykiem aplauzu, Gaunt odwrócił się w stronę Harka.

- Viktorze, poinformuj admirała, że jesteśmy gotowi do drogi.

Tym razem medycy mieli wejść do akcji razem z jednostkami szturmowymi. Torba lekarska Any Curth była już przygotowana, ale kobieta wciąż miała kłopoty z prawidłowym założeniem pancerza osobistego wydanej jej na polecenie Gaunta.

- Źle pospinałaś taśmy – oświadczył wchodzący do pokładowego lazaretu Kolea.

- Doprawdy ? – odparła zirytowanym tonem, wyglądając niczym pacjent, który do połowy wyzwolił się już z kaftana bezpieczeństwa.

- Poczekaj, pomogę ci – mężczyzna zaczął poprawiać mocowania poszczególnych elementów pancerza.

- Nie powinieneś być teraz w hangarze ? – zapytała Curth.

- Tak, ale chciałem się wpiąć z tobą zobaczyć. Poprosić o przysługę.

- Zmieniam się w słuch.

- I jak teraz ? – spytał odstępując o krok. Lekarka poruszyła ramionami, uderzyła dłonią w kompozytowy napierśnik.

- Świetnie leży, dziękuję. A teraz słucham.

- Wiesz, że obiecałem powiedzieć Caffranowi i Criid o...

- Wiem.

- Zamierzam to zrobić po Ouranbergu.

- Wiem.

- I wiesz też, że nie szukam śmierci na swe życzenie.
- Tak, Gol. No, wyrzuciś to wreszcie z siebie.
- Nie sądzę, bym wrócił z Ouranbergu żywy – powiedział cicho sierżant.
Curth spojrzała na jego zastygłą w beznamiętnym wyrazie twarz.
- Co powiedziałaś ?
- Posłuchaj, ja nie szukam śmierci, ale ona może znaleźć mnie. Tyle razy jej wcześniej umknąłem o włos. Nie zamierzam zrobić niczego lekkomyślnego, ale mam złe przeczucia. Teraz, kiedy już pogodziłem się w myślach z tym, że powiem Criid prawdę, śmierć może pokrzyżować mi plany...
- Feth, czy ty nie przesadzasz z tym fatalizmem ? – Curth ujęła Koleę za ramiona spoglądając mu prosto w oczy – Nie umrzesz, Gol, śmierć cię nie oszuka.
- Zrobię, co w mojej mocy, ale wciąż mam złe przeczucia. Przeczucia, że Gol Kolea nie powróci z Ouranbergu. Bardzo mi pomogłaś, Ano. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę.
Wyjął z kieszeni munduru zaklejoną kopertę, wyciągnął rękę w stronę kobiety.
- Jeśli nie wrócę, oddaj to Criid. Tutaj jest wszystko, co chciałem jej powiedzieć.
Lekarka spojrzała na kopertę.
- A jeśli wrócisz ?
- Spal ją. Wtedy sam będę mógł przekazać jej i Caffranowi to, co tam napisałem.
- W porządku – odparła wsuwając kopertę do swojej kieszeni.
- Dziękuję – powiedział cicho.
Wspinając się na czubki palców objęła go rękami za szyję i pocałowała w policzek.
- Wróć, Gol – szepnęła – Chcę spalić ten list.

W Ouranbergu grały bębny. Radary dalekiego zasięgu namierzyły wielką formację statków powietrznych opuszczających Cirenholm i żołnierze Paktu Krwi rozpoczęli przygotowania do walki. Wszędzie panowała ulga, że długie wyczekiwanie dobiegło końca. Pracujący w studiu telewizyjnym katecheci wygłosili ostatnie bluźniercze kazania i umilkli, ekrany informacyjne zgasły.

Nadchodziła godzina inwazji.

Na centralnym placu kopuły Alfa, liczącym pięćdziesiąt akrów i położonym przed frontem pałacu Administratum, płonęły tysiące mosiężnych świeczników, łopotała chorągiew Paktu Krwi, wzniesiona pomiędzy płachtami splecionymi z pasm na wpół inteligentnych żywych alg wykorzystywanych przez loxatle do tworzenia swoich własnych sztandarów.

Na szczycie schodów wiodących do pałacu, pod flagami, poniżej okaleczonej statuy świętego Phidolasa, ustawiony został wielki kocioł z brązu mierzący dobre trzy metry średnicy. Czciociele Osnowy, heretyccy żołnierze i niewiele rozumiejący z tego co się wokół dzieje cywile nadciągali z wszystkich stron na plac.

Pakciarze sprowadzili pod pałac więźniów. Było ich pięćdziesięciu, skutych kajdanami, pobitych i wynędzniałych. Zapędzeni razami batów pod schody usiedli na ziemi na rozkaz swych oprawców.

W grupie jeńców znajdował się Larisel 1. Bonin został skuty do pary z Jagdeą. Zwiadowca wciąż odczuwał zawroty głowy spowodowane wybuchem miny paralizującej; pilotka sprawiała wrażenie, jakby lada moment miała stracić przytomność. Bonin zauważył siedzących trzy rzędy dalej Varla oraz Vadima, obu zrezygnowanych i pogodzonych z losem. Po krótkiej chwili odnalazł wzrokiem Bandę. Klamra kajdan zatrzaśnięta była na jej złamanym nadgarstku, dziewczyna miała poszarzałą z bólu twarz.

Bonin i Jagdea znajdowali się w pierwszym rzędzie więźniów, na samym początku ich łańcucha tkwił Cardinale. Bonin ledwie rozpoznawał w tym wraku człowieka phantyńskiego specjalistę. Cardinale znajdował się o krok od śmierci.

Innymi więźniami okazali się imperialni urzędnicy, schwytani członkowie Korpusu Lotniczego i członkowie arystokratycznych rodzin Ouranbergu.

Jagdea gapiała się na mężczyznę w siedzącego rząd dalej. Miał na sobie podarty lotniczy kombinezon, a jego odsłoniętą skórę na karku i ramieniu pokrywała zaschła krew i ślady po oparzeniach.

- Viltry ? – odezwała się pilotka.

- Komandor Jagdea ? – wymamrotał lotnik podnosząc głowę.

- Boże ! Myślałam, że nie żyjesz ? Co się stało ?

- Straciłem maszynę nad Południową Otchłanią, zdołałem wyskoczyć... potem znalazł mnie jeden ze statków zaopatrzeniowych Slaitha.

- Złoty Tronie ! – westchnęła Phantyjka – Dobrze cię widzieć.

Viltry roześmiał się bez cienia wesołości.

- W tym miejscu ? Nie byłbym tego taki pewny.

- Jeszcze nie umarliśmy, Viltry – odparła twardo kobieta – Ktoś mi kiedyś powiedział, że śmierć nadejdzie, kiedy przyjdzie na to czas, przyspieszyć ją na własne życzenie mogą tylko skończeni głupcy.

- A co to za głupie pieprzenie ? – burknął pilot.

Jagdea zerknęła z ukosa na Bonina, uśmiechnęła się pod nosem. Był to uśmiech pełen zmęczenia, ale nie rezygnacji.

- To najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałam. Koniec przyjdzie wtedy, kiedy przyjdzie.

- Dla nas przyszedł teraz – Viltry wskazał dłonią odlany z brązu kocioł.

- Co to takiego ? – zapytał go Bonin.

- Inwazja musi być już bliska – odpowiedział pilot – Slaith zamierza w symboliczny sposób odnowić swe więzi krwi z Urlockiem Gaurem, by stać się silnym w chwili imperialnego desantu. My jesteśmy ofiarami. Ten kocioł... mamy go napęlić, własną krwią. Slaith rzecz jasna nam w tym pomoże.

- Feth – wymamrotał Bonin – A ja się zastanawiałem, dlaczego nie zabili nas na miejscu.

Zwiadowca spojrział ponownie na kocioł. Napęlenie go po brzegi wymagało sporej ilości krwi.

Pięćdziesięciu więźniów, po pięć litrów w żyłach każdego z nich... tak, powinno wystarczyć.

Rozpoczęła się ceremonia. Setki żołnierzy Paktu Krwi i dziesiątki loxatli zaczęły opuszczać pałac zstępując po schodach obok statuy świętego Phidolasa i rozchodząc się na boki z zamiarem uczynienia przejścia dla Sagittara Slaitha.

Uderzali pełnymi szram dłońmi w swe napierśniki, a dźwięk tego głuchego łoskotu wywołał dziki aplauz wśród tysięcy zebranych na placu ludzi.

Slaith, potężny i budzący grozę w swym pancerzu i białym futrze, ucałował krawędź kotła, po czym uniósł nad głowę błyszczące rytualne ostrze. Żołnierze Paktu powlekli w górę schodów Cardinale, pociągnęli w ślad za sobą resztę łańcucha. Bonin i Jagdea znaleźli się tuż przed schodami pałacu.

Slaith uniósł ostrze jeszcze wyżej i wykrzyczał heretycką inkantację. Dwaj Pakciarze przechylili Cardinale nad krawędzią kotła, przycisnęli mocniej jego ciało.

- Zanim zarżnie Cardinale, nie zapominaj o tym – syknął do ucha Larkina Meryn.

- Zamknij się i pozwól mi robić swoje – odszepnął z irytacją snajper. Z dachu miejskiego wymiennika ciepła Duch miał idealne pole widzenia w obrębie całego centralnego placu Ouranbergu. Zero powiewów powietrza, ale w zamian spory dystans do celu. Larkin skalibrował raz jeszcze celownik nie mogąc odżałować, że nie będzie mu wolno oddać dla pewności strzału kontrolnego.

- Dalej, Larks, dasz radę – powiedział Kuren.

- Na twoim miejscu siedziałbym cicho – Larkin usłyszał ostry głos Mkvennera – On wie, co robi.

Daleko w dole Slaith wygłosił coś krótko i szybkim ruchem wznosił ostrze nad odsłoniętym gardłem Cardinale.

- Larks ! – syknął Meryn.

Wiązka silnie skondensowanego światła przecięła powietrze nad podwyższeniem i uderzyła w ciało Slaitha.

- Feth ! – westchnął zaskoczony Larkin – To nie ja !

Mkvenner wyjrzał za krawędź dachu. Na placu rozpętało się istne pandemonium, żołnierze Paktu Krwi zaczęli przedzierać się przez tłum w kierunku wschodniego krańca centrum.

- Strzał padł stamtąd ! – Mkvenner wskazał palcem budynek Munitorium wznoszący się po lewej stronie placu.

Larkin przyłożył karabin ponownie do ramienia, przycisnął twarz do okularu celownika. Slaith podnosił się na nogi pod osłoną wielkiego kotła.

- Feth ! Ma własne pole ! – jęknął Larkin.

- Strzelaj ! – nie ustępował Meryn.

Larkin pociągnął za spust i Slaith grzmotnął ponownie na ziemię, uderzył w nią plecami. W chwili, kiedy się przewracał, inna wiązka lasera rozbłysła od strony gmachu Munitorium i nadtopiła krawędź kotła. Sekundę później trzecia krecha energii trafiła leżącego już na ziemi heretyckiego przywódcę.

- Mamy kłopoty ! – krzyknął Kersherin.

Żołnierze Paktu Krwi i loxatle przedzierali się przez tłum pędząc w kierunku wymiennika powietrza. Larkin wystrzelił ponownie i ugodził kolejny raz Slaitha, ten jednak zaraz podniósł się na nogi z pomocą swych adiutantów. Generator pola siłowego wciąż absorbował wszystkie bezpośrednie trafienia.

- Jest odporny na strzały ! – krzyknął z rozpaczą w głosie snajper.

- Musimy się stąd wynosić ! – zawołał Meryn.

- Nie – Larkin potrząsnął głową i wymierzył raz jeszcze – Czekać...

Znajdująca się na najwyższym piętrze gmachu Munitorium Nessa odskoczyła od okna i spojrziała bezradnie na Mila.

- Chroni go pole siłowe ! Trafiłam dwa razy !

- W porządku, wiejmy ! Zrobiliśmy wszystko, co było możliwe !

Skoczyli oboje w kierunku drzwi wiodących na klatkę schodową. Milo słyszał wyraźnie zbliżający się od dołu tupot ciężkich butów.

Na placu wybuchła masowa panika, ludzie uciekali we wszystkich kierunkach. Bonin obejrzał się w stronę Jagdei chcąc coś powiedzieć, ale w tym samym momencie poczuł silne szarpnięcie łańcucha. Niewiarygodnie celny strzał z lasera przetopił jedno z ogniów rozdzielając w mgnieniu oka parę lojalistów.

Bonin runął na najbliższego Pakciarza dusząc go luźnym końcem łańcucha. Kiedy heretyk zeszytniał wydając z siebie ostatni dech, zwiadowca pochwycił jego opuszczoną pod nogi broń.

Był to standardowy karabin laserowy, w zupełności Duchowi wystarczający. Trzej żołnierze Paktu Krwi biegnący w stronę Bonina zginęli w ułamku chwili ugodzeni wiązkami energii, zwiadowca natychmiast obrócił broń w stronę heretyków znajdujących się na stopniach podwyższenia. Jagdea przypadła do jednego z trupów, sięgnęła po drugi karabin, zaczęła przestrzeliwać kajdany pętające pozostałych więźniów.

- Śmierć nadejdzie, kiedy przyjdzie na to czas, przyspieszyć ją na własne życzenie mogą tylko skończeni głupcy ! – krzyknął do niej Bonin – Który głupiec ci to kiedyś powiedział ?!

- Wyjdźmy z tego żywi, Bonin, to ci odpowiem ! – wykrzyczała.

- I uwierz mi ! – dodała moment później strzelając prosto w twarz jakiegoś Pakciarza i przepalając na wylot jego maskę – Uwierz, że zamierzam wyjść z tego żywa !

Bonin roześmiał się głośno, po czym rzucił się w stronę zdezorientowanych zajściem na placu heretyków.

Ubezpieczony przez trzech wyższych oficerów Paktu Krwi i dwa loxatle, Sagittar Slaith powrócił szybko do swego pałacu. Kłął i bluźnił przez całą drogę, posiniaczony i wstrząśnięty siłą skondensowanych wiązek energii, którą wchłonęło jego pole siłowe.

Wpadając do prywatnego apartamentu poczuł narastające drgania posadzki. Nadciągał świt, a wraz z nim nad Ouranbergiem pojawiły się pierwsze fale bombowców. Slaith odwrócił się wolno w stronę swych adiutantów, a w jego oczach płonęła maniackalna wściekłość. Oficerowie Paktu zastygli w lęku, loxatle zakryły oczy płytkami powiek. Slaith otworzył usta, lecz to nie dźwięk jego głosu zabił adiutantów.

Seria oddana z ustawionego w trybie automatycznym lasera ścięła wszystkich trzech oficerów, rozbłysła nieszkodliwie na kokonie energii chroniącym Slaitha i na łuskowatych ciałach loxatli.

W tylnych drzwiach apartamentu stał jakiś człowiek – imperialny żołnierz okryty podartym płaszczem kamuflującym, mierzący z laserowego karabinu.

- Skąd się tutaj wzięłeś ?! – ryknął gniewnie Slaith.

- Z Tanith – odparł Mkoll naciskając ponownie spust.

Slaith ruszył w jego stronę nie zwracając uwagi na absorbowane z sykiem wiązki energii, loxatle sunęły po bokach heretyka chroniąc wrażliwe oczy podwójną warstwą powiek, przeładowując z trzaskiem mechanizmy swych miotaczy.

- Laser ? – zapytał z sadystyczną ironią Slaith – Ja mam tarczę siłową, im lasery nie szkodzą. Twoje szczęście się wyczerpało, imperialisto. Powinieneś być lepiej się do tego przygotować.

- Och, to tylko odwrócenie uwagi – żołnierz machnął swym karabinem – Prawdziwa niespodzianka jest pod stołem.

Miotacze loxatli wyrzuciły z siebie grad pocisków obracając w perzynę framugę drzwi i znaczącą część tylnej ściany, Mkolla już tam jednak nie było.

Slaith zatrzymał się przy stole, dźwignął go zaglądając pod spód.

Ujrzał sześć złożonych razem pakietów wybuchowych, podłączonych do cyfrowego zegara.

- Nie ! – wrzasnął na całe gardło – Nieeeeeee !

Wybuch zmiotł dach całego apartamentu. Generator osobistego pola siłowego Slaitha wytrzymał ekstremalne przeciążenie przez 1.34 sekundy, po czym się spalił.

Sagittar Slaith wciąż jeszcze wyl z bezsilnej wściekłości, kiedy jego ciało obracało się w popiół.

Phantine, otulone kapryśnym oceanem toksycznych chmur, było planetą częstych burz, ale tego poranka największy sztorm na Phantine został stworzony rękami człowieka. W Ouranbergu.

Słupy gęstego czarnego dymu były w jaśniejące przestworza, punktowane rozbłyskami wybuchów, cięte we wszystkich kierunkach wiązkami laserów, pociskami smugowymi i rakietami. Eskadry powietrznych kanonierek unosiły się ponad miastem niczym stada metalowych żuków, śmigając poprzez rozpalone ogniem przeciwlotniczej artylerii przestworza. Szalejące wewnątrz kopuły pożary pulsowały łuną dostrzegalną w wielkich wyrwach znaczących poszycie dachowe Ouranbergu.

Poprzedzone falą bombowców nurkujących Shrike, do ataku weszły sterowce i ciężkie statki desantowe zrzucające gwardzistów na płyty Pól Pavia. Tysiące imperialnych żołnierzy opuszczały swe maszyny pod silnym ostrzałem stanowisk obronnych na Bramie Ouran i po zewnętrznej stronie kopuły Alfa. Wieżyczki statków transportowych odpowiadały ogniem, po ich opuszczonych w dół rampach na lądowisko zjeżdżały Chimery i Mantikory Siódmego Pancernego Urdeshi.

Panujący na lotnisku hałas był wręcz niewyobrażalny, tworzył potworną kakofonię, w której bezpowrotnie nikły wszelkie ludzkie słowa. Gaunt zbiegł pierwszy po rampie własnego transportowca, popędzając żołnierzy ruchami dzierzzonego w rękach energetycznego miecza. Nikt nie dosłyszał ani jednego słowa wykrzyzanego przez pułkownika-komisarza.

Oddziały Urdeshi przejęły kontrolę nad lądowiskiem po zawziętej wymianie ognia i serii budzących grozę starć wręcz. Tanithijskie Duchy, dowodzone na zachodzie przez majora Rawne, na wschodzie zaś przez kapitana Daura, wzięły w kleszcze kontyngent Paktu Krwi broniący Alei Poliandronów i otworzyły w ten sposób drogę do wnętrza Ouranbergu.

Sterowiec *Skyro*, ubezpieczany przez powietrzne kanonierki, zawisł nad kopułą Beta, rozpoczął zrzut linowy Urdeshi i żołnierzy z Phantyńskiej Powietrznej bezpośrednio na główny młyn oparowy miasta. Brygada dowodzona przez majora Fazalura zdobyła kompleks przetwórczy i broniła się w nim zaciekle przez następną godzinę, dopóki Gaunt nie złamał oporu nieprzyjaciela na Bramie Ouran i nie wysłał ludziom z Powietrznej odsieczy.

Po wschodniej stronie Ouranbergu trwał szturm na główny aerodrom. Przez ponad godzinę na płytach lądowiska toczyła się najbardziej zażarta i bezwzględna walka w historii całej operacji. Krassianie dwukrotnie zmuszeni zostali do odwrotu, dopiero za trzecim razem zdołali zniszczyć stawiających im opór przeciwników. Niedobitki Pakciarzy rozpoczęły nieskoordynowany odwrót w głąb miasta.

Lojaliści zapłacili za to wysoką cenę: zginęło ponad dwa tysiące imperialnych gwardzistów – w przeważającej mierze Krassian i Urdeshi - stracono czterdzieści samolotów. Sterowiec *Aeolus*, wbrew wszelkim zasadom i zdrowemu rozsądkowi pozostający w zawisie nad aerodromem tak długo, by Krassianie otrzymali dostatecznie silne wsparcie do trzeciego uderzenia na pozycje obrońców, był ostrzeliwany przez zachodnie baterie przeciwlotnicze Ouranbergu, dopóki nie stanął w ogniu i nie spadł na kopułę Gamma. Cała załoga sterowca zginęła w gigantycznej eksplozji. Przestworza nad Gammą rozpałił wielki obłok rozżarzonego gazu, a nadtopione poszycie zachodniej części dachu pokryła gruba warstwa sadzy.

Ostateczne zwycięstwo zapewniła imperialistom szerząca się wśród Pakciarzy wiadomość o śmierci Slaitha. Heretycy wciąż zaciekle walczyli i w wielu miejscach wpadli w dziki szal. Wiedzieli, że przegrali ze szczeniem, a to czyniło ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi w bezpośredniej konfrontacji.

Van Voytz od początku zdawał sobie sprawę z faktu, że zdobycie Ouranbergu z jednoczesnym zachowaniem w nienaruszonym stanie młynów oparowych graniczy z cudem. Kiedy z ogarniętych pożarami ulic nadchodziły coraz bardziej szczegółowe raporty o stratach własnych,

lord generał powtarzał sobie w myślach, że cała operacja i tak mogła go kosztować sto razy więcej. Ryzyko związane z powodzeniem misji „Larisel” sownie się opłaciło. Gdyby Slaith wciąż jeszcze żył na początku szturm, istniało ogromne prawdopodobieństwo, że dzień 226.771.M41 przeszedłby do podręczników imperialnej historii jako data miażdżącej porażki lojalistów.

Na ulicach kopuły Alfa nie widać było śladu nadchodzącego zwycięstwa, bezlitosne walki toczyły się aż do zmierzchu. Całe habitaty stały w płomieniach, w wielu miejscach wiszące korytarze i mosty zarwały się spadając na dachy położonych niżej poziomów mieszkalnych.

Gaunt dowodził pierwszą linią natarcia, osobiście kierując poszczególne plutony w strefy walki. Oddziały Braya, Burone, Theissa i Daura zabezpieczyły wewnętrzny bastion kopuły, zdobyły szereg dobrze ufortyfikowanych pozycji Paktu Krwi. W eterze krążyły pogłoski o mieszkańcach Ouranbergu obracających się przeciwko swym okupantom, jednak Gaunt widział wokół siebie jedynie setki uciekających w panice cywilów.

Myśli pułkownika-komisarza nie obracały się wokół kwestii zwycięstwa, to należało do problemów Van Voytza. Natychmiast po znalezieniu się w odpowiednim zasięgu radiowym Gaunt zaczął szukać kontaktu z członkami grup Larisel i poczuł ogromną ulgę po pierwszych sygnałach dowodzących, że przynajmniej niektórzy z nich wciąż żyli. Beltayn zdołał nawiązać łączność z grupą Meryna, która dołączyła do zespołu Varla i tkwiła teraz uwięziona w rektoracie Schola Progenium opodal centrum miasta, atakowana ustawicznie przez heretyckich żołnierzy.

Gaunt przyrzekł swym ludziom, że wydostanie ich z pułapki. Lewą flankę zabezpieczył Duchami majora Rawne i czołgami Urdeshi, na prawą pchnął plutony Hallera, Maroya i Ewlera.

Sytuacja na prawej flance sprawiała wrażenie beznadziejnej. Maroy zgłosił silny opór nieprzyjaciela w obrębie dzielnicy komercyjnej. Rawne radził sobie niewiele lepiej, jego oddziały – plutony Kolei, Obela i Mkfina oraz brygada Urdeshi pod rozkazami młodego Shenko – wpadły na loxatle i uwikłały się w trwające ponad dwie godziny walki uliczne w jednym kwadrancie miasta.

Gaunt zdołał w końcu przebić się do centrum Ouranbergu prowadząc ze sobą plutony Domora, Skerrala i Mkendricka oraz czterdziestu pięciu urdeshyckich inżynierów wojskowych i oddziały dowodzone do czasu Cirenholmu przez Corbeca i Sorica. Dwa ostatnie plutony znajdowały się pod tymczasową komendą Raglona i Arcudy. Gaunt zamierzał trzymać obu pozbawionych oficerskiego doświadczenia Duchów blisko siebie, ale praktyka dowiodła, że nie musiał się o nich specjalnie martwić. Arcuda zaprezentował talent przywódczy, który wprowadził Gaunta w zawstydzenie wywołane świadomością, że zdolny Verghastyta mógł już wcześniej zostać awansowany do stopnia sierżanta; Raglon natomiast sprawiał wrażenie spokojnego i pewnego siebie – przeszedł długą drogę od czasów młodszej radiooperadora.

Przebili się poprzez rząd słabo bronionych budynków i rozpędzili miotaczami płomieni zgromadzone w dużej grupie loxatle. Dremmond i Lyse prowadzili uderzenie omiatając cielska obcych strumieniami płynnego ognia. Loxatle wykazywały fantastyczną odporność na broń laserową, ale miotacze ognia budziły w nich przerażenie. Ponieważ należący do plutonu Gaunta Nittori wciąż przebywał w szpitalu, jego funkcję pułkownik-komisarz powierzył Lyse. W ten sposób żołnierka została pierwszą kobietą-operatorem miotacza ognia w regimencie podnosząc poczucie wartości verghastyckich rekrutów.

Tuż po godzinie 14.00 grupa Gaunta uderzyła na główny plac centrum, wbiła się z flanki w pozycje kontyngentu Paktu Krwi i zmusiła heretyków do odwrotu uwalniając w ten sposób garstkę Duchów uwięzionych w uczelni. Na zewnątrz Schola Progenium wciąż trwały zaciekle walki, główne siły Urdeshi rozpoczynały właśnie uderzenie na kompleks pałacowy, Gaunt nie

zwracał na to jednak większej uwagi. Poświęcił swój bezcenny czas, by osobiście przywitać się z wszystkimi uczestnikami misji i podziękować im za udaną jej realizację.

Spośród szesnastu Duchów i czterech specjalistów Powietrznej biorących udział w operacji „Larisel” tylko ci pozostali przy życiu. Banda, ze złamanym nadgarstkiem. Zwiadowca Bonin i sierżant Varl, obaj poważnie ranni w walkach mających miejsce po śmierci Slaitha. Vadim, również poważnie kontuzjowany w wypadku samochodowym. Larkin, leżący na podłodze w ataku dręczącej jego umysł migreny. Mkvenger, Kuren i sierżant Meryn, posiniaczeni, ale jakimś cudem wciąż cali. Specjalista Kersherin, jedyny żołnierz Phantyńskiej Powietrznej, który wyszedł z misji z życiem. Komandor Jagdea, która kilkakrotnie podkreśliła zasługi Bonina w uwolnieniu jeńców i osłanianiu ich odwrotu do gmachu uczelni, co pozwoliło uratować między innymi pilota o nazwisku Viltry i specjalistę Cardinale.

Dopiero potem Gaunt dowiedział się, że Cardinale zmarł w wyniku odniesionych wcześniej obrażeń podczas oblężenia budynku Schola Progenium.

Pułkownik-komisarz wezwał pomoc medyczną dla ocalałych członków Larisela, próbując jednocześnie nie myśleć o tych, którzy zginęli. Rilke, Cocoer, Nour, Doyl, Adare, Nessa, Mkoll... Milo.

Piętnaście minut później Arcuda zgłosił przez radio, że jego ludzie odnaleźli Mila i Nessę na dachu Ministerstwa Ekspertury Paliw, całych i żywych. Gaunt zamknął z ulgą oczy. Imperator strzeże.

Dopiero po jakimś czasie nasza go pewna myśl. Wrócił pośpiesznie do odpoczywających w uczelni Duchów.

- Zatem... kto oddał ostateczny strzał ? – zapytał.

- Nikt z nas – odparł Meryn – Larkin trafił skurwysyna kilka razy i Nessa chyba też, ale chroniło go pole siłowe.

- Więc jakim cudem... ?

Odpowiedź na to pytanie nadeszła późnym popołudniem, kiedy żołnierze Urdeshi przeczesujący ruiny pałacu natknęli się na samotnego tanithijskiego zwiadowcę leżącego bez przytomności pod warstwą gruzu.

Na jego identyfikatorze widniało nazwisko Mkoll.

Gwardziści majora Rawne walczyli z loxatlami w luksusowej dzielnicy mieszkalnej położonej na zachód od centrum kopuły Alfa. Obcy mieli do swej dyspozycji broń w postaci ciężkich moździerzów, być może większą wersję ich rozpryskowych miotaczy. Obel zdołał przemieścić się nieco do przodu, a Bragg zlikwidował jedno stanowisko moździerzowe ogniem karabinu maszynowego, ale mordercze pociski nadal spadały.

Gol Kolea oraz towarzyszący mu szeregowcy Lubba i Jajjo przedostali się przez rozbitą tylną ścianę jakiejś kuchni do przejścia między budynkami pozwalającego obejść im z boku główną baterię moździerzową loxatli. Opuszczając przejście, zgięci w pół, z nisko pochylonymi głowami, Kolea słyszał wyraźnie charakterystyczny stukot moździerzów i ludzki głos wzywający sanitariusza.

Trójka Duchów pokonała biegiem zagruzowaną ulicę i skryła się za rozbitym hydrantem, z którego tryskała fontanna mętnej wody.

Caffran leżał na plecach w pobliskim kraterze, jego nogę znaczyły rany po kawałkach pocisków wystrzelonych z miotaczy loxatli.

- Bez wariowania, sierżancie ! – krzyknął Lubba, ale Kolea już go nie dosłyszał pędząc w kierunku rannego Ducha. Grad pocisków z miotacza gwizdnął sierżantowi obok głowy, lecz rosły Verghastyta zdążył wskoczyć nietknięty do krateru zajmowanego przez Caffrana.

- Jak leci, Caff ? – zapytał pozornie beztrąsko.
- O, Kolea. Kurewsko boli. Pieprzeni obcy zablokowali wylot tej ulicy.
Sierżant przesunął spojrzeniem po ranach szeregowca.
- Kiepsko to wygląda, ale medycy są już w drodze. Będziesz żył, Caffran.
- Mam w dupie własne życie ! – syknął Caffran – Boję się o Tonę !
- Czemu ?
- Rawne posłał nas przodem w czujce. Ja oberwałem, ona poszła dalej razem z Allo i Jenkiem. Chyba też dostali, nie mogę żadnego z nich wywołać przez radio.
- Kurwa mać – wciągnął powietrze Kolea. Sierżant wyrżał ostrożnie ponad krawędź krateru – Zostań tutaj – poleciał rannemu Duchowi, niepotrzebnie zresztą, bo szeregowiec i tak nie był w stanie poruszać się na własnych siłach.
- Sierżancie ?
- Tak ?
- Caffran cedził słowa przez zaciśnięte z bólu zęby.
- Dlaczego... dlaczego przyszedł pan do mnie, kiedy zostałem aresztowany ? Zachowywał się pan tak... tak dziwnie. Kiedy odwiedziła mnie Tona, omal nie urwała mi głowy za to, że dałem się wplątać w tamtą sprawę, ale ona była wtedy szczerze przerażona. A pan... pan sprawiał wrażenie, jakby się bał, że ja naprawdę zrobiłem coś takiego tamtej biednej kobiecie. Dlaczego ?
- Musiał się we mnie odezwać ojcowski instynkt – uśmiechnął się Kolea – Wytłumaczę ci wszystko, kiedy wrócę.
- Wyskoczył z krateru i pobiegł przed siebie.

Allo i Jenk nie żyli. Criid leżała na plecach za ich okrwawionymi ciałami, raniona w ramię i biodro. Nieprzyjacielskie pociski śmigły ponad jej twarzą.

Kolea omal nie wpadł do wyrwy tworzącej kryjówkę dziewczyny, wyrznął kolaniem w wystającą z ziemi metalową rurę.

- Trzymaj się, Tona – powiedział – Caff za tobą tęskni.

Uniósł ją w ramionach ignorując jęki bólu, po czym zaczął biec w drogę powrotną ku własnym pozycjom.

- Jesteś obłąkany ! – wykrztusiła Criid, kiedy wszędzie wokół zaczęły rozrywać się pociski loxatli.

- Nie ty jedyna mi to mówisz ! – sapnął w odpowiedzi – Możecie założyć z Varlem pieprzony klub moich fanów !

Sierżant dopadł do linii budynków na drugim krańcu ulicy i niemal cisnął dziewczyną w wyciągnięte ręce Jajjo. Ułamek chwili później upadł.

Cały czas się uśmiechał i dopiero w chwili, kiedy znieruchomiał na ziemi, wszyscy spostrzegli krwawą miazgę, w jaką zmieniła się tylna część jego czaszki.

- Sierżancie ! – wrzasnął Lubba ryzykując własnym życiem, by wciągnąć bezwładne ciało Kolei za róg kamienicy – Sierżancie ! Sierżancie Kolea ! Proszę nie umierać ! Nie umierać !

- Ostatni bęben ? – Bragg spojrzął pytająco na Cailla.
- Mam jeszcze dwa w zapasie – odparł ładowniczy.

Bragg westchnął ciężko, wyrżał przez najbliższą dziurę w ścianie budynku, po czym potrząsnął przecząco głową. Pociski loxatli punktowały ulicę na całej jej długości.

- Nie wystarczy, żeby ich przycisnąć ogniem. Zostanę tutaj i postrzelam trochę, a ty wal do tyłu po amunicję, zgoda?

- Wrócę za dwie minuty – kiwnął głową Caill – Nigdzie się beze mnie nie wybieraj.

Ładowniczy zerwał się na równe nogi i odbiegł pośpiesznie w tył. Bragg spojrzął na pozostałych kryjących się w zdewastowanym budynku żołnierzy: Tokara, Fenixa, Cuu i Hwlan.

- Macie jakieś pomysły ? – zapytał.

- Daj nam osłonę ogniową, to spróbujemy przedostać się do bloku po drugiej stronie ulicy – zaproponował Hwlan.

- Zgoda – odparł Bragg, po czym wsunął lufę cekaemu w jedną ze znaczących ścianę budynku dziur.

- Zaczynamy na trzy – powiedział – Raz, dwa...

Cekaem ożył z ogłuszającym hukiem, serie pocisków omiotły całą ulicę. Hwlan, Fenix i Tokar wyskoczyli z kryjówek, popędzili skokami przed siebie korzystając z osłony Bragga.

Karabin umilkł chwilę później z metalicznym szczękiem.

- Następny bęben ? – zapytał Cuu.

- Tak – odparł Bragg – To byłoby...

Pusty, ale wciąż ciężki magazynek uderzył z trzaskiem w bok głowy strzelca. Bragg osunął się na ścianę budynku, stracił na ułamek chwili przytomność.

- Co jest, kurwa ? – stęknął próbując podnieść się na nogi – Cuu ? Co ty robisz ? – Z czaszki Bragga ciekła strużka krwi, świat wirował mężczyźnie w oczach.

Lijah Cuu stał w bezruchu mierząc go wzrokiem.

- Sprzedałeś mnie – wycedził przez zęby.

- Feth, Cuu ! To nie chwila na wyrównywanie jakiegoś zasranego rachunku !

- Nie ? A kiedy trafi się lepsza okazja, Tanithijczyku ? Najlepiej teraz. Pewnie, że pewnie.

Bragg próbował nieporadnie wstać.

- Wykpiłeś się tanim kosztem, Cuu, Gaunt uratował ci skórę. Dostałeś swoją porcję batów i powinieneś się z tego cieszyć.

- Cieszyć ?

- Chciałem powiedzieć, że... mniejsza z tym. Feth, ale z ciebie skurwiel. Gaunt każe cię za to rozstrzelać...

- A skąd się o tym dowie ? – spytał Cuu – No, skąd się dowie, ty głupi grubasie ? – w prawej dłoni Cuu załśniło trzydzieści centymetrów posrebrzanej stali.

- Cuu, co ty kurwa...

Cuu wbił swoje ostrze prosto w serce Bragga.

Oczy gwardzisty rozszerzyły się, olbrzym otworzył usta łapiąc powietrze niczym ryba.

Cuu wyszarpnął nóż z ciała Ducha i pochylił się do przodu tak, by jego wargi znalazły się tuż obok ucha konającego Tanithijczyka.

- Tak dla twojej wiadomości, grubasie. To byłem ja. To ja ją wykończyłem. I to było piękne. Żebyś ty wiedział jak ona walczyła o życie. Nie to, co ty, głupi grubasie.

Bragg poruszył się zniechęconie i machnął trzymanym za lufę cekaemem niczym maczugą. Gdyby ciężka broń zetknęła się z ciałem szczupłego Verghastyty, Cuu nie wyszedłby z tego bez połamanych kości. Lecz zabójca zdążył uskoczyć zwinnie w tył.

- Spróbuj raz jeszcze, Bragg – wysyczał, a potem pchnął ponownie nożem. I ponownie. I ponownie.

a

EPILOG: TANITHIJSKIE KARABINY

Phantine, 227.771.M41

„Nie sądziłem, bym kiedykolwiek poznał wyższego rangą oficera, który doceni prawdziwą wartość Duchów. Tak się jednak stało i teraz wcale nie czuję się z tego powodu szczęśliwy” – Ibram Gaunt, pułkownik-komisarz, Pierwszy Tanithijski.

Sterowiec znalazł się w doku zaledwie kilka minut temu, a dzieci już zaczęły biegać po jego pokładzie pochłonięte zabawą.

Służby pomocnicze Tanithijczyków dotarły do Ouranbergu wraz z główną falą gwardyjskich posiłków. Posępni kontrolerzy nadzorowali rozładunek skrzyń z zaopatrzeniem, podczas gdy rzesza ludzi mających za kilka dni przeistoczyć się w mimów, połykaczy ognia, żonglerów i wszelakiej maści rzemieślników tłoczyła się wokół nich bacząc, by ich dobytek nie uległ uszkodzeniu ani zagubieniu.

Dzieci biegały śmiejąc się i krzycząc, bawiąc w chowanego w rozległej ładowni sterowca. Yoncy podreptał za ciśniętą przez Dalina szmacianą piłką, schylił się próbując ją schwycić.

- Dzieciaki, co ? – za plecami Curth odezwał się czyjś kobiecy głos. Lekarka spojrzała przez

ramię.

- Dzieciaki – powtórzyła Aleksa – Bitwa skończona, druhów już pochowaliśmy, a teraz pojawiły się one, by zmiękczyć nas i wprawić w melancholię. Gak, nie jestem melancholiczką. Życie kopie w tyłek, trzeba się do tego przyzwyczaić.

- Prawda – zgodziła się Curth, wyciągając z kieszeni paczkę skrętów lho i częstując jednym z nich rozmówczynię. Otyła starsza kobieta w wielkim kapeluszu włożyła papieros w usta, po czym zapaliła oba skręty swoją posrebrzaną zapalniczką.

- Dalin ! Ostrożniej z braciszkiem, słyszysz mnie ?! – krzyknęła Aleksa, po czym ściszyła głos – Pani jest tą, której on o wszystkim opowiedział, prawda ?

- Kim ?

- Kolea powiedział mi, że o wszystkim wie jeszcze tylko jedna osoba. Lekarka. To pani, prawda ?

- Tak – westchnęła Curth.

- Jak czuje się Gol ? – zapytała po chwili Aleksa.

- Będzie żył – odpowiedziała Curth.

- A co mu się właściwie stało ?

- Funkcje fizjologiczne organizmu działają poprawnie, pozostaje przytomny. Odniósł jednak potworne obrażenia czaszki, zwłaszcza samego mózgu. Totalna amnezja. Nie pamięta nawet własnego imienia. Ani faktu, że posiada dzieci.. Niczego...

- To rozwiązuje wiele problemów – uśmiechnęła się nieznacznie Aleksa.

- Nie – zaprzeczyła Ana wyjmując z kieszeni zaklejoną kopertę i spoglądając na nią z rozterką – Gol Kolea powrócił... ale i nie powrócił zarazem. Nie... nie wiem, co powinnam teraz zrobić.

- Skarbie – Aleksa wsunęła list z powrotem w kieszeń lekarki – Przyjmij ode mnie małą radę. Podziękuj za to, co się stało Imperatorowi i odejdz stąd w pokoju.

Schowawszy do końca kopertę Ana Curth odeszła wolnym krokiem w głąb zatłoczonego ładowiska.

Van Voytz wygłosił pełną pochwał mowę, nie szczędził nikomu wyróżnień ani odznaczeń. Obiecał osobiście poprosić Macarotha o formalną zmianę regimentalnej klasyfikacji Tanithijskiego Pierwszego, uwzględniającą specjalizację Duchów w dziedzinie infiltracji i operacji specjalnych.

- Kiedy tanithijskie karabiny wystrzelą ponownie, chcę je mieć pod swoimi rozkazami – oświadczył Van Voytz rozlewając do wręczonych oficerom szklanek amasec.

Gaunt nie przysłuchiwał się jego słowom zbyt uważnie. Nieprzyjaciel na Phantine został pobity, jeden z wyższych rangą heretyckich przywódców poniósł śmierć, siły krucjaty mogły już korzystać z odzyskanych młynów oparowych.

A pułkownik-komisarz ocalił życie tylu swych ludzi, ilu tylko zdołał.

Osiągnął cel operacji, wypełnił swój obowiązek.

Zwycięstwo i wypełniony obowiązek. Gaunt nie podzielał ochoty Van Voytza do czczenia toastami żywych i poległych i do rozprawiania na ten temat przez całą noc. Poszedł na spacer po centrum miasta, gdzie imperialne patrole wciąż poszukiwały kryjących się w ruinach heretyków.

Gaunt wiedział dobrze, że oficerowie średniego stopnia – tacy jak on – wciąż znajdowali się zbyt blisko pola walki, by nie odczuwać fizycznej straty po śmierci swych ludzi. To właśnie dowódcy pokroju Gaunta, Rawne i Fazalura musieli się raz po raz mierzyć z duchowym wymiarem krwawego bilansu wojny. Dla lordów generałów ofiary były wyłącznie nic nie mówiącymi listami nazwisk na ekranach elektronicznych notesów. Odpowiednio wysoki stopień chronił skutecznie przed emocjonalnymi konsekwencjami toczenia wojen, a to nawet z tak

uczciwego człowieka jak Van Voytz potrafiło uczynić bezwzględnego sukinsyna podobnego do ludzi, pod którymi Gaunt miał niegdyś nieszczęście służyć.

Na szczęście rozłam pomiędzy Tanithijczykami i Verghastytami, sygnalizowany przez Harka i Zweila, zaczął powoli zanikać. Podczas walk o Ouranberg regiment działał już niczym całkowicie zintegrowana jednostka.

Być może uratowanie Cuu przed plutonem egzekucyjnym okazało się dostatecznie wyraźnym przesłaniem.

Gaunt powrócił do swego punktu dowodzenia i polecił Beltaynowi, by ten nadał na wszystkich częstotliwościach regimentu podziękowania dla Tanithijczyków i Verghastytów oraz polecenie wycofania się ze stref liniowych. Od strony Cirenholmu nadlatywały już posiłki w postaci regimentów Krassian i Urdeshi.

Tanithijskie karabiny mogły na jakiś czas umilknąć, nadeszła pora na zasłużony odpoczynek.

- Podziękowania i rozkazy wysłane, sir – zameldował Beltayn.
- Na razie to wszystko – odparł Ibram Gaunt.

KONIEC